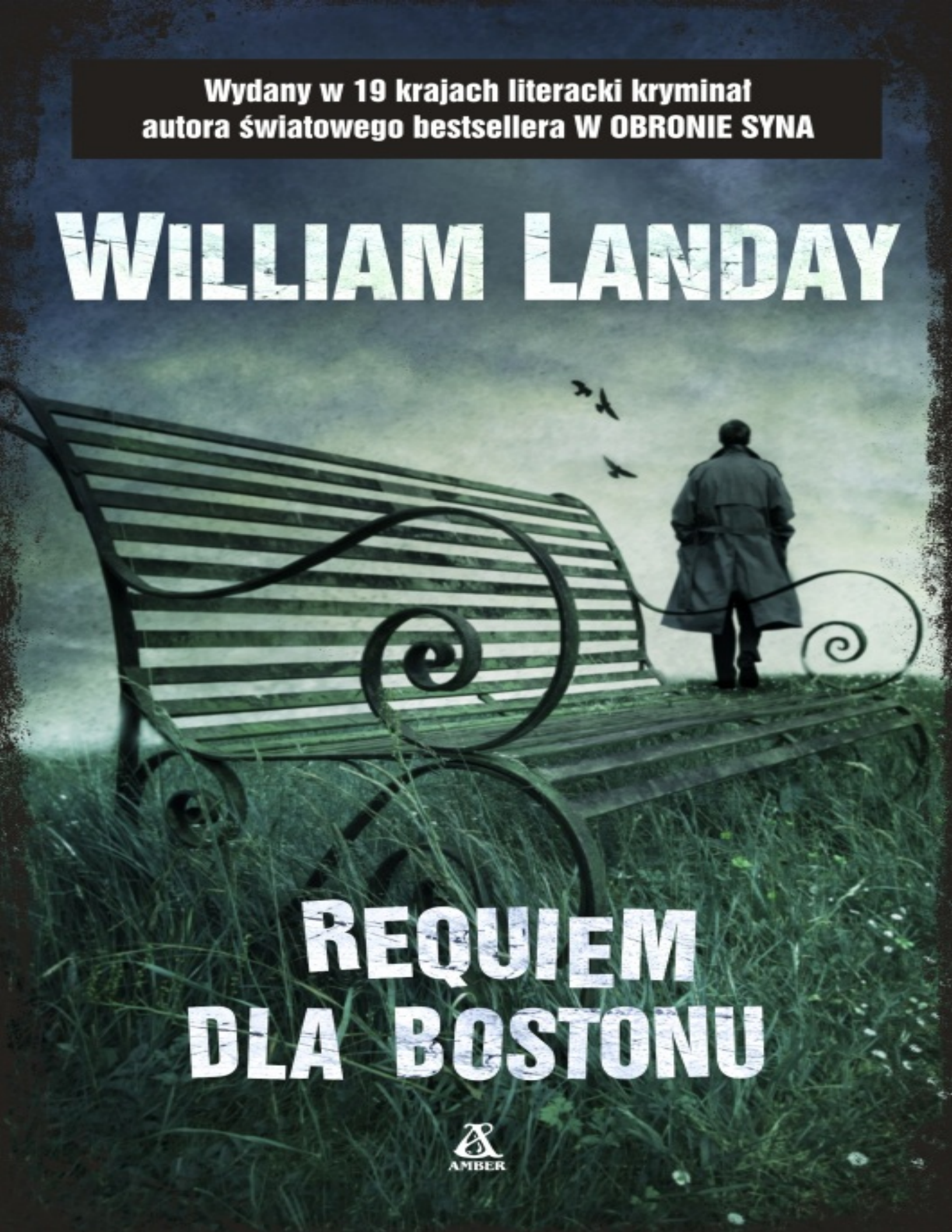


Wydany w 19 krajach literacki kryminał
autora światowego bestsellera W OBRONIE SYNA

WILLIAM LANDAY

A person in a dark trench coat stands with their back to the camera on a large, ornate metal bench. The bench is situated in a field of tall grass. In the sky above, several birds are flying. The overall mood is somber and contemplative.

REQUIEM
DLA BOSTONU


AMBER

Requiem dla Bostonu

William Landay

Amber (2013)

Nad malowniczym jeziorem wśród lasów Maine, w domku w pobliżu cichego miasteczka, zostają znalezione zwłoki zastrzelonego mężczyzny – Roberta Danziger, znanego prokuratora okręgowego w najtrudniejszym, najbardziej przestępczym okręgu Bostonu.

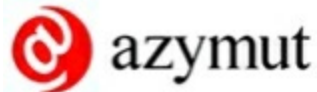
Dlaczego Ben Truman, młody policjant z sennego miasteczka, w którym popełniono zbrodnię, decyduje się pojechać do Bostonu, by obserwować postępy śledztwa?

Bostońska policja szybko znajduje podejrzanego – bandytę, którego Danziger miał na celowniku. Lecz widząc zakulisowy taniec policjantów i gangsterów, Ben postanawia poprowadzić śledztwo na własną rękę. Zwłaszcza kiedy natrafi a na dawno zapomnianą sprawę morderstwa i zemsty sprzed lat. Przeszłość i teraźniejszość zderzają się ze sobą, krwawa tajemnica wychodzi na jaw, lecz w mieście narkotykowych gangów, skorumpowanych gliniarzy i pogrzebanych sekretów wydziału zabójstw najbardziej szokujące odkrycie dopiero czeka na ujawnienie...

Requiem dla Bostonu, niepokojący literacki kryminał psychologiczny z niejednoznacznym bohaterem, porażą brutalnością zbrodni i trudnym wyborem moralnym. Tą powieścią William Landay – prokurator w prokuraturze okręgowej w Middlesex County w Massachusetts – rozpoczął oszałamiającą karierę.

Requiem dla Bostonu została uhonorowana najważniejszą nagrodą dla powieści kryminalnej: John Creasey Dagger 2003. W 2007 Landay wydał następną powieść *The Strangler* – i znów posypały się nagrody. Po kolejnych pięciu latach napisał *W obronie syna*. I wkroczył do grona nie tylko najpopularniejszych, ale i najwyżej cenionych pisarzy w USA.

Korekta
Barbara Cywińska
Halina Lisińska
Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok
Zdjęcie na okładce
© Roy Bishop/Arcangel Images
Tytuł oryginału
Mission Flats
Copyright © 2003 by William Landay
All rights reserved.
For the Polish edition
Copyright © 2013 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.
Po raz pierwszy wydane w Polsce pod tytułem:
Akta Danzigers
ISBN 978-83-241-4725-0
Warszawa 2013. Wydanie I
Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 620 40 13, 620 81 62
www.wydawnictwoamber.pl
Publikację elektroniczną przygotował:



Prolog

Na ekranie kobieta leży na gumowym pontonie z twarzą zwróconą do słońca, palce zanurza w wodzie. Ponton ma kształt obwarzanka. Leniwie obraca się wkoło. W kadrze z lewej strony widać plażę. Kobieta jest w ciąży. Narzucona na kostium kąpielowy koszula z madrasu nie zasłania jej wielkiego brzucha. Kobieta podnosi głowę i spogląda w kamerę, a z ruchu jej warg można odczytać: „Przestań! Wyłącz to! Spójrz na mnie!” Kamera trzęsie się, najwyraźniej od śmiechu. Kobieta przewraca oczami i potrząsa pięścią, gestem frustracji z niemego kina. Bezdźwięcznie mówi do kamery: „Cześć, Ben”, a potem również się śmieje, zanim znowu opuści głowę i podryfuje dalej.

Ta kobieta to moja matka, a dzieckiem w jej brzuchu jestem ja. Jest początek lata 1971 roku. Urodzę się miesiąc później.

Ten krótki film na taśmie ośmiomilimetrowej (trwa dwie, najwyżej trzy minuty) należał do rzeczy, które matka ceniła najbardziej. Trzymała go w żółtym pudełku Kodaka, wciśniętym pod staniki i pończochy w górnej szufladzie jej komódki, gdzie, jak sądziła, żaden złodziej nie zajrzy. W naszym mieście nie było wielu złodziei i zapewne ani jeden z nich nie byłby zainteresowany ziarnistymi starymi filmami ciężarnej kobiety. Jednak mama była przekonana o jego wartości i nie mogła się powstrzymać, by co jakiś czas nie zagłębić ręki w szufladzie i nie namacać w niej pudełka — tylko dla pewności. Gdy padał deszcz, wyciągała wążący dziesięć kilo projektor Bell & Howell i wyświetlała film na ścianie saloniku. Stawała wówczas obok, wskazywała na swój brzuch i oznajmiała: „Tu jesteś, Ben! Tu jesteś!” Niekiedy robiła się melancholijna i w jej oczach ukazywały się łzy. Przez te wszystkie lata oglądaliśmy ten filmik chyba setki razy. Wciąż mam go w głowie. Nie wiem, dlaczego matka kochała go tak bardzo. Przypuszczam, że był dla niej świadectwem przejścia od okresu dziewczęcego do macierzyństwa.

Ja sam jednak nigdy go nie lubiłem. Było w nim coś niepokojącego. Pokazywał świat przede mną, świat beze mnie. Moje zaistnienie w nim nie jest jeszcze nieuniknione. Nikt mnie nie widział, nikt mnie nie zna. Nie istnieję. Kobieta — nie moja matka, ale ta, która stanie się moją matką — macha i woła mnie po imieniu. Kogo jednak tak naprawdę woła? Oczekuje mnie, w każdym znaczeniu tego słowa. Nie wiadomo jednak, jak potoczą się wydarzenia. Może nigdy się ze mną nie spotka? A co z nią? Kim jest dla mnie ta nieżyjąca kobieta? Jest po prostu ideą, piktogramem na ścianie saloniku. Jest moim wyobrażeniem.

Minęło trzynaście miesięcy od śmierci mojej matki i nie zadałem sobie trudu, aby sięgnąć po tę maleńką rolkę w jej żółtym relikwiarzu. Może któregoś dnia wezmę projektor i znowu obejrzę ten film. Będzie tam jak dawniej: roześmiana,

żywa i cała.

Przypuszczam, że równie dobrze mogę rozpocząć tę opowieść od ciężarnej, przystojnej młodej kobiety nad jeziorem w gorący letni dzień. Istotna jest chwila, w której zaczynamy rejestrować wydarzenia.

Pięć i pół roku później.

11 marca 1977 roku, godzina 1.29 w nocy

Wóz patrolowy bostońskiej policji sunie wolno po Washington Avenue w rejonie Mission Flats. Pod oponami chrzęści piasek i lód. Nad jezdnią przebiega wiadukt kolejowy. Fosforyzujące światła. Radiowóz zatrzymuje się przed pubem Kilmarnock, rzucającym cień budynkiem z neonowymi reklamami w oknach.

W samochodzie policjant — jego nazwisko nie ma tu znaczenia — grzbietem dłoni przeciera zapoconą boczną szybę od strony kierowcy, a potem wpatruje się w neonowe napisy: „Guinness, Bass, Dobra zabawa”. Ostatni raz był koło Kilmarnock dwadzieścia dziewięć minut temu. Zazwyczaj o tej porze neony są już wyłączone.

A teraz zajmijmy się owym policjantem. Gdyby nie natknął się na ten bar albo nie zwrócił uwagi na neony, nic, co zdarzyło się później, nie miałyby miejsca. Mógł po prostu zignorować światła i dalej patrolować wzdłuż Washington Avenue. Czy to takie niezwykle, że barman, zamykając knajpę, zapomniał wyłączyć kilka reklam? Z drugiej strony policjant mógłby zawiadomić komendę, zażądać wsparcia. Pub w porze zamykania jest kuszącym celem dla rabusiów. Cała forsa leży jeszcze w kasie, a drzwi wciąż są otwarte. Żadnych ochroniarzy, tylko barman i kilku pijaczków. Tak, być może powinien poczekać na wsparcie. To Mission Flats, tutaj opłaca się być ostrożnym. Jednak gliniarz pracujący na zmianie od północy do ósmej rano powinien przez ten czas sprawdzić pięćdziesiąt obiektów. Nie bardzo może sobie pozwolić na wzywianie za każdym razem wsparcia. Nie, w tym przypadku nasz policjant podejmie właściwą decyzję. Jak jednak wyjaśnić to, co zdarzyło się potem? Pech. Zbieg okoliczności. Niezliczone przypadkowe sekwencje wydarzeń, które zaprowadziły go do tego właśnie miejsca o tej porze. Jest to koniec jakiejś historii, a zarazem początek następnej.

Weźmy pod uwagę również coś jeszcze. Kiedy funkcjonariusz siedzi przed Kilmarnock, zastanawiając się, co robić, mam pięć lat i śpię w łóżku w zachodniej części stanu Maine, jakieś pięćdziesiąt kilometrów od tamtego miejsca.

Wróćmy do naszego policjanta. Postanowił wejść do środka, powiedzieć barmanowi, żeby zamknął lokal, a może nawet nastraszyć go, że przekaże sprawy Komisji do spraw Sprzedaży Napojów Alkoholowych. Dzwoni do centrali:

„Bravo-cztery-siedem-trzy, wychodzę do Kilmarnock na Mission Ave. Bravo-cztery-siedem-trzy, bez odbioru”. Żadnego niepokoju w głosie. Rutyna.

Policjant wchodzi do baru z bronią w rękę.

Ledwie przekroczył próg, narkoman Darryl Sikes przystawia mu do głowy berettę kaliber 9 milimetrów. Sikes jest na haju, nawalony amfetaminą, którą doprawił jackiem danielsem.

Policjant podnosi ręce, poddając się.

Sikes zanosi się śmiechem. Głowa mu buzuje, w uszach słyszy szum, który brzmi dla niego jak elektryczny pomruk wzmacniacza gitary.

Drugi z napastników, Frank Fasulo, nie jest tak naprany jak Sikes. Panuje nad sytuacją. Ma śrutówkę z obciętą lufą. Celuje z niej do policjanta i każe mu się rozebrać. Potem skuwa mu kajdankami ręce na plecach i rozkazuje mu klęknąć.

Nagi gliniarz dygocze.

Frank Fasulo i Darryl Sikes triumfują. Sikes podnosi z podłogi mundurową koszulę policjanta i wkłada ją na podkoszulek. Obaj tańczą wokół baru taniec zwycięstwa. Kopiają ubranie policjanta, rozrzucają je na wszystkie strony — skarpety, poplamione moczem majtki, czarne buty. Fasulo strzela ze śrutówki w sufit, przeładowuje i strzela, przeładowuje i strzela.

Policjant zostaje zmuszony do seksu oralnego z Fasulo. W chwili orgazmu Fasulo strzela policjantowi w głowę.

Minęło właśnie dziewięć dni od morderstwa w Kilmarnock. Jest godzina czwarta przenikliwie mroźnej, zimowej nocy. Wiatr smaga dolną platformę mostu Tobin, obniżając temperaturę o dodatkowe pięć stopni.

Frank Fasulo robi krok naprzód i z rozłożonymi rękami powoli koziółkuje w powietrzu. Miną trzy długie sekundy, zanim dotrze do znajdującej się jakieś pięćdziesiąt metrów poniżej powierzchni rzeki Mystic. Zetknie się z wodą przy prędkości około stu dwudziestu kilometrów na godzinę. W tej sytuacji nie ma specjalnej różnicy pomiędzy uderzeniem w wodę a uderzeniem w beton.

Co przemyka przez głowę Fasulo, gdy tak koziółkuje w powietrzu? Czy widzi pędzącą na niego czarną ścianę wody? Czy myśli o swoim partnerze, Darrylu Sikesie, albo o zamordowanym gliniarzu? Czy sądzi, że jego samobójstwo zakończy historię zabójstwa w Kilmarnock?

Frank Fasulo przez ostatnie dziewięć dni poznał pierwotne znaczenie słowa „wyjęty spod prawa”. Obecnie określa się nim każdego przestępcę. W dawnym angielskim prawie definicja ta była bardziej konkretna. Jeżeli sąd ogłosił cię wyjętym spod prawa, znajdowałeś się dosłownie poza prawem — a więc prawo już cię nie chroniło. Wyjętego spod prawa można było bezkarnie obrabować, a

nawet zabić. W całej Anglii nie było dla niego schronienia. Tak też stało się z Frankiem Fasulo. Bostońska komenda policji nie była zainteresowana aresztowaniem go i osądzeniem. Chcieli, aby był martwy.

Darryla Sikesa dopadli zaledwie dwa dni po morderstwie. Znaleźli go ukrytego w starym hotelu Madison, niedaleko Boston Garden. Czterech gliniarzy wdarło się do pokoju i wystrzeliło do niego czterdzieści jeden pocisków. Wszyscy przysięgali, że Sikes sięgał po broń, której jednak nigdy nie znaleziono.

Teraz przyszła kolej na Fasulo. Policji zależało na nim jeszcze bardziej niż na Sikesie. To przecież Fasulo... no cóż, większość nawet nie była w stanie o tym mówić.

No i dokąd Fasulo mógłby uciec? W każdym wypadku zostałyby wydany bostońskiej policji jako oskarżony o morderstwo.

A więc musiało się to skończyć w taki właśnie sposób. Co do tego Frank Fasulo nie ma wątpliwości. Spada, w czasie tych trzech sekund czuje, jak jego ciało nabiera prędkości, a wiatr zrywa mu z ramion marynarkę. I tylko jedna myśl: jakiś gliniarz musiałby go znaleźć wcześniej czy później.

Dziesięć lat później.

17 sierpnia 1987 roku, godzina 2.25 w nocy

Znowu jesteśmy w Mission Flats, w przeznaczonym dla trzech rodzin budynku o drewnianej konstrukcji, który bostończycy nazywają trójpokładowcem. Na podeście drugiego piętra kuli się ośmiu policjantów. Wpatrują się w drzwi, nasłuchując z napięciem, jakby drzwi mogły przemówić.

Drzwi pomalowano lakierem w kolorze chińskiej czerwieni. W ich framudze są dwa małe otworki, tuż ponad poziomem oczu, w miejscu gdzie kiedyś małymi złotymi ćwieczkami przybita była mezusa. Pięćdziesiąt lat temu w dzielnicy mieszkali głównie Żydzi. Mezusa zniknęła dawno temu. Obecnie w mieszkaniu mieści się melina gangu zwanego Oddział Mission.

Nie ulega wątpliwości, że drzwi zostały w jakiś sposób wzmocnione. Najprawdopodobniej zaklinowano je deską wciśniętą pod kątem czterdziestu pięciu stopni pomiędzy drzwi a podłogę, umieszczoną między drewnianymi klockami przyśrubowanymi do parkietu. Aby dostać się do mieszkania, policja będzie musiała rozbić drzwi w drzazgi. Może to potrwać piętnaście sekund, a może i kilka minut — całą wieczność, co wystarczy, aby wrzucić kokainę do sedesu i spuścić wodę, spalić notatki, wyrzucić wagę i woreczki przez dziury w murze. Za długo. W przypadku drzwi z metalowej płyty można przewidzieć, jak długo wytrzymają. Cienkie szybko wygną się, wypaczą i wypadną z framugi. W grubych zrobią się tylko wgniecenia i trzeba wywalić zawiasy albo zamek. Ale

stare drewniane drzwi? Trudno zgadnąć. Te wyglądają solidnie.

Julio Vedze nie podoba się ich widok. Zerka na partnera, detektywa z narkotykowej sekcji A-3 Artiego Trudella, i kręci głową. Teraz nie robi się już takich drzwi.

Trudell, potężny mężczyzna z rudą brodą, uśmiecha się do Vegi i napina bicepsy.

Vega i Trudell są podnieceni, zdenerwowani. To pierwszy nalot, podczas którego są całkowicie zdani na siebie. Ich celem jest Oddział Mission, który rozprawdza w okolicy o wiele więcej prochów niż ktokolwiek inny. Mają nakaz pozwalający na wejście bez uprzedzenia — nakaz będący wynikiem ich własnego dochodzenia, dwóch tygodni obserwacji i strumienia wiadomości z wydziału dochodzeniowego, potwierdzonych przez samego Martina Gittensa. Nakaz był nie do ruszenia. Detektyw Julio Vega po kilku takich sukcesach również byłby nie do ruszenia. Vega ma własny plan. Na jesieni przystąpi do egzaminów na sierżanta, przez następnych kilka lat popracuje nad sprawami narkotykowymi, a potem spróbuje dostać przydział do wydziału dochodzeń specjalnych, albo nawet do wydziału zabójstw. Oczywiście Vega nie zwierza się ze swoich planów robienia kariery, ponieważ jego partnerowi, wielkiemu rudzielcowi Artiemu Trudellowi wcale by się to nie spodobało.

Trudell nie marzy o dostaniu się do wydziału zabójstw ani nigdzie indziej. Wystarczy mu zajmowanie się sprawami narkotykowymi. Niektórzy faceci już tacy są. Wolą przypadki, w których nie ma ofiar, a podejrzani są takimi samymi zawodowcami jak ich przeciwnicy z policji. Vega próbował pobudzić ambicję Trudella. Tłumaczył mu, że niczego więcej nie osiągnie, jeżeli nie będzie pracował nad przestępstwami przeciwko życiu i zdrowiu. Kiedyś nawet napomknął, że Trudell powinien zdać egzamin na sierżanta, ale Artie tylko go wyśmiał. „Co takiego? — zapytał. — Mam zrezygnować z tego wszystkiego?” Siedzieli wtedy w poobijanym samochodzie, patrząc na księżycowy krajobraz Mission Avenue — rząd szarych jak popiół, zrujnowanych domów mieszkalnych. Jak można dojść do ładu z takim facetem?

Do diabła z nim. Niech sobie Artie do końca życia łapie ćpunów we Flats. Niech tu gnije. Julio Vega zamierzał piąć się w górę. Jednak najpierw musi narobić trochę hałasu. Potrzebuje parę skalpów, które mógłby pokazać w biurze komisarza.

Vega i Trudell stają przy drzwiach do mieszkania jak dwaj wartownicy.

Inni ludzie, ze względu na mały podest, ustawiają się na schodach prowadzących na następne piętro. Jest wśród nich czterech mundurowych. Pozostali — chłopaki z wydziału narkotyków — ubrani są w dżinsy, adidas i

kevlarowe kamizelki. Na luzie. Żadnego wyposażenia w stylu komandosów.

Przez kilka sekund ludzie nasłuchują, ale z mieszkania nie dobiegają żadne dźwięki.

Vega klęka pod ścianą, a następnie kiwa na Trudella.

Barczysty detektyw staje przed drzwiami. Temperatura na klatce schodowej przekracza trzydzieści stopni. Trudell poci się w swojej kamizelce. Podkoszulek ma pokryty mokrymi plamami. Wilgotna jest także jego kędzierzawa ruda broda. Wielki policjant uśmiecha się, być może, aby ukryć zdenerwowanie. Podnosi półtorametrową stalową rurę i umieszcza ją w zgięciu prawej ręki. Potem gazety nazwą rurę taranem, ale w rzeczywistości jest to kawałek rury kanalizacyjnej, wypełnionej betonem i zaopatrzonej w dwa uchwyty w kształcie litery L.

Vega pokazuje pięć palców, cztery, trzy, dwa — gdy pozostaje jeden, daje nim znak Trudellowi.

Trudell uderza rurą w drzwi. Na klatce schodowej rozlega się echo, jakby grano na bębnie.

Drzwi nie ustępują.

Trudell robi krok do tyłu i jeszcze raz wali rurą.

Drzwi dygoczą, ale trzymają się.

Pozostali gliniarze obserwują to, coraz bardziej zaniepokojeni.

— No, dalej, wielkoludzie — zachęca go Vega.

Trzecie uderzenie. Dudni echo.

Czwarte — tym razem towarzyszy mu dźwięk.

Jedna część drzwi rozsypuje się, rozbita wystrzałem — wystrzałem z wnętrza mieszkania...

...kropelki krwi tryskają z czoła Trudella...

...czerwona mgiełka...

...kawałek skóry...

...i Trudell leży na plecach z rozłupaną czaszką.

Rura z łoskotem pada na podłogę.

Gliniarze odskakują do tyłu, rzucają się płasko na schody, padając jeden na drugiego.

— Artie! — krzyczy jeden.

A inny woła:

— Broń! Broń! Broń!

Vega patrzy na ciało Trudella. Krew jest wszędzie. Czerwone kropelki rozbryzgane na ścianie, kałuża rozplývająca się szeroko pod głową. Rura leży tuż przed drzwiami. Vega chce ją podnieść, ale nogi odmawiają mu

posłuszeństwa...

Część I

*Wartość cywilizacji narodu można w dużym stopniu
ocenić na podstawie metod,
które stosuje w posługiwaniu się prawem karnym.*

Miranda przeciwko stanowi Arizona, 1966

Maurice Oulette próbował kiedyś się zabić, ale udało mu się tylko odstrzelić prawą część kości szczękowej. Lekarz w Bostonie zrobił protezę szczęki, ale z nie najlepszym skutkiem. Po operacji Maurice tak wyglądał, jakby jego twarz ulepiono z jakiejś masy. Bardzo starał się to ukryć. Kiedy był młodszy (targnął się na swoje życie, mając dziewiętnaście lat), nosił na twarzy chustkę niczym rabuś banków w starym westernie. Nadawało to Maurice'owi, całkiem nieciekawemu facetowi, intrygujący wygląd, co przez jakiś czas sprawiało mu przyjemność. Ostatecznie jednak zmęczyło go noszenie bandyckiej maski. Nie mógł w niej ani odetchnąć świeżym powietrzem, ani się napić. W końcu pewnego dnia po prostu wyrzucił chustę i od tej pory przestał zwracać uwagę na swój wygląd.

Większość ludzi w mieście akceptowała kalectwo Maurice'a, zupełnie jakby brak szczęki nie był niczym bardziej niezwykłym niż krótkowzroczność czy leworęczność. Byli nawet wobec niego nieco opiekuńczy. Jeżeli letnicy gapili się na Maurice'a, a robili to nawet dorośli, można się było założyć, że Red Caffrey, Ginny Thurler albo ktokolwiek inny, kto akurat był w pobliżu, zmierzy ich lodowatym spojrzeniem, które mówi: „Patrz przed siebie, człowieku”. Versailles jest pod tym względem miłym miastem. Jego ulice, niczym gigantyczny lep na muchy, zwabiały takich młodych ludzi jak ja i trzymały do czasu, aż stawało się już za późno, aby zacząć żyć gdziekolwiek indziej.

Mianowano mnie szefem policji, kiedy miałem dwadzieścia cztery lata. Przez kilka miesięcy ja, Benjamin Wilmot Truman, byłem najmłodszym szefem policji w Stanach Zjednoczonych, a przynajmniej tak tutaj uważano. Wkrótce jednak w „USA Today” pojawił się artykuł o dwudziestodwulatku, którego wybrano na szeryfa gdzieś w Oregonie. Prawdę mówiąc, nigdy nie chciałem być gliniarzem, a tym bardziej szefem policji w Versailles.

Maurice mieszkał w białym drewnianym domu jego zmarłego ojca, żył z pieniędzy opieki społecznej i korzystał z darmowych posiłków fundowanych mu przez dwie konkurujące ze sobą restauracje. Wygrał odszkodowanie od wydziału opieki społecznej stanu Maine za zaniedbania popełnione w czasie leczenia po tym, kiedy odstrzelił sobie szczękę, więc w gruncie rzeczy miał zapewniony byt. Jednak z jakiegoś powodu w ciągu kilku ostatnich lat Maurice coraz rzadziej wychodził z domu. W mieście panowała ogólna opinia, że stał się odludkiem, a może nawet pomieszało mu się w głowie. Nigdy jednak nie wyrządził nikomu krzywdy (poza sobą samym), w związku z czym uważano, że cokolwiek robi Maurice Oulette, jest to wyłącznie jego prywatna sprawa.

Byłem skłonny zgodzić się z tym poglądem, ale z jednym wyjątkiem. Co kilka

miesiący Maurice strzelał do lamp na szosie numer 2, co niepokoiło kierowców podróżujących pomiędzy Millers Falls, stolicą okręgu Mattaquisett, a Versailles. W takich momentach Maurice był zazwyczaj solidnie pijany, co może tłumaczyć jego błędne procesy decyzyjne i jeszcze gorszą celność. Tej nocy, dziesiątego października 1997 roku, około godziny dziesiątej zadzwoniła Peggy Butler i poskarżyła się, że „pan Oulette znowu strzela do samochodów”. Zapewniłem ją, że Maurice wcale nie strzela do samochodów, ale do lamp ulicznych i szansa, że trafi jakiś pojazd, jest w gruncie rzeczy bardzo niewielka.

Pojechałem tam. Usłyszałem wystrzały w odległości dwóch kilometrów od jego domu. Były to ostre trzaski rozlegające się co jakieś piętnaście sekund. Aby dotrzeć do jego domu, musiałem jechać szosą numer 2, co oznaczało, że będę musiał pojawić się w celowniku Maurice'a. Zapaliłem migacze, listwę świetlną, światła mijania, każdą żarówkę, jaka była w samochodzie, licząc na to, że Maurice na chwilę wstrzyma ogień. Chciałem, żeby wiedział, że to tylko policja.

Zaparkowałem bronco dwoma kołami na trawniku, ale nie wyłączyłem migaczy. Stojąc przy rogu domu, krzyknąłem:

— Maurice, tu Ben Truman! — Żadnej odpowiedzi. — Hej, Rambo, czy mógłbyś na sekundę przestać strzelać? — Znowu brak odpowiedzi, ale też żadnych strzałów, co uznałem za pomyślny znak. — Dobra, wychodzę — oświadczyłem. — Nie strzelaj teraz, Maurice.

Małe prostokątne podwórko pokryte trawą, piaskiem i igłami sosnowymi. Wały się tu najrozmaitsze rupiecie — szkielet suszarki do bielizny, bramka do hokeja, pojemnik na mleko. Po drugiej stronie leżała na brzuchu stara chevy nova, której koła wiele lat temu zostały przeniesione do jakiejś innej zdezelowanej novy. Samochód wciąż miał tablice rejestracyjne stanu Maine — z rysunkiem homara i hasłem „Kraina wakacji”.

Maurice stał na skraju podwórka z karabinkiem trzymanym w zagięciu ręki. Jak myśliwy, który zrobił sobie przerwę w polowaniu na przepiórki. Miał na sobie buty, wyświechtane spodnie robocze, czerwoną flanelową kurtkę i czapkę baseballową nasuniętą mocno na czoło. Stał z opuszczoną głową, co nie było czymś niezwykłym. Przyzwyczajaliśmy się do mówienia do guzika na jego czapce.

Oświetliłem go latarką.

— Dobry wieczór, Maurice.

— ...wieczór, szefie — odparła czapka.

— Co się tu dzieje?

— Trochę sobie strzelam.

— Widzę. Właśnie prawie na śmierć przestraszyłeś Peggy Butler. Możesz mi powiedzieć, do czego, u diabła, strzelasz?

— Do tamtych świateł. — Maurice kiwnął głową w stronę szosy numer 2.

— Trafiłeś jakieś?

— Nie, proszę pana.

— Coś nie tak z karabinkiem?

Wzruszył ramionami.

— No cóż, obejrzyjmy go sobie.

Podał mi karabin, starego remingtona, którego konfiskowałem już kilkanaście razy. Sprawdziłem, czy nabój jest w komorze, a potem strzeliłem do metalowego słupka ogrodzenia na skraju pola.

— Karabin jest w porządku — poinformowałem go. — To ty nie jesteś w formie.

Maurice roześmiał się pod nosem.

Obmacałem jego kurtkę i poczułem w kieszeni paczkę nabojów. Kiedy sięgnąłem po nią, palce zaplątały mi się w zużyte chusteczki higieniczne.

— Maurice, czy ty kiedykolwiek opróżniasz kieszenie?

Wyjąłem kartonik z amunicją i przełożyłem do swojej kieszeni. Zamiast tego wsunąłem do kurtki Maurice'a paczkę marlboro.

— Nie masz nic przeciwko temu, bym popatrzył, jak ci się tu powodzi?

Wreszcie podniósł głowę. Przeszczepy skóry na jego wklęsłej szczęce lśniły srebrzyście w promieniu latarki.

— Czy jestem aresztowany?

— Nie.

— W takim razie zgoda.

Wszedłem do domu tylnymi drzwiami, pozostawiając Maurice'a w miejscu, w którym go zastałem. Stał z rękami opuszczonymi wzdłuż boków, jak skarccone dziecko.

Kuchnia cuchnęła gotowanymi warzywami i niemytym ciałem Maurice'a. Na stole stała do połowy pusta butelka jima beama. W lodówce nie było nic, jeśli nie liczyć starego pudełka proszku do pieczenia. W szufladach znalazłem kilka puszek kukurydzy i kilka paczek zupy w proszku, po których chodziły czarne mrówki.

— Maurice! — zawołałem. — Czy twój opiekun społeczny cię odwiedzał?

— Nie pamiętam.

Lufą karabinu Maurice'a popchnąłem drzwi do łazienki i poświeciłem sobie latarką. Wanna i sedes z rdzawymi zaciekami. W sedesie pływały dwa niedopałki. Pod umywalką ściana przegniła i dziurę zabito kawałkiem płyty spilśnionej. Przez szpary widać było ziemię na zewnątrz domu.

Zgasilem światło i zamknąłem dom.

— Maurice, czy pamiętasz, czym jest areszt prewencyjny?

— Tak.

— No więc?

— To wtedy, kiedy wsadzają mnie do mamra, ale nie jestem aresztowany.

— Tak jest. A pamiętasz, dlaczego muszę zamknąć cię w areszcie?

— Żeby mnie ochronić?

— Oczywiście. Dokładnie. Dlatego właśnie to zrobimy, Maurice. Umieścimy cię w areszcie prewencyjnym, zanim zabijesz kogoś, strzelając do lamp ulicznych.

— Nikogo nie trafiłem.

— Wiesz, Maurice, wcale nie poprawia mi to nastroju. Widzisz, gdybyś trafił w to, do czego celowałeś...

Popatrzył na mnie beznamiętnie.

— Słuchaj, rzecz w tym, że nie możesz do nich strzelać. Są własnością miasta. A poza tym co by było, gdybyś trafił samochód?

— Nigdy nie strzelam do samochodów.

Te rozmowy z Maurice'em zawsze tak się kończyły. Nie było całkiem jasne, czy Maurice jest tylko ociężały umysłowo, czy też trochę szajbnięty. W każdym razie zasługiwał na nieco pobłażania. Przeżył burzę emocji, jakiej nikt z zewnątrz nie był w stanie zgłębić, a na dowód nosił te blizny.

Spojrzał na mnie, podnosząc głowę. W świetle księżyca, z zacienioną prawą stroną, jego twarz wyglądała prawie normalnie. Była to szczupła twarz o ciemnych oczach, jaką często można zobaczyć w tych stronach. Oblicze drwała na starej sepiowanej fotografii.

— Jesteś głodny, Maurice?

— Trochę.

— Jadłeś?

— Jadłem wczoraj.

— Chcesz iść do Sowy?

— Myślałem, że mnie zamykasz.

— Owszem.

— Dostanę z powrotem mój karabin?

— Nie. Mam zamiar go skonfiskować, zanim kogoś zastrzelisz. Na przykład mnie.

— Szefie Truman, nie chcę pana zastrzelić.

— Cóż, doceniam to. Jednak mimo wszystko mam zamiar go zatrzymać. Bez urazy, Maurice, ale nie jesteś dobrym strzelcem.

— Sędzia każe mi go oddać. Mam zezwolenie.

— Tak dobrze znasz się na prawie?

Maurice zachichotał.

— Chyba tak.

W Sowie było niewielu ludzi. Wszyscy siedzieli przy barze i pili piwo, oglądając w telewizji mecz hokejowy. Phil Lamphier, właściciel lokalu i poza sezonem jedyny barman, stał oparty łokciami o brzeg kontuaru, czytając gazetę. Niewielki kontuar miał kształt litery L. Razem z Maurice'em usiedliśmy na stołkach przy jego krótszej części, zwrócenii twarzami do pozostałych.

Od grupki klientów dobiegło: „Cześć, Ben”. Tylko Diane Harned po krótkim wahaniu powitała mnie słowami: „Dzień dobry, panie Truman”. Zerknęła na mnie spod oka i ponownie zaczęła patrzeć w telewizor. Diana kiedyś była przystojna, ale teraz jakby wyblakła. Jej blond włosy, dawniej żółte, teraz były koloru słomy. Pod oczami pojawiły się cienie jak u szopa. Kiedyś miałem z nią kilka randek. Potem się rozstaliśmy.

Maurice złożył zamówienie na jima beama, które natychmiast odwołałem.

— Weźmiemy dwie cole — powiedział Philowi, który się skrzywił.

— Aresztowałeś Ala Capone? — zapytał Jimmy Lowens.

— Nie. W domu Maurice'a nie ma ogrzewania i dlatego spędzi noc na posterunku. Pomyśleliśmy jednak, że najpierw coś zjemy.

Diane popatrzyła na mnie sceptycznie, ale się nie odezwała.

— Ten obiad będzie z moich podatków? — drażnił się ze mną Jimmy.

— Nie, to ja stawiam.

— A więc jednak z podatków, Ben — wtrącił się Bob Burke. — Biorąc rzecz formalnie, twoja pensja jest z podatków.

— Twoja też — odpaliła Diane. — Biorąc rzecz formalnie.

Burke, który pracował dla miasta, zapewniając obsługę techniczną budynków użyteczności publicznej, całkiem zbaraniał. Nie potrzebowałem jednak, aby Diane mnie broniła.

— Na moją pensję nie idzie tak wiele — zauważyłem. — Poza tym wkrótce wyniosę się z tej dziury.

— I co będziesz robił? — parsknęła Diane.

— Może trochę popodróżuję.

— Proszę, proszę. A dokąd się wybierasz?

— Do Pragi.

— Do Pragi — powiedziała to tak, jakby pierwszy raz usłyszała to słowo. — Nawet nie wiem, gdzie to jest.

— W Czechosłowacji.

Diane ponownie parsknęła lekceważąco.

— Teraz to Republika Czeska — wtrącił się Bobby Burke. — Tak nazywali ten kraj w czasie olimpiady, Republika Czeska. — Burke był mistrzem tego rodzaju niepotrzebnych informacji. Zarabiał na życie, myjąc podłogi w szkole, ale mógł wymienić imiona każdej pierwszej damy, nazwiska wszystkich zabójców prezydentów i nazwy ośmiu stanów graniczących z Missouri. Człowiek taki jak on mógł popsuć każdą rozmowę.

— Ben — nalegała Diane — czemu chcesz pojechać do Pragi? — W jej głosie brzmiało takie napięcie, że Jimmy Lowens uspokajająco trącił ją lekko łokciem.

— Dlaczego chcesz jechać do Pragi? Bo jest piękna.

— A co będziesz robił, kiedy się już tam znajdziesz?

— Porozglądam się.

— Masz zamiar po prostu... porozglądać się?

— Owszem, mam taki plan.

Przyznaję, że nie był to szczególnie wspaniały plan, ale czas było wreszcie coś ze sobą zrobić. Zawsze zbyt wolno podejmowałem decyzje, targany wątpliwościami. Nadeszła pora, żeby się z tego otrząsnąć. Uznałem, że mógłbym przynajmniej pojechać aż do Pragi, zanim znowu dopadną mnie moje zwątpienia. Z całą pewnością nie miałem zamiaru gnić w Versailles, w stanie Maine.

— Zabierzesz ze sobą Maurice'a? — spytał Jimmy.

— Jasna sprawa. Co na to powiesz, Maurice? Chcesz jechać do Pragi?

Maurice podniósł głowę i uśmiechnął się z charakterystycznym dla siebie grymasem.

— Może ja też pojedę — oświadczył Jimmy.

— Pewnie — parsknęła znowu Diane.

— O Jezusie — oburzył się Jimmy — czemu nie?

— Czemu nie? Spójrzcie na siebie.

Popatrzyliśmy, ale żadne z nas niczego nie zobaczyło.

— Prawdę mówiąc, chłopaki, nie pasowalibyście do Pragi.

— Co, u diabła, masz na myśli? Dlaczego byśmy nie pasowali? — Jimmy Lowens nie znalazłby Pragi na mapie, choćby szukał jej tam przez tydzień, ale jego oburzenie było szczere. — Musimy tylko tam pojechać.

— Jimmy, a co zamierzałbyś robić w Pradze? — naciskała Diane.

— To samo co Ben. Porozglądać się. Może by mi się nawet tam spodobało. Kto wie, może bym tam został. Pokazałbym ci, jak pasuję do Pragi.

— Mają tam dobre piwo — wtrącił Bob Burke. — Pilznera.

— Widzisz, już mi się tam podoba. — Jimmy zasalutował butelką budweisera.

— Diane, ty też mogłabyś pojechać — zaproponowałam. — Tobie też

mogłoby się tam spodobać.

— Mam lepszy pomysł, Ben. Czemu nie miałabym pójść do domu i wrzucić moich pieniędzy do ognia?

— W porządku — oznajmiłem. — A więc jedziemy we trzech. Maurice i Jimmy. Praga albo śmierć.

Trąciliśmy się z Maurice'em szklankami, przypieczętowując plan.

Jednak Diane nie mogła tak tego zostawić. Rozmowy o wyjeździe zawsze ją denerwowały.

— Och, Ben — westchnęła. — Zawsze tak było. Nigdzie nie pojedziesz. Jednego dnia mówisz o Kalifornii, drugiego — o Nowym Jorku, teraz o Pradze. A co potem? Timbaktu? Założę się, że za dziesięć lat będziesz wciąż siedział na tym samym stołku i pieprzył o Pradze albo Bóg jeden wie o czym jeszcze.

— Daj mu spokój, Diane — odezwał się Phil Lamphier. — Jeżeli chce jechać do Pragi czy gdzie indziej, nie ma powodu, żeby tego nie zrobił.

W moim wyrazie twarzy też musiało być coś, co zasygnalizowało Diane, że przekroczyła pewną granicę, ponieważ odwróciła wzrok i wołała się zając paczką papierosów, niż popatrzeć mi w oczy.

— Dobra, Ben — powiedziała. — Tak tylko gadam. — Zapaliła papierosa, pozując na Barbarę Stanwyck. Bardziej jednak była podobna do Mae West. — Dalej jesteśmy przyjaciółmi?

— Nie — odparłem.

— Może ja też powinnam dziś w nocy przyjść na posterunek. W moim domu także wysiadło ogrzewanie.

Natychmiast rozległ się chór okrzyków. Maurice zachichotał spod opuszczonego daszka czapki.

— Diane, molestowanie funkcjonariusza policji jest przestępstwem.

— No dobra. Aresztuj mnie. — Wyciągnęła ręce, żebym ją zakuł w kajdanki.

Siedziałem z Maurice'em w Sowie przez jakąś godzinę. Phil odgrzał nam dwie mrożone zapiekanki. Maurice pożarł swoją tak szybko, że obawiałem się, by nie połknął razem z nią widelca. Zaproponowałem mu pół mojej porcji, ale odmówił. Wzięliśmy więc pozostałą połówkę na posterunek i tam ją zjadł. Tę noc spędził w areszcie. Jest tam materac, więc nie miał o wiele gorzej niż w swoim przewiewnym domu. Zostawiłem drzwi do celi otwarte, żeby mógł pójść do toalety w korytarzu, ale przystawiłem krzesło do drzwi i spałem z nogami opartymi o framugę, aby Maurice nie mógł bez mojej wiedzy wyjść na zewnątrz. Był pijany, mógłby wyrządzić sobie jakąś krzywdę.

Siedziałem na krześle, nie mogąc zasnąć. Maurice robił więcej hałasu przez sen niż większość ludzi na jawie — mruczał, chrapał, pierdział. Ja jednak

rozmyślałem o czymś całkiem innym. Musiałem wydostać się z Versailles, musiałem wyzwolić się z tych sideł, które już zacisnęły się na mojej nodze. Musiałem wyjechać.

Następnego ranka stałem przy szkole podstawowej imienia Rufusa Kinga i patrzyłem, jak dzieciaki przechodzą przez szosę numer 2. Witałem się z nimi i byłem bardzo dumny, że pamiętam ich nazwiska. Jeden z chłopaków zapytał: — Co się stało z pańskimi włosami? Miałem włosy w nieładzie, ponieważ spałem na posterunku z głową opartą o ścianę. Popatrzyłem na niego spode łba i zagroziłem, że go aresztuję. Zachichotał.

Musiałem jechać do sądu rejonowego hrabstwa Acadia, żeby sprawdzić listę aresztowanych w sąsiednich miastach. Sąd znajduje się w Millers Falls, w odległości dwudziestu minut jazdy. Nie miałem do zgłoszenia żadnych zatrzymań, ale pojechałem. Jak zwykle pogadałem z urzędnikami i policyjnymi śledczymi. Krążyła plotka o jakimś dzieciaku z okręgowego liceum, który sprzedaje marihuanę ze swojej szafki szkolnej. Szef policji w Mattaquissett, Gary Finbow, przygotował nawet nakaz przeszukania szafki. Pokazał mi wniosek o nakaz i poprosił, żebym sprawdził, czy dobrze go napisał. Podkreśliłem kilka błędów w pisowni i poradziłem, by po prostu pogadał z rodzicami dzieciaka i zapomniał o całej sprawie.

— Czemu miałbyś za parę skrętów uniemożliwić dzieciakowi przyjęcie do college'u?

Popatrzył na mnie wrogo i postanowiłem dać sobie spokój. Nie ma sensu tłumaczyć coś takim facetom jak Gary. To tak, jakby mówić o Hamlecie z duńskim dogiem.

A więc z powrotem na posterunek. Uczucie nudy pozbawiało sił. Dick Ginoux, mój starszy funkcjonariusz, siedział za biurkiem, czytając wczorajszy egzemplarz „USA Today”. Trzymał gazetę w wyciągniętej ręce i patrzył na nią nad okularami. Gdy wszedłem, oderwał oczy od niej tylko na chwilę.

— Dzień dobry, szefie.

— Co się dzieje, Dick?

— Demi Moore ogoliła głowę. Pewnie do filmu.

— Pytam, co się dzieje tutaj.

— Aha. — Dick opuścił gazetę i rozejrzał się po pustym biurze. — Nic.

Dick Ginoux miał nieco ponad pięćdziesiąt lat. Jego jedynym wkładem w ochronę porządku publicznego było siedzenie z gazetą przy biurku dyspozytora. Dzięki temu był równie pożyteczny jak kwiat doniczkowy.

Zdjął okulary i popatrzył na mnie w dziwny, niemal ojcowski sposób.

— Dobrze się czujesz, Ben?

— Jestem trochę zmęczony, to wszystko.

— Na pewno?

— Tak.

Obrzuciłem spojrzeniem biuro. Te same trzy biurka. Ta sama kartoteka. Te same brudne okna metr osiemdziesiąt na metr osiemdziesiąt. Nagle z przerażeniem pomyślałem, że musiałbym tu spędzić resztę ranka.

— Wiesz co, Dick, przejdę się trochę.

— Dokąd?

— Zobaczę.

Dick wydał dolną wargę, robiąc zatroskaną minę, ale nic nie powiedział.

— Dick, mogę cię o coś zapytać? Czy kiedykolwiek myślałeś o tym, żeby samemu zostać szefem?

— Nie, a niby po co?

— Bo byłbyś dobrym szefem.

— Mamy już szefa. Ty nim jesteś.

— No tak, ale gdyby mnie tu nie było...

— Nie kapuję. Dlaczego miałyby cię nie być? Gdzie chcesz jechać?

— Nigdzie... Tylko tak mówię. Jeśli...

— Jeśli co?

— Mniejsza o to.

— W porządku, szefie. — Dick znowu założył okulary i powrócił do gazety. —

W porządku.

Postanowiłem sprawdzić chaty nad jeziorem. Było to zajęcie, które odkładałem od paru tygodni, najpierw jednak postanowiłem pojechać do domu i doprowadzić się do porządku. Wiedziałem, że będzie tam mój ojciec. Być może był to prawdziwy powód moich odwiedzin, może chciałem powiadomić ojca, co zamierzam uczynić. Z perspektywy czasu trudno mi sobie przypomnieć, co myślałem. Moja matka zmarła przed ośmioma tygodniami i od tego czasu niewiele z ojcem rozmawialiśmy. Mama zawsze była łączącym nas ogniwem. Powiernikiem uraz. A teraz potrzebowaliśmy jej bardziej niż kiedykolwiek.

Zastałem go w kuchni. Claude Truman zawsze był krzepkim, barczystym mężczyzną i nawet w wieku sześćdziesięciu siedmiu lat emanowała z niego siła. Stał na szeroko rozstawionych nogach, jakby zamierzał stoczyć walkę z piecem. Odwrócił się i popatrzył jak wchodzę do pokoju, ale nic nie powiedział.

— Co robisz?

Żadnej odpowiedzi.

Spojrzałem mu przez ramię. Smażył jajka.

Tata wyglądał fatalnie. Miał na sobie brudną flanelową roboczą koszulę, której nie włożył w spodnie. Nie golił się od wielu dni.

— Co się z tobą działo ostatniej nocy? — zapytał.

— Zostałem na posterunku. Musiałem zamknąć Maurice'a, bo zamarzyły w tym swoim domu.

— Posterunek to nie hotel — burknął. Pogrzebał w stosie leżącym w zlewie, znalazł względnie czysty talerz i zsunął na niego jajka. — Powinieneś być zadzwonić.

Oczyścił dla siebie miejsce przy stole, odsuwając na bok dużą butelkę millera.

Wziąłem ją do ręki.

— Co to takiego, u diabła?

Spojrzał na mnie ponuro.

— Może to ciebie powinienem zamknąć — powiedziałem.

— Spróbuj.

— Skąd ją wzięłeś?

— A co za różnica? To wolny kraj. Nie ma takiego prawa, które zakazywałoby mi napić się piwa.

Pokręciłem głową, patrząc na niego tak, jak robiła to moja matka. Wrzuciłem butelkę do śmieci.

— Nie. Nie ma takiego prawa.

Popatrzył na mnie spode łba, żeby przypieczętować swoje małe zwycięstwo, a następnie zajął się jajkami. Rozcinał je i rozsmarowywał żółtka.

— Tato, mam zamiar pojechać nad jezioro, żeby sprawdzić chaty.

— To jedź.

— Jedź? I to wszystko? Nie chciałbyś o czymś porozmawiać, zanim wyjdę?

— Na przykład o czym?

— Może o tej butelce. Może dziś nie jest dobry dzień.

— Po prostu jedź i zrób to, co masz zrobić, Ben. Potrafię zadbać o siebie.

Siedział, grzebiąc widelcem w jajach. Cerę miał niemal tak samo szarą jak włosy. Był po prostu jeszcze jednym starym człowiekiem, próbującym wymyślić, co ma z sobą zrobić, w jaki sposób wypełnić resztę swoich dni. Przyszła mi do głowy myśl: Czy ja też będę taki? Zawsze uważałem, że bardziej wdałem się w matkę, w Wilmotów, a nie Trumanów. Jednak byłem również jego synem. Miałem jego wielkie dłonie, chociaż nie odziedziczyłem po nim brutalnego temperamentu.

Poszedłem na górę, żeby się umyć. Dom — ten sam, w którym dorastałem — był mały, z dwiema sypialniami i łazienką na drugim piętrze. Powietrze było trochę stęchłe, ponieważ tato nie prał swoich ubrań regularnie. Ochlapałem sobie twarz lodowatą wodą i włożyłem czystą mundurową koszulę. Materiał marszczył się wokół naszywki z napisem „Policja Versailles” na rękawie i nie

sposób było go rozprasować nawet przy użyciu krochmalu w sprayu. Stałem w sypialni rodziców przed lustrem, wygładzając tę niedoskonałość.

W dolnym prawym rogu ramy lustra tkwiła stara fotografia mojego ojca w takim samym mundurze, z ponurą miną. To był prawdziwy Claude Truman. Szef. Zaciśnięte pięści oparte na biodrach, wypukły tors, krótki język, uśmiech przypominający grymas. „Półtora mężczyzny” — jak miał zwyczaj mówić o sobie. Zdjęcie musiało być wykonane na początku lat osiemdziesiątych, mniej więcej wówczas, gdy mama raz na zawsze wyrzuciła alkohol z domu. Kiedy to się stało, miałem dziewięć lat i myślałem wówczas, że to była moja wina, przynajmniej częściowo. To przeze mnie tato utracił pozwolenie na picie.

Tej nocy przyszedł do domu w jednym ze swoich niebezpiecznych nastrojów i opadł na krzesło przed telewizorem. Gdy się upił, stawał się nienaturalnie spokojny i groźny dla otoczenia jak przewody elektryczne pod napięciem. Znałem go na tyle dobrze, by trzymać się z daleka. Nie mogłem jednak oprzeć się rewolwerowi, który rzucił na stół razem z portfelem i kluczami. Wielka trzydziestkaósemka zazwyczaj leżała na górnej półce szafy albo była ukryta pod jego kurtką. A teraz była tutaj, na moich oczach. Podsunąłem się do niej jak zahipnotyzowany — miałem zamiar tylko dotknąć jej oleistej, stalowej powierzchni. Wyciągnąłem rękę. I wówczas moje ucho eksplodowało. Przeszywający ból sięgnął w głąb mózgu. Ojciec uderzył mnie otwartą dłonią, ponieważ wiedział, że tak sprawi najwięcej bólu, nie zostawiając widocznych śladów. Krzyczałem, słysząc jakby z daleka swój głos. Poprzez dudnienie w uchu dobiegał głos ojca: „Przestań ryczeć! Chcesz się zabić?” i „Niech to będzie dla ciebie nauką”. Przemoc mojego taty zawsze miała jakiś wyższy cel.

Mama była wściekła. Wylała zawartość wszystkich butelek, ostrzegła go, by nigdy więcej nie przynosił żadnych trunków do „jej domu” i żeby nie ważył się przychodzić tu, śmierdząc alkoholem. Ojciec nie próbował protestować. Upust gniewowi dał w kuchni, wybijając pięścią dziury w ścianie, aż do znajdujących się pod spodem desek. Kiedy leżałem na górze w łóżku, czułem dygotanie budynku.

Jednak tata musiał zrozumieć, że nadeszła pora, aby zmienić swoje życie. Jego picie i humory nie były dla nikogo tajemnicą. Jestem pewien, że okazywany mu przez ludzi przesadny szacunek — demonstrowanie uznania i przyjaźni dla dbającego o prawo i porządek szefa policji — były fałszywymi hołdami składanymi tyranom.

Przez następne osiemnaście lat — do śmierci matki — był trzeźwy. Większość ludzi, których uderzył, których w taki lub inny sposób potraktował brutalnie, zasłużyła sobie na to.

Wetknąłem starą fotografię taty z powrotem za ramę lustra. Teraz była to już dawno miniona historia.

Wychodząc, zniosłem mu na dół czystą koszulę i powiesiłem ją w kuchni. Zostawiłem go przesuwającego po talerzu kawałki jajka.

Jezioro Mattaquisett ma kształt klepsydry. Jego długość wzdłuż osi północ-południe wynosi półtora kilometra. Południowa część jest mniejsza, ale właśnie ją znają ludzie. Na południowym końcu znajduje się dawny „ośrodek wędkarski” Whitneyów z Nowego Jorku. Jest to drewniany dwór w rustykalnym stylu, tak lubianym w czasach sprzed kryzysu przez wrażliwych na przyrodę mieszkańców Manhattanu. Wielki dom, obecnie należący do rodzinnej rady powierniczej, dominuje nad tym krańcem jeziora. Ścieżka od niego prowadzi po stoku przez zielony półmrok sosnowego lasu i wylania się jakieś czterysta metrów dalej w jaskrawym, odbitym świetle na skraju wody. Ludzie przyjeżdżają tam dopiero w sierpniu, kiedy jest już mniej komarów. Brzegi jeziora upstrzone są innymi skromniejszymi domkami, ale nie mogą się one równać z dworem Whitneyów i dlatego, jakby świadome swojej pośledniości, ukrywają się, są niewidoczne z drogi i na dobrą sprawę można je zobaczyć jedynie z wody. Północna część jeziora jest o wiele mniej zagospodarowana i elegancka. Są tu jedynie drewniane chatki zbudowane na betonowych palach, w okresie od maja do września wynajmowane ludziom pracy z Portland lub Bostonu. Ludziom „stamtąd”. Nazywamy ich balangowiczami albo ludźmi z nizin — to turyści, ożywcza krew tych okolic.

Staralem się w równym stopniu zwracać uwagę na budynki nad obydwoma częściami jeziora. Prawdopodobieństwo włamania się do małych chatek było większe niż w przypadku wspanialszych domów. Chatki przyciągały miejscową młodzież, szukającą miejsca na urządzenie imprezy. Nastolatek był w stanie bez trudu dostać się do środka po wyrwaniu skobla, na którym zawieszona jest kłódka. Zazwyczaj wystarczała do tego łyżka do opon. Dlatego sprawdzałem te domki co kilka tygodni, dzwoniłem do właściciela, jeżeli było włamanie, i pilnowałem, aby nareperowano wyrwane zawiasy czy uszkodzone framugi okien. Zbierałem nawet z podłogi butelki po piwie, pety marihuany i prezerwatywy.

Chata, gdzie znalazłem zwłoki, była czwartą z kolei, którą sprawdziłem tego ranka.

Mogłem przejechać obok niej, nie wysiadając z bronco, ponieważ z daleka nie widać było żadnych szkód. Drewniane okiennice były zamknięte na kłódki, drzwi nie nosiły żadnych śladów włamania. Kiedy podszedłem bliżej, poczułem niemal zwalający z nóg kwaśny, amoniakalny smród, charakterystyczny odór

rozkładu. Spotykałem go już przy innych okazjach, zazwyczaj wówczas, kiedy znajdowałem sarnę potrąconą przez samochód na szosie numer 2 albo na drodze pocztowej. Także tutaj, gdzieś w pobliskim lesie mogło leżeć jakieś martwe, duże zwierzę — sarna albo nawet łoś. Jednakże odór wyraźnie wydobywał się z chaty, a nigdy nie słyszałem o łośiu, który umarłby w łóżku.

Wziąłem z samochodu łom i wyważyłem drzwi.

Brzęczały muchy.

Smród był potworny. Nie miałem chusteczki, aby jak detektywi w filmach zakryć nią nos, ograniczyłem się więc jedynie do ukrycia twarzy w zgięciu ramienia. Krztusząc się, zaświeciłem latarką w ciemność.

To, co początkowo wziąłem za stertę odzieży na podłodze, okazało się skulonym mężczyzną leżącym na boku. Miał na sobie jedynie drelichowe szorty i podkoszulek. Gołe nogi, białe jak skorupki jajek, z różowymi marmurkowymi plamami w miejscach, gdzie skóra stykała się z podłogą. Ponad opuchniętymi nogami podwinięty podkoszulek odsłaniał wydęty biały brzuch. Do pępka biegło pasemko rudego owłosienia. Lewe oko patrzyło na mnie, prawe zniknęło, na jego miejscu widniał strup zaschniętej krwi. Z dziury w głowie wypłynął mózg. Krew z roztrzaskanej głowy rozlała się na drewnianej podłodze, tworząc przypominającą półksiężyc kałużę. W świetle latarki plama sprawiała wrażenie zupełnie czarnej. Niedaleko głowy leżała lewa połówka okularów.

Pokój zaczął wirować mi przed oczami. Oddychałem z trudem, z twarzą wciśniętą w rękaw kurtki. Chata była pusta. Drzwi szafy stały otworem, zrolowany materac związano sznurkiem.

Ruszyłem do przodu. Niedaleko zwłok dostrzegłem portfel. Na podłodze leżał zmięty zwitek banknotów, w sumie jakieś pięćdziesiąt dolarów. Ukląkłem i końcem długopisu otworzyłem portfel. Znajdowała się w nim pięcioramienna złota gwiazda z wytłoczonym napisem: „Robert M. Danziger * zastępca prokuratora okręgowego * Hrabstwo Sussex”.

Zazwyczaj uważa się, że zobojętnieliśmy na przemoc, że filmy i telewizja uodporniły nas na nią. Prawdziwa przemoc i rany rzekomo nas nie szokują, ponieważ znamy już hiperrealizm filmowej przemocy. Prawda wygląda całkiem inaczej. Przemoc w kinie — te wszystkie pękające woreczki z krwią, poskręcane ciała, aktorzy udający martwych — jedynie zwiększa szok spowodowany widokiem prawdziwego trupa, znajdującego się tak niewiarygodnie blisko.

Byłem przerażony. Ten lśniący przedziałek na głowie, rozdęty, odbarwiony tors. Gumowata, napięta skóra na opuchniętych łydkach. Powalający smród, który zatykał nos niczym dym. Odszedłem w las daleko od chaty, zanim zwymiotowałem. Ale nawet wtedy zawroty głowy nie ustały. Położyłem się na sosnowych igłach i zamknąłem oczy.

Przez całe popołudnie pełno było tu policji stanowej, asystentów prokuratora generalnego z Portland, a nawet Augusty. Prokuratorem kierującym dochodzeniem stanowym był Gregg Cravish. Wyglądał jak gospodarz teleturnieju telewizyjnego. Nawet kurze łapki w kącikach jego oczu wyglądały tak, jakby umieszczono je tam naumyślnie, aby dodać nieco powagi jego zbyt przystojnej twarzy. Cravish wyjaśnił, że dochodzeniem zajmie się stanówka. Zgodnie z przepisami prawa stanu Maine wszystkie morderstwa znajdują się w kompetencji biura prokuratora generalnego.

— To standardowa procedura — zapewnił Gospodarz Teleturnieju, ściskając mnie lekko za ramię. — Jednak z całą pewnością będziemy potrzebowali pańskiej pomocy.

Stałem więc z boku i patrzyłem.

Zespół techników z policji stanowej badał chatę i jej otoczenie niczym archeolodzy w trakcie prac wykopaliskowych. Gospodarz Teleturnieju zajrzał przez drzwi do środka domku, ale większość czasu stał ze znudzoną miną oparty o samochód.

Poproszono mnie, żebym zablokował drogi prowadzące do chaty. Było jasne, że mam nie pętać się tu pod nogami. Ustawiłem funkcjonariusza na drodze dojazdowej od północy, a sam stanąłem na drodze prowadzącej z drugiej strony. Od czasu do czasu przejeżdżały samochody — policjanci, kolejni Gospodarze Teleturnieju, karetka po zwłoki. Machali do mnie rękami. Odpowiadałem im w ten sam sposób, a potem brałem się znowu do usuwania śliny i chusteczką higieniczną kropelek wymiocin z moich butów. Mdłości ustąpiły, ale zamiast nich pojawił się ból głowy. Doszedłem do wniosku, że nie mogę tak po prostu czekać. Trzeba działać. W tym momencie miałem dwa wyjścia — albo pozwolić, by dochodzenie toczyło się beze mnie, co już zresztą stało się faktem, albo jakoś się

do niego włączyć. Pierwszy wariant — machnąć ręką na całą tę sprawę — w gruncie rzeczy nie wchodził w rachubę. Nie mogłem zignorować zabójstwa w moim mieście.

Minęło już południe, gdy wróciłem do chaty z postanowieniem, że zajmę w dochodzeniu należne mi miejsce. Cravish i jego zespół pakowali sprzęt do walizek, które umieszczali w samochodzie. Zebrali dość mikrośladów i fotografii, aby przez jakiś czas mieć się czym zajmować. Chata była owiązana żółtą taśmą policyjną niczym wielki prezent bożonarodzeniowy. Drugą taśmę rozciągnięto pomiędzy kołkami wokół budynku, aby powstrzymać wszelkich gapiów. Gospodarze Teleturnieju w ogóle nie zwrócili na mnie uwagi.

Zwłoki leżały skulone na stalowym blacie noszy na kółkach. Na otwartej przestrzeni odór nie był już taki intensywny i nie kręciło mi się od niego w głowie. Bezwiednie zmierzałem w tamtą stronę. Nagie kończyny, blade, opuchnięte i bezwłose. Twarz zniekształcona śmiertelną raną. Ten stwór nie sprawiał wrażenia człowieka. Bardziej ślimaka wyciągniętego ze skorupy, aby bezbronny wił się na słońcu.

Patrzyłem na trupa, kiedy od drugiej strony podszedł do noszy Cravish z jakimś niskim człowiekiem przypominającym zadziornego koguta. Cravish przedstawił go. Był to Edmund Kurth z bostońskiego wydziału zabójstw.

— Z Bostonu? — zdziwiłem się.

Kurth popatrzył na mnie krytycznie, jak na wioskowego głupka. Od samego początku dostrzegłem w Edzie coś niepokojącego. Należał do takich ludzi, którym lepiej szybko zejść z drogi. Miał poważną kanciastą twarz, której dominującymi cechami były wąski nos i ciemne oczy. Skórę pokrywały dzioby po trądziku. Krzaczaste brwi sprawiały wrażenie, że bez przerwy marszczy się w gniewnym grymasie.

— Ofiara była prokuratorem okręgowym w Bostonie — wyjaśnił mi Cravish. Spojrzał na Kurtha wzrokiem, który mówił: „Widzisz, z kim muszę pracować”.

— Boston — powtórzyłem, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

Kurth pochylił się nad ciałem, przyglądając mu się z takim samym skupieniem, z jakim patrzył na mnie. Z trzaskiem włożył gumowe rękawice chirurgiczne i dotknął szczątków Boba Danzigera. Oczekiwałem jakiejś reakcji, wzdrygnięcia się. Ale twarz Kurtha pozostawała beznamietna. Patrząc na nią, trudno byłoby zgadnąć, że spogląda w zmasakrowany oczodół denata, a nie szuka mapy w schowku na rękawiczki.

— Może właśnie dlatego został zabity, ponieważ był prokuratorem okręgowym — zasugerowałem, starając się zademonstrować mój detektywistyczny instynkt.

Kurth nie zareagował.

— Jeżeli w ogóle został zabity — plotłem dalej. — Mogło to być samobójstwo. — Jak sobie mętnie przypominałem, w czasie szkolenia mówiono nam, że ludzie popełniający samobójstwo z broni palnej zawsze strzelają w jedno z trzech miejsc — w skroń, wkładając lufę do ust albo między oczy. To, że denat mógł sam się zabić, wydało mi się wielkim odkryciem, chciałem uchodzić za doświadczonego specja w sprawach zabójstw. — Może chciał się zabić, ale drgnęła mu ręka i w efekcie trafił się w oko.

— Nie zabił się, panie posterunkowy — odparł Kurth, nie podnosząc głowy.

— Właściwie jestem tu szefem policji. Szef Truman.

— Szefie Truman, tu nie ma broni.

— Aha, nie ma broni, no cóż... — Uszy mi płonęły.

Gospodarz Teleturnieju uśmiechnął się lekko.

— Może wbił sobie pocisk ręką.

— Byłoby to doprawdy niezwykle — mruknął Kurth.

— Żartowałem.

Znów wpatrywał się we mnie przez chwilę, jakbym był wsiowym głupkiem z najbardziej zabitej dechami dziury, a potem odwrócił się do zwłok na noszach. Wydawało się, że nie sprawiają na nim najmniejszego wrażenia.

Gospodarz Teleturnieju zapytał mnie, wskazując zabitego.

— Czy coś go wiązało z tym miejscem?

— Nie wiem o niczym takim. Rozmawiałem z nim trochę, kiedy tu był...

— Znał go pan?

— Nie, nie znałem. Zamieniłem z nim parę słów. Robił wrażenie miłego faceta. Takiego... uprzejmego. Nie oczekiwałem...

— O czym rozmawialiście?

— Właściwie o niczym — odparłem. — Przewija się tu mnóstwo turystów. Nie zwracam sobie nimi głowy. — Wskazałem wzgórze wokół jeziora, gdzie drzewa były pokryte żółtymi i czerwonymi liśćmi. — Przyjeżdżają podziwiać piękno przyrody.

— A więc był tu tylko na wakacjach?

— Tak sędzę.

Pamiętałem spotkanie z Bobem Danzigerem. Na chodniku przed posterunkiem. Uśmiechnął się i powiedział: „Witam. Zapewne jest pan szefem tutejszej policji”.

— Chciałbym zostać włączony... — zwróciłem się do Gospodarza Teleturnieju.

W tym momencie zapiszczał telefon komórkowy przy jego pasku. Cravish

podniósł palec na znak, bym się uciszył.

— Gregg Cravish. — Z wciąż uniesionym palcem rzucał monosylaby do telefonu: — Tak. Jeszcze nie wiem. Doskonale. Dobrze.

Kiedy skończył, odezwałem się znowu:

— Chciałbym, żeby włączono mnie do dochodzenia.

— Oczywiście. Znalazł pan ciało. Jest pan ważnym świadkiem.

— No tak, świadkiem. Chodzi mi o to, że chciałbym zrobić coś więcej poza pilnowaniem drogi.

— Zabezpieczenie miejsca jest bardzo ważne. Nie chciałbym, żeby ława przysięgłych zakwestionowała nasze ustalenia. Jeżeli miejsce przestępstwa zostanie naruszone... — Cravish spojrział na mnie znacząco, jakby zawczasu obciążając winą za dopuszczenie do czegoś takiego.

— Proszę posłuchać. Ten człowiek zginął w moim mieście — wyjaśniłem. — I jak już powiedziałem, spotkałem go. Chodzi mi o to, że chciałbym być informowany o wszystkim, co się tu dzieje. W końcu podobno jestem tu szefem policji.

Gospodarz Teleturnieju skinął głową na znak, że rozumie.

— Jasne, będziemy pana informowali. — Ale jego wyraz twarzy mówił co innego. „Rozumiem. Jesteś tu szefem policji i nie wyglądałoby to dobrze, gdyby inni ukradli twoją sprawę. Cóż, pozwolę ci pokręcić się tu przez jakiś czas”.

Kurth skończył oględziny zwłok i wyprostował się.

— Panie posterunkowy, czy media mają już tę historię?

— Media?

— Tak, media. Gazety, telewizja.

— Wiem, co to są media. Ale my tu właściwie nie mamy mediów. Jest jedna gazeta, takie lokalne pisemko. Wydaje je samodzielnie David Cornwell. Píše w nim przeważnie o szkołach i o pogodzie.

— Proszę mu nie udzielać żadnych informacji — polecił Kurth.

— Muszę mu coś powiedzieć. W miasteczku takim jak to...

— W takim razie bez szczegółów. Niech pan go przekona. Zrobi pan to?

— Nigdy go o nic nie prosiłem.

— To niech go pan poprosi.

I była to cała rozmowa, jaką Edmund Kurth raczył mnie zaszczyścić. Zerwał rękawiczki, rzucił je na nosze i odszedł bez słowa.

— Panie Kurth! — zawołałem za nim.

Zatrzymał się.

Patrzyłem na niego, mrugając powiekami. Na końcu języka miałem zdanie, którego jednak nie wypowiedziałem na głos: „Jestem szefem policji Trumanem, a

nie posterunkowym”.

— Nieważne — powiedziałem.

Kurth się zawahał. Pewnie zastanawiał się, czy całkowicie mnie zignorować, czy też wyrwać mi serce i jeszcze bijące podsunąć mi pod nos. Ostatecznie kiwnął lekko głową i ruszył dalej.

— Miłego dnia — mruknąłem, kiedy znalazł się już poza zasięgiem głosu.

Po kilku minutach samochody — radiowozy, taurusy najnowszego typu, przerobiony wóz kempingowy z napisem „Kryminalne Służby Techniczne”, czarny furgon medycyny sądowej — zapuściły silniki i odjechały. Na polanie wokół chaty znowu zapanowała cisza. Kaczki kwakały na jeziorze.

Z leśnego półmroku wyłonił się Dick Ginoux. Ukrywał się tam do momentu odjazdu obcych. Podszedł i stanął u mojego boku, gdy tymczasem kolumna oddalała się drogą dojazdową. Rozgarnął sosnowe igły czubkiem buta.

— Co teraz zrobimy, szefie?

— Nie wiem, Dick.

Kurth mylił się w jednej sprawie. Nie można było wyciszyć sprawy. W Versailles w stanie Maine nie ma tajemnic. Informacje przelatują przez miasto jak drgania po pajęczej sieci. O morderstwie zaczęto mówić jeszcze tego samego dnia, a po dwudziestu czterech godzinach większość mieszkańców Versailles dobrze wiedziała, co znaleźliśmy w chacie. Na szczęście tutejsi ludzie nie dadzą się łatwo przestraszyć i sprawa wywoływała bardziej zaciekawienie niż lęk. Był to najważniejszy temat rozmów w Sowie i u McCarrona. Rankiem, dzień po odnalezieniu zwłok, Jimmy Lowens przysunął się do mnie w Sowie i oznajmił, że jeżeli jestem zainteresowany, „zna się trochę na broni”. A Bobby Burke poprosił mnie, żebym pozwolił mu zajrzeć do chaty.

— Powiedz, jak to wyglądało — nalegała Diane.

Miało to miejsce przy pokerze, zabawie z ćwierćdolarową stawką, urządzaną na posterunku, aby pomóc mi przetrwać sobotni nocny dyżur. Diane zazwyczaj była najpoważniejszym graczem przy stoliku. Paliła papierosy jednego po drugim, grała ostrożnie i rzadko przegrywała, kiedy w banku była duża suma.

— Co masz na myśli?

— Zwłoki.

— Musiały być paskudne — parsknął Jimmy Lowens. Zdjął czapeczkę baseballową i z namysłem podrapał się w głowę.

— Nie mogę o tym mówić.

— Jak to? — Diane była urażona. — Całe miasto o tym mówi!

— Nie mogę. Kazano mi trzymać język za zębami.

— Och, Ben. Co z ciebie za palant.

— Słuchajcie, gramy w końcu w tego pokera czy nie? — zirytowałem się.

Oczywiście mieli pokera głęboko gdzieś, ale taka rezygnacja z gry byłaby czymś niespotykanym, i dlatego potwierdzili, że grają.

— Dobra, tak już lepiej. Dobierany poker, licytacja od...

— Założę się, że był sztywny jak deska.

— Jezu, Jimmy, nie będziemy o tym rozmawiali.

— Przecież o nic cię nie pytam, Ben. Powiedziałem tylko: „Założę się, że był sztywny jak deska”.

— O rany, skąd mam wiedzieć, czy był sztywny. Nie dotykałem go! — Rozdawałem karty, czując na sobie ich spojrzenia. — Jimmy, licytujesz pierwszy.

— Śmierdział?

— Licytujesz.

Jimmy sprawdził i wszyscy pozostali zrobili to samo. Ledwo spojrzeli na

karty.

— Dobra, bankier stawia dwa dolce. — Rzuciłem dwa niebieskie zetony.

— Co, nawet nie możesz nam powiedzieć, czy śmierdział?

— No dobra. Tak, śmierdział.

— Chodzi mi o to, jaki to był smród? — spytała Diane.

— Naprawdę chcesz wiedzieć, jak tam cuchnęło?

Z irytacją położyła karty na stole.

— Tak, chcę.

— Wiecie, co wam powiem — wtrącił się zupełnie bez sensu Dick. — Szef nigdy nie zajmował się sprawą morderstwa.

Mój ojciec odszedł na emeryturę w 1995 roku, ale nawet dwa lata później to jego nazywano tu Szefem, a nie mnie.

— Szef nigdy nie zajmował się sprawą morderstwa, ponieważ nikt nigdy nie został zamordowany — wyjaśniłem Dickowi.

— Miałem tylko to na myśli, że Szef nigdy nie prowadził takiej sprawy.

— Jimmy, dwa dolce do ciebie.

— Co masz zamiar dalej robić? — naciskała Diane.

— Technicy muszą uporać się z tym, co znaleźli w chacie.

— Będziesz tak po prostu czekać? To porąbane.

— Wiesz, Ben, masowe zabójstwa są wykrywane w ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin. — Znowu jedna z popisowych informacji faktograficznych Bobby'ego.

— Posłuchaj. Nie można tak na własną rękę rozpocząć dochodzenia. Obowiązują przepisy. Prokuratura ma swoje kompetencje. To nie moja sprawa.

— Ale to stało się tutaj — zaproponował Bobby.

— I ty znalazłeś ciało, Ben.

— To bez znaczenia. Nie moja sprawa.

— Szef schwyciłby ją obydwoma rękami — wtrącił się Dick. — Mógłbyś go poprosić, żeby ci pomógł, jako... konsultant.

— Nie potrzebuję pomocy. A zresztą nie zechciałby dla mnie pracować.

— Zapytałeś go o to?

Wykręciłem się od odpowiedzi.

— Czy ktoś z was wie, gdzie mógł dostać piwo?

— Claude miał piwo?

— W takiej dużej butelce. Gdzie mógł je kupić?

— Gdziekolwiek.

— Jeżeli dowiedzie się, kto mu je sprzedał, dajcie mi znać.

— I co masz zamiar z tym zrobić? Aresztować kogoś za to, że sprzedał

twojemu staremu piwo?

— Mam zamiar z nim porozmawiać i nic poza tym.

— No dobra — westchnął Dick, wracając do poprzedniego tematu. — Szef nie słuchałby jakiegoś cwaniackiego yuppiesowskiego prawnika. O nie! Chciałbym zobaczyć, jak taki chłystek mówi twojemu staremu: „To nie pańska sprawa”. Szef dałby mu popalić.

— Posłuchałby go, musiałyby tak zrobić, podobnie jak ja.

— Jednak twoja matka by nie posłuchała — wtrąciła się Diane i wydmuchnęła dym papierosowy. — Ona nie słuchała nigdy nikogo.

Zapadła chwila znaczącej ciszy, w czasie której cała czwórka czekała na moją reakcję. Wspominanie matki było dość ryzykowne. Minęło dopiero dziesięć tygodni od jej śmierci, a mojej żałobie towarzyszyło coś w rodzaju poczucia winy i wstydu. Zastanowiłem się nad słowami Diane. Gdyby Gospodarz Teleturnieju spróbował potraktować Annie Truman z taką samą arbitralnością jak mnie...

— Skopałaby mu dupę — oznajmiłem.

Pewnego ranka wczesną wiosną 1977 roku siedzieliśmy przy stole. Nawet w kuchni czuć było zapach deszczu i błota. Mama czytała książkę. Miała związane na karku włosy i widać było dziurki w przekłutych uszach. A przede mną stało moje ulubione śniadanie — płatki Apple Jacks i szklanka mleka. Jeszcze niedawno mama próbowała zmusić mnie do jedzenia płatków zalanych surowym mlekiem, ale nie mogłem ich przełknąć.

— Co czytasz? — zapytałem.

— Książkę.

— Jaką?

— Dla dorosłych.

— Jak się nazywa?

Pokazała mi okładkę.

— Podoba ci się?

— Tak.

— Dlaczego ci się podoba?

— Bo się uczę.

— Czego?

— To książka historyczna. Poznaję przeszłość.

— Dlaczego?

— Co dlaczego?

— Dlaczego chcesz ją poznawać?

— Żeby być lepsza.

— Lepsza niż co?

Popatrzyła na mnie. Niebieskie oczy, kurze łapki.

— Po prostu lepszym człowiekiem.

Tata zajechał swoją półciągarówką. Nocny dyżur miał trwać od północy do ósmej, ale tata zawsze przyjeżdżał do domu wcześniej. Słyszałem, jak odchrząkuje przed wejściem do środka. Usiadł przy stole bez słowa.

Zerknąłem na mamę. Na gęstych kasztanowych włosach ojca widać było białą plamę! Dokładnie nad czołem. Biały proszek, jak zasyпка dla niemowląt.

— Tato, masz...

— Ben! — Mama surowym spojrzeniem kazała mi się zamknąć.

— O co chodzi, Ben? — zapytał tata.

— Eee, nic.

Twarz mamy również nieco zbielała. Jej wargi zacisnęły się mocno.

Tata wyjął pudełko pączków ze sklepu cukierniczego Hunny Dip. Na pudełku znajdował się rysunek przedstawiający brązowy garnek wypełniony po brzegi gęstym złocistym miodem. Nad garnkiem wisiał w powietrzu pączek.

— Proszę — powiedział tata. — Z Hunny Dip, takie jak lubisz.

— Nie, dziękuję.

— No, Annie, przecież to cię nie zabije.

— Nie, Claude! — Ton głosu mamy świadczył, że jest na niego zła.

Wziąłem jeden pączek w czekoladowej polewie, co wyraźnie sprawiło mu przyjemność. Ujął mnie pod brodę swoją łapą o grubych palcach i potrząsnął. Jego palce pachniały chlorem. Zauważyłem, że na mankiecie koszuli również ma ten biały proszek.

— Zuch chłopak.

— Nie dotykaj go, Claude.

— Czemu mam go nie dotykać? Dlaczego?

Mama patrzyła na ojca zmrużonymi niebieskimi oczami.

— Ben, weź pączek i idź do drugiego pokoju.

— Ale ja jeszcze nie skończyłem...

— Ben...

— A co z moimi płatkami?

— Lepiej idź, Ben — rzekł pokornie tata.

Mama była szczupła, niska, ale w jakiś sposób potrafiła go zdominować. A on chętnie się jej podporządkowywał.

Kiedy znalazłem się już w drugim pokoju, usłyszałem, jak mama mówi:

— ...z mojego domu.

— Co?

— Powiedziała, wynoś się natychmiast z mojego domu.

— Annie, co cię, u diabła, napadło?

— Claude, masz na włosach cukier puder. To małe miasto, Claude. Czy musisz mnie tak upokarzać?

— Upokarzać?

— Nie jestem głupia, Claude.

Nie bardzo rozumiałem, co działo się tego ranka, ale wiedziałem, że stosunki pomiędzy rodzicami nie są najlepsze. Choleryczne usposobienie taty, jego ustawiczne romanse i silna osobowość mamy, wszystko to czyniło z małżeństwa mieszankę wybuchową. Niekiedy moi rodzice zachowywali się jak kochankowie — w niedzielne popołudnia znikali na górze, aby się zdrzemnąć, albo całowali się w usta i śmiali się z czegoś, co było ich tajemnicą. Kiedy indziej napięcie między nimi było tak silne, że aż iskrzyło. Uważałem wówczas, że tak właśnie wygląda prawdziwa miłość — po przekroczeniu pewnej temperatury jest z natury swojej niestabilna.

Uchyliłem nieco drzwi, aby zajrzeć do środka, i tata natychmiast mnie zobaczył.

W jego oczach dostrzegłem coś w rodzaju wstydu. Ku mojemu zdziwieniu natychmiast poddał się mamie i tylko zapytał:

— Kiedy będę mógł wrócić?

— Gdy będę gotowa.

— Annie, daj spokój. Powiedz mi jak długo.

— Tydzień. A potem zobaczymy.

— Annie, ale gdzie ja mam iść? Jestem zmęczony.

— Idź na posterunek. Idź, gdzie chcesz, nie obchodzi mnie to. Tylko nie do sklepu z pączkami.

Później, tego samego ranka, poszliśmy z mamą do miasta, aby zwrócić pudełko z pączkami. Za kontuarem stała przyjaciółka taty, Liz Lofgren. Mama poczekała, aż w sklepie zrobi się pusto, a potem poinformowała Liz, że będzie dla niej lepiej, jeśli da sobie spokój z szefem Trumanem. Przez chwilę Liz udawała, że nic nie rozumie, ale spuściła z tonu, kiedy mama powiedziała: „Chyba że chcesz mieć ze mną na pieńku”.

Anne Wilmot Truman wychowała się w Bostonie, co pozostawiło na niej trwałe ślady. Mówiła z bostońskim akcentem i używała tamtejszych zwrotów. Ale największy wpływ na nią wywarł jej ojciec, uparty Joe Wilmot.

Urodzony w czynszówce w Dorchester, zdołał wywalczyć sobie lepsze miejsce w hierarchii społecznej. W latach trzydziestych i czterdziestych udało mu się stworzyć niewielką sieć sklepów spożywczych w Bostonie. Wystarczyło to, aby wydostać się z przedmieść. Ale nawet kiedy dopiął swego, nigdy nie był

w stanie pozbyć się do końca poczucia, że jego nowi sąsiedzi posiadają coś, czego on nie ma, coś ważniejszego niż pieniądze. Był to przede wszystkim sposób bycia, przekonanie, że wśród wielkich zielonych trawników i na ocienionych drzewami ulicach są u siebie. Joe mawiał, że ci ludzie mają klasę, i wiedział, że sam nigdy taki nie będzie. Jest to zawsze źródłem frustracji dla nuworyszów. Nie mogą osiągnąć klasy, ponieważ nie są w stanie wyobrazić sobie, że już ją posiadają. To skutek braku wyobraźni.

Joe postąpił więc tak jak wielu niedoszłych Gatsbych. Próbował zaszczepić tę nieuchwytną wartość swojej jedynej córce. Bądź co bądź był to Boston epoki prawdziwego Gatsby'ego, Joego Kennedy'ego, który sam przekonał się, że klasę można zdobyć dopiero w drugim pokoleniu. Joe Wilmot wysłał więc Annie do prywatnej szkoły, a kiedy uznał, że takie wykształcenie nie wystarczy, nie zawahał się zapłacić za dodatkowe lekcje dobrego wychowania, literatury i muzyki. Potem czekała Annie nauka w Winsor School i Radcliffe, w tym jeden semestr w Paryżu. Annie zawsze mogła zarobić dolara lub dwa, recytując ojcu jakiś monolog Szekspira albo przedstawiając jakieś inne dowody kulturalnej ogłady. Ojciec postanowił zrobić wszystko, by jego córka nabywała jak najwięcej dystynkcji i poloru.

A wtedy zdarzyła się katastrofa. Pojawił się Claude Truman.

Był nieokrzesanym policjantem — policjantem! — z jakiejś zapomnianej przez Boga dziury w stanie Maine. Tworzyli straszliwie niedobraną parę. Nikt nie mógł zrozumieć, co mama w nim widziała. Chyba to, że był pewny siebie i silny — jak samiec łosia na wiosennym rykowisku. Był inny. Wcale niegłupi, choć uważał, że John Cheever jest hokeistą, a Ionesco to nazwa jakiejś korporacji. Może Versailles w stanie Maine miało dla Annie egzotyczny powab? Przecież to takie romantyczne znaleźć się na łonie przyrody. Zwłaszcza dla młodej kobiety, wykształconej w sposób przekraczający granice rozsądku. Ojciec zakazał Annie spotykać się z Claude'em Trumanem, ale postawiła mu się i trzy miesiące po tym, jak poznała Claude'a, wyszła za niego. On miał trzydzieści siedem lat, ona — dwadzieścia dziewięć.

Cena była wysoka. Mama posprzeczała się z ojcem i rysa, która pojawiła się w ich wzajemnych stosunkach, nigdy się nie zasklepiła. Dzwoniła do niego od czasu do czasu, a kiedy odkładała słuchawkę, zazwyczaj szła do swojej sypialni i płakała. Joe, umierając, zostawił swojej córce dość pieniędzy, aby mogła zapłacić za moje wykształcenie, ale nie była to fortuna, którą by odziedziczyła, gdyby zrealizowała jego plany.

Mama kontynuowała jedną z tradycji rodziny Wilmotów. Kiedy byłem dzieckiem, płaciła mi za rozmaite przejawy samodoskonalenia. Dolar za

nauczenie się fragmentu z *Henryka V*, a kolejny za wyrecytowanie go przed pójściem spać. Pięćdziesiąt centów za przeczytanie powieści (jeżeli nie była szmirą), dolar za biografię. Pięć dolarów za obejrzenie filmu *Ja, Klaudiusz*.

W dniu, w którym wykopała tatę za przyjście z cukrem pudrem we włosach, odsunęła na bok kuchenne meble i zapytała, czy chce zatańczyć za jednorazową opłatą jednego dolara. Nastawiła w pokoju telewizyjnym płytę Franka Sinatry i otworzyła drzwi, żebyśmy mogli ją słyszeć, a potem wyjaśniła mi, jak mężczyzna powinien trzymać partnerkę i jak stawia się kroki.

Położyłem prawą rękę na jej biodrze i podniosłem lewą tak, aby mogła położyć swoją dłoń na mojej.

— A co teraz?

— Zrób krok naprzód.

— Którą nogą?

— Obojętne, Ben. Pójdę za tobą. To mężczyzna prowadzi. Po prostu przesuwaj stopy po kwadracie.

Tańczyliśmy jakiś czas, najpierw przy dźwiękach *Summer Wind*, a potem *Luck Be a Lady*.

— Czy chcesz porozmawiać o tym, co stało się dzisiaj rano? — zapytała.

— Nie.

— Nie chciałbyś mnie o nic zapytać?

Zaprzątnięty tańcem — „patrz na partnerkę, a nie na swoje stopy; trzymaj się prosto, jakby ktoś pociągał za sznurek przywiązany do czubka twojej głowy” — mogłem skupić uwagę jedynie na utrzymaniu rytmu. Powiedziałem więc wymijająco, że wszystko jest w porządku.

— **Nie możesz tego postawić.** To twoja odznaka.

— Oczywiście, że mogę. Jest przecież coś warta, prawda? To złoto.

— Jakie tam złoto! A poza tym, co mam z nią zrobić? Przetopić?

— Możesz ją nosić, Diane. Jako biżuterię.

— Ben, nie mam zamiaru chodzić z twoją cholerną odznaką.

— Czemu nie? Możesz być nowym szefem.

— Daj spokój. Pieniądze na stół albo pasuj. Takie są zasady.

— Amerykańskie pieniądze, legalny środek płatniczy wszystkich długów publicznych i prywatnych — dodał Bobby Burke.

W banku znajdowało się około pięćdziesięciu zielonych, maksimum tego, co można osiągnąć w naszej grze. Miałem trzy damy i tylko Diane za przeciwniczkę. Nie był to odpowiedni moment, aby spasować.

— Czy odznaka nie jest warta piętnaście dolców? — zwróciłem się do Dicka o pomoc. — Przekonaj ją. Kosztują dwadzieścia pięć, trzydzieści baksów. Mogę

pokazać ci w katalogu.

— To wtedy, jeżeli kupujesz ją nową.

— Przecież nie sprzedaję wam samochodu. Tu nie liczy się przebieg.

— Wszystko zależy od Diane. Jeżeli chce ją wziąć, niech bierze.

— Jezu, Dick, nie masz kręgosłupa. Czyżbyś się bał Diane?

— Aha.

— Diane...

— Nie.

— Diane, słuchaj.

— Nie.

— Zrozum, jeżeli ją weźmiesz, możesz ją nosić, a ja wyjdę na idiotę.

Pokręciła przecząco głową.

— Postaw spodnie.

— Nie postawię spodni.

— Pewnie nie masz dobrych kart.

— Nie o to chodzi.

— Więc je postaw.

— Diane, nie mam zamiaru stawiać spodni.

— A co masz innego?

— To wszystko, co mam.

Wzięła odznakę i marszcząc czoło, obróciła ją w dłoni. Nie zdziwiłbym się, gdyby ugryzła, aby sprawdzić, czy nie jest podróbką.

— Dobra. Może przerobię ją na kolczyki. Będę je nosiła, żeby w mieście wiedzieli, jaki z ciebie przegrany facet.

Dorzuciła ją do pieniędzy na stole.

— Ben, czy Diane będzie przez to naszym szefem? — zapytał Dick.

— Jeszcze nie wygrała.

— A jeśli wygra?

— No to chyba tak.

Pokręcił głową z bardzo zafrasowaną miną.

Diane położyła karty na stole. Dwie pary — króle i siódemki.

Przemknęło mi przez myśl, żeby odłożyć karty, pozwolić Diane zabrać bank i odznakę. W ten sposób zakończyłbym karierę w służbie ochrony prawa i porządku. Z drugiej jednak strony niezbyt często miałem okazję pokonać Diane. Rozłożyłem na stole moje trzy damy i zgarnąłem bank — czterdzieści pięć dolarów i złoconą odznakę.

— I tak nie pozwoliłbyś mi jej zatrzymać — burknęła.

Wzruszyłem ramionami. Kto wie?

Obserwowałem Diane, jak wychodzi z łóżka, by stanąć przy oknie. Była dużą, biodrzastą dziewczyną o ruchach sportowca. Lubiłem się jej przyglądać. Przy oknie zapaliła papierosa i trzymając go w ustach, zaciągała się z roztargnieniem, stojąc z rękami złożonymi na brzuchu. Pogrążona w myślach, nie zwracała uwagi na swą nagość. Na zewnątrz ciemne wzgórza rysowały się na tle rozświetlonego księżycem nieba.

— Co się stało, Diane? — Oniosłem się na łokciu.

Pokręciła lekko głową, ale nie odpowiedziała. Żar papierosa jarzył się pomarańczowo w ciemnym pokoju.

— Czy pomyślałeś kiedyś, że być może niczego więcej nie należy się spodziewać?

— Chodzi ci o nas?

— Zastanawiałam się, czego mogę oczekiwać od życia. Małe, zafajdane mieszkanie, małe, zafajdane miasteczko. Całe takie zafajdane życie.

Kark mi zeszytniał, więc usiadłem.

— Jeżeli to miejsce ci nie odpowiada, możesz pojechać, gdzie zechcesz.

— Nie, to ty możesz pojechać, gdzie zechcesz. Zawsze robiłeś to, co chciałeś. Ja jestem w innej sytuacji.

— Ty też możesz wyjechać.

— Ben, daj spokój. Nie musisz mnie pocieszać.

Zerknąłem dyskretnie na zegarek. Druga siedemnaście.

— My jesteśmy inni niż ty, Ben. Chodziłeś do fajnego college'u, fajnej uczelni. Poradzisz sobie wszędzie, dokąd pójdziesz. Nie jesteś nawet tak brzydki, jak ci to mówię. W rzeczywistości... — Spojrzała na mnie, a potem znowu zaczęła wpatrywać się w okno. — Nie jesteś taki zły.

— Ty też.

— Jasne.

— Mówię szczerze, Diane.

— Daj spokój.

Skwitowała moje słowa lekceważącym machnięciem ręki.

— Ben, powiedz mi, co masz zamiar robić, kiedy sobie pójdziesz.

— Chyba wskoczę do domu. Mam jutro spotkanie w Portland.

Znowu pokręciła głową.

— Co zrobisz, kiedy wyjedziesz z tego pieprzonego miasta.

— Och, nie wiem. Może wrócę na uczelnię. A może po prostu zafunduję sobie gdzieś jakąś przygodę.

— No tak. Praga.

— Mogłabyś pojechać ze mną. Nic cię tu nie trzyma.

— Mam w nosie Pragę. — Przesunęła dłonią po biodrze, jakby poprawiając ubranie, którego nie miała na sobie. — Myślałam, że zostaniesz profesorem. Co studiowałeś?

— Historię.

— Masz dobre nazwisko na profesora historii. Profesor Benjamin Truman. Bardzo intelektualne.

— Prawdopodobnie nic z tego nie będzie, Diane.

— Dlaczego?

— Zaliczyłem tylko jeden rok na uczelni. A trzeba o wiele więcej.

— Powiedziałeś to tak, jakbyś zawałił ten rok. Wezwano cię z powrotem. To zupełnie co innego. Wróciłeś pomóc matce. Teraz ona nie żyje, a ty.. Nie musisz tu zostać. Powinieneś wrócić na uczelnię. Tam jest twoje miejsce. Wstąp to klubu szachowego, komitetu promocyjnego czy czegoś takiego. — Zaciągnęła się papierosem i popatrzyła na wzgórze, a potem, jakby podjąwszy już decyzję, odwróciła się do mnie. — Powinieneś pojechać do Pragi. Mam trochę pieniędzy, jeżeli to cię powstrzymuje.

— Nie, Diane. Tu nie chodzi o pieniądze.

— No dobra, jedź do Pragi, a potem wracaj na uczelnię. Wiesz, nasi chłopcy — Bobby, Jimmy, nawet Phil — bardzo na ciebie liczą. Chcą, żebyś zrobił to wszystko, o czym mówiłeś.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

— Będą szczęśliwi, jeśli się stąd wyrwiesz.

— A ty, Diane, też będziesz szczęśliwa, jeżeli wyjadę?

— Jakoś przeżyję. Przyjedzie nowy szef. Wykorzystam go tak samo jak ciebie. Może nawet nie będzie takim świętoszkiem jak ty.

— A jeśli zatrudnią kobietę?

— Wtedy będę miała pecha.

Przez jakiś czas żadne z nas się nie odzywało.

— Chyba nie powinniśmy już tego więcej robić, Ben. — Czubek papierosa unosił się w oknie jak świetlik. — Niech każde z nas idzie własną drogą.

13 października, poniedziałek, godzina 10.00

Spotkaliśmy się w biurze prokuratora generalnego w Portland, dwie godziny jazdy od Versailles. Było tam jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć osób i musieliśmy usiąść jak w teatrze. Przed nami — jakby na scenie — zajął miejsce detektyw z bostońskiego wydziału zabójstw, Edmund Kurth. Stał z rękami skrzyżowanymi na piersi i obserwował salę. Emanowała z niego siła.

Większość zebranych stanowili policjanci stanowi z Maine i Massachusetts, ostrzyżeni na jeża, mile uśmiechnięci krzepcy faceci. Byli też prokuratorzy ze stanu Maine. Prawnicy mieli za sobą długi weekend i wyglądali na bardzo zmordowanych. Cravish, Gospodarz Teleturnieju, stał na uboczu.

Zająłem miejsce w ostatnim rzędzie metalowych składanych krzeseł, czując się jak intruz. Zaproszenie mnie na to zebranie było formalnością, gestem uprzejmości wobec miejscowych. Nie miałem co do tego żadnych złudzeń. Należało przyjechać, podbić kartę i wracać do domu. Nie włożyłem nawet munduru. Miałem na sobie dżinsy i podkoszulek. Prawdę mówiąc, mundur policji Versailles wygląda fatalnie i unikam go, jak tylko mogę. Składa się z jasnobrązowej koszuli, brązowych spodni z jaśniejszym lampasem i błazeńskiego nakrycia głowy, które mój ojciec z uporem nazywa „kapeluszem polowym”. Żaden obywatel nie może szanować tak ubranego policjanta.

Kurth stał nieruchomo, gdy policjanci i prokuratorzy zajmowali miejsca. Widać było, jak niecierpliwie zaciska szczęki. Po jakimś czasie miał już dosyć czekania. Podeszedł do korkowej tablicy z lewej strony sceny, przypiął do niej zdjęcie z kartoteki i oświadczył:

— To jest człowiek, którego szukamy: Harold Braxton.

Przechyliłem głowę, aby popatrzeć na zdjęcie — tradycyjne dwa ujęcia, ukazujące podejrzanego en face i z profilu. Braxton był Afroamerykaninem i wyglądał na jakieś dwadzieścia parę lat. Głowę miał wysoko podgoloną na skroniach, a pozostałe włosy ściągnięte mocno do tyłu i zebrane na potylicy w pędzelek. Uczesanie bardziej pasowało do Tybetańczyka niż hip-hopowca.

— Musimy upolować tego bydlaka.

Wszyscy na widowni poruszyli się niespokojnie. Kurth był tu obcy i policjantom z Maine nie podobało się, że muszą słuchać jego wykładu, a tym bardziej być pouczeni, co mają robić. Nawet faceci z Massachusetts nie wydawali się tym zachwyceni.

— Czy ma pan jakieś dowody? — zapytał go ktoś. — Czy też powinniśmy wierzyć panu na słowo?

Kurth się uśmiechnął.

— Dowody...

Ze swojej dyplomatki wyciągnął pękatą brązową teczkę. Grzebał w niej przez chwilę, aż wreszcie wyjął kilka zdjęć i wrócił z nimi do korkowej tablicy. Najpierw kolorowa fotografia formatu dwadzieścia na dwadzieścia pięć zmasakrowanej twarzy Danzigera z prawym okiem i czołem pokrytym zaschniętą skorupą krwi.

— Nasza ofiara, Robert Danziger. — Dodał dwa rzędy podobnych zdjęć. — Vincent Marzano. Kevin Epps. — Wymieniając każde nazwisko, wbijał pinezkę w kolejną fotografię. — Theo Harden, Keith Boyce, David Huang. — Wszystkie ofiary były młode, miały nieco ponad dwadzieścia lat. Marzano był biały, Huang — Azjata, pozostali czarni. Każdy z nich miał taką samą ciemną plamę na twarzy. — Wszyscy zabici strzałem w oko z broni dużego kalibru — poinformował nas Kurth. — To jego podpis. — Oparł się o stół. Wyglądał teraz jak wiejski osiołek stojący pod stodołą. — Harold Braxton dowodzi gangiem zwanym Oddział Mission. Obracają dużą ilością prochów i są zdecydowani za każdą cenę bronić swojego biznesu. Ci faceci tutaj... — wskazał zdjęcia — w taki czy inny sposób zagrażali interesom Braxtona. Niektórzy współpracowali z policją. Inni próbowali z nimi konkurować.

— Dlaczego strzelali w oko?

— To komunikat, który w Mission Flats wszyscy rozumieją. Oznacza: „Zamknij oczy, nie patrz, co robimy”. Właśnie to są moje dowody.

— I Braxtonowi zawsze uchodziło to na sucho?

— Nikt nie chce zeznawać.

— Ale dlaczego zabił Danzigera? — zapytał jeden z policjantów.

— Bob Danziger prowadził sprawę przeciwko członkowi gangu Braxtona. Chodziło tylko o kradzież samochodu, ale oskarżony był zastępcą Braxtona. Proces miał się rozpocząć na początku października, mniej więcej w tym czasie, gdy Danziger został zamordowany. Nie ma prokuratora, nie ma procesu. Braxton chroni swoich ludzi.

— Dlaczego zabił go w Maine? — zapytał jeden z prokuratorów.

— Bo Danziger znajdował się tutaj, kiedy go dopadli. Najprawdopodobniej był na wakacjach.

— To jedynie dowody pośrednie — zaprotestował ktoś.

Kurth wzruszył ramionami.

— Oczywiście, że pośrednie. Główny świadek nie żyje.

Cravish podrapał się w brodę i zmarszczył brwi.

— Nie jestem przekonany, poruczniku Kurth. Czemu handlarz narkotykami miałby zabijać zastępcę prokuratora okręgowego? To nie ma sensu. Zawsze

znajdzie się na jego miejsce jakiś inny oskarżyciel. Miałem już okazję oskarżać takich facetów jak Braxton. Nie uważają prokuratora za wroga. Wiedzą, że na tym polega jego zawód. — Gospodarz Teleturnieju był dumny, mogąc oświadczyć, że występował przeciw gangsterom.

— Panie Cravish — odezwał się Kurth, przeciągając sylaby. — Nie sędzę, aby oskarżał pan kogoś takiego jak Braxton.

— Ależ tak.

Kurth wyciągnął z dyplomatki dwa kolejne zdjęcia i przypiął je do tablicy. Na pierwszym widniał uśmiechnięty mężczyzna z rudą brodą. Na drugim widać było jakiś ciemny przedmiot zawieszony pod sufitem. Mógł to być na przykład worek na brudną bieliznę.

— Co to jest, u diabła? — zapytał jakiś policjant.

Kurth wskazał pierwszą fotografię i oznajmił:

— To Artie Trudell. Był gliniarzem. Jakieś dziesięć lat temu uczestniczył w nalocie na handlarzy narkotykami we Flats. Braxton został osaczony w jednym z mieszkań. Znalazł się w pułapce. Strzelił przez drzwi i zabił Trudella, a potem zwił kuchennym wyjściem.

Zapadła chwila ciszy. Wreszcie ktoś się odezwał:

— A co jest na tej drugiej fotografii?

— Pies — odparł Kurth.

Teraz obraz stał się bardziej czytelny. Zwierzę zostało powieszona za tylne łapy. Głowa psa była ukryta za fałdem skóry, który zwisała z karku jak peleryna Supermana.

— Braxton i jego banda mieli pitbulla. Chcieli sprawdzić, jak jest ostry. Przywiązali tego psa i puścili na niego pitbulla.

— Ale... dlaczego?

— Dlaczego? — Kurth pokręcił głową. — Ponieważ Braxton jest zwyrodniałym bydlakiem.

Po pokoju przeleciał szmerek. Minęła dłuższa chwila, zanim ktoś zebrał się na odwagę i mruknął pod nosem:

— Przesada.

Kurth zmierzył nas jednym ze swoich wężowych spojrzeń.

— Możecie sobie wzruszać ramionami, ale tak właśnie postępują takie typy jak Braxton. Dlaczego? To tak, jakbyście pytali, dlaczego rekiny zżerają pływaków. Albo dlaczego niedźwiedzie rozszarpują rowerzystów. Bo tak właśnie postępują drapieżniki. Ten gość jest drapieżnikiem.

Kurth zdjął z tablicy zdjęcia i włożył je z powrotem do dyplomatki. A potem podzielił się z nami filozoficzną myślą:

— System ścigania przestępstw nie został stworzony, by zajmować się takimi jak on facetami — którzy zabijają, nawet się nad tym nie zastanawiając. System zakłada, że przestępstwo jest logiczne, że ludzie popełniają je z wyboru. Dlatego wybudowaliśmy więzienia, aby ich tam trzymać, dlatego opracowujemy programy resocjalizacyjne. Marchewka i kij, wszystko po to, aby ci ludzie mogli dokonać prawidłowego wyboru. Model ten nie uwzględnia Harolda Braxtona, ponieważ Braxton nie liczy się z żadnymi konsekwencjami. Nie dokonuje żadnego wyboru. Nie myśli. Po prostu zabija. A więc można zrobić z nim tylko jedno — wyeliminować go. Wszyscy o tym wiemy.

Słuchacze, zarówno gliniarze, jak i prawnicy, przyjęli słowa Kurtha z grymasem niechęci. Policjanci, ponieważ nie było w nich ironicznego dystansu, za którym chronią się, stając w obliczu niebezpieczeństwa, prawnicy zaś, ponieważ Kurth był zbyt szczery. Nikt jednak nie zaprotestował.

Po zebraniu Kurth podszedł do mnie i wręczył mi kilka zdjęć z kartoteki, w tym również fotografię Braxtona. Poprosił mnie, abym pokazał te zdjęcia w Versailles. Może znajdzie się ktoś, kto widział Braxtona w okolicy. Albo kogoś z jego paczki. Prośba była przekazana w typowy dla Kurtha sposób. Stał pochylony do przodu z zaciśniętymi szczękami, natarczywie patrząc swemu rozmówcy prosto w oczy. Bezskutecznie starałem się unikać jego wzroku.

Być może wyda się to dziwne, ale w zachowaniu Kurtha było coś fascynującego. Czuło się w nim niesamowitą celowość działania. Z perspektywy czasu dostrzegam, że była to po prostu zdecydowana postawa człowieka przekonanego o słuszności swojej sprawy. Dla Kurtha wszelkie moralne dwuznaczności związane z pracą policyjną — fakt, że przestępczość miewa różne źródła, a system policyjno-prawny nie zawsze jest idealny — w ogóle nie wchodziły w grę. Bo Braxton był złym człowiekiem, a Kurth musiał być tym dobrym. Po prostu. Właśnie takie uproszczenie pozwalało mu wygłaszać prawdy absolutne. Wątpię, czy Kurth kiedykolwiek roztrząsał jakiegokolwiek moralne problemy, ale bez Braxtona nie miałyby uzasadnienia dla swojej krucjaty. Byłby kapitanem Ahabem bez Moby Dicka, nie miałby potwora, na którego mógłby polować.

Zrobiłem to, o co mnie prosił. Przez kilka następnych dni pokazywałem zdjęcia w całym Versailles. Co będzie, jeśli znajdę sąsiada, który mógłby zeznawać przeciwko Braxtonowi? Z ulgą przekonałem się, że nikt nie rozpoznał człowieka ze zdjęcia. Sprawdziłem także, czy znali ofiarę. Kilka osób rozmawiało z Bobem Danzigerem, kilka innych rozpoznało go na zdjęciu. Ale żaden z wrześniowych podnajemców chat nad jeziorem, którzy powrócili już do swoich domów w Nowym Jorku i Massachusetts, nie pamiętał niczego

konkretnego związanego z Danzigerem. Nikt też nie miał najmniejszego pojęcia, jak długo zwłoki mogły leżeć w zamkniętej chacie (anatomopatolog ustalił później, że były to dwa lub trzy tygodnie). Tak więc moje dochodzenie do niczego nie doprowadziło. Wyglądało na to, że Robert Danziger nie miał żadnych związków z Versailles. Zupełnie jakby przyjechał tylko po to, aby tu umrzeć.

Ciekawa sprawa. Zafascynowała mnie opowieść Kurtha i na jej podstawie starałem się stworzyć swój własny obraz Harolda Braxtona, miejskiego superdrapieżnika. Trzymałem jego zdjęcie w teczce spraw do załatwienia i przez kilka następnych dni łąpałem się na tym, że wpatruję się w nie, próbując odnaleźć cechy zabójczego drapieżnika. Nic takiego nie dostrzegłem. Na zdjęciu Braxton nie wyglądał groźnie. Wyglądał na biernego, sennego. Niczym nie różnił się od zwykłych ludzi. Zbrodniarze zawsze nas rozczarowują. Nigdy nie wyglądają odpowiednio. Pamiętacie stare zdjęcia prasowe Eichmanna, siedzącego w sali sądowej w Tel Awiwie, mrugającego oczami zza grubych szkieł okularów niczym jakiś na pół ślepy zegarmistrz? Cóż za zawód, jakież to banalne. Oczekujemy, że potwory lepiej się będą prezentować.

Podczas pierwszych, pełnych niepokoju dni chata nad jeziorem Mattaquisett była strzeżona przez całą dobę. Dick i ja, razem z paroma innymi funkcjonariuszami, pełniliśmy służbę wartowniczą, zmieniając się tak, aby nikt nie miał dwóch nocnych wart z rzędu. Szczerze mówiąc, nie było tam dużo roboty, zwłaszcza nocami. Pewnego razu jakieś dzieciaki wjechały na drogę dojazdową, ale na widok policyjnego bronco zaparkowanego przed chatą natychmiast zawróciły. I to wszystko. Nikt nie przyleciał, aby zacierać ślady przestępstwa. Większość czasu spędzałem nad wodą, wsłuchując się w plusk fal albo wpatrując się w bezlistne drzewa na przeciwległym brzegu.

My, mieszkańcy Versailles, tylko w ciągu tych kilku miesięcy możemy oglądać nasze jezioro. W lecie jesteście zbyt zajęci, przez zaledwie dwanaście tygodni musimy zarobić tyle, żeby starczyło na dwanaście miesięcy. W zimie jezioro zamarza i pokrywa je śnieg. Późny październik i wczesny listopad to pora roku, kiedy jezioro mamy tylko dla siebie. Sezon kolorowych drzew się skończył. Czerwone i żółte liście opadły, a letnicy przenieśli się do południowego Vermontu, New Hampshire czy Massachusetts w pogoni za wspaniałymi widokami. W powietrzu zaczyna się wyczuwać bliskość zimy. Woda ma zimną błękitną barwę.

W czasie tych długich, monottonnych wart w sposób nieunikniony zaczynałem myśleć o matce. Wyobrażam sobie, jak pływa daleko na jeziorze, a jej biały czepek kąpielowy znika w migotliwych cieniach chmur przesuwających się po wodzie.

Miała zwyczaj kąpać się w jeziorze niemal codziennie od maja do końca września. Było to naprawdę godne podziwu. Wczesną wiosną jezioro Mattaquisett jest tak zimne, że aż zatyka dech. Jednak mama była nieustraszona. Wskakiwała do jeziora jak bóbr. Pływała tak ładnie, że wszyscy ją podziwiali. Z zanurzoną głową pruć fale i bez trudu docierała na drugi brzeg jeziora. Tak wielką wprawę w pływaniu zdobyła w młodości, dzięki godzinom ciężkiej pracy w basenie. Wychodziła rozpromieniona z wody i oddychając głęboko, rzucała wyzwanie wszystkim obecnym: „Kto chce się ze mną ścigać?”

To dla niej wróciłem do Versailles. Postanowiłem wrócić i nawet z perspektywy czasu wiedząc, do czego decyzja ta doprowadziła, zrobiłbym to ponownie. Był to wybór bez alternatywy.

W grudniu 1994 roku — niecałe trzy lata przed zamordowaniem Danzigera — studiowałem historię na uniwersytecie w Bostonie. Byłem dopiero na drugim roku, ale bardzo szybko włączyłem się w walkę na śmierć i życie toczoną między studentami o stypendia i publikacje. Ostateczny cel — praca na

wydziale — stał się obsesją, dowodem tego, jak bardzo oddaliłem się od Versailles. Nic innego się nie liczyło. Miałem mieszkanie w suterenie w Allston, koszmarnie nawet według studenckich standardów — zagrzybione, zimne i wilgotne, z jednym oknem na poziomie chodnika, przez które widać było nogi przechodniów. Na ścianie widniał przypominający lamperię zaciek, pozostawiony przez Bóg wie jak dawną powódź. Miałem też dziewczynę, doktorantkę z filozofii, Sandrę Lowenstein. Była chuda jak ptak w grudniu i miała żółtawą cerę. Mówiła dużo o Gramscim oraz Marksie. Aby podkreślić swoje oddanie sprawie, nosiła okulary w ciężkiej czarnej oprawie. Być może umawiała się ze mną dlatego, żeby wykazać poświęcenie się lumpenproletariatowi z zapyziałego Maine. A ja schowałem moją dumę głęboko do kieszeni. Versailles było wspomnieniem, odległą historią, którą mógłbym opowiadać przyjaciółom w czasie koktajli w Cambridge, New Haven, wszędzie tam, dokąd bym się udał.

Już wtedy podejrzewałem, że matka ma alzheimera. Choroba może być trudna do zdiagnozowania, zwłaszcza we wczesnym stadium. Objawy podobne są do efektów starzenia się — pogorszenie się pamięci, jakieś dziwne pomyłki. Jesienią 1994 roku tata dzwonił do mnie co tydzień, żeby się na nią poskarżyć. Mówił, że zostawiła na całą noc zapalone światło albo włączony piekarnik. Pewnego razu nie zgasiła silnika samochodu, który pracował, dopóki nie skończyła się benzyna. Ojciec musiał pójść na stację benzynową z kanistrem, żeby ponownie napełnić bak. Powiedział mi wówczas z rozdrażnieniem: „Twoja matka jest już tu nieobecna”.

Wszystko to rozumiałem, a jednak starałem się w jakiś sposób zminimalizować znaczenie tych faktów. Albo przynajmniej jakoś je zaszufładkować (powiadamy zaszufładkować, kiedy w rzeczywistości myślimy zignorować, machnąć na to ręką). Być może był to egoizm dwudziestoparolatka. Nie mogłem pogodzić się z myślą o rezygnacji ze studenckiego życia. Ale nie mogłem też zaakceptować tego, że mama była „już tu nieobecna”.

Kiedy przyjechałem do domu na ferie bożonarodzeniowe — po sześciomiesięcznej nieobecności — natychmiast uświadomiłem sobie realność tego wszystkiego.

Początkowo zmiany nie rzucały się w oczy. Matka wciąż była elegancką, szczupłą kobietą, bardzo poukładaną wewnątrz, jak sama to określała. Miała nowe, modne okulary, po które jeździła aż do Portland. Jej niebieskie oczy pełne były życia. Jednak twarz mamy nieco się postarzała. Skóra na policzkach była bardziej napięta, a pod powiekami można było dostrzec wypukłości gałek ocznych.

Zauważyłem, że nie dawała się wciągnąć w rozmowę. Jakby uznała, iż dla uniknięcia niezręcznych sytuacji lepiej jest jak najmniej się odzywać. Zdarzały się jej chwilowe zaniki pamięci, nie było to nic wielkiego, ale zupełnie do niej nie pasowało. (Każdego ranka witała mnie niezdecydowanym okrzykiem „Ben!”, jakby zaskoczona faktem, że jestem w domu). To, co dostrzegłem na pierwszy rzut oka, nie było nagłą, gwałtowną przemianą. Jednak Anne Truman czyniła wrażenie jakiejś ospałej, zamkniętej w sobie, co zupełnie do niej nie pasowało.

Ponieważ uniwersytet w czasie ferii jest zamknięty, spędziłem w domu kilka tygodni. Rodzinny zwyczaj nakazywał, abym pracował na posterunku jako zatrudniony czasowo funkcjonariusz, ale w rzeczywistości moja praca polegała na opiece nad mamą. W tym momencie Claude Truman miał już dość żony. Był człowiekiem, który całkowicie nie nadawał się do zajmowania chorą na alzheimera. Wciąż był szefem, zbliżającym się do końca swojego wspaniałego panowania, żeglującym nawą samozadowolenia. Czy nie za wiele od niego wymagałem? Choroba Alzheimera nakłada na barki współmałżonka ogromny ciężar i nie każdy jest w stanie sprostać temu wyzwaniu. Poza tym Claude, który zawsze potrafił zadbać o siebie, po prostu nie mógł zrozumieć, dlaczego jego żona nagle stała się tak wymagająca.

Tak więc na kilka tygodni ubrałem się w mundur i pełniłem funkcję ochrony osobistej Anne Truman. Poznałem najrozmaitsze sposoby, które mama i tata wymyślili, aby zapewnić jej bezpieczeństwo. W całym domu były poprzyklepiane żółte karteczki z napisami: „Sprawdź piekarnik, Wyłącz światło, Klucze na stoliku przy telefonie”. Zacząłem dodawać moje własne karteczki, zamiast ciągle czynić mamie uwagi, które raniły jej dumę. Każdego ranka i popołudnia zabierałem ją na długie spacery. Zasugerowano mi, żeby na wszelki wypadek założyć we wszystkich drzwiach domu dodatkowe zamki, zamykane od zewnątrz. Odmówiłem. Za bardzo przypominało to więzienie. Jednak schowałem kluczyki od samochodu, po prostu dla jej bezpieczeństwa.

Najtrudniejsze były rozmowy.

— Czy ty...

— Co, mammo?

— Mniejsza o to. Nieważne.

— Co chciałaś powiedzieć?

— Nie wiem... Nie mogę sobie przypomnieć...

— Postaraj się, mamusiu.

— Ben.

— Słucham.

— Co ty...

— Jestem na uniwersytecie, mamo.

— Oczywiście. Oczywiście. Wiedziałam.

Szczególnie denerwowała się, kiedy nie mogła znaleźć słów. Urywała w połowie zdania, zawieszając głos. W czasie spaceru zatrzymywała się, patrzyła pod nogi, przyciskając pięści do czoła, i przetrząsała mózg w poszukiwaniu potrzebnego słowa. Nauczyłem się niczego jej nie podpowiadać, bo denerwowało ją to jeszcze bardziej.

Mimo wszystko jednak wciąż miałem zamiar po zakończeniu ferii wrócić do Bostonu. Wmawiałem sobie, że choroba zapominania jest tylko drobną niedogodnością. Wciąż znajdowała się we wczesnym stadium (mama miała zaledwie pięćdziesiąt sześć lat) i byłem pewien, że Anne Truman pokona ją tak samo, jak dawała sobie radę z każdą sprawą.

Dopiero tragedia otworzyła mi oczy.

Dwudziestego czwartego grudnia 1994 roku było straszliwie zimno. O ósmej rano było piętnaście stopni mrozu, a uwzględniając przenikliwy wiatr — dwadzieścia pięć. Ani odrobiny słońca. Wszędzie leżał śnieg — na dachu, podwórzu, na gałęziach drzew.

Tego ranka mama i ja nie poszliśmy na spacer. Około jedenastej Dick Ginoux zadzwonił z informacją, że na posterunku urządzają przyjęcie bożonarodzeniowe. Kanapki i piwo (a dla szefa dietetyczna oranżada). Odmówiłem, ale mama przekonała mnie, żebym poszedł: „To przecież wigilia, Ben. Idź, zabaw się trochę”. Termometr za kuchennym oknem wskazywał teraz minus dwanaście stopni. Mimo wszystko jednak dzień był paskudny i cholernie nie chciałem zostawiać jej samej w domu. „Nie jestem dzieckiem” — nalegała.

Kiedy wróciłem około drugiej, w domu panowała cisza, podkreślona przez tykanie zegara. Zawołałem mamę, ale nie otrzymałem odpowiedzi. W jej sypialni było również pusto, łóżko starannie zasłane.

Aby opanować panikę, powiedziałem sobie, że musiała zgubić się w domu. Kiedyś znalazłem ją stojącą w korytarzu, nie mogła przypomnieć sobie, które drzwi prowadzą do jej pokoju. Może teraz też zdarzyło się coś podobnego. Jednak bieganie po domu okazało się stratą czasu. Zniknęła jej płaszcz, kapelusz i włóczkowe rękawiczki.

Wybiegłem na podwórze, zawołałem ją głośno.

Żadnej odpowiedzi. Tylko szum wiatru w uszach.

Niepokój przeradzał się w strach.

Jak mogłem ją zostawić?

Znowu ją zawołałem. Wiatr zagłuszał mój głos. Nie było śladów. Może poszła drogą?

Albo do lasu. Las sięga tu samej drogi. Mogła zablądzić wśród drzew.

Zadzwoń na posterunek. Nikt w mieście nie wiedział, gdzie jest mama.

Po kilku minutach szukało jej dwudziestu ludzi, potem pięćdziesięciu.

— Nic jej się nie stanie, Ben — uspokajał mnie tata.

— Słońce zachodzi o piątej — przypominałem mu.

Dlaczego rano nie uparłem się, aby bez względu na zimno pójść z nią na spacer? Zmęczyłaby się i zasnęła.

Krążyłem ścieżkami w leśnej gęstwinie wokół domu, po których często spacerowaliśmy, gdzie mama dawniej jeździła na rowerze. Pomiędzy drzewami było ciemniej, ale i cieplej, bo wiatr nie wiał tu tak mocno. Biegałem, wołając ją, a mój podkoszulek wkrótce lepił się od potu.

Żadnej odpowiedzi. Tylko chrzęst śniegu pod nogami.

Na pasie miałem radio. Co jakiś czas któryś z poszukiwaczy meldował, że nie znalazł żadnego śladu.

Zagłębiałem się w las i cofałem się. Inni prowadzili poszukiwania nieopodal mnie. Słyszałem ich okrzyki: „Anne!” i moje, bardziej rozpaczliwe: „Mamo!”

Robiło się coraz ciemniej.

Przecież to bzdura, że mogłaby umrzeć w taki sposób. Że całe jej niezwykle życie mogłoby znaleźć tak głupi finał.

Dwie godziny przedzierałem się pomiędzy gęsto rosnącymi sosnami. Zmierzchało. To bez sensu biegać w kółko, wołając do drzew. Trzeba lepiej zaplanować i zorganizować poszukiwania. Kto nimi kieruje? Te lasy ciągną się na wiele kilometrów we wszystkie strony. Nigdy nie znajdziemy jej metodą prób i błędów. Zaraz zapadnie noc.

Zatrzymałem się, żeby pomyśleć. Gdzie spacerowaliśmy? Dokąd mogłaby pójść?

Pojawiła się natrętna myśl: zablądziła, to właśnie oznacza choroba Alzheimera.

Ale dokąd mogła pójść?

Pomiędzy drzewami przeleciał kos, poruszając gałęzie.

Mogła pójść nad jezioro. Uświadomiłem to sobie z przerażającą pewnością. Mogła pójść drogą nad jezioro Mattaquisett, zwabiona tam jakimiś wspomnieniami lata, które odeszło — nie do końca zatarty ślad dawnych przeżyć, myśl zachowana gdzieś w uszkodzonych nerwach. Jezioro, jej jezioro. Gdyby nie było tak zimno, gdyby nie była to wigilia Bożego Narodzenia, może ktoś by ją zauważył. Zostałaby zlokalizowana przez radar małego miasteczka, gdzie każdy wszystko wie o innych. Ale wybrała zły dzień na spacer.

Pobiegłem ścieżką, ocierając się o gałęzie drzew.

Do domu, do samochodu.

Prowadząc wóz, czułem, jak narasta we mnie pobudzona adrenaliną pewność. Jest tam, wiedziałem. Pędziłem drogą pocztową. Byłem policjantem, tym razem prawdziwym, spieszącym do nagłego wypadku.

O zmierzchu znalazłem ją skuloną na gruntowej drodze okrążającej jezioro. Balangowicze dojeżdżali tą drogą do wynajętych letnich domków. Zimą była zupełnie pusta i znajdowała się na tyle daleko od domu, że nikt nie pomyślał, aby tutaj szukać mojej mamy. Nikt nie pomyślał, że mogła dojść tak daleko.

Ukląknęłam i objąłem ją ramionami. Dygotała. Przycisnąłem ją mocno. Wargi miała zimne, oczy przerażone.

W mroku woda sprawiała wrażenie całkiem czarnej. Jezioro, nad którym spędziliśmy tyle radosnych chwil, teraz było groźne, lodowate i niedostępne.

Zaniósłem mamę do samochodu, aby ją ogrzać.

— Z... zgubiłam się. — Szczękała zębami, wargi i język miała zeszywniałe.

— Mamo, byłaś tutaj dziesięć tysięcy razy.

— Zgubiłam się.

Zrozumiałem, że miała na myśli coś więcej. Chodziło nie tylko o to, że się zgubiła, że była o włos od śmierci. Dostrzegła przerażający rozwój swojej choroby, przed którą nie było ucieczki. Zapomni wszystko, czego się kiedykolwiek nauczyła — nawet tak niemal instynktownych czynności jak przeżuwanie i połykanie jedzenia, jak mówienie, panowanie nad czynnościami fizjologicznymi. A potem przyjdzie nieunikniony koniec, kiedy mózg utraci zdolność regulowania podstawowych czynności organizmu, kiedy zostanie przykuta do łóżka i w końcu umrze w wyniku ustania pracy serca, z powodu infekcji, niedożywienia lub zapalenia płuc. Na szczęście matka zmarła, zanim doświadczyła pełnego wyniszczenia spowodowanego przez chorobę. Jednak to, co przeżyła w dzień wigiliny, leżąc na zamarznętej gruntowej drodze, było jeszcze gorsze. Uświadomiła sobie, że taki będzie jej koniec, bo jej mózg zatyka się płytkami miażdżycowymi, a dziesiątki tysięcy komórek nerwowych zaczynają się wyłączać, gasnąć jak światła tonącego statku. Jej ciało, już bez mózgu, mogłoby żyć jeszcze przez wiele lat, może przez dziesięciolecia. Bełkocząca, otępiała. Głupia.

— Co... mam robić?

— Nie wiem, mamo.

Gdy kilka minut później przyjechał tata, otworzył drzwi samochodu tak, jakby miał zamiar wyrwać je z zawiasów. Przytulił głowę do jej karku i pocałował ją, mruczając:

— Jezu, Annie!

Następnego dnia zrezygnowałem z uczelni i rozpocząłem pracę w komendzie policji w Versailles.

W końcu musiałem zajrzeć do wnętrza chaty. Stanowiła wielką pokusę, owinięta wesolutką żółtą taśmą policyjną niczym wielki prezent, czekający tylko, aby go otworzyć. Gospodarze Teleturnieju już ją przetrząsnęli i zabrali wszystko, co choć trochę mogło okazać się istotne. Co się stanie, jeżeli tylko zerknę? W środę po południu, piętnastego października, poddałem się.

Ponieważ sam wyłamałem zamek, kiedy znalazłem ciało, łatwo było odchylić taśmę i otworzyć drzwi. Kwaśny odór drapał w nosie, ale nie odrzucił mnie już tak jak cztery dni temu. W podłodze widniały dziury w miejscach, z których wypłowiano deski zabrane do analizy. Pozostawiono zarys leżącego ciała, wykonany nie kredą, ale małymi szyszeczkami, zapewne żeby nie naruszać znajdującej się pod spodem powierzchni. Gdy moje oczy przywykły do półmroku, zobaczyłem rozbryzgi krwi. Krew była wszędzie, aż trudno pojąć, jak wiele jej mogło pomieścić się w jednym ciele. Na ścianach dostrzegłem smugi proszku używanego do wykrywania odcisków palców i śladów krwi. Gdzieś w mroku brzęczał bez ustanku jakiś owad, niczym mały samolot z uszkodzonym silnikiem.

Obszedłem wnętrze chaty, uważając, by nie poruszyć żadnej szyszki, żadnego oznakowania. Trudno też wyobrazić sobie, jak wiele płynu zawiera ludzka głowa. Czaszka Danzigera pękła jak balon wypełniony wodą. Obok ciała podłoga była pokryta grubą warstwą tworzącą ciemny owal obramowany dużymi rozbryzgami. Dalej od ciała krew utworzyła delikatną mgiełkę na ścianach. Wyciągnąłem palec, żeby dotknąć tych kropelek, przypominających znaki alfabetu Braille'a.

— Hm, hm — rozległ się głos za moimi plecami. — Nie robiłbym tego.

Moja dłoń zamarła dwa centymetry od ochlapanej krwią ściany.

Odwróciłem się i zobaczyłem w drzwiach bardzo wysokiego, szczupłego mężczyznę. Był oświetlony od tyłu i trudno było dostrzec rysy jego twarzy. Miał na sobie flanelową kurtkę i czapkę, która nadawała mu wygląd dokera, jednego z tych twardzieli, którzy pobili Marlona Brando w filmie *Na nabrzeżach*.

— Jestem gliną.

— Nic mnie to nie obchodzi. Możesz być samym J. Edgarem Hooverem, ale jeżeli dotkniesz krwi, zmienisz wygląd miejsca przestępstwa.

— Niczego nie dotknąłem.

— Niczego nie dotknąłeś? Synu, maszerowałeś tu jak po placu apelowym. Nie masz bladego pojęcia, czego dotykałeś.

Wycofałem się po własnych śladach tak samo ostrożnie, jak wchodziłem do chaty.

— Nie przewróć niczego — poradził wysoki mężczyzna, na którym

najwyraźniej nie zrobiło to wrażenia.

Na pokrytym sosnowymi igłami podwórzu przedstawiłem mu się:

— Nazywam się Ben Truman. Jestem tu szefem policji.

— Wkrótce stracisz to stanowisko, jeżeli będziesz tak postępować. Czy w szkole niczego cię nie nauczyli?

— Historii.

— Historii...

Przez chwilę obaj milczeliśmy, rozmyślając nad niestosownością mojej edukacji.

— Czego pan tu chce? — zapytałem.

— Rozejrzeć się.

Zawahałem się.

— Wszystko w porządku — rzekł. — Ja też jestem gliniarzem.

— Pracuje pan nad tą sprawą?

— Nie, nie. Po prostu przyszedłem rzucić okiem.

— No dobra. Tylko niech pan nie wchodzi do środka. To nie plac apelowy.

Stał na progu chaty, uważnie oglądając jednoizbowe wnętrze. Ani na chwilę nie wyciągnął rąk z kieszeni kurtki. Lustracja trwała minutę lub dwie. Potem odwrócił się gwałtownie, podziękował mi i odszedł.

— Chwileczkę! — zawołałem za nim. — To już wszystko? Sądziłem, że chce pan się rozejrzeć.

Spojrzał w moją stronę.

— Właśnie to zrobiłem.

— Ale przecież niczego pan stamtąd nie mógł zobaczyć.

— Oczywiście, że mogłem.

Mrugnął do mnie z uśmiechem i ponownie odwrócił się, chcąc odejść.

— Niech pan sekundę poczeka. Przyjechał pan tutaj, żeby tylko... Kim pan właściwie jest?

— Już pan wie. Jestem policjantem. Ściślej biorąc, emerytowanym policjantem. Powiadają jednak, że emerytowany policjant jest jak emerytowana kurwa, która może przestać pracować, ale zawsze pozostanie kurwą. A ty i ja zawsze będziemy policjantami. Taki charakter pracy, Benie Truman.

Stał z rękami w kieszeniach, czekając na następne pytanie.

Czułem się zdezorientowany jego żartem, którego sens nie od razu zrozumiałem, a także archaicznym określeniem „policjant”. Słowo to zostało zastąpione przez bezpłciowe określenie „funkcjonariusz policji” lub slangowe, nieco pogardliwe „gliniarz”? „Policjant” należy do przeszłości i kojarzy się z facetem w bluzie z mosiężnymi guzikami. Człowiek, który użył tego określenia,

miął sześćdziesiąt pięć, a może siedemdziesiąt lat. Pewnie używał również innych archaizmów: „dziewczyna” w stosunku do dorosłej kobiety, „tenisówki” zamiast adidasy.

— No cóż — powiedział. — Życzę powodzenia.

Najwyraźniej uznał, że ja prowadzę tę sprawę. Początkowo ucieszyłem się z tego nieporozumienia. Poczulem się kimś ważnym. Ale wiedziałem, że mam bardzo słabe pojęcie o tym, co powinien robić detektyw z wydziału zabójstw. A jeżeli ten gość był detektywem... cóż szkodzi zapytać?

— Co pan tam zobaczył?

Po wyrazie jego twarzy można było poznać, że domyślił się, iż nie jestem z wydziału zabójstw. Zmarszczył brwi. Nie przyjechał tutaj, aby prowadzić nowicjusza za rączkę.

— Tyle samo co ty. Tylko po tym nie chodziłem.

— Mówiłem już, że na nic nie nastąpiłem. I tak nie było tam nic ciekawego.

— Nie? Więc powiedz mi, co się tam stało?

— Zastrzelili faceta.

— No tak, oczywiście. A co potem?

— Potem?

— Facet został zastrzelony, a potem ciało zostało przesunięte. Musisz domyślić się dlaczego.

— Skąd pan wie, że ciało zostało poruszone?

— Wiem, bo patrzyłem.

— Co pan tam zobaczył? Niech mi pan pokaże.

— Pokazać ci? Dlaczego?

— Ponieważ jestem ciekaw. Po prostu... interesują mnie różne rzeczy.

— Podobno jesteś policjantem. — Przyglądał mi się przez chwilę. — Dobra, chodź tutaj. — Podeszliśmy do drzwi. — Powiedz, co widzisz.

— Widzę chatę z mnóstwem krwi w środku. Kilka szyszek w miejscu, gdzie były zwłoki. Znaki, wskazujące miejsca, w których znaleziono przedmioty.

— Tak, to oczywiste. Ale co tu nie pasuje? Co jest nie na miejscu?

Patrzyłem, ale nic takiego nie widziałem.

— Spójrz na krew. Na rozbryzgi.

Gapiałem się posłusznie na barokowe wzory plam.

— Co wiesz o wzorach rozbryzgów krwi?

— Ja nigdy nie...

— Nie ma w tym nic tajemniczego. Kiedy krew albo jakaś inna ciecz spada prosto na dół, rozpryskuje się równomiernie. Otrzymujemy plamę przypominającą krąg otoczony rozbryzgami, identycznymi ze wszystkich stron.

Ale jeżeli pada pod kątem, zamiast okrągłej plamy otrzymujemy kształt kropli. Grubszy koniec łezki znajduje się w miejscu, w którym upadła, a następnie zwęża się, staje się coraz cieńsza w miarę oddalania się od tego punktu. Z plam można odczytać wiele rzeczy. Jeżeli masz na podłodze okrągłą kałużę, wiadomo, że krew skapnęła pod wpływem siły ciężkości. To się nazywa krwawieniem pasywnym. Ranna ofiara pozostawia mnóstwo takich śladów, kiedy się porusza, a krew kapie z jej ran. Tutaj jest ich niewiele, ponieważ denat zginął natychmiast. Ale popatrz na tamte plamy, te, które przypominają ogony komet. Widzisz? Wyglądają jak szyszki. Są poza rozbryzgami krwi. Ciało nie mogło tam upaść. Rozmieszczenie tych szyszek sugeruje, że krew leciała w stronę ofiary, co oczywiście jest niemożliwe. Tak więc ciało najpierw upadło, a potem zostało przesunięte.

— Może pocisk popchnął go w tym kierunku po rozbryźnięciu się krwi?

— Nie, nie. — Pokręcił głową. Nie traktował mnie z góry, jak jakiegoś przygłupka. Zorientował się że jestem młodym gliniarzem, który musi się jeszcze dużo uczyć. — Oglądałeś za dużo filmów, Benie Truman. W kinie człowiek stoi jak słup, a kiedy zostaje trafiony, pocisk rzuca go na ścianę. Gówno prawda. Pocisk nie może tego zrobić. Ciało ludzkie jest jak worek z piaskiem, który pochłania siłę uderzenia. Pocisk jest za mały i ma za dużą siłę przebicia, żeby rzucić człowieka w jakimkolwiek kierunku. Jeżeli ktoś stoi nieruchomo i zostaje trafiony, pada prosto na ziemię. Ale jeżeli ucieka i zostaje trafiony w plecy, upadnie do przodu. Pod wpływem siły bezwładności. Danziger nie mógł upaść z niewłaściwej strony plam. A więc ciało zostało przesunięte i możemy założyć, że dokonał tego morderca.

Zaakcentował swoje słowa wzruszeniem ramion, jakby była to sprawa całkiem oczywista.

— Kim pan jest?

— Nazywam się John Kelly.

— Był pan policjantem? Gdzie? Jak długo?

— W Bostonie. Trzydzieści siedem lat.

— Był pan detektywem od zabójstw?

— Między innymi.

— I znał pan tego Danzigersa? Dlatego pan tu jest?

— Spotkaliśmy się. Niech spoczywa w pokoju.

— Co pan teraz robi?

— Mówiłem już, jestem na emeryturze. Oglądam baseball z satelitarnej talerza. Telefonuję do mojej córki. O piątej piję whisky.

— Proszę powiedzieć mi coś więcej o tym. — Wskazałem palcem w stronę

chaty.

— A co chciałbyś wiedzieć?

— Wszystko.

— Hm. Jeżeli ciało zostało przesunięte w taki sposób, oznacza to zazwyczaj, że scena zbrodni została zafałszowana. Zabójca próbował sprawić, żeby wyglądało to na coś innego niż morderstwo — na wypadek, samobójstwo, w każdym razie na coś, co może zbić z tropu prowadzących dochodzenie. Oczywiście mordercy zawsze popełniają błędy, ponieważ niewiele ludzi wie, jak rzeczywiście wygląda miejsce, w którym ktoś popełnił samobójstwo albo zginął w wypadku. Uważają, że wszystko wiedzą z filmów. Właśnie dzięki temu można ich złapać. Należy szukać takich szczegółów, jak na przykład rozbryzgi krwi.

Poczułem dreszcz podniecenia. Kelly umiał interpretować fakty jak nikt inny — ani Kurth, ani Gospodarz Teleturnieju. Rozwikłanie tego morderstwa nie wydawało mi się już tak trudne. Dla eksperta analizującego błędy zabójcy cała sprawa musiała wydawać się dość prymitywna. Zdziwiający, ale ucieszył mnie ten fakt.

— Co jeszcze?

— No cóż, wiesz już, że ktoś ustawił scenę, przesunął ciało. A więc następne pytanie brzmi: dlaczego to zrobił? Nie starał się zasugerować, że było to samobójstwo. A więc chyba musiał czegoś szukać. To jedyny powód, dla którego zaryzykował przesunięcie ciała. Czy wskazywało tu coś na jakieś poszukiwania?

— Nie.

— Niczego w wyraźny sposób nie brakowało?

— Nie. Nawet portfel leżał na podłodze, na widoku.

— Ale o coś mu chodziło. W przeciwnym razie by uciekł. Z wyglądu tego miejsca można wywnioskować, że facet użył strzelby na słońce. Czy kiedyś słyszałeś wystrzał w takim małym pomieszczeniu? Ogłusza, rozszarpuje bębunki. Tak więc wyobraź go sobie: w uszach mu huczy, jest obryzgany krwią, podniecony. Powinien myśleć tylko o jednej rzeczy — o ucieczce. Ale nie ucieka. Zostaje, dotyka ciała, przesuwają je, żeby coś znaleźć. Cholernie wielkie ryzyko. Morderca za wszelką cenę chciał dostać to, co miał Danziger. Zostawił odciski palców?

— Nie.

— W takim razie twój człowiek wiedział, co robi. Nie był nowicjuszem. Musiał wszystko sobie zaplanować. Nie ma innego wytłumaczenia na to, że we wrześnie włożył rękawiczki.

Stałem plecami do Kelly'ego, patrząc w głąb chaty, a potem odwróciłem się w jego stronę.

Kelly natychmiast się cofnął. Potem przekonałem się, że miał taki zwyczaj. Nie chciał przytłaczać rozmówców swoim wzrostem. Wysocy ludzie zazwyczaj postępują całkiem inaczej. Stają na tyle blisko, żeby pokazać rozmówcy, jak bardzo nad nim górują. Jednak Kelly świadomie rezygnował z przewagi, jaką dawał mu jego wzrost. Już wtedy wyczułem w nim jakąś niezwykłą łagodność. Choć jest dla mnie bohaterem tej historii, muszę przyznać, że w jego postaci nie było nic heroicznego.

— Ustal, czego twój człowiek szukał, dlaczego przesunął ciało, a wtedy go znajdziesz.

Pokręciłem głową. Czułem się zagubiony, zdenerwowany całą tą sprawą. Jej realnością, bliskością.

— Nie miej takiej beznadziejnej miny, Benie Truman. To nie żadna filozofia. Wszystko wyjaśnisz.

— Nie prowadzę tej sprawy. Po prostu zastanawiam się, jak ktoś mógł coś takiego zrobić. Dlaczego?

— Dlaczego? — Kelly popatrzył na chatę. — A więc udzielię ci pierwszej lekcji. Jest sześć motywów morderstwa — gniew, strach, chciwość, zazdrość, żądza, zemsta. Należy na wstępie ustalić, który z nich pasuje do tego przypadku. Nie ma czegoś takiego jak morderstwo bez motywu. Nawet psychopata ma motyw, dla niego całkiem racjonalny. Każdy morderca ma motyw — oświadczył Kelly. — To podstawowa zasada.

— Myślałem, że podstawową zasadą jest „nie czyni drugiemu, co tobie nie miłe”.

— Dla księży, nie dla policjantów. — Puścił do mnie oko. — My mamy nasze własne zasady.

Odwrócił się i ruszył w stronę toyoty corolli, samochodu tak małego, że trudno było sobie wyobrazić, jak się tam zmieści. Ale jakoś mu się udało.

Gdy wróciłem na posterunek, zastałem tam ojca. Masował sobie kark, pochylając głowę w lewo i w prawo, jak powolny metronom. Nie przywitał się ze mną, kiedy wszedłem, tylko zapytał:

— Co zrobiłeś z moim fotelem?

Mebel, o który pytał, był gigantycznym obrotowym fotelem z imitacji skóry, z mosiężnymi nitami. Zamówił go w Nowym Jorku i przez ponad dwadzieścia lat dosłownie odcisnął na nim swój ślad.

— Odstąpiłem go Lincolnowi, który zmęczył się staniem na dole.

— Pytam poważnie. — Ton jego głosu nie nastrajał do żartów. — Gdzie mój fotel?

— Dałem go Bobby'emu Burke'owi. Ma znaleźć kupca.

— To był mój fotel.

— Nie, należał do posterunku.

Pokręcił z rozczarowaniem głową. Jego syn niczego nie rozumiał.

Od chwili odkrycia zwłok rzadko widywałem tatę. O ile mogłem się zorientować, prawie nie wychodził z domu. Zajmował się rąbaniem polan drewna — przygotowanych przez niego polan wystarczyłoby, żeby ogrzać Manhattan w czasie kilku zim — i gapieniem się w telewizor. Nie znalazłem już żadnych butelek ani nie zauważyłem, żeby był pijany. Chociaż nie wyglądał też na całkowicie trzeźwego. Nie mogę wykluczyć, że przemycał do domu piwo albo coś jeszcze gorszego. Ciągle był w szoku spowodowanym nie tyle samą śmiercią mamy — obaj wiedzieliśmy aż za dobrze, że koniec się zbliża — ile jej nieobecnością, świadomością, że zniknęła na zawsze. Sam też odczuwałem coś takiego.

Usiadłem przy biurku. Przez wiele lat był to pokój mojego ojca i gdy zająłem jego miejsce na stanowisku szefa policji, poza usunięciem fotela dokonałem niewielu zmian. Zdjąłem tylko zawieszoną przez niego tabliczkę z napisem: „Skargi proszę wkładać do dziury z tyłu” — dziwne poczucie humoru taty — poza tym wszystko wyglądało niemal tak jak dawniej.

— Czy przyszedłeś tutaj odwiedzić swój fotel? — zapytałem. — A może chciałbyś jeszcze o czymś pomówić?

— Dobrze wiesz, że chcę porozmawiać.

Jednak po chwili jakby zapomniał, po co tu przyszedł. Bez słowa krążył wokół pokoju.

— Przez wiele lat obtłukiwałem tu sobie dupę.

Użalanie się nad sobą nie pasowało do Claude'a Trumana, nawet w jego obecnym, godnym pożałowania stanie. Poza tym przez te wszystkie lata

zazwyczaj to on tłuł dupy innym ludziom.

Upłynęła jeszcze chwila, zanim przeszedł do rzeczy.

— Co się dzieje z tą sprawą?

— Prowadzi ją prokurator generalny. Sądzą, że to ktoś z gangu.

Mruknął coś pod nosem.

— Danziger zamierzał go oskarżyć — wyjaśniłem.

— A co z tobą? Dali ci już coś do roboty?

— Nie.

— Musisz wziąć w tym udział, Ben, nie masz wyboru. Nie możesz tak po prostu nic nie robić.

— Wiem.

— Jesteś szefem policji. Jakiś facet z nizin przyjeżdża tu i daje sobie odstrzelić łeb...

— Dobra, tato, rozumiem.

— Co jeszcze wiedzą?

— Tato, ta historia już cię zupełnie nie dotyczy. Trzymaj się od niej z daleka.

— Po prostu pytam. Czy nie mogę się interesować pracą mojego syna?

— Nie jestem pewien, co wiedzą. Nie składają mi meldunków, ale mówią, co mam robić.

Uśmiechnął się krzywo.

— Nie zaczynaj ze mną, tato.

— Kto jest podejrzany?

— Harold Braxton. Mam tu jego zdjęcie.

Zerknął na fotografię.

— Co to za jeden?

— Wiem tylko tyle, że jest gangsterem z Bostonu. Przypuszczam, że handluje narkotykami. Jeden z detektywów stamtąd powiedział, że to wygląda jak jego...

— Miałem zamiar użyć określenia „M.O.” (*modus operandi*), ale ten termin zabrzmiałby w moich ustach fałszywie, jak z kiepskiej sztuki o gliniarzach. — Że to w jego stylu.

— Co jeszcze?

— Czemu pytasz?

— Bo chcę wiedzieć.

— Tato, czemu po prostu nie pozwolisz mi zajmować się moją robotą?

— Bo nie wiesz, jak to robić.

— Dobra, tato, posłuchaj. Właśnie spotkałem pewnego gliniarza. Uważa, że zwłoki zostały przesunięte, może zabójca czegoś szukał. To naprawdę wszystko, co wiem.

— Musisz trzymać rękę na pulsie. Niepозwól sobą pomiatać, Ben.

— Wiem, tato. Razem zawsze będziemy górą.

— Tak jest — potwierdził.

— Dobra, tato, nie martw się, kontroluję sytuację.

Obserwowałem, jak zmierza w stronę drzwi. Patrząc na niego z tyłu, odniosłem wrażenie, że ma na sobie zbyt luźne ubranie. Koszula nie była napięta na plecach jak dawniej, spodnie obwisły. Kurczył się w sobie, zanikał w atmosferze pozbawionej obecności żony.

— Jak się czujesz, Claude?

Po raz pierwszy zwróciłem się do niego po imieniu. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Może nagle zrozumiałem, jak bardzo cierpi? Ale on nie chciał mego współczucia.

— Nie martw się o mnie, Ben. Po prostu rób swoje — powiedział.

Gdy wyszedł, pokręciłem głową. Mimo wszystko Claude Truman niewiele się zmienił.

„**Razem zawsze będziemy górą**”. To jedno z ulubionych powiedzonek taty. I moich również. Gdy powróciłem do Versailles, bo stan mojej matki się pogorszył, stało się ono rodzinną zasadą.

Ludzie przychodzili na posterunek, żeby informować nas na bieżąco, co się dzieje. „Annie wyszła i siedzi w altance” — mówili. Albo: „Właśnie widziałem, jak twoja matka szła w stronę jeziora”. Mogliśmy śledzić jej ruchy, nie opuszczając posterunku. Mówiąc szczerze, dopóki mama nie zachorowała, nie była specjalnie lubiana w Versailles. Mieszkała tu ponad dwadzieścia parę lat, a mimo to większość mieszkańców miasta traktowała ją jak obcą. Jednak gdy zachorowała, wszelkie urazy poszły na bok i miasto okazało jej prawdziwie szczerą życzliwość. Jeżeli znajdowaliśmy przed drzwiami frontowymi owinięty w aluminiową folię obiad, nie było przy nim karteczki informującej, kto go tam zostawił, jakby nie wypadało liczyć na wdzięczność.

Oczywiście są granice tego, co mogą zrobić inni. Choroba obciąża przede wszystkim rodzinę. Tata i ja po raz pierwszy byliśmy zmuszeni działać wspólnie, co oznaczało, że Szef przydzielił mi dziewięćdziesiąt procent domowych obowiązków. Razem z mamą robiłem pranie, gotowałem posiłki, chodziłem na zakupy, wykonywałem wszystkie czynności, którymi zdawała się cieszyć, ponieważ przedłużały złudzenie zwykłego życia. W miarę jednak, jak jej stan ulegał pogorszeniu — a zmiany następowały o wiele szybciej, niż przypuszczałem — tato zademonstrował takie cechy swojej osobowości, jakich nigdy dotąd u niego nie widziałem. Claude Truman przy ludziach trzymał żonę za rękę. Wnosił na górę, gdy zasnęła na sofie. I woził ją aż do Portland, aby

załatwić modne okulary.

Pewnego popołudnia — parę lat po moim powrocie do domu — znalazłem mamę w pokoju telewizyjnym.

— Co słyhać? — zapytałem.

— Właśnie był tutaj.

— Kto?

— Kennedy.

— Kennedy?

Kiwała głową.

— Który?

— Bobby.

Bobby zawsze był jej ulubieńcem.

— Chcesz powiedzieć, że był w telewizorze, prawda? Zobaczyłaś go na ekranie.

— Nie.

— Mamo, chcesz powiedzieć, że widziałaś go w telewizorze.

— Nie!

Powinienem był zmienić temat. Kto wie, co naprawdę działo się w jej głowie? Ale nie zrobiłem tego. Roześmiałem się i w idiotyczny sposób zażartowałem, że widziała go odjeżdżającego z Marilyn Monroe.

Posmutniała i odwróciła się ode mnie.

— Och, daj spokój, mamo. To przecież śmieszne, prawda?

— Ciii!

— Nie chciałem zrobić ci przykrości.

— Ciii!

Patrzyła w telewizor. Był nastawiony na całodobowy program informacyjny CNN. Mówiono o jakimś kryzysie. Czy ktoś wspomniał Kennedy'ego? Nie wiedziałem.

Tato musiał usłyszeć, że zapada cisza. Wszedł do pokoju i zapytał, co się dzieje. Kiedy mu powiedziałem, ukląkł koło niej i zaczął coś szeptać jej do ucha. Uśmiechnęła się nieśmiało i odchyliła się trochę, jakby jego oddech łaskotał ją w ucho. Wyglądali jak nastolatki.

To, że ojciec był zdolny do takiej czułości, było dla mnie objawieniem, chociaż, jak sądzę, mama doskonale o tym wiedziała. Pewnego razu, w czasie jednego z naszych codziennych spacerów wokół jeziora, zapytałem ją, na co przede wszystkim zwróciła uwagę u Claude'a Trumana. Na jego siłę? Wygląd? Agresywność? „Na to, że ma serce. Dostrzegłam to od razu. Nigdy mnie nie oszukał”. Parsknąłem śmiechem. Równie dobrze można byłoby powiedzieć, że

Wenus z Milo podoba się ludziom, bo ma piękne ręce. „On poświęciłby dla ciebie życie, Ben. Powinieneś o tym wiedzieć. Twój ojciec bez wahania rzuciłby się dla ciebie pod koła samochodu” — powiedziała.

Dwadzieścia cztery godziny po wizycie Johna Kelly'ego siedziałem w bronco, starając się dostroić do stacji WBLM Sterowiec na częstotliwości 102.9 z Portland. Sygnał docierał z zakłóceniami, blokowany przez wzgórza wokół jeziora. Pojawiał się i zanikał. Mick Jagger odstawiał rap białego chłopaka o „szczurach na West Side, pluskwach w śródmieściu”. Gdy moje palce kręciły gałką, oczy rejestrowały widok za przednią szybą — nabrzeżną drogę, która zbiegała w dół wzgórza i znikła w wodzie. Był to slip dla łodzi, gdzie w lecie balangowicze spuszczali na wodę swoje sunfishe i whalery. Wyglądał jak skrót po dnie jeziora, rampa wjazdowa na podwodną drogę, która mogłaby wyłonić się na przeciwległym brzegu. Mój wzrok przesunął się wzdłuż drogi, aż do wody. Jej powierzchnia zmarszczyła się pod uderzeniem wiatru, a potem, kiedy ucichł, wygładziła się znowu, jak obrus, po którym przesunęła się niewidzialna dłoń. Właśnie w czasie jednej z tych bezwietrznych chwil pojawiła się żółta plama. Usiłowałem zapamiętać to miejsce, ale wiatr znowu przemknął po powierzchni i żółty obiekt zniknął. Wyłączyłem radio i patrzyłem, opierając brodę o kierownicę. Nic to nie dało. Powierzchnia jeziora nie chciała się uspokoić.

Wysiadłem i podszedłem bliżej. Woda z pluskiem uderzała o brzeg. Jakaś ryba wygrzewała się w słońcu na płyčynie. Miała ze czterdzieści pięć centymetrów długości, była ciemna z czarnymi lamparcimi plamami na grzbiecie. Stała w wodzie, tłusta i leniwa, czekając na zimę. Gdybym chciał, mógłbym wyciągnąć rękę i ją schwycić. Kilka metrów dalej biała skała sterczała z piasku niczym kość. A potem woda poczerniała.

Stałem tam przez jakiś czas, próbując dostrzec to, co jezioro skrywało przede mną. Należało koniecznie zachować ostrożność, zrobić wszystko prawidłowo. Żółta plama pojawiała się od czasu do czasu, niewyraźna i bezkształtna. Może to skała? Minęło trochę czasu, zanim jezioro postanowiło otworzyć się i pokazać mi to wyraźnie — tył hondy, matowożółty, z tablicami rejestracyjnymi Massachusetts, w odległości trzech do pięciu metrów od brzegu.

Dickowi Ginoux udało się podpłynąć małą łodzią wiosłową nad zatopiony samochód i zaczepić o niego grubą, postrzępioną linę. Umocowaliśmy jej drugi koniec do haka holowniczego bronco, ale wypełniona wodą honda była ciężka, jakby odlano ją z betonu. Dwa pojazdy toczyły pojedynek w przeciąganie liny. Bronco starał się, jak mógł. Jego koła wyrzucały fontanny piasku i sosnowych igieł, zanim wreszcie znalazły przyczepność i oba samochody razem ruszyły z miejsca. Honda wyłoniła się na powierzchni jakieś dwa i pół, trzy metry od brzegu. Woda wypływała kaskadami z otwartych okien. Siedząc za kierownicą

bronco, ciągnąłem ją, aż znalazła się nadrodroje dojazdowej, a potem pobiegłem do niej, aby zablokować koła, zanim siła ciężkości ściągnie ją z powrotem do jeziora.

Honda wciąż pluła wodą. Kiedy poziom wody opadł poniżej okien, znalazła szczeliny w uszczelkach drzwi i w podłodze. Teraz strumyczki tryskały spod drzwi. Wnętrze oblepione było czarnym jeziorowym mułem i wodorostami.

Dick popatrzył na wodę, której wciąż pełno było w samochodzie, i stwierdził:

— Zobacz jaka szczelność. Te japońskie samochody to jest coś.

— Robią je w Ohio — poinformowałem go.

— Ale są japońskie.

Dick otworzył drzwi od strony kierowcy, uwalniając falę wody, która wylała mu się na buty. Ze złością otrząsał je, tupiąc.

W samochodzie pomiędzy oparcie kierowcy a tylne siedzenie była wciśnięta duża, przypominająca walizkę teczka. Wyciągnąłem ją stamtąd i trzymałem, czekając, aż wyleje się z niej woda. Potem usiadłem w otwartych drzwiach bagażowych bronco. Walizka pełna była kartonowych teczek.

Dick zajrzał mi przez ramię.

— Lepiej sam je stamtąd wyciągnij, szefie — powiedział. Dick zawsze zwracał się do mnie tak oficjalnie, jeżeli chciał, żebym coś zrobił.

Wyciągnąłem najgrubszą teczkę. Beżowa tektura była nasiąknięta wodą. Położyłem ją na dywaniku bagażnika delikatnie, niczym relikwię. Na okładce teczki widniały drukowane rubryki do wypełnienia: „Oskarżony, Współoskarżeni, Adres, Artykuł, Kaucja, Data, Uwagi”. Znajdował się tam też stempel „Specjalna Jednostka Dochodzeniowa”. Sporządzone ręcznie napisy na teczce były mało czytelne, atrament się rozpląnął.

Dick przymrużył oczy, usiłując odczytać nazwisko oskarżonego.

— Gerald McNeese, vel G, vel G-Money, vel G-Mac. Dużo nazwisk. Powinien wybrać sobie jedno i się go trzymać.

W rubryce z nagłówkiem „Współoskarżeni” Dick odczytał kolejne nazwiska: Harold Braxton, June Veris.

— June Veris to mężczyzna czy kobieta? — zapytał.

Obok każdego nazwiska widniały litery OM. Były obwiedzione kółkiem. Dużymi literami na okładce teczki ktoś napisał: „Data procesu: 10-6”.

Dokumenty w teczce dobrze się zachowały. Znajdowały się tam meldunki bostońskiej policji sporządzone na różowym papierze i kilka żółtych druków z prokuratury. W znajdującej się w środku dodatkowej teczce, oznakowanej „Otwarcie”, było kilka przemoczonych żółtych kartek. Odczytałem kilka niewyraźnych słów: „Park Echo, heroina”. Na wnioskach sądowych widniał

podpis Danziger. Notatki Roberta Danziger zachowały się lepiej. Na jednej można było wyraźnie odczytać: „Telefon do Gittensa: Gdzie jest Ray Rat?” Na wewnętrznej części okładki znajdował się sporządzony ręcznie wykres:

„Braxton

Veris

G-Mac [Nieczytelne] Ventry George [Nieczytelne]”

Strzałki prowadziły od G-Maca przez Verisa do Braxtona. Był to najwyraźniej trop, którym chciał podążać Danziger — prosto do góry.

Kluczyki hondy wciąż znajdowały się w stacyjce, przymocowane do kółka, na którym było jeszcze kilanaście innych kluczy. Fotel kierowcy został odsunięty maksymalnie do tyłu, chociaż Danziger nie mógł mieć więcej niż metr siedemdziesiąt pięć wzrostu. W samochodzie pozostawiono buty do biegania, duży atlas samochodowy i walizkę.

Dick sprawdził tablice przez komputer. Honda należała do Roberta M. Danziger z West Roxbury w stanie Massachusetts. Przepuścił również przez komputer Narodowego Centrum Dochodzeń Kryminalnych nazwiska z teczki Danziger. Rejestr Harolda Braxtona był bogaty — między innymi wyrok za napaść z usiłowaniem zabójstwa (pięć do siedmiu lat w ZK Cedar Junction) i niewinnienie w sprawie o morderstwo pierwszego stopnia. Przy innych nazwiskach żadnych danych. Oczywiście komputer NCDK znany był ze swojej niedokładności — jeżeli wprowadziło się nazwisko podejrzanego dziesięć razy, otrzymywało się dziesięć różnych wyników. Musiałbym zadzwonić do Bostonu, żeby potwierdzić karalności.

Moje spojrzenie przyciągnęły dwie nalepki na tylnym zderzaku samochodu Danziger. Jedna miała związek z kampanią wyborczą: „Andrew Lowery, prokurator okręgowy”. Na drugiej znajdowała się odznaka Stowarzyszenia Służb Patrolowych Policji w Bostonie i hasło: „Popieram bostońską policję”.

Oczywiście należało przekazać to wszystko Gospodarzom Teleturnieju. Samochód, teczki, wszystko. To była ich sprawa, nie moja. Postanowiłem jednak nie spieszyć się. Ojciec miał rację: to była moja sprawa. Nie mogłem zachowywać się biernie. Miałem obowiązek do spełnienia. Czy mi się to podoba, czy nie, powinienem doprowadzić wszystko do końca.

Domek Johna Kelly'ego koło małego jeziora pod Sebago ukryty był na skraju lasu. Dach kryty cedrowym gontem stapał się z brązowymi pniami drzew i kłującym dywanem igieł sosnowych. Budynek zapewne zniknąłby całkowicie w sosnowym półmroku, zamaskowany niczym zielona żabka na zielonym liściu, gdyby nie biała toyota Kelly'ego i antena satelitarna przed domem. Przejechałem tamtędy dwukrotnie, zanim go znalazłem. Ta jaskinia pustelnika nie była odpowiednim schronieniem dla Kelly'ego, któremu zdążyłem już przypisać cały szereg bohaterskich cech. Wydawało się, że spotkało go w życiu jakieś niepowodzenie i chciał odseparować się od świata.

Przydźwigałem ciężką, ciągle nasączoną jeziorową wodą teczka Danzigerską pod drzwi wejściowe. Okno z prawej strony było pokryte kurzem. Próbowałem przez nie zajrzeć, kiedy zza domku wyszedł Kelly. Trzymał zwiniętą w rulon gazetę.

— O, szef Truman — powiedział.

— Czy mogę coś panu pokazać, panie Kelly?

— Zależy, co to takiego.

— Teczka Danzigerska.

— Hm.

— Chce pan ją obejrzeć?

— Nie.

— Naprawdę?

— Czyżby zamierzał pan zrobić ze mnie świadka, panie Truman?

— Nie, ja...

— A w ogóle skąd pan to ma?

— Znaleźliśmy samochód Danzigerski. Był zatopiony w jeziorze.

— A teraz się pan z tą teczką obnosi? Nie grzebał pan w niej?

Nie odpowiedziałem.

Kelly dłonią o długich palcach pocierał policzki, co wyraźnie świadczyło o jego irytacji. Wyglądał jak ojciec, któremu syn właśnie rozbił samochód.

— Wiem, dokąd zmierza cała sprawa. Mam trop.

— Trop. Czy mogę coś zasugerować? Wracaj do Versaj...

— Versailles.

— Wracaj i zadzwoń do prowadzącego śledztwo, powiedz mu, że znalazłeś samochód Danzigerski i teczkę. Przyślą kogoś po nią.

— Nie chce pan wiedzieć, co znalazłem?

— Nie. Czytałem o tym w gazetach, dziękuję.

— Już otwierałem teczkę. Nie wyrządzimy żadnych innych szkód.

Pokręcił głową.

— Myślałem, że to nie twoja sprawa.

— Bo tak też jest.

— A więc bawisz się w detektywa.

— Nie, jestem tylko ciekawskim obserwatorem.

— I co masz zamiar teraz zrobić jako obserwator?

— Jadę do Bostonu.

— Obserwować?

— Po dodatkowe informacje. Morderstwo miało miejsce w moim mieście. W jakimś sensie jestem więc za to odpowiedzialny.

Kelly uśmiechnął się pobłażliwie i otworzył przede mną drzwi.

— Może jednak najpierw porozmawiajmy.

Wewnątrz ujrzałem delikatne mebelki — na toczonych nóżkach, z szydełkowanymi poduszkami i kwiecistym obiciem. Zapewne przed wieloma laty wybrała je jego żona. Ale teraz nie było żadnego znaku jej obecności. Wyglądało na to, że Kelly mieszka tu sam. Próbowałem, jak zawsze robią to goście, poznać charakter gospodarza na podstawie otaczających go przedmiotów. W saloniku, w którym usiedliśmy, było zaledwie kilka zdjęć i żadnej książki. Kelly miał kolekcję starych winylowych płyt długogrających. Gustował w wielkich orkiestrach i dżezie tradycyjnym: Bing Crosby, Sinatra, Dean Martin, Perry Como, Louis Prima, Louis Armstrong, Aretha Franklin. Na niskiej komodzie stały dwie fotografie. Na starszej, solidnie wyblakłej, widniała mała dziewczynka uwieczniona na marmurkowanym niebieskim tle. Dziewczyna była niezwykle blada, poważna. Ciemne włosy otaczały jej twarz niczym kaptur. Na nowszej fotografii znajdowała się kobieta nieco po trzydziestce, przystojna pomimo surowo zmarszczonego czoła.

— Czy to pańska córka? — Wskazałem fotografie.

— Córki. Ta z prawej to Caroline. A ta... — Podniósł starszą fotografię, rękawem koszuli wytarł ją z kurzu i odstawił z powrotem. — To jest Theresa Rose. Nie żyje.

— Przepraszam...

— Zmarła dawno temu.

Kelly nalał sobie szklaneczkę brązowej whisky. zaproponował również mnie, ale odmówiłem. Mimo to podał mi drinka.

— Weź — powiedział. — Wygląda na to, że tego potrzebujesz.

Wypiłem łyk, z trudem powstrzymując się, żeby się nie zmarszczyć, gdy palący strumyk whisky spływał mi do gardła.

— A więc o czym to mówiłeś, Ben?

Wyjąłem z teczki akta Geralda McNeese'a i położyłem na stoliku do kawy. Kartonowa okładka napęczniała po wymoczeniu w jeziorze.

— Danziger szykował się do oskarżenia tego faceta, Geralda McNeese'a, zwanego G-Mac. Ale to był tylko początek. W rzeczywistości Danziger polował na Braxtona. Zaczął od jednego z mniej ważnych członków gangu, a potem zamierzał iść stopniowo aż do samej góry. Sporządził schemat. Proszę popatrzeć.

Kelly zrobił sceptyczną minę, zupełnie jakbym był szajbusem próbującym przekonać go, że wkrótce nadejdzie koniec świata.

— Szefie Truman, czy słusznie przypuszczam, że nigdy dotąd nie prowadziłeś takiej sprawy?

— No cóż... tak.

— Jaką miałeś najpoważniejszą sprawę?

— Obrażenia ciała.

— Obrażenia ciała?

— W trakcie bójki Joe Beaulieu odgryzł Lenny'emu Kennetowi mały palec. Byli pijani. Nie doszło do procesu. Lenny odmówił złożenia zeznań. Joe był jego przyjacielem i krążyła plotka, że zapłacił Lenny'emu solidną sumę za ten palec... Wiem, że jestem jeszcze zielony. Ale muszę mieć tę sprawę. Jestem tu szefem policji, na dobre i na złe. Nie wybierałem tego zajęcia.

— Jesteś zielony jak trawa — powiedział bardziej do siebie niż do mnie.

— Chyba tak.

— Nad tą sprawą pracują już setki gliniarzy. Wiesz o tym, prawda?

Rozpakował dostarczoną niedawno gazetę — „Boston Herald” — a potem podszedł do stołu po inne poranne dzienniki i po kolei rzucał je przede mną. W „Boston Globe” nagłówek na pierwszej stronie głosił: „Poszukiwania zabójcy prokuratora trwają”. Na kolorowej fotografii Danziger w dużych okularach, nadających mu wygląd sowy, uśmiechał się pod rudymi wąsami. Podpis informował: „Robert Danziger kierował zespołem zwalczającym gangi”. „Herald”, bostoński brukowiec, był bardziej teatralny. Dał wielki tytuł „Obława!” umieszczony nad zdjęciem detektywów w wiatrówkach z literami BKP, przesłuchujących na rogu ulicy grupę czarnych nastolatków. „Portland Press Herald”, a nawet „New York Times” także zainteresowały się tą historią.

Wzruszyłem ramionami i łyknąłem whisky.

— Czego więc ode mnie chcesz? — zapytał Kelly.

— Pomyślałem, że może zechciałby pan pojechać ze mną.

— Do Bostonu?

Kiwnąłem głową.

— Jestem na emeryturze.

— Tak, ale znał pan Danzigera. Poza tym sam pan powiedział, że gliniarz zawsze pozostanie gliniarzem.

— Tak, ale nawet gliniarze się starzeją.

— Może mnie pan wiele nauczyć, pomóc mi.

— W czym?

— Pomóc obserwować sprawę. Może nawet jakoś wziąć w niej udział.

Kelly pokręcił głową i zaczął spacerować po pokoju z drinkiem w dłoni. Podeszedł do fotografii, z której poważnie spoglądała na niego ciemnowłosa dziewczyna.

— Ben, popatrz na mnie. Mam sześćdziesiąt sześć lat. Przyjechałem tutaj, żeby oderwać się od tego, co robiłem przez całe życie. — Odwrócił się, jakby szukając pomocy u małej dziewczynki na fotografii, u zmarłej Theresy Rose Kelly. — Przykro mi.

— Mnie też.

— Wszystko będzie w porządku, Benie Truman. Jesteś dobrym, bystrym gliniarzem.

— W gruncie rzeczy wcale nie jestem gliną.

— Tak się zawsze zaczyna.

Następnego ranka Kelly delikatnie zapukał do drzwi posterunku. Miał na sobie swoją nieodłączną flanelową kurtkę i czapkę.

— Mogę zamienić z panem słówko, szefie Truman? — Zerknął na Dicka, który rozwiązywał krzyżówkę przy biurku dyspozytora. — Na osobności?

Włożyłem kurtkę i wyszliśmy na ulicę. Kelly wyciągnął drewnianą pałkę, którą miał zasuniętą za pasek. Była ciemnobrązowa, z pętlą zakładaną na przegub. Każdy jej centymetr był pokryty szczerbami i zadrapaniami. Kiedy szliśmy, Kelly z roztargnieniem kręcił pałką. Można to robić na dwa sposoby — obracać ją jak śmigło przed sobą albo przy biodrze, jak dziwka bawiąca się boa z piór. Kelly wykonywał oba te ruchy z nieprawdopodobną zręcznością. Kto wie, ile lat praktyki miał za sobą, na ilu patrolach szedł z tą pałką.

— Dali ją panu w centrali?

— Standardowy wzór, Benie Truman. Każdy dobry policjant ma taką. — Kiedy zobaczył, że nie mam pałki, skrzywił się.

— Może ją pan schować — powiedziałem. — Nie sądzę, żeby w tym mieście musiał pan komuś przyłożyć.

— Wcale nie chodzi o to, żeby komuś nią przyłożyć. Jest elementem przedstawienia. Ludzie to lubią. Właśnie dlatego lekarze noszą białe fartuchy.

— A więc nikogo pan tym nie walnął?

— Tego nie powiedziałem. Jednak sens noszenia pałki polega na tym, żeby jej nie używać. Jeżeli nosi się ją we właściwy sposób, nigdy nie trzeba tego robić.

— Nigdy?

— Nigdy.

— W takim razie skąd się wzięły na niej te szramy?

— No dobra, prawie nigdy. — Zerknął na pałkę, jakby do tej pory nie zauważył na niej tych wszystkich zadrapań i wgnieceń. — Gliniarz może być albo wojownikiem, albo negocjatorem. Ja zawsze byłem negocjatorem.

Szliśmy przed siebie. Z okna Sowy patrzył na nas Phil Lamphier. Trzymał w ręku dzbanek kawy, kołysząc jego zawartością. Trudno zgadnąć, do jakiego doszedł wniosku, widząc wysokiego nieznanego człowieka, kręcącego pałką policyjną, robiącego obchód po mieście, które nigdy nie widziało gliniarza na patrolu, i mnie z rękami w kieszeniach, słuchającego go uważnie. Mogłem sobie wyobrazić, jak w czasie lunchu Phil mówi przy kontuarze: „Tak, widziałem Bena tego ranka, jak szedł z wysokim faciem, to było około dziewiętej trzydzieści...” W gorącej atmosferze tych dni każda plotka dotycząca zwłok w domku nad jeziorem była rozbierana na czynniki pierwsze i analizowana do obrzydzenia. Pomachałem Philowi, a on uniósł dzbanek, pozdrawiając mnie w ten sposób.

— Co w takim miasteczku robi gliniarz? — zapytał Kelly.

— Najczęściej czeka.

— Na co?

— Żeby coś się zdarzyło.

— I jak długo czekałeś?

— Mniej więcej trzy lata.

— Byłeś gliną tylko trzy lata i już jesteś szefem policji?

— Nikt się nie ustawiał w kolejce po tę pracę.

Kelly pochylił się, żeby podnieść kawałek papieru, wsunął go do tylnej kieszeni, a potem znowu zaczął młynkować pałką.

— Wiesz, kiedy zaczynałem, moim pierwszym dowódcą był sierżant Leo Stapleton. Przedstawiał mnie wszystkim, chronił przed kłopotami, pokazywał, jak się co robi. Masz kogoś takiego?

— Nie. — Miałem tylko Dicka Ginoux i ojca. — Na pewno nie.

— A więc sam wpadłeś na pomysł, żeby pojechać do Bostonu? Nie omawiałeś tego z nikim?

— Tak.

— Chłopcze, czy masz blade pojęcie, w co się pakujesz?

— Nie bardzo wiem, o czym pan mówi.

Zatrzymał się i szturchnął mnie w mostek końcem pałki.

— Pytam, czy wiesz, co to znaczy mieć do czynienia z facetem takim jak Braxton? Czy wiesz, co się z tym wiąże? Szeffie Truman, czy kiedykolwiek wywieraleś fizyczną presję na podejrzanego?

— Fizyczną presję?

— Tak. Czy stosowałeś siłę fizyczną, aby uzyskać informacje?

— Nie! Oczywiście, że nie.

— A co będzie, jeżeli okaże się to jedynym sposobem, aby ocalić życie niewinnej osoby? Powiedzmy, że podłożono bombę, a podejrzany wie, w którym miejscu. Czy użyłbyś siły, aby zmusić go do mówienia, wiedząc, że ocali to tysiące niewinnych osób?

— Nie wiem. Być może.

— Być może! A czy naraziłbyś niewinną osobę, aby doprowadzić do skazania przestępcy?

— Nie rozumiem.

— Czy zmusiłbyś świadka do złożenia zeznań, gdybyś wiedział, że jeżeli to zrobi, jego życie znajdzie się w niebezpieczeństwie? Zdając sobie sprawę, że doprowadzenie do skazania podejrzanego może ocalić wiele istnień ludzkich?

— Nie wiem. Ja nigdy...

— No cóż, w takim razie lepiej zacznij o tym myśleć, szefie Truman, jeżeli chcesz dorwać faceta takiego jak Braxton. Lepiej dobrze pomyśl, co byłbyś w stanie zrobić.

Popatrzył na mnie przeciągle. A potem cofnął pałkę od mojej piersi.

— Ponieważ nie ma innego sposobu. Nie możesz być dobrym gliniarzem i przestrzegać wszystkich przepisów. To taka nasza maleńka, paskudna tajemnica.

Znowu zaczęliśmy iść.

— Dobrzy gliniarze robią złe rzeczy w dobrym celu. Zli gliniarze robią złe rzeczy w złym celu. Większość gliniarzy chce być dobra, to prawda. Ale trzeba doświadczenia, żeby wiedzieć, jak to robić. Rozumiesz, do czego zmierzam?

— Chce pan powiedzieć, że nie mam doświadczenia, aby pracować nad tą sprawą. Ale ja chcę tylko obserwować...

— Uświadamiam ci, że jeżeli wplączesz się w tę sprawę, najprawdopodobniej zarobisz guza. Albo coś gorszego.

— Coś gorszego? Aha.

Szliśmy dalej.

— Szeffie Truman, przyjechałem powiedzieć to, co w takiej sytuacji miałby mi do powiedzenia Leo Stapleton: nie spiesz się tak na spotkanie z ludźmi pokroju Harolda Braxtona. Sami przyjdą do ciebie w odpowiedniej chwili.

— W takim mieście jak tutaj mam większą szansę na spotkanie kosmatego mamuta niż Harolda Braxtona. Muszę to zrobić. A pan musi mi zaufać.

Kelly zatrzymał się i spojrzał w niebo. Było po jesiennemu jasnoniebieskie. Wciągnął policzki, a potem westchnął przeciągle.

— Dwóch martwych wystarczy.

Miał na myśli ofiary Braxtona — Danzigera i funkcjonariusza z wydziału narkotyków, Artiego Trudella. W tym momencie tylko o nich wiedzieliśmy.

W Versailles nie było oficjalnej roty przysięgi funkcjonariuszy policji, w związku z czym musiałem wymyślić jakąś bzdurę o „sumiennym służeniu obywatelom miasta”, zakończoną słowami: „Tak mi dopomóż Bóg”. Wyszło z tego coś pomiędzy przysięgą prezydencką a przyrzeczeniem skautowym. Sześćdziesięciosześcioletni John Kelly był obecnie młodszym funkcjonariuszem komendy policji w Versailles.

Postanowiliśmy wyjechać w poniedziałek rano. Dzięki temu miałem kilka dni na załatwienie spraw i zapakowanie rzeczy do starego saaba 900 z pękniętą zębatką układu kierowniczego i kilkoma rakowatymi plamami rdzy. Poinformowałem wszystkich, dokąd jadę, ale przedstawiłem wyprawę w możliwie najbardziej różowym świetle. Nie wspomniałem o Oddziale Mission ani strzałach w oko. Po prostu jechałem do miasta, żeby obserwować, monitorować sprawę. Żadnego niebezpieczeństwa. Diane, Phil i cała reszta udawali, że wierzą, ale z podtekstów ich rozmów można było wywnioskować, że wiedzą wystarczająco dużo o Haroldzie Braxtonie i niepokoją się o mnie.

Na czas mojej nieobecności powierzyłem posterunek Dickowi Ginoux. Nie był to idealny wybór. Dick potrafił godzinami szukać okularów, które miał na czole. Ale był najstarszym funkcjonariuszem w komendzie, gdzie nie mieliśmy żadnego Eliota Nessa.

Rano w dzień wyjazdu ojciec wstał wcześnie, żeby się ze mną pożegnać.

— Wiem, dlaczego to robisz — powiedział. — Nie jestem taki stary, żeby tego nie zrozumieć. Bądź jednak ostrożny. — Broda mu urosła. Była niemal całkiem biała. — No cóż, lepiej już jedź, Ben. To długa droga.

Objąłem go. Jakoś skurczył się, był chyba teraz mniejszy ode mnie. Zaskoczyło mnie to. Wciąż myślałem, że jest olbrzymem.

Miałem nieodparte wrażenie, że moje życie od tej chwili całkowicie się zmieni. Po raz drugi wyjeżdżałem z Versailles.

W pewnym sensie klamka zapadła w chwili, kiedy znalazłem zwłoki nad jeziorem.

Część II

*Czy dysponujemy czymś lepszym
niż niejasne przypuszczenie,
aby wykazać, że kodeks karny w obecnej postaci
przynosi więcej dobrego niż złego? (...)*

*Czy postępujemy z przestępcami,
opierając się na właściwych zasadach?*

Oliver Wendell Holmes

Przez półtora roku, kiedy studiowałem w Bostonie, ani razu nie byłem w Mission Flats. Studenci mówili o tej dzielnicy ze znaczącym uśmiechem, ale też z pełnym lękiem szacunkiem. Nazwa Mission Flats była dla nich myślowym skrótem, symbolem. Oznaczała wszystko to, czego obawiają się mieszkańcy miasta: miejscem, do którego nikt nie chciałby zabłądzić ciemną nocą, miejscem, w którym odnajduje się skradzione samochody, gdzie zabłąkane pociski wpadają przez okna, gdzie można załatwić prochy, jeżeli ma się na to ochotę. Ale chociaż tak wiele o niej gadali, w rzeczywistości niewielu widziało ją na własne oczy. Przypuszczam, że w każdym mieście jest taki odizolowany, zdewastowany rejon. Mimo wszystko jednak zadziwiające, jak niewielu bostończyków — szczególnie białych — kiedykolwiek znalazło się w Mission Flats. Dla nich było to miejsce równie odległe jak pustynia Gobi. Gwoli sprawiedliwości należy stwierdzić, że nie ma żadnych istotnych powodów, aby odwiedzać Flats, chyba że się tam mieszka lub pracuje. Dzielnica jest nieduża. Nie ma tu sklepów ani ładnych widoków. Jediną instytucją godną uwagi jest Prezbiteriański Szpital Nowej Anglii, który osiadł na mieliźnie Flats, kiedy w latach trzydziestych, czterdziestych i pięćdziesiątych odpłynęła stąd fala bogactwa. Misja, w której w XVII wieku John Eliot nauczał Indian chrześcijańskich prawd wiary, przestała istnieć dawno temu. A równiny — bagniste, zapowietrzane mokradła wokół Little Muddy River — zostały zmeliorowane przed 1900 rokiem. Rejon ten prowadzi donikąd, zwisa poniżej Franklin Park niczym zgniła gruszka. Funkcjonuje w niemal całkowitej izolacji od reszty miasta. Biali mieszkańcy Bostonu wiedzą o Mission Flats tylko tyle, że na pewno nie chcieliby się tam znaleźć.

Dotarliśmy do wschodniej granicy Flats tuż po południu.

— Chciałbyś się trochę rozejrzeć? — zapytał Kelly i kazał skręcić w szeroką aleję o nazwie Franklin Street. Wzdłuż trotuarów stały takie same szeregowie domy z czerwonej cegły, jakie widać na Back Bay i South End. Kiedy jednak jechaliśmy dalej, pomiędzy zamieszkanymi domami zaczęły pojawiać się wypalone i porzucone rudery. W niektórych miejscach były tylko puste działki zarzucone kamieniami i cegłami. Potem szeregowie bliźniaki zastąpione zostały przez większe budynki, stanowiące zdewastowany kompleks mieszkalny Grove Park. Dalej były sklepy z częściami samochodowymi, punkty realizacji czeków, warsztaty usługowe i parkingi.

— Autobusy wycieczkowe nie zaglądają tu zbyt często — zauważył ironicznie Kelly.

Z Franklin Street zjechaliśmy w labirynt bocznych uliczek. Bloki mieszkalne

zniknęły i wzdłuż chodników widniały teraz domy jedno-, dwu- i trzyrodzinne. Popękane podjazdy, pochylone ganki, złażąca farba, nawet kilka wybitych okien. Dobrze utrzymane domy jedynie podkreślały dewastację pozostałych. Jednak pomimo tego zaniedbania w słoneczny jesienny dzień okolica nie wyglądała szczególnie groźnie. Skrzynka do mleka, przybita do słupa telefonicznego i służąca jako kosz do koszykówki, skrzynki na kwiaty, małe dziewczynki bawiące się skakanką. To nie było siedlisko mętów społecznych, tylko ludzi ubogich. Widziałem już biedę. Nie brakuje jej wśród mieszkających na mokradłach w hrabstwie Acadia, biednych jak myszy kościelne jankesów i przybyszów z Quebecu. Bieda jest biedą.

Wyjechaliśmy z krętych bocznych uliczek i Kelly oświadczył:

— To jest Mission Ave.

Główna arteria, przebiegająca przez Flats, stanowiła ciąg pustych działek zasypanych gruzem i śmieciami. Tu i ówdzie stały budynki mieszkalne pochylone jak oszołomieni po ciosie bokserzy. Ich frontony odarte były z wszelkich mosiężnych czy żeliwnych ozdób, rynien, skrzynek na listy, tabliczek z numerami — z wszystkiego, co można sprzedać. Ktoś wznosił wokół jednego z tych domów ogrodzenie z siatki metalowej, tworząc coś w rodzaju podwórza. Tkwiły w nim śmieci, schwyte niczym ryby w sieć.

— Kiedyś te domy ciągnęły się kilometrami — powiedział Kelly. — Było to całkiem sympatyczne miejsce. Mieszkali tu Włosi, Irlandczycy, Żydzi. Wszyscy się wynieśli.

Minęliśmy osiedle mieszkaniowe Winthrop Village — betonowe bunkry w parku krajobrazowym. Przy wejściu stał z zapuszczonym silnikiem radiowóz policji, a obok niego gliniarz — wielki czarny facet z kozią bródką, w okularach przeciwsłonecznych. Obserwował nas bacznie.

Kelly wskazał graffiti, powtarzający się ciągle identyczny znak — dwie splecione, koślawe litery OM niezgrabnie wymalowane sprayem.

— Ferajna Braxtona — wyjaśnił. — Oddział Mission.

Oddział oznakował wszystko: słupy telefoniczne, trotuary, nawet znaki drogowe.

— Zatrzymaj tutaj. — Kelly wskazał niewielki pawilon handlowy. — Chcę skorzystać z telefonu.

Zniknął w sklepie. Postanowiłem wyjść z samochodu, skorzystać ze słońca i rozejrzeć się. Nie było na co patrzeć. Witryna sklepu miała kolor chodnika, napisy w oknach wyblakły od słońca. Stałem, zginając i rozprostowując ramiona, oparty o parkometr.

Ludzie gapili się na mnie. Chłopak oparty bezwładnie o framugę drzwi.

Bardzo tęga kobieta w gumowych klapkach. Na co się gapią? Byłem jedynym białym na całej ulicy — czy to wystarczało, żeby zwrócić uwagę?

Chłopak tkwiący w drzwiach zaczął iść w moją stronę. Jego twarz była niemal tak jasna jak moja. Miał na sobie nowiutkie białe adidas i luźną bluzę hokejową zwisającą z ramion.

Przyłączył się do niego drugi chłopak. Wielki, gruby, nie zauważyłem go wcześniej. Miał wąskie oczy osadzone w napuchniętej, nalanej twarzy.

— Na co tu czekasz? — zapytał pierwszy chłopak.

— Czekam na przyjaciela. Jest w środku.

Przyglądał mi się podejrzliwie.

— Fajny samochód — odezwał się ten z wąskimi ślepkami.

Pierwszy chłopak wciąż się we mnie wpatrywał.

— Masz forszę?

— Nie.

— Potrzebujemy trochę szmalu, żeby pójść do sklepu.

— Niestety.

— Zgubiłeś się?

— Nie, powiedziałem już, czekam na przyjaciela.

— Potrzebujemy tylko jednego dolara — oznajmił Wąskie Ślepka.

— Powiedziałem...

— Daj dolara.

Dałem im jednodolarowy banknot.

— Podobno nie miałeś żadnych pieniędzy.

— Nie powiedziałem tego. Mówiłem, że nie mam zamiaru wam dawać.

— Dopiero teraz to mówisz. Daj nam trochę.

— Już dałem.

— To? Fajnie, dlaczego nie dasz nam pierdolonego centa? — Chudzielec czekał na moją reakcję. — Masz pełny portfel, widziałem. Musimy iść do sklepu.

— Nie.

— Musimy kupić coś do jedzenia.

— Właśnie... — przytaknął Wąskie Ślepka. — Coś do jedzenia.

— Nie dam wam nic więcej.

— Dlaczego? Mówiłem ci, potrzebujemy forsy.

Pokręciłem głową. Może nadeszła pora oświadczyć, że jestem gliną? Ale to tylko dzieciaki, panuję nad sytuacją. Poza tym tutaj nie byłem gliniarzem. Znajdowałem się poza moim terenem i nie miałem żadnej władzy.

— Dałem wam dolca, chłopaki. Nic więcej nie dostaniecie.

Wąskie Ślepka przysunął się do mnie.

— Widziałem twój portfel.

Był ode mnie wyższy i cięższy. Jego przymrużone powieki przypominały muszlę szczeżui.

— Daj spokój — wychrypiał pierwszy chłopak — pomóż nam.

Zrobił krok w moim kierunku. Podniosłem rękę, żeby utrzymać go na dystans. Moje pięć palców oparło się lekko o jego mostek.

— Ej, nie dotykaj mnie! — powiedział cicho chudzielec. — Zabierz te łapy!

— Już nie.

Wąskie Ślepka przerwał mi:

— Nie wyciągaj łap... Nie ma potrzeby.

— Słuchajcie, poprosiliście mnie o baksa. Dałem wam go.

— Tak — odparł chudzielec — ale teraz wyciągasz łapy. Co jest grane?

— Nie wyciągam łap.

— Co, może cię obraziłem?

— Nie.

— Tylko sobie gadamy. Poprosiłem cię o pomoc. No i czemu się wściekasz?

— Nie wściekam się. — Opuściłem rękę. — Proszę cię grzecznie, cofnij się.

— To publiczny chodnik. Myślisz, że możesz mi mówić, gdzie mam chodzić, tylko dlatego, że poprosiłem o pomoc? Tak? Mam się cofnąć, bo mi dałeś całego dolara?

— Nie powiedziałem tego.

— Ale pomyślałeś. Widzę to.

— Niczego nie myślałem.

— Tak, myślałeś.

Chudzielec wyciągnął rękę i postukał kostkami po kieszeni moich spodni, najwyraźniej szukając portfela. Delikatnie odsunąłem jego rękę.

— Nie dotykaj mnie.

— Nie musisz mnie popychać. Tylko do ciebie mówię. Ze sklepu wyłonił się Kelly. Zerknął na nas, a potem oświadczył stanowczym tonem:

— No, dalej, Ben, nie mamy czasu na wygłupy. Chcę się zobaczyć z córką. — Przepchnął się między nami i usiadł na fotelu pasażera. — Jedziemy.

Obszedłem obu chłopaków, którzy nie odezwali się ani słowem.

— To jak jakiś inny kraj — powiedziałem, siedząc już w samochodzie.

Sąd Okręgowy Mission Flats, rozprawa wstępna

O godzinie dwunastej czterdzieści pięć sędzia Hilton Bell nie siedział już za stołem sędziowskim, ale chodził wokół niego w rozpiętej czarnej todze. Rozpatrywał sprawy od dziewiętej rano, a sala sądowa wciąż była pełna. Od czasu do czasu z aresztu w piwnicy dobiegały okrzyki protestu. Cele również były wciąż przepełnione.

Siedziałem w pierwszej ławce, wciśnięty pomiędzy poręcz a młodą kobietę, która pachniała perfumami Dune i potem spod pach. Ścisnęła plastikową torbę, zawierającą coś, co sprawiało wrażenie ludzkich włosów.

John Kelly wiedział, co robi, unikając sali sądowej. Czekał na zewnątrz, na ulicy, gdzie było chłodniej.

Sędzia Bell niemal gotował się w tym upale. Gdzieś we wnętrzu gmachu sądu starodawny piec tłoczył gorące powietrze do sali rozpraw wstępnych, w której temperatura sięgała już trzydziestu stopni, a cholerna bostońska policja aresztowała chyba całą ludność miasta. Teraz ta zbita ludzka masa siedziała tutaj, śmierdząc potem, którego woń dochodziła do ławy sędziowskiej. Sędzia pogmerał przy swojej muszce. Spojrzał w sufit, jakby oczekując pomocy niebios. Zebrani na sali podążali za jego wzrokiem, ale dostrzegli jedynie zacieki na suficie.

Po chwili namysłu sędzia Bell zawołał:

— Następna sprawa!

— Numer siedemdziesiąt siedem łamane przez siedem-siedem-osiem-osiem — odczytał woźny. — Sprawa z oskarżenia publicznego przeciwko Geraldowi McNeese'owi Trzeciemu, znanemu również jako G, jako G-Mac, jako G-Money, jako Trey McNeese.

— Areszt! — zaśpiewał woźny.

— Areszt! — powtórzył jeden z urzędników sądowych.

Sala zdążyła się już nauczyć procedury i jak widzowie na meczu tenisowym jednocześnie obróciliśmy głowy w kierunku prostokątnego wycięcia w ścianie. Z drugiej strony tego nieoszkłonego okna znajdowali się aresztanci z poprzedniego weekendu, którzy nie wpłacili kaucji. Stali stłoczeni razem, widoczni od pasa w górę, niczym kukielki na scenie teatrzyku marionetek. W końcu jeden z nich przecisnął się do przodu i przedstawił się jako Gerald McNeese.

— O co oskarżony? — zapytał sędzia.

Młody pomocnik prokuratora okręgowego kartkował akta. Twarz chłopaka świeciła się od potu. Na jego policzkach płonęły dwie czerwone plamy. W końcu

wyciągnął teczkę i pokazał ją sędziemu.

— Wysoki Sądzie, nic tu nie mam. To sprawa pani Kelly.

Woźny zrobił wielkie oczy.

Sędzia Bell pokręcił głową. Zupełna beznadzieja.

— Gdzie ona jest?

Chłopak się skrzywił. Skąd miał wiedzieć?

— A więc?

— Nie wiem, Wysoki Sądzie.

— Dlaczego pan nie wie?

— Eee... Nie wiem... dlaczego... nie wiem.

Chłopak pewnie całkiem niedawno ukończył studia.

A teraz siedział tutaj, piekąc się w upale sądu okręgowego Mission Flats, zakopany w aktach i niewątpliwie liczył dni do chwili, w których zakończy swoją aplikanturę i zostanie przeniesiony gdzieś — gdziekolwiek indziej.

— Nie wie pan, dlaczego pan nie wie?

— Nie... nie wiem, Wysoki Sądzie.

— Następną sprawą!

Oskarżenia w kilku następnych rozprawach miały całkiem błahy charakter — posiadanie marihuany, zakłócenie spokoju, zwykły napad, pobicie. Po każdej z nich widownia wydawała lekki oddech ulgi, gdy oskarżony oraz jego bliscy i znajomi opuszczali salę. Niestety, za każdym razem miejsca po nich zapełniali inni. Wciskali się z korytarza i znów robiło się tłoczno.

— Ponownie wywołać sprawę McNeese'a.

— Wysoki Sądzie, wciąż nie mam wiadomości od pani Kelly.

— Niech się więc pan odwróci i powie im.

— Komu?

— Niech się pan odwróci i wyjaśni tym wszystkim ludziom, dlaczego jest pan nieprzygotowany, dlaczego marnuje pan nasz czas.

— Wysoki Sądzie...

— Niech się pan odwróci, panie oskarżycielu. — Sędzia wyciągnął rękę w naszą stronę, widzów w wilgotnych koszulach. — Niech pan to powie im, nie mnie.

Chłopak odwrócił się wolno. Czerwone plamy na policzkach rozlały mu się na uszy i szyję. Stał z głową wtuloną między ramiona niczym żółw, przebiegając wzrokiem po tłumie. Kiedy jednak jego oczy dotarły do drzwi wejściowych, uśmiechnął się słabiutko. Znalazł sojusznika.

Do sali sądowej weszła kobieta i przepychała się teraz do przodu. Miała na sobie obcisły czarny kostium ze stójką przy szyi. Kołnierzyk przypominał

koloratkę księdza.

— Pani Kelly! — oznajmił woźny i cały personel sądowy powtórzył: „Pani Kelly!”, jakby wszyscy starali się przypomnieć sobie nazwisko, które uleciało im z pamięci.

Caroline Kelly stanęła za stołem prokuratora obok młodego asystenta prokuratora okręgowego. Tak by sędzia tego nie widział, położyła dłoń na łopatkę młodego człowieka. Najwyraźniej chciała, żeby stanął prosto. Pomogło — chłopak nieco się wyprostował. Kelly pochyliła się i szepnęła mu do ucha, zrobiła to jednak wystarczająco głośno, abyśmy w pierwszym rzędzie mogli ją zupełnie wyraźnie usłyszeć:

— Pierdol go.

Włosy miała ciemnobrązowe, spięte na karku złotą kłamrą. Spódnica opinała jej biodra, które wcale nie należały do szczupłych. Pomiedzy jej łydkami utworzył się wąski prześwit. Postawiona przez nią na podłodze teczka z miękkiej skóry oparła się o jej kostkę.

— Pani Kelly — powiedział sędzia Bell. — Córa marnotrawna.

Podniosła rękę. Gest ten oznaczał: „Oto jestem”.

— Czy jest coś, czym chciałaby się pani podzielić z sądem?

— Właściwie nie.

Sędzia popatrzył na nią.

— Być może jednak zdoła nam pani pomóc, pani Kelly. W czasie ostatniego weekendu mieliśmy... panie woźny, ile było aresztowań?

— Dwieście pięć.

— Dwieście pięć aresztowań. Wszystkie zostały skierowane do tego jednego skromnego sądu. Pewnie jest to nowy rekord.

— Gratuluję, Wysoki Sądzie.

— Proszę mnie oświecić, pani Kelly. Jak wyjaśni pani taką eksplozję gorliwego egzekwowania prawa i porządku? Czyżby nastąpił gwałtowny wzrost przestępczości? Jestem pewien, że musiały to być poważne przypadki. Popatrzmy... — przejrzał teczki z dokumentami procesowymi — ...jeden skręt z marihuany, wejście na teren prywatny, o, co my tu mamy, zanieczyszczanie miejsca publicznego.

— Zanieczyszczanie miejsca publicznego jest przestępstwem, Wysoki Sądzie.

— On nasikał na chodnik!

— Cóż, jeżeli pozostawił ślad, to formalnie...

Mięśnie na szczękach sędziego Bella się napięły. Najwyraźniej w Mission Flats takimi wykroczeniami nie zwracano sobie głowy. Korkowały ławę oskarżonych, były piaskiem w trybach. I nie widział w tym nic zabawnego.

— Pani Kelly, czy urząd prokuratora okręgowego ma zamiar ukarać całą dzielnicę za jedno zabójstwo?

— Nie wiem, co Wysoki Sąd ma na myśli.

Sędzia polecił młodemu asystentowi prokuratora usiąść. Zanim chłopak się ruszył, Kelly poklepała go dwukrotnie po łopatkach, znowu tak, aby nie zauważył tego sędziego.

— Proszę wywołać sprawę — polecił sędzia.

— Numer dziewięćdziesiąt siedem łamane przez siedem-siedem-osiem-osiem — po raz drugi ogłosił woźny. — Sprawa z oskarżenia publicznego przeciwko Geraldowi McNeese'owi Trzeciemu, znanemu również jako G, jako G-Mac, jako... i tak dalej. Zastraszanie świadka. Napaść i pobicie. Napaść z zamiarem okaleczenia. Napaść i pobicie przy użyciu niebezpiecznego narzędzia, czyli trotuaru.

Siedząca obok mnie uperfumowana dziewczyna zdziwiła się:

— Walnął kogoś pieprzonym trotuarem?

— Oskarżyciel — zastępca prokuratora okręgowego Caroline Kelly — ciągnął woźny. — obrońca — pan Beck.

Strony wyszły do przodu, stając przed sędzią.

Mecenas Max Beck miał kędzierzawe szpakowate włosy opadające na kołnierz marynarki. Z jego kieszeni sterczały plastikowe długopisy. Rozluźniony krawat zwisał mu z szyi. Całym swoim wyglądem zdawał się głosić: „Obywatele! Walka z rządowym uciskiem jest ciężką pracą! Nie mam czasu zawracać sobie głowy ubraniem!”

Jednakże najważniejszą postacią był tu podsądny. Geralda McNeese'a otaczała mroczna, groźna aura. Oparł ręce na pulpicie ławy oskarżonych i splótł palce w pozie tak niewymuszonej, jakby nie miał kajdanek na przegubach. Był wysoki, bardzo szczupły, kościsty. Z ogoloną do skóry głową.

Max Beck położył dłoń na przedramieniu McNeese'a, jakby chciał mu w ten sposób dodać otuchy.

— Oskarżenie — wywołał sędzia.

— Wysoki Sądzie, zastępca prokuratora okręgowego Bob Danziger został zamordowany, w czasie gdy przygotowywał oskarżenie tego człowieka.

— Sprzeciw!

— Uchylony. Chcę to usłyszeć.

— Ale mój klient nie jest oskarżony o zabicie Boba Danziguera! Ta sprawa nie ma związku z Bobem Danzigerem!

Sędzia zamachał rękami, uciszając Becka.

— Powiedziałem, że chcę to usłyszeć.

To już nie była kolejna sprawa o pobicie. Nazwisko Danzigerera zmieniło wszystko.

Prokurator kontynuowała:

— Gangowi podsądnego...

— Sprzeciw!

— Odrzucony.

— Ale mój klient nie jest członkiem żadnego gangu!

— Owszem, jest — zapewniła Caroline Kelly. — I ma to związek z motywem.

— Odrzucony — powtórzył sędzia.

— Gangowi podsądnego, Oddziałowi Mission — ciągnęła Kelly — bardzo zależało, aby sprawa Danzigerera przeciwko oskarżonemu nie stała przed sądem. Gerald McNeese uchodzi za bliskiego wspólnika Harolda Braxtona, przywódcy gangu. W sprawie prowadzonej przez pana Danzigerera świadek koronny ukrył się i gang nie mógł go zlokalizować, aby... przekonać do nieskładania zeznań.

— Sprzeciw! Czyste spekulacje.

— Uchylony. Chętnie tego posłucham.

— W czasie weekendu — mówiła dalej Caroline Kelly — pan McNeese, znany na ulicy jako G-Mac, odnalazł świadka, Raymonda Rattleffa. Podsądny bardzo starał się przekonać pana Rattleffa, aby nie zeznawał w sprawie pana Danzigerera. W sobotę, około północy, widziano podsądnego, który na Stanwood Street we Flats bił pana Rattleffa, uderzając wielokrotnie jego twarzą o krawężnik. Według jednego z obserwatorów sprawiało to wrażenie, jakby podsądny głową pana Rattleffa wbijał gwóźdź w trotuar. Pan Rattleff doznał złamania kości twarzy, w tym uszkodzenia oczodołu. Może utracić wzrok w prawym oku.

Gerald McNeese wyduł wargi i uśmiechnął się lekceważąco.

— Panie Beck?

— Wysoki Sądzie, z należyтым szacunkiem dla pani Kelly muszę stwierdzić, że od wielu tygodni policja przeczesuje tę dzielnicę, nękając młodych Afroamerykanów z powodu sprawy Danzigerera.

Kelly patrzyła wściekle na Becka, który podgrzewał atmosferę, mówiąc o prześladowaniach rasowych i nadużyciu władzy przez policję. Jeszcze bardziej spochmurniała, gdy Beck oznajmił:

— ...młodzi czarni mężczyźni z tej dzielnicy zostali wzięci na cel...

Pani prokurator przymrużyła oczy. Wyglądało to tak, jakby wzrokiem chciała spopielić Maksa Becka.

— Obiektem szczególnego prześladowania stał się pan McNeese — perorował Beck. — Z całą pewnością nic nie wiąże go z zabójstwem Danzigerera.

Jest to oczernianie mojego klienta. Policja nie dysponuje niczym, dlatego prowadzi polowanie na czarownice.

Sędzia jęknął.

— Tylko bez czarownic.

— Chodzi mi o to, że tego rodzaju histeria...

— Panie Beck, mam tu pełną salę. Nie będziemy zajmować się czarownicami.

— W takim razie, Wysoki Sądzie, powiem po prostu, że nie ma dowodów świadczących na niekorzyść mojego klienta. Nie ma też świadka, w związku z czym nie ma możliwości skazania. W tych okolicznościach mój klient musi zostać zwolniony za poręczeniem osobistym.

— Co pani na to, pani Kelly? Czy ma pani świadka?

— Tak.

— Czy świadek może dokonać identyfikacji.

— Tak.

— I zgłasza chęć wystąpienia?

Kelly się zawahała.

— Wysoki Sądzie! Wierzymy, że świadek wystąpi. Składamy wniosek o zatrzymanie podsądnego w areszcie bez prawa do kaucji.

Sędzia Bell zmarszczył brwi. Prokurator przepychał sprawę z niejawnym świadkiem — a jeszcze bardziej prawdopodobne, że bez żadnego świadka — i stawiał sędziego w trudnej sytuacji, wiążąc ten przypadek z zamordowaniem zastępcy prokuratora okręgowego, Boba Danzigersa. Hilton Bell studiował rozłożone wydruki akt McNeese'a, a jego palce bawiły się muszką. W końcu ogłosił decyzję: „Pięćdziesiąt tysięcy gotówką albo pięćset tysięcy zabezpieczenia”.

Woźny przekazał informację podsądnemu, ale G-Mac zdawał się nie słuchać. Wpatrywał się ponuro w Caroline Kelly.

— Pani Kelly — powiedział sędzia — niech pani znajdzie swojego świadka i wystąpi z aktem oskarżenia albo go wypuszczę.

W czasie gdy finalizowano sprawę McNeese'a, monotonnym głosem ogłaszając: „Sąd wyznaczył kaucję w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów gotówką lub za zabezpieczeniem majątkowym w wysokości pięćset tysięcy dolarów...”, sędzia spojrzął na zegarek i rzekł:

— Druga.

Oznaczało to przerwę na lunch. Atmosfera w sali natychmiast zrobiła się swobodniejsza, przede wszystkim dlatego, że wyszedł sędzia. W części dla prawników pracownicy prokuratury i adwokaci gawędzili ze sobą jak znużeni towarzysze broni. Zgromadzeni na sali energicznie przepychali się w stronę

drzwi.

Caroline Kelly przez chwilę stała z założonymi na piersi rękami przy stole oskarżycieli, witając się ze znajomymi. Ciekawie było obserwować ją po tym, jak widziałem jej zdjęcie w domku Kelly'ego w Maine. Od razu uświadomiłem sobie, że źle ją oceniłem — była o wiele groźniejsza i o wiele ładniejsza, niż przypuszczałem. Nie znaczy to, że była w konwencjonalny sposób piękna. Nie odziedziczyła szczupłej sylwetki ojca ani jego wąskiej twarzy. Rysy miała wyrazistsze — szerokie, wydatne kości policzkowe, ciemne brwi przedzielone wklęśnięciem z dwiema zmarszczkami, nieco zbyt miękki podbródek. Nos również miała wydatny, z arystokratycznym garbkiem Bourbonów. Jedynym delikatnym elementem były jej usta. Miała wąskie, pełne wyrazu wargi i drobne zęby, które raczej niechętnie odsłaniała. Wszystko to jakoś do siebie pasowało, ponieważ atrakcyjność nie sprowadza się tylko do pięknych rysów twarzy. Caroline Kelly miała świetną prezencję, światowe maniery, czego fotografia nie mogła przekazać. Przyjmowała świat z pewnym sceptycyzmem, będąc krytyczna również wobec siebie.

Gdy dotarłem do Caroline, rozmawiała z Maksem Beckiem. A właściwie to Beck starał się nawiązać z nią rozmowę.

— Jak się ma twój ojciec?

— Wcale się nie zmienił.

— Nie zmienił się? To wspaniale.

Caroline uśmiechnęła się do niego, a potem odwróciła w moją stronę. Choć była niższa ode mnie, miałem wrażenie, że jej oczy znajdują się na tym samym poziomie co moje.

— Ben Truman! I co myślisz o tym miejscu?

— Czy spotkaliśmy się już kiedyś?

— Nie.

Spojrzałem na siebie, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie mam na sobie mundurowej koszuli z naszywką „funkcjonariusz Truman” albo „szef Truman”. Nie miałem.

— W jaki sposób...

— Ojciec zadzwonił i uprzedził, że będziesz tutaj.

— Oczywiście. Co ze mnie za idiota!

Jej wargi rozchyliły się w krzywym uśmiešku.

— I co o tym sądzisz?

— Było ciekawie.

— Ciekawie! — wtrącił się zachwycony Beck. — O to właśnie chodzi!

Caroline wciąż trzymała ręce założone na piersi.

— Max, to jest Benjamin Truman, szef policji w Versailles w stanie Maine. Beck energicznie potrząsnął moją ręką.

— Wszyscy jesteśmy bardzo zmartwieni tym, co się stało.

Podąłem dłoń Caroline, która uściśniła ją mocno, jak kobieta interesu.

— Max, powinnam cię ostrzec. Pan Truman przyjechał tu, bo interesuje się sprawą Danzigera. Lepiej módl się, żeby zrezygnował, w przeciwnym razie stracisz paru klientów.

— Och, nie martwię się zbyt. — Beck spojrział na mnie, a potem wznosił oczy ku górze: „Typowa Caroline”. Udzieliwszy tego niemego ostrzeżenia, odplynął od nas.

— Nie sądzę, żeby uznał to za zabawne.

— Bo nie był to żart.

Caroline włożyła dokumenty do teczki. Z bliska mogłem dostrzec, że jej ciemna fryzura poprzetykana jest siwymi pasmami. Czy nie spostrzegła ich, farbując włosy, czy też celowo postanowiła je zostawić? Druga możliwość wydała mi się bardziej prawdopodobna. Caroline aż nadto zwracała uwagę na swój wygląd — miała bardzo dyskretny, umiejętnie nałożony makijaż, elegancki kostium i drogie buty. Czegoś takiego nie mogłaby przeoczyć.

— „Ciekawie” to dość wymijające określenie, szefie Truman.

— Kiedy powiedziała pani... to, co powiedziała temu chłopakowi z prokuratury, wszyscy mogliśmy usłyszeć.

— No i co?

— Prawdopodobnie usłyszał również sędzia.

— Doskonale. Powinien był to usłyszeć. Przecież ten chłopak nie odważyłby się tak mu powiedzieć, prawda?

— A ten kawałek o polowaniu na czarownice?

— Och, po prostu Beck skłonny jest do dramatyzowania.

— Ma rację?

— W sprawie czarownic?

— Chodzi mi o histerię. Czy gliniarze panikują, dokonują głupich aresztowań?

— Może. Jednak w przypadku G-Maca dopadli właściwego gościa. Mamy poszkodowanego, który zna go osobiście i może zidentyfikować. Bez wątplenia. McNeese jest winien i Beck o tym wie.

— Chyba również wie, że McNeese się z tego wykręci.

— Owszem. Nie wiadomo, czy poszkodowany stawi się, by zeznawać.

— Jakie są szanse?

Wzruszyła ramionami.

— Ta sprawa jest mniej ważna niż dochodzenie Danzigera. Nie chcę naciskać

na świadka, mogę potrzebować go później. Poza tym, jeżeli McNeese się wykręci, dopadniemy go następnym razem. Typy takie jak on zawsze wracają. Według statystyki pięć procent przestępców popełnia dziewięćdziesiąt pięć procent przestępstw. G-Mac jest takim pięcioprocentowcem.

— To mi się kojarzy z czarownicą.

— Mnie również.

Przed gmachem sądu, czterokondygnacyjnym sześcianem na południowym końcu Mission Ave, Caroline stanęła na drugim stopniu schodów, aby spojrzeć ojcu, Johnowi Kelly, prosto w oczy. Pocałowała go, a potem wytarła mu kciukiem policzek, upewniając się, że nie pozostawiła śladu szminki. Macierzyński, spontaniczny gest.

— Dzięki, że nam pomogłaś, kochanie — powiedział John Kelly.

— Dziękuj nie mnie, tato, ale Andrew Lowery'emu. To on jest prokuratorem okręgowym. I to on telefonował.

— Ale ty go namówiłaś, jestem pewien.

— W rzeczywistości powiedziałam Lowery'emu, żeby odesłał cię tam, skąd przyjechałeś.

— Dlaczego miałby zrobić coś takiego?

— Ponieważ nie chcę, żebyś spieprzył mi sprawę.

— Myślałem, że to sprawa stanu Maine — wtrąciłem się.

— Tak, ale koordynuję tu dochodzenie. Szczerze mówiąc, nie rozumiem, dlaczego nie możesz jej obserwować ze stanu Maine, szefie Truman. Ale jeżeli uważasz, że koniecznie musisz wziąć w niej udział... — Wzruszyła ramionami. — Cóż, to nie mój interes. Przypuszczam, że masz swoje powody. W każdym razie prokurator okręgowy Lowery powiedział, że powinnam udzielić pełnego wsparcia.

— Coś takiego — burknął Kelly — mojej rodzonej córce trzeba mówić...

— Tato, oszczędź mi tego. Podobno jesteś na emeryturze.

— Jestem za młody na emeryturę.

— Masz sześćdziesiąt siedem lat.

— Sześćdziesiąt sześć.

— To wystarczająco dużo.

— Na co?

— Nie pytaj.

Nabazgrała coś na kawałku papieru i podała go ojcu.

— Martin Gittens — przeczytał na głos. — Kto to taki?

— Gliniarz. Dzięki uprzejmości pana Lowery'ego wyznaczono go, aby wam pomagał.

— Bardzo uprzejmy ten nasz pan Lowery. Co wiesz o Gittensie?

— Jest detektywem. Podobno ma kontakty w Mission Flats. Dzwonił do mnie, błagając o udział w tej sprawie. A poza tym niewiele.

— Ufasz mu?

— Tato, przecież zawsze powtarzasz: ufaj każdemu...

— Ufaj każdemu, ale przekładaj karty. Dobrze to zapamiętałaś.

— Dziękuję za pomoc — wtrąciłem.

Caroline wyciągnęła w moją stronę palec wskazujący.

— Szefie Truman, jak Boga kocham, jeżeli coś się stanie mojemu ojcu... — I bez żadnych zahamowań dokładnie przedstawiła mi ewentualne konsekwencje.

— Hm, a jeżeli coś się stanie mnie?

Zignorowała moje pytanie.

— Jeszcze jedno. Musicie obiecać, że będziecie się dzielić ze mną wszystkim, czego się dowiecie. Jeżeli coś ukryjecie, choćby najmniejszy drobiazg, koniec umowy. Będziecie zdani na siebie. To warunek Lowery'ego.

— Oczywiście — zapewnił Kelly.

— W takim razie załatwione. — Znowu pocałowała ojca i znowu wytarła mu policzek kciukiem. — Niezły z was zespół.

— Jak Batman i Robin — zasugerował John Kelly, a ona parsknęła śmiechem.

— Jasna sprawa.

Osiedle mieszkaniowe Grove Park składało się z sześciu brzydkich bloków mieszkalnych z żółtej cegły. Były ustawione asymetrycznie, jak klocki upuszczone tu i ówdzie przez niedbałego olbrzyma.

Znaleźliśmy Martina Gittensa na dachu. Stał pochylony, z rękami opartymi o kolana, jakby szykując się do biegu przed rzutem piłki. U stóp Gittensa z rozstawionymi nogami, oparty plecami o betonowy parapet, siedział Afroamerykanin w wieku około dwudziestu pięciu lat. Miał niewyraźną minę.

— Możesz to w każdej chwili przerwać, Michael — tłumaczył mu Gittens. — Tylko powiedz słowo. Nie chcę cię zmuszać do czegoś, czego nie chciałbyś robić.

Młody mężczyzna siedział dalej bez słowa. Gittens pochylił się nad nim, czekając na odpowiedź, a potem wyprostował się i powiedział:

— Twój ruch.

Paru gliniarzy w cywilu stało w pobliżu, przysłuchując się rozmowie. Sprawiali wrażenie, że chcą się wziąć do roboty.

Jednak Gittens się nie spieszył. Podeszedł do nas i uścisnęliśmy sobie ręce. Nie robił imponującego wrażenia. Twarz miał bez zmarszczek, przyjemną, dobrotliwą. Twarz, którą łatwo przeoczyć w tłumie. Wysokie czoło, przypominające łeb kaszalota. Miał na sobie drelichowe spodnie i adidas. Gdyby nie mała nylonowa kabura i odznaka na pasku, można było go wziąć za księgowego albo nauczyciela, oczywiście jeżeli w ogóle by się go zauważyło.

— Ten chłopak szykuje się do dokonania dla nas zakupu — wyjaśnił Gittens. — Już prawie się zgodził.

— Powinniśmy przyjść innym razem?

— Nie. To nie jest zły chłopak. Po prostu ma kryzys. Wszystko sobie przemyśli. A potem będziemy mogli porozmawiać. — Spojrzał na nas znacząco. „Wiecie, jak to działa, znacie stawkę”.

Siedzący kilka kroków od nas chłopak westchnął. Wydawało się, że zebrał całą siłę, żeby podnieść wzrok na Gittensa i powiedzieć:

— Nie mogę tego zrobić.

Gittens wrócił do niego.

— W porządku, Michael, nie ma sprawy, jeżeli tego chcesz.

— I co teraz będzie?

— No cóż, wyślę raport do prokuratury okręgowej. Kiedy ustalą fakty, postawią cię w stan oskarżenia. Może za parę tygodni. Są zajęci. — Gittens pokiwał ze współczuciem głową.

— Co pan by zrobił, panie władzo?

— Nieważne, co ja bym zrobił. To twoje życie, Michael. Nie mogę ci mówić, co bym zrobił. Nie jestem twoim prawnikiem.

— Mojego prawnika akurat tu nie ma. Co powinienem zrobić?

Gittens ukląkł przy nim.

— Posłuchaj, dam ci tę szansę, bo pomyślałem, że zasługujesz na nią. Nie chcę, żebyś wylądował w więzieniu stanowym, Michael, naprawdę tego nie chcę. Ale co mam zrobić? Muszę wykonać robotę, prawda? Daj mi coś w zamian. Coś za coś.

— Gdzie będę siedział? W Walpole?

— Nie, pewnie w Concord.

— A jakie jest Concord?

— To stanowe pudło bardzo wredne.

Chłopak znowu oparł się o ścianę.

— Nie wiem, jak się to stało. Naprawdę nie wiem.

— Nie wiesz, jak się to stało?

— No wiem. Ale to była jedna paczuszka za dziesiątaka. Trzy lata za takie gówno? Kurwa mać!

— Miałeś tam szesnaście gramów.

— Nie ważyłem tego! Mówiłem, że nie było moje.

— Michael, sam się w to wpakowałeś. Powinieneś się nauczyć odpowiadać za swoje postępowanie.

— Ja to tylko trzymałem.

— Obojętne, trzymałeś, sprzedawałeś, wkładałeś do hot doga czy co tam z tym robiłeś... Jeżeli miałeś szesnaście gramów, jest to handel, koniec sprawy.

Chłopak się skrzywił. Nie miał ochoty na wykład.

— Słuchaj, Michael, chcesz spróbować wyjść z tego? No to postaraj się, wykorzystaj szansę. Wstawię się za tobą. Może jakoś się uda.

— A jeżeli nie?

— Mamy wtedy minimum trzy lata, i to od gwizdka do gwizdka — żadnego warunkowego, żadnego dobrego sprawowania, zwolnienia do pracy, nic. Siedzisz. Czy nie słyszałeś, że tocymy wojnę z narkotykami?

— Mam dwoje dzieciaków, Gittens, wiesz o tym. Nie mogę pójść do pudła na trzy lata. Nie mogę odejść nawet na trzy dni. Masz dzieci, Gittens?

— Tak, mam.

— Więc wiesz, jak to jest.

— Proponuję ci sposób na wyjście z tego, Michael.

— Wyjścia na pierdolonego kabla.

— Mówiłem ci, nie będą wiedzieli, kim jesteś.

— Będą.

— Nie. Twojego nazwiska nie będzie w żadnym raporcie, nikt nigdy nie wymieni go w sądzie. Masz na to moje słowo. Wszystko pozostaje pomiędzy tobą a mną. Czy kiedykolwiek złamałem słowo, które ci dałem?

— Będą wiedzieli.

— Nie będą, jeżeli wszyscy wykonają swoją robotę.

Chłopak odetchnął głęboko, rozważając możliwości.

— To ostatni raz. Nie, nie zniosę już więcej tego.

— Ostatni, Michael.

— Po tym jesteśmy kwita.

— Zgoda.

— A co z prokuratorem? Co zrobi z moją sprawą?

— Nie będzie żadnej sprawy. Prokurator nie ma sprawy, dopóki mu jej nie dostarczę. Do tej pory to moja sprawa. Między tobą a mną. Zaopiekuję się tobą. Wiesz, że możesz na mnie liczyć.

— To prawda?

— Prawda. Prokurator okręgowy nigdy nie usłyszy twojego nazwiska.

— Ostatni raz — zastrzegł się Michael.

Gittens kiwnął głową.

— Ostatni. No dobra, znasz procedurę. Wstań i opróżnij kieszenie. Detektywie! — zawołał jednego z policjantów ubranych po cywilnemu. — Zechce pan tu podejść?

Chłopak wyjął wszystko z kieszeni i na wszelki wypadek wyrzucił je na drugą stronę. Pozostawił swoje rzeczy ułożone w porządną kupkę na dachu, a potem podniósł ręce i pozwolił Gittensowi się obszukać. Na ich twarzach nie było widać żadnych emocji. Praktyczna procedura. Gittens starannie zanotował numery dwóch dwudziestodolarowych banknotów i podał je chłopakowi ze słowami:

— Nokaut, Michael, nic innego. Powiedz im, że to musi być nokaut. I upewnij się, że pieniądze dostanie sam Veris. Wielki facio w czerwonej bluzie DNPN.

— Znam tego skurwysyna.

— Dobra, Michael. Będziemy obserwować.

— O rany, czuję się o wiele lepiej — zaśmiał się chłopak i zniknął na klatce schodowej.

Gittens skinął na nas.

— Chodźcie tutaj, panowie, obejrzyście przedstawienie.

Podeszliśmy do brzegu dachu, skąd rozpościerał się widok na położony pięć kondygnacji niżej Echo Park. Podobnie jak wiele rzeczy w Mission Flats, Echo

Park nie był tym, co sugerowała jego nazwa — zieloną łąką, gdzie dźwięki odbijały się od drzew i wzgórz. Przypominał raczej niekształtny trójkącik tortu, wciśnięty w skrzyżowanie North Tremont z Franklin Street. Gittens wyjaśnił, że z powodu znajdowanych tu igieł od strzykawek miejscowi nazywają to miejsce Strzyko Park. Znajdowało się w nim kilka cherlawych drzew i parę ławek — zielone płyty na betonowych podstawach. Alejka w kształcie litery Y łączyła trzy rogi parku. Graffiti na chodniku głosiły: „Pierdolić gliny”. Wszędzie widać było znaki OM i jeszcze jakieś, których nie potrafiłem odczytać.

Gittens bacznie wpatrywał się w ten skrawek zieleni. Miał lornetkę, którą podawał mi od czasu do czasu.

Naśladowałem go, stałem lekko pochylony, ze zmarszczonym w skupieniu czołem.

Próbowałem dostrzec coś więcej niż paru chłopaków nudzących się w tym zapyziałym parku. W ogóle niewiele się tam działo. Pół tuzina młodych chłopców — wszyscy czarni, ubrani w workowate uniformy hip-hopowców — siedziało rozwalonych na ławkach. Parę osób wchodziło i wychodziło, wałęsało się, rozmawiało. Wszystko wskazywało na to, że handel narkotykami w Echo Park został w tym dniu zawieszony.

— Co to za nokaut? — zapytałem Gittensa.

— Heroina z jakimiś innymi śmieciami. Pojawiła się w ostatnich tygodniach. Jeden chłopiec umarł od tego.

Któryś ze stojących przy nas gliniarzy mruknął:

— No, dalej, popaprańcu.

— Daj mu chwilę, żeby zszedł po schodach — uspokoił go Gittens. — Cierpliwości.

Wydawało mi się, że Echo Park jest niezbyt odpowiednim miejscem na handlowanie prochami. Nie było niczego, za czym można by się było schować, żadnej osłony od ruchliwej Franklin Street.

— Czy to miejsce nie jest trochę za bardzo na widoku? Można wszystko zobaczyć.

Gittens wzruszył ramionami.

— Nie ma co specjalnie oglądać. Musimy dorwać towar, nakryć ich z prochami w kieszeniach, w przeciwnym razie nie będzie sprawy. A nie możemy podejść wystarczająco blisko, żeby to zrobić. Wszędzie są ich czujki. Zejdź na dół, to usłyszysz, jak gwizdzą, przekazując sobie sygnały.

Do parku od strony najbliższego nas narożnika, wąskiego czubka trójkąta, weszła kobieta. Poruszała się sztywno, była czarna, chuda jak patyk, na głowie miała włóczkowy kapelusz we wszystkich kolorach tęczy. Prawie zaraz powitał

ją jakiś chłopak. Wydawał się cieszyć ze spotkania, śmiał się, ścisnął jej rękę, obejmował.

— Ten chłopak jest naganiaczem. Ma zadanie kierować nabywców we właściwe miejsce. Trzyma się blisko wejścia do parku, zapyta, czego potrzebujesz, ustali, czy jesteś swojakiem, gliną, czy po prostu kimś, kto przechodzi przez park. Jeżeli jesteś kupcem, powie ci, żebyś usiadł na jednej z tych ławek, i zagwiżdże, dając sygnał.

Gittens zaświstał cicho jak mały ptak: nisko, wysoko; nisko, wysoko.

Kobieta ruszyła dalej. Usiadła na jednej z ławek obok faceta w czerwonej basketballowej bluzie z literami DNPN.

— DNPN — rzekł Gittens. — Dla Nas, Przez Nas. Te ubranka zrobiły się ostatnio bardzo modne. — Wzruszył ramionami. — Ten w czerwonej bluzie to June Veris. Autentyczny OM. Łaził z Braxtonem, kiedy byli dziećmi. Teraz Braxton po prostu używa go jako mięśniaka.

June Veris rzeczywiście miał sporo mięśni. Wielki facet o potężnych barach i wąskiej talii. Siedział wyżej niż nabywca, z tyłkiem na oparciu i stopami na siedzeniu zielonej ławki. Rozmawiał z kobietą przez chwilę, aż wreszcie sięgnęła do kieszeni i podała mu rękę, jakby serdecznie się z nim witając. Sprawiało to wrażenie wylewnego powitania. Z naszego miejsca nie można było dostrzec, czy zostały przekazane jakieś pieniądze. Potem Veris zniknął i do kobiety podszedł inny chłopak.

— To dostawca — objaśniał Gittens.

Dostawca przemaszerował tuż obok kobiety. Poruszał się z gracją, lekko kołysząc biodrami. Zapewne ćwiczył ten chód, obserwując się w oknach wystawowych. Wrzucił coś do kosza na śmieci i poszedł dalej. Kiedy kobieta wyjęła to ze śmietnika, tamtych trzech facetów nigdzie nie było już widać. Rozpłynęli się gdzieś na obrzeżach parku. Kobieta pospiesznie wyszła z parku, zerkając wokół niespokojnie.

— Dostawca ma najniebezpieczniejsze zajęcie — powiedział Gittens. — Nikt nie dotyka prochów, poza nim. Pozostali ryzykują minimalnie. Nawet jeżeli ich złapiemy, nie będzie sprawy, ponieważ nie znajdziemy przy nich towaru. Bez informatora albo zakupu kontrolowanego nie ma możliwości powiązania z narkotykami naganiacza ani nikogo innego. Jednak dostawca musi je mieć przy sobie, więc jeżeli zostanie złapany...

W działalności dostawców zapanowała przerwa.

— Gdzieś tu mają dziupłę — wyjaśniał Gittens — z której zaopatrują dostawcę. A kuchnię jeszcze gdzie indziej. Przenoszą ją. Zwijamy jedną, otwiera się nowa. Ta zabawa nigdy się nie kończy.

— A co z Braxtonem? Co on robi?

— Braxton zaprojektował to wszystko. Kieruje całym interesem. Gdyby sprawy ułożyły się inaczej, poszedłby do Harvardzkiej Szkoły Biznesu. A i tak prowadzi cholernie dobry biznes. Harold to gracz. Cholernie sprytny facet.

— I morderca.

— Tak, ale to nie takie proste — stwierdził Gittens.

Wreszcie pojawił się Michael, nasz człowiek. Szedł niedbale pomiędzy budynkami, zmierzając do najbliższego rogu parku.

Tym razem nie potrzebowałem objaśnień Gittensa, żeby obserwować transakcję. Michaela spotkał ten sam naganiacz. Zbliżył się do niego ostrożnie. Nie było uśmiechów, uścisków. Zapewne naganiacz nie znał go, może nawet podejrzewał, że jest wtyczką. W każdym razie ich pogawędka trwała dłużej niż poprzednia. Jednak Michel jakoś przekonał naganiacza i skierował się do ławki. Veris usiadł przy nim, łatwy do rozpoznania dzięki czerwonej bluzie. To właśnie on wziął pieniądze. Dwie dwudziestki Gittensa z odnotowanymi numerami zniknęły w jego kieszeni. Po przekazaniu gotówki, co odbyło się nie tak zgrabnie jak poprzednio, Veris odszedł. Dostawca wrzucił plastikową paczuszkę do śmietnika, skąd Michael miał ją wyjąć.

— Kolejny zadowolony klient — przeciągłym głosem powiedział Gittens, gdy Michael szybkim krokiem wychodził z parku.

W Echo Park znowu zapanował spokój. June Veris siedział samotnie na ławce. Wkrótce przysiadł się do niego inny chłopak. Zaczęli rozmawiać z ożywieniem. Naganiacz przez chwilę objął się koło wejścia, a potem również podszedł do nich. Gdyby Gittens nie wyjaśnił mi tego, co przed chwilą widziałem, nie zorientowałbym się, że byłem świadkiem sprzedaży narkotyków.

Michael ponownie pojawił się na dachu i powtórzono procedurę przeszukania. Opróżnił kieszenie, by pokazać, że nie ma pieniędzy. Miał za to małą plastikową paczuszkę. Zakup kontrolowany został dokonany.

Na pakiecie gumowym stemplem nadrukowana była czerwona rękawica bokserska. Nokaut.

— Wyślij ich. — Jeden z gliniarzy zaczął przynaglać Gittensa. Obserwował park, najwyraźniej obawiając się, że June Veris, cel tej operacji, odejdzie albo po prostu przekaże odnotowane dwudziestki komuś innemu. Gdyby tak się stało, nie można by go było powiązać z narkotykami. Gliniarze musieli aresztować Verisa, gdy miał jeszcze w kieszeni trefne pieniądze. — Ruszajmy, Martin — popędzał gliniarz.

— Jeszcze nie — odparł Gittens.

— Ruszajmy! Wyślij ich już!

— Powiedziałem, jeszcze nie.

Przeczekaliśmy kilka następnych transakcji, może w sumie jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut. W pewnym momencie pod park podjechał biały chłopak w volvo, z rozczochranymi rudymi włosami i kozią bródką. Volvo miało w tylnym oknie nalepkę Yale.

— Witaj, Skippy — mruknął Gittens.

Dopiero kiedy kilka innych osób kupiło narkotyki, dzięki czemu nie było już tak oczywiste, że Michael pełnił rolę informatora policji, Gittens mruknął do swojego walkie-talkie:

— Dobra, ruszajcie.

Po kilku sekundach cztery nieoznakowane czarne radiowozy podjechały pod park i wjechały na trotuar tak, aby zablokować trzy bramy. Chłopaki w parku natychmiast się rozbiegli. Gliniarze rzucili się za nimi, schwytali i skuli paru, a potem zniknęli w bocznych uliczkach, ścigając pozostałych. Zapanował chaos.

Jak się okazało, Veris uciekł. Operacja się nie powiodła. Kiedy jednak wspominam ten dzień, wiedząc już, że Gittens najprawdopodobniej ostrzegł Verisa o nalocie, muszę przyznać, że Gittens dotrzymał słowa. Ochronił swojego informatora. Pamiętam również, co czułem, obserwując przez lornetkę zamieszanie w parku, kłębowisko policjantów i dostawców, biegających, krzyczących. Uśmiechałem się. To była wspaniała zabawa.

— **Słuchajcie** — powiedział później Gittens, zwracając się do Kelly'ego i do mnie — wszyscy wiedzą, kto zabił Danzigera. Problem polega na tym, co można zrobić. Nikt tu nie wspomni nawet o Haroldzie Braxtonie, a tym bardziej nie będzie zeznawał przeciwko niemu. Prawdę mówiąc, nie wiem, do czego zmierzał Danziger. Sprawa, którą założył przeciwko Geraldowi McNeese'owi, to stary przekręt, nic poważnego. Ray Ratleff był dostawcą, zrobił manko na towarze, który otrzymał od gangu do sprzedania, a McNeese próbował odebrać dług. I na tym to polegało. Ray prawdopodobnie sam zużył kokę, a potem powiedział McNeese'owi, że został obrabowany. Ray Rat to ćpun, ale go lubię. Harold nie powinien był powierzać mu towaru. Popenił błąd.

Znajdowaliśmy się w Echo Park, gdzie handel narkotykami ustał na krótki czas. Siedzieliśmy w trójkę na ławce i Gittens przedstawiał nam tajną historię Mission Flats. Mówił gardłowo, jak gość ze Środkowego Zachodu, co pasowało do białych adidasów i odprasowanych spodni.

— Rat zaszył się w jakiejś dziurze, a dług rósł. Braxton prowadził interesy i nie mógł dać się wykołegować. Wysłał więc McNeese'a, aby załatwił sprawę na czysto. Wybrał jednak nieodpowiedniego człowieka. Mac zabijał ludzi z bardziej błahych powodów. A przecież Rat był właściwie nieszkodliwy. Przypominało to

zbombardowanie komara. Może Braxton sądził, iż Ray Rat się przestraszy, że odda dług, ale po prostu nie miał forsy. Wszystko szło na ćpanie. Jedyłą rzeczą, jaką miał, był gówniany volkswagen jetta. Pewnego dnia G-Mac widzi Raya jadącego jettą. Ray staje na światłach, G-Mac podchodzi, pakuje mu spluwę w ucho — na środku Mission Ave — i mówi, że zabiera samochód w zamian za pieniądze, które Ray jest winien gangowi. Po prostu. Tak więc mamy porwanie samochodu — zadyma, typowe w tej dzielnicy przestępstwo. Ray, jak już powiedziałem, nie jest złym chłopakiem. Ale bądźmy szczerzy, rzeczywiście był winien pieniądze. I tak miał szczęście, że McNeese nie rąbnął go od razu. Tak więc powinno być po wszystkim, załatwione raz na zawsze. Ray Rat skrewił, w związku z czym G-Mac wziął jettę i po sprawie. Jednak Danziger jakoś namówił Raya Rata, żeby zeznał o wszystkim — co jest rzeczą niesłychaną. Prokuratura nigdy nie może znaleźć świadka w dochodzeniach dotyczących gangów. Nie wiem, co takiego Danziger mu obiecał. Przede wszystkim nie mam pojęcia, dlaczego Danziger tak forsował tę sprawę — a lubiłem Bobby'ego Danziguera, wierzcie mi. Długo pracowaliśmy razem. Ale żaden sąd w tym mieście nie wysłałby nikogo do mamra za przekręt narkotykowy, tym bardziej kiedy jedynym świadkiem jest taki szajbus jak Ray Ratleff. Nawet gdyby Danziger zdołał doprowadzić Raya na salę sądową, musiałby go przywiązać do krzesła, żeby z niego nie spadał. Słowo daję, nawet gdybyście próbowali prowadzić tę sprawę w Pekinie, wydano by wyrok uniewinniający. W każdym razie, zgodnie z przewidywaniami, Ray Rat scykorzył i wtedy zaczęło się zupełne wariactwo. Braxton nie może znaleźć Raya Rata. G-Mac jest wściekły i zaniepokojony, ponieważ Danziger naciska w sprawie jetty Raya Rata. A gdyby doszło do procesu, kto wie? Zawsze jest szansa, że sąd uwierzy Rayowi. Szajbus czy nie, widać, że mówi prawdę. Tak więc wszyscy szukali Raya Rata — gliny, gangsterzy. Zbliżał się proces, a ferajna Braxtona nie mogła znaleźć świadka. Na gwałt trzeba było coś zrobić. Braxton pojechał więc do Maine i załatwił Danziguera. Dobra, może sam nie pociągnął za spust, ale jestem pewien, że wydał rozkaz.

— Skąd pan wie to wszystko? — zapytałem.

— Wszyscy to wiedzą. Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Połowa ludzi w tej dzielnicy mogłaby wam powiedzieć, co się stało. Ale trzeba to udowodnić.

Kelly wysłuchał tej wersji wydarzeń ze zmarszczonymi brwiami. Wszystko to były pogłoski, nie dowody. A może sam Gittens mu się nie podobał? Dla mnie jednak były to dobre wiadomości. Wierzyłem Gittensowi, który siedział w środku tego wszystkiego.

— Gdzie jest teraz Ray Rat? — spytał Kelly.

— Kto wie? Cały wydział szuka Braxtona. Nikt nie myśli obecnie o Rayu, ponieważ to nie on zastrzelił Danzigera.

— Możesz go znaleźć?

Gittens wzruszył ramionami.

— Mam tu paru przyjaciół. Mogą coś wiedzieć.

Przyjaciół? Co to za facet?

Wymieniłem z Kellym spojrzenia. Czemu nie?

— Rzeczywiście możesz znaleźć Raya Rata? — spytałem.

— Szefie Truman, ciebie przecież znalazłem, prawda?

Radio jest tłem dźwiękowym zawodowego życia każdego gliniarza. „Brawo sześć-pięć-siedem, Adam-Robert... Potwierdź, brawo sześć-pięć-siedem...” Ciągłe obecne w samochodach policyjnych, niemal niedające się rozpoznać głosy, lawina informacji. Gittens i Kelly nabyli umiejętność filtrowania tego szumu, wybiórczego słuchania. Ale moje uszy wciąż odbierały bełkotliwe komunikaty. „Jeden-pięć, możesz przejechać koło Leinengen Road siedemdziesiąt pięć. Mamy meldunek o rozebranych samochodzie. Jeden-pięć, mamy to... Brawo K-jeden, tu ocean-Frank...”

— Dokąd jedziemy? — spytałem Gittensa.

— Do miejsca, gdzie przesiaduje Ray. Taki klub towarzyski.

Jechaliśmy na południe Mission Ave. Ludzie na chodnikach przyglądali się nam podejrzliwie — trzem białym facetom w crown victoria. We Flats człowiek zawsze był świadomy swojej rasy.

„Brawo cztery-trzy-jeden. Tremont i Vannover z gorącą gablotą, Mass., dwa-sześć-zero-Paul-Wiktor-John, beżowy VW. Dwaj Latynosi”.

Gittens zaparkował przed wielkim obiektem przemysłowym, położonym nieco w bok od alei, jedynym prosperującym zakładem, jaki widziałem w tej okolicy. Napis głosił: „Służba Oczyszczania Miasta Zip-a-Way, Inc. Centralny Ośrodek Recyklingu w Bostonie”.

Zakład, otoczony wysokim płotem zwieńczonym spiralami drutu kolczastego, składał się z trzech gigantycznych magazynów. Z dachu największego wychodził taśmociąg, wynoszący do góry i zrzucający do rozdrabniacza plastikowe butelki i pojemniki. Na zewnątrz budynków nic się nie działo. Odnosiło się wrażenie, że obiekt jest pusty, funkcjonuje samodzielnie, automatycznie.

— To tutaj — oświadczył Gittens.

Przeprowadził Kelly’ego i mnie przez bramę, a kiedy znaleźliśmy się w środku, poszliśmy wzdłuż ogrodzenia na tylny dziedziniec. Segregowano tutaj zwiezione sterty śmieci — osobno gazety, metal, plastik. Gittens wiódł nas pomiędzy wydmami odpadków do dwunastometrowego przemysłowego dumpstera. Gigantyczny kontener stał w kącie, sprawiał wrażenie porzuconego. Nieopodal widniały stosy starych cegieł — posortowanych i poukładanych. Uznałem, że w dumpsterze znajduje się mniej więcej to samo — materiały budowlane albo jakieś inne odpady. Dlaczego Gittens nas tu prowadzi? Pomiedzy kontenerem a ogrodzeniem z grubej siatki było wąskie przejście, przez które musieliśmy się przeciskać bokiem.

— Wejść pierwszy — szepnął Gittens.

Odsunął grubą zasłonę wiszącą z tyłu kontenera i wszedł w otwór. W środku

rozległy się głosy i po chwili Gittens wysunął głowę.

— Chodźcie. Nie jest tak źle, jak na to wygląda.

Popatrzyliśmy z Kellym po sobie.

— Ty pierwszy — powiedziałem.

W kontenerze panowała absolutna ciemność. Nic nie widziałem i dlatego tym silniej czułem smród gnijących odpadków, moczu, odór potu i jakiś bardziej kwaśny, może palonego plastiku. Kilka sekund później byłem już w stanie dostrzec drewnianą szpulę od kabla położoną na boku, która służyła za stół. Obok niej stały dwa obdrapane krzesła, w tym jedno bez nogi. Światło słoneczne przeciskało się przez zasłonę i słabo oświetlało stół oraz krzesła. Błat zasłany był igłami od strzykawek, strzępami poczerniającej folii, opróżnionymi pojemnikami po heroinie i kokainie, leżała na nim też zapalniczka. Pakiety po narkotykach — kwadratowe plastikowe kopertki dwa i pół na dwa i pół centymetra — były ostemplowane dwoma różnymi symbolami. Na jednych widniała czarna sylwetka psa, na innych czerwona rękawica bokserska — nokaut. Z wyglądu stołu można było wywnioskować, że nokaut i czarny pies są najpopularniejszym produktem miejscowego heroinowego świata. Wśród śmieci na stole były również maleńkie paczuszki po kokainie, którą wsypywano do plastikowej torebki na kanapki i zawiązywano na supełek. Wszystkie opakowania po narkotykach były puste. Jak na razie przyjęcie się skończyło.

W Versailles mamy problem z trawką, z lekomanią i alkoholizmem. Od czasu do czasu w liceum pojawia się kilka paczuszek kokainy. Krążą plotki, że towar dostarcza Joe Grasso, który jeździ osiemnastokołowcem między Montrealem a Florida Keys, ale nigdy nie było dowodów, które pozwoliłyby wystąpić o nakaz przeszukania jego domu. Czegoś takiego jak tutaj nie widziałem na oczy.

Gittens grzebał w pustych pakietach na stole. Włożył do kieszeni jeden po nokaucie, ale było oczywiste, że nie ma zamiaru dokonywać żadnych aresztowań ani nawet poszukać dalszych narkotyków. Nie chodziło tu o prochy.

Coś poruszyło się w mrocznym wnętrzu dumpstera. A potem rozległ się jęk.

Odkoczyłem od stołu. Wpatrując się w ciemność, zobaczyłem zarysy sylwetek trzech czy czterech mężczyzn leżących na podłodze.

— Cholera! — syknąłem, udając złość, aby ukryć w ten sposób zakłopotanie.

— Hej, to mój sprzęt, bracie — rozległ się głos.

Gittens wskazał ręką igłę i strzykawkę na stole. „Sprzęt”.

— Nikt ich nie dotyka, bracie. Wszystko w porządku.

Kelly, który musiał przygarbić się, by nie uderzyć głową w sufit, grzebał w rzeczach na stole końcem pałki, starannie pilnując się, by niczego nie dotknąć.

W tym samym czasie Gittens ruszył w mrok w drugim końcu kontenera.

— Wszystko fajnie — mówił uspokajającym głosem do mężczyzn leżących na podłodze. — Wszystko klawo.

Z trzaskiem naciągnął na dłonie gumowe rękawiczki i stanął okrakiem nad pierwszym śpiącym. Pochylił się i potrząsnął go ręką.

— Jak się masz, przyjacielu?

Nie było odpowiedzi.

— Kogo tu mamy? No, śpiąca królewno, pokaż mi swoją piękną buzię. Czy któryś z was, chłopaki, widział Raya Ratleffa? Co?

Przeszedł nad ciałami, jakby były to kłody drewna.

— Kogo tu mamy? Bobo! Hej, stary! No, Bobo, obudź się na minutę, muszę z tobą pogadać! — Postać jęknęła i próbowała odepchnąć Gittensa. — Bobo, drzemka się skończyła!

Gittens włożył facetowi ręce pod pachy i dźwignął do pozycji siedzącej. Sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął parę gumowych rękawiczek dla mnie. Gdy naciągnąłem je, razem z Gittensem podprowadziliśmy Bobo do stołu.

Bobo okazał się kruchym, chudym jak patyk mężczyzną pod trzydziestkę. Miał na sobie brudne spodnie robocze, podkoszulek Lakersów i rybacką czarną skórzaną czapkę. Obrzydliwie śmierdział.

Umieściliśmy Bobo na krześle, Gittens przykucnął koło niego. Przesunął puste pakiety po narkotykach na bok, by rękawem swetra nie dotknąć blatu stołu.

— Bobo, musimy znaleźć Raya.

Bobo stęknął sennie. Głowa opadła mu na piersi. Przytrzymałem go za ramiona, by nie zsunął się z krzesła.

— Bobo, daj spokój. Wiem, że mnie słyszysz. Widziałeś Raya Rata?

Bobo zdołał unieść lekko jedną powiekę.

— Gittens — jęknął.

— Bobo... czy... widziałeś... Raya... Ratleffa?

— Gittens. — Bobo roześmiał się z siebie tylko znanego powodu. — Gittens, co tu robisz?

— Gdzie jest Ray?

— Nie znam żadnego Raya.

— Daj spokój. Wiesz, kto to Ray.

Bobo przemyślał sprawę.

— Och... Raaay. Z takim wielkim afro? Skurwysyn, który wygląda jak Doktor-J?

— Tak, Bobo, właśnie ten. Widziałeś go?

— Nie, człowieku, Ray zrobił baj-baj. — Roześmiał się. — Raj baj-baj.

— Gdzie się podział?

— Myślę, że jest w, jak to się nazywa, programie ochrony świadków.

— Tak?

— Wyobraź sobie, zrobili z niego farmera.

— Bobo, my nie mamy programu ochrony świadków. Tylko federalni.

— Ale to prawda. Jest gdzieś w Connecticut.

— Bobo, Ray nawet nie byłby w stanie wypowiedzieć tej nazwy.

— Dosyć tego pieprzenia — wtrącił się Kelly. — Detektywie, mogę?

Gittens wykonał zapraszający gest.

Wydawało się, że Bobo domyślił się, co go czeka. Wstał z wysiłkiem, gotów się bronić.

— Siadaj — rozkazał Kelly.

Ale Bobo nie usiadł, co, jak się okazało, było błędem z jego strony.

Pałka Kelly'ego z półobrotu palnęła go w krocze i Bobo upadł na podłogę.

— Sądzę, że zapewniliśmy sobie jego uwagę. Ben, posadź go z powrotem na krześle. Detektywie Gittens, może mu pan teraz zadawać pytania — powiedział Kelly.

— Moje jaja! — stęknął Bobo.

Zerknąłem na Kelly'ego, który wycierał pałkę o nogawkę spodni. Dostrzegł moje spojrzenie, ale odwrócił wzrok.

— Bobo, widziałeś Raya? — zapytał łagodnie Gittens.

— Tak, widziałem.

Bobo wciąż siedział zgięty wpół, dysząc ciężko i trzymając się za genitalia.

— Kiedy to było?

— Nie wiem, parę nocy temu. Przyszedł tu, szukał działki. Zapytał, czy mogę mu pomóc.

— Pomogłeś?

— Przeczytasz mi moje prawa?

— Kiedy się pokazał?

— Nie wiem. Późno. Byłem zajęty.

— Powiedział, gdzie mieszka?

— Nie.

— Jak się tu dostał? Przyszedł, przyjechał?

— Przyjechał.

— Czym?

— Jakimś japończykiem, shitsu czy coś w tym stylu.

— Shitsu?

— Tak.

— Co to takiego?

— Samochód.

— Nie ma samochodu o nazwie shitsu.

— Co ci mogę powiedzieć? Taki właśnie miał. Gittens zmarszczył brwi.

— Jaki kolor?

— Nie wiem. Brązowy, może pomarańczowy. Nie mogłem dojrzeć.

— Brązowe shitsu. To bardzo mi pomoże. Czy ktoś z nim był?

— Nie wiem. Trudno mi sobie przypomnieć.

Gittens wyjął zwitek banknotów. Wyciągnął dwie dwudziestki i rzucił je na stół.

— To ważne, Bobo.

— Jak ważne?

Gittens dorzucił jeszcze jedną dwudziestkę.

— Bobo, muszę znaleźć Raya Rata, zanim zrobi to Braxton.

— Ale pozostanie to między tobą a mną, jasne? Ponieważ ja i Ray byliśmy kumplami, kapujesz? Dawno temu...

Gittens skinął głową, ale nie potwierdził, że utrzyma informację w tajemnicy.

— Ray jest już trupem, Bobo. Braxton go szuka. Muszę znaleźć go pierwszy.

Bobo przyglądał się banknotom na stole.

— Ray ma siostrę, która mieszka w Lowell. Gliniarze już z nią rozmawiali, ale powiedziała im, że Raya u niej nie było. Nie wiem, jak się nazywa. Jest z Davym Diazem, który jeździ harleyem. Ray może tam być.

Gittens ponownie skinął głową na znak, że zrozumiał.

— Powiedziałem tylko, że może tam być, kapujesz, Gittens? Pamiętaj o tym.

— Zapamiętam, Bobo. Nie ma sprawy.

Jakby po namyśle Gittens rzucił na stół jeszcze jedną dwudziestkę.

— Gittens, jak znajdziesz Raya, pomóż mu, dobra? Ray nic nie zrobił. W to wszystko wrobił go prokurator okręgowy. To on nakładł mu do głowy te pomysły.

— Wiem, Bobo.

— Widzisz, co się dzieje, prawda? Możesz mu pomóc.

— Gittens, dałeś temu gościowi osiemdziesiąt dolców — powiedziałem.

— Bobo w pięć minut nieźle zarobił.

— Skąd miałeś forszę?

— Pieniądze za narkotyki. Konfiskujemy je u dealerów. Niech finansują nasze dochodzenia. Taka jest sprawiedliwość.

— No dobrze, ale jak je zdobyłeś?

— Och, Ben, jeżeli pracuje się przy narkotykach, pieniądze są wszędzie.

Robisz nalot na melinę, a tam na stole może leżeć pięć, dziesięć, dwadzieścia tysięcy dolarów, sama gotówka, z banderolami, jak w banku. Zatrzymasz dostawcę na rogu ulicy, a będzie miał pełne kieszenie dych i dwudziestek. No to je bierzemy.

— Nikt się nie stawia?

— Oczywiście, że nie. A co mieliby powiedzieć? Jeżeli dealer pokaże się w sądzie i powie: „To moje pieniądze”, będzie musiał wyjaśnić, skąd ma tyle gotówki albo dlaczego trzymał tyle forsy w dziupli pełnej koki. Rozumiesz, pieniądze są dowodem przestępstwa. Jeżeli będą żądali oddania pieniędzy, przyznają się do winy. Dlatego nic o tym nie mówią.

Pędziliśmy szosą I-93 do Lowell, rozsypującego się przemysłowego miasta, leżącego czterdzieści minut jazdy na północ od Bostonu. Gittens miał włączonego koguta bez syreny i przemykaliśmy obok ciągnącego się kilometrami korka, w którym stały samochody zmierzające do miasta.

— Nie mamy wielu takich przypadków w Versailles — stwierdziłem.

Popatrzył na mnie, chcąc się zorientować, czy dobrze go zrozumiałem.

— A my nie zawsze je zgłaszamy.

Zapadła chwila kłopotliwego milczenia.

— Muszę w jakiś sposób płacić tym ludziom — oznajmił beznamiętnym tonem Gittens. — Tak to już jest.

Lowell wyglądało na dobrą kryjówkę dla Ratleffa. Znajdowało się wystarczająco daleko od Bostonu, żeby nie dotarła tam wiadomość o miejscu jego pobytu, a zarazem na tyle blisko, aby w razie czego mógł liczyć na czyjąś pomoc. Ale było to ponure miasto. W śródmieściu dawne fabryki przekształcono w centra handlowe i muzea, bo miasto starało się zapomnieć o swojej przemysłowej historii. Efekty tego nawet w centralnym rejonie były przekonujące, a pogodny nastrój szybko ustępował, w miarę jak zbliżaliśmy się ku przedmieściom. Shaughnessy Garden, ulica, na której zaszył się Ray Ratleff, wyglądała tak samo jak inne widziane przez brudną przednią szybę samochodu. Davy Diaz mieszkał w jednym z dwurodzinnych budynków na rozsypującym się betonowym fundamencie. Przed domem stał harley i stary mitsubishi — czyli shitsu. Na podwórzu leżał łańcuch dla psa. Wyglądał na wystarczająco mocny, by utrzymać na kotwicy niszczyciel.

Otworzyła nam kobieta. Bardzo wysoka, bardzo dostojna czarna kobieta.

— W czym mogę panom pomóc, panowie policjanci? — zapytała, chociaż byliśmy po cywilnemu.

Słyszeliśmy psa szczekającego wewnątrz domu.

Gittens zapytał o Raya Ratleffa i kobieta uprzejmie wyjaśniła, że go tu nie

ma.

— Nie widziałam Raya od wielu lat — zapewniła.

Gittens przyglądał się jej badawczo.

— Wie pani co — rzekł. — Niech pani powie Rayowi, że przyszedł Martin Gittens. Chcę z nim tylko porozmawiać. Jeżeli również wówczas okaże się, że go tu nie ma, pojedziemy sobie. Dobrze?

Kobieta zawahała się, a potem zniknęła wewnątrz domu.

Chwilę później w drzwiach pojawił się Ray Ratleff. Był wysoki, niemal tak wysoki jak Kelly, a jego głowę otaczało wielkie puszyste afro. Unosiło się nad nim niczym chmura atomowa. Miał na sobie podkoszulek z obciętymi rękawami, dzięki czemu widać było długie, pozbawione mięśni ramiona. Na prawej ręce, tuż pod łokciem, widniała straszliwa blizna. Wyglądało to tak, jakby ktoś wygryzł mu mięsień przedramienia. Na obu rękach widać było ślady po wkłuciach igły. Czoło i prawe oko miał owinięte bandażem. W aktach Danzigera podana była data urodzenia Raya — dwudziesty piąty lipca 1965 roku. Trudno uwierzyć, że człowiek ten ma zaledwie trzydzieści dwa lata. Sprawiał wrażenie pięćdziesięciolatka.

— Cześć, Gittens — przywitał się Ratleff gębokim basem.

— Cześć, Ray — odparł łagodnym tonem Gittens. — Wiele osób cię szuka.

— Wygląda na to, że mnie znaleźli.

— No cóż, komuś musiało się to w końcu udać. Miałeś szczęście, że to tylko ja.

— Tak, szczęściarz ze mnie. Jestem aresztowany?

— Nie. Nie zrobiłeś nic złego.

Ratleff wolno pokiwał głową.

— Jeżeli chcesz, mogę cię zabrać i o coś oskarżyć. Dzięki temu na jakiś czas będę cię trzymał poza ulicą, z dala od Braxtona.

— Nie, wszystko w porządku.

— Potrzebujesz tu czegoś, Ray?

Ratleff założył ręce na piersi. Wyglądał jak Indianin przed sklepem z cygarami.

— Wszystko w porządku.

Gittens stanął obok, patrząc na koślawe budynki na Shaughnessy Garden.

— Gówniana sytuacja, Ray.

— Powiesz im, gdzie jestem?

— Chyba będę musiał — stwierdził Gittens. — Jak twoja głowa?

— W porządku. — Ratleff poklepał bandaż na oku, zupełnie jakby zapomniał, że tam jest. — Nie zrobiłem niczego złego.

— Wiem, Ray.

— Nie zrobiłem niczego złego — powtórzył Ray.

Gittens potakująco skinął głową.

Rattleff w dalszym ciągu patrzył przed siebie i powtarzał niczym mantrę:

— Nie zrobiłem niczego złego. Nie zrobiłem niczego złego.

— Ray — zaczął łagodnie Gittens — ci faceci chcą ci zadać kilka pytań.

Pracują nad sprawą Danzigera, prokuratora okręgowego, który został zastrzelony.

— Panie Rattleff — odezwał się Kelly — czy Gerald McNeese albo ktokolwiek z ferajny Braxtona rozmawiał z panem o porwaniu samochodu?

— Nie musieli ze mną rozmawiać. Wiem, czego chcieli. Chcieli, żebym wycofał się ze sprawy.

— Skąd pan wie?

— To OM.

— Ale postanowił pan nie rezygnować i mimo to zeznawać?

— Prokurator powiedział mi, żebym poszedł i zeznał prawdę.

— Ale wie pan, co Braxton może zrobić?

— Wszyscy wiedzą. Prokurator też.

— Ma pan na myśli Danzigera?

Rattleff kiwnął głową.

— Danziger wiedział, że będzie pan zagrożony?

— Oczywiście.

— Co więc takiego Danziger panu powiedział? Jak pana przekonał?

— Miał na mnie haka. Sprzedałem paczkę glinie.

Gittens parsknął śmiechem.

— Jedną paczkę? Ray, to tylko parę miesięcy odsiadki. Zrobiłeś to wszystko, żeby uniknąć sześciu miesięcy w pierdłu?

— To nie tak.

Stałem na dolnym stopniu ganku i musiałem zadrzeć głowę, żeby patrzeć na Rattleffa.

— O co chodziło, Ray? Co się stało? — zapytałem.

Spojrzał na mnie w dół.

— Co się stało? — powtórzyłem.

— Nie mogłem iść do pierdła. Nie miałem czasu. Poza tym prokurator Danziger powiedział, że i tak tego nie będzie.

— Czego nie będzie?

— Nie dojdzie do procesu. Prokurator miał jakiś układ. Wyjaśnił, że będę musiał tylko powiedzieć, że chcę zeznawać, i mam się tego trzymać. Powiedział,

że to wystarczy do procesu.

Gittens był zaskoczony.

— Sądził, że G-Mac się przyzna?

Rattleff wzruszył ramionami.

— Tak powiedział.

— Nie wierzę w to, Ray — rzekł Gittens. — Ci goście się nie przyznają.

Wiesz o tym.

Rattleff znowu obojętnie wzruszył ramionami.

— Ray, wiesz, o co tu chodziło? — zapytałem.

— Wiem tylko tyle, ile powiedział mi Danziger. Że jeżeli będę się trzymał programu, pozwolę mu popracować jakiś czas nad G-Makiem, zmusi G-Maca, żeby zrobił to, na czym mu zależy. Mówiłem mu, że McNeese nie wydałby nikogo, ale Danziger wciąż powtarzał, że nie o to chodzi. Mówił, że ma coś, na czym G-Macowi zależy.

— A co to było, Ray? O co chodziło Danzigerowi?

— Mówiłem, że nie wiem.

— Ray — odezwał się Gittens — co masz zamiar zrobić, kiedy Braxton po ciebie przyjdzie?

— Niech przyjdzie. Nie zrobiłem niczego złego.

— To nie ma znaczenia. Wiesz, co ci robi.

— Niech przychodzi. Nieważne, co ze mną robi. Mam robaka.

Popatrzyliśmy na niego, nie rozumiejąc.

— Mam robaka.

Udał, że wbija sobie w ramię igłę, co miało znaczyć, że złapał HIV od zakażonej strzykawki.

— Nie mam czasu, żeby pójść do mamra czy gdziekolwiek indziej. I nie mam czasu, żeby przejmować się Braxtonem. Teraz Braxton nic nie może mi zrobić.

Jeżeli jest niebo dla gliniarzy, wygląda jak Connaughton Cafe. Było to wyłożone drewnianą boazerią pomieszczenie z barem biegnącym przez całą jego długość. Barmani mieli białe koszule z krótkimi rękawami i czarne przypinane krawaty. Na ścianie wisiała wielka amerykańska flaga i o wiele większa irlandzka. Nie było stołków, tylko umieszczona przy podstawie baru poręcz do oparcia stopy i kiedy Gittens, Kelly i ja dotarliśmy tam — około wpół do ósmej wieczorem, po powrocie z Lowell — mężczyźni stali w szeregu wzdłuż baru z uniesioną jedną nogą, jak pelikany.

Usiedliśmy przy stoliku na tyłach sali, z trzema pokrytymi rosą butelkami rolling rocka.

— Bywa tu mnóstwo gliniarzy — stwierdził Gittens.

Faktycznie, wydawało się, że niemal wszyscy obecni są policjantami. Byli tu gliniarze w niebieskich mundurowych spodniach, gliniarze po cywilnemu w nylonowych wiatrówkach, gliniarze z dużymi brzuchami i gliniarze z sumiastymi wąsami, niscy, przysadziści gliniarze i szczupli, którzy poruszali się jak John Wayne.

Wkrótce zaczęli podchodzić do nas, aby przywitać się z Gittensem. Kilku znało również Kelly'ego, a ci, którzy nie znali go osobiście, przynajmniej słyszeli jego nazwisko i chyba cieszyli się, że go widzą. Miałem też wrażenie, że cieszą się z poznania mnie. Mruczeli „siemasz” i energicznie potrząsali moją ręką. Przysiadali się ze swoimi piwami i wkrótce utworzyliśmy dużą grupę od sześciu do dwunastu osób, w zależności od tego, kto w danej chwili chciał z nami pogadać.

W pewnym momencie jeden z młodszych policjantów, o szczerzej różowej twarzy, zapytał:

— Co słyhać w sprawie Danzigersa?

Zapadła cisza. Zabójstwo Danzigersa było niemal jak zabójstwo policjanta.

— Nic — odparł Gittens, kłamiąc bez zmrużenia oka. — Żadnych nowych szczegółów.

— Nigdy dotąd nie słyzałem o czymś takim.

— Zupełnie jak w Kolumbii. W jakiejś pierdolonej republice bananowej.

— ...albo na Sycylii. Tam też tak to załatwiają...

— ...zabiją też tego Braxtona. Zobaczycie.

— Kto?

— Zabiją go ludzie z Flats.

Zapadła cisza.

Jeden z białych policjantów podniósł butelkę z piwem i uśmiechnął się.

— Za Ala Sharptona.

Stuknęli się flaszkami.

— Za Rodneya Kinga — rzekł czarny gliniarz, uśmiechając się kącikiem ust.

— Za Rodneya Kinga!

— Pamiętajcie, jak Braxton zrzucił z dachu tego chłopaka, Jameela Suggsa?

— To było dawno temu.

— Chyba w dziewięćdziesiątym drugim. A może w dziewięćdziesiątym trzecim, coś koło tego.

— Co to za Jameel Suggs? — zapytałem.

— Suggs zgwałcił małą dziewczynkę w osiedlu Grove Park. Pamiętajcie jak się nazywała? Jakaś Wells...

— Miała takie afrykańskie imię.

— Nikita...

— Nikisha.

— Tak, Nikisha Wells. Miała siedem lat. Suggs zgwałcił ją, a potem zrzucił z dachu, żeby nikomu nie powiedziała. A kilka dni później ktoś zrzucił z dachu Suggsa. Podobno był to Braxton.

— Taka jest kara za złe zachowanie.

— Nikt nie wie, czy to rzeczywiście był Braxton.

— Wiecie co, jeżeli Braxton rzeczywiście zabił Suggsa, należy mu się medal.

— Ale czy naprawdę to zrobił?

— Tak, naprawdę — wtrącił się Gittens.

Przy stole znowu zapadła cisza.

— Harold zrzucił Jameela Suggsa z dachu. — Gittens zawiesił głos, przez chwilę wycierając serwetką zroszoną butelkę z piwem. — Sam mi o tym powiedział.

— Harold?

— Nie pierdol!

— Co, znasz go?

— Jasne, że znam. — Gittens wzruszył ramionami. — Znam go z dawnych czasów, kiedy ganiałem chłopaków w A-3.

— Więc dlaczego jeszcze go nie znalazłeś?

— Bo on nie chce, żeby go znaleźć. Nikt nie znajdzie Harolda, dopóki będzie się ukrywał.

Wszyscy policjanci przyglądali się Gittensowi. Niektórzy uznali jego kontakty z Braxtonem za podejrzane, część po prostu mu nie wierzyła. Ale wszyscy byli zaintrygowani. Martin Gittens potrafił poruszyć ludzi.

— Przestań nazywać go po imieniu — odezwał się jeden z gliniarzy. —

Wnerwiasz mnie tym.

— Hej, Gittens, jeżeli go znasz, powiedz temu chłopakowi z Maine, jaki jest Braxton, żeby wiedział, za co się bierze.

Gittens uśmiechnął się do mnie krzywo.

— No cóż, jest cwany, tyle ci powiem. Cwańszy niż każdy z tych gości. Harold zorganizował w liceum Hot Box Boys. We Flats połowa facetów będzie ci teraz wmawiać, że należeli do Hot Box Boys. Ale tak naprawdę było ich tylko sześciu czy siedmiu, i to Harold kręcił tym całym interesem.

— Co znaczy „Hot Box Boys”? — zapytałem.

— „Hot box” to skradziony samochód — poinformował mnie jeden z gliniarzy.

— Aha — kiwnąłem głową.

Gittens mówił dalej:

— Zwijali wózki na prawo i lewo. Pięćdziesiąt jednej nocy z parkingu na Hub Nissan w Dorchester. Pięćdziesiąt! Ani razu za nic nie siedzieli. Wysyłało się ich do sądu dla nieletnich i tej samej nocy byli na wolności. Czysty absurd.

— Drzwi obrotowe...

— Widzicie, co się dzieje — burknął z oburzeniem jeden z policjantów. — Możesz się sam ugryźć w dupę. Ci nieletni gówniarze...

— Co, chciałbyś zamknąć każdego szczeniaka, który kradnie samochody?

— Tak! Każdego! Trzeba od razu przykotłować im mocno, żeby się nauczyli.

Muszą wiedzieć, że takie zajęcia nie popłaca.

— Nie da rady. Te dzieciaki mają stalowe jaja, nic ich nie obchodzi.

— Wiecie, czego nie kapuję? — odezwał się ktoś zdziwionym tonem.

— Wiemy, wiemy.

Naokoło rozległy się głośnie śmiechy.

— Nie, posłuchajcie. Gittens, nie łapię tego, co powiedziałaś, Braxton przyznał ci się, że zrzucił z dachu Jameela Suggsa. Dlaczego nic z tym nie zrobiłeś? Miałeś go jak na widelcu za morderstwo.

— No tak, Gittens, co z tobą, ochraniasz takie gówno?

Gittens przez chwilę zwlekał z odpowiedzią.

— Zameldowałem o tym. W prokuraturze okręgowej powiedzieli, że to nie wystarczy do skazania. Nie mieli niczego więcej, a samo przyznanie nie wystarczy, żeby dostał wyrok. Nie chcieli tej sprawy.

Kolejna chwila ciszy.

— Słyszałem plotkę, że Braxton jest kapusiem — odezwał się ktoś.

— Niemożliwe...

— Kogo by kapował? Samego siebie?

— A poza tym Braxton to morderca. Gdyby nawet chciał kablować, nie

mógłbyś się z nim dogadać. Żaden prokurator by na to nie poszedł.

— Federalni wykorzystali Whiteya Bulgera. A przecież i on był mordercą.

— To co innego, tam chodziło o mafię.

— Zresztą Whitey i tak ich wykiwał. Ci federalni to kompletne dupki.

— Wiecie co? Jeżeli pozyskalibyście kiedyś Harolda Braxtona, mógłby wam wiele powiedzieć.

— Lowery nigdy nie poszedłby z nim na żaden układ. Nie miałyby szans na powtórny wybór.

— Nigdy nie wiadomo. Z Whiteyem Bulgerem zawarto układ.

— Bo był biały — odezwał się beznamiętnym tonem czarny gliniarz.

— O Jezus, znowu się zaczyna...

Czarny gliniarz wzruszył ramionami.

— Wszyscy wiecie, że gdyby Whitey Bulger był czarny, federalni nigdy nie zechcieliby się z nim umawiać, obojętne, mafia czy nie mafia.

— O co ci chodzi? Lowery jest czarny i jest prokuratorem okręgowym.

— Andrew Lowery chce zostać pierwszym czarnym burmistrzem — wyjaśnił czarny policjant. — Nie może pozwolić sobie, aby wiązano go z takimi oprychami jak Braxton. Afroamerykański prokurator ochraniający afroamerykańskiego gangstera? Nie ma mowy. Biali ludzie boją się Braxtona, a to o ich głosy należy zabiegać.

— No cóż — odezwał się Gittens. — Mimo wszystko spróbuję przekabacić Braxtona.

— Nigdy ci się to nie uda. Braxton nikogo nie zakabluje.

Gittens wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć:

„Nic nie wiadomo”.

O wiele później dowiedziałem się, że Gittens miał w swoim gabinecie zdjęcie Nikishy Wells, dziewczynki, którą zgwałcono i zrzucano z dachu w osiedlu Grove Park. Na zdjęciu ma czerwoną spódniczkę i białą bluzkę. Kręcone włosy, związane w dwa kucyki, sterczą na jej głowie jak anteny. Na końcu każdego kucyka zawiązana czerwona wstążka, w kolorze sukienki. Na zdjęciu Nikisha pochylała się do przodu i śmiała się, jakby właśnie usłyszała coś bardzo zabawnego. Typowa pierwszoklasistka. Zapytałem Gittensa, dlaczego zatrzymał tę fotografię. Powiedział, że znał Nikishę z czasów, kiedy pracował we Flats. Zachował zdjęcie, żeby przypominało mu, dla kogo pracujemy. Wtedy wydawało mi się to całkowicie wyczerpującym tłumaczeniem. Z perspektywy czasu żałuję jednak, że nie sondowałem głębiej. Szkoda, że nie zapytałem, co myślał o Braxtonie zrzucającym mordercę Nikishy z tego samego dachu. Odpowiedź Gittensa mogła być ciekawa.

Następnego ranka, nieco zmęczony po nocy w Connaughton Cafe, stawiałem się w specjalnej jednostce dochodzeniowej biura prokuratora okręgowego. John Kelly nie poszedł tam ze mną, bo twierdził, że ma jakąś osobistą sprawę do załatwienia. Nie pytałem go o szczegóły. Najczęściej widać było, że nie ma ochoty rozmawiać na ten temat.

Specjalna jednostka dochodzeniowa mieściła się w nierzucającym się w oczy biurowcu, wybudowanym w modernistycznym stylu z lat siedemdziesiątych, poza głównym biurem prokuratora okręgowego, znajdującym się w gmachu sądu hrabstwa Sussex. I jeżeli ktoś wyobraża sobie siedzibę SJD jak jeden z tych znanych z filmów posterunków policyjnych — z dzwoniącymi telefonami, stukającymi maszynami do pisania, zatrzymanymi przykutymi do nogi krzesła — to muszę wyjaśnić, że na pierwszy rzut oka bardziej przypominała biuro księgowego. Rzeczywiście, w tym samym korytarzu na drugim piętrze pracowało kilku księgowych, był tu nawet dentysta. Biuro miało obite materiałem ścianki działowe i podłogę pokrytą wykładziną — wszystko w różnych odcieniach jasnego brązu. O tym, że jest to instytucja ochrony prawa i porządku, świadczył tylko afisz przypięty do jednej z przegródek działowych: „Społeczeństwo, które nie wspiera swojej policji, wspiera przestępców”.

Morderstwo Boba Danzigersa spowodowało, że Caroline Kelly awansowała na stanowisko szefa tej jednostki. Przywitała mnie w recepcji i oprowadziła po całej firmie, przedstawiając kilku funkcjonariuszom stanowym oraz jednemu prawnikowi, przypominającemu kulę do kręgli Franny’emu Boyle’owi.

Boyle wyszedł zza biurka i uścisnął mi rękę, jakby chciał zmiażdżyć mi palce. Powiedział z wyraźnym, przesadnym bostońskim akcentem:

— To pan jest tym gościem z Maine.

Przyznałem, że to ja, a potem poruszyłem palcami, żeby sprawdzić, czy nic się im nie stało. Boyle sprawiał wrażenie człowieka, który kiedyś grał zawodowo w futbol amerykański, ale teraz, w wieku czterdziestu pięciu lat, zaczął tracić formę. Skóra na twarzy mu obwisła, brzuch wylewał się znad klamry paska. Był prawie łysy, nawet skronie miał wygolone do samej skóry. Trudno było ustalić, w którym miejscu kończy się jego pozbawiona włosów głowa, a zaczyna gruby kark.

— Wszystko, czego pan zechce, panie Thuman, naphawdę, w każdej piehdolonej sphawie... — Boyle nie skończył zdania, pokiwał głową, dając do zrozumienia, że mogę o wszystko pytać. Wysunął w moją stronę gruby paluch. — Niech pan pamięta.

Caroline zapytała Boyle’a, czy dobrze się czuje. Spowijał go zapach alkoholu

— była dziesiąta rano — a na twarzy miał czerwone pijackie plamy. Na jego nosie widniała delikatna siateczka drobniutkich czerwonych żyłek.

— Całkiem nieźle, Lynn timer. Ale jestem przygnębiony. No wiesz, zbliża się pogrzeb. Autopsja trwa całe wieki.

— Franny, może lepiej idź do domu. Nie wyglądasz dobrze. Rozumiem cię, wszyscy jesteśmy przygnębieni.

Po chwili wahania Boyle schwycił płaszcz, znów omal nie zmiażdżył mi palców i niepewnym krokiem ruszył korytarzem. Gdy włożył płaszcz, jego kark zniknął prawie całkowicie. Sprawiało to wrażenie, że głowę ma przytwierdzoną bezpośrednio do tułowia, jak u ropuchy.

Gdy znalazł się poza zasięgiem głosu, zapytałem:

— Lynn timer?

Caroline pokręciła głową z wyrazem twarzy, który mówił: „Nawet nie próbuj mnie tak nazywać”.

— Franny to długa historia — oświadczyła, ucinając sprawę.

Zaprowadziła mnie do gabinetu Danzigers. Drzwi pokoju przekreślone były na ukos iksem żółtej taśmy policyjnej. Połyskliwa, samoprzylepna kartka na drzwiach groziła surowymi konsekwencjami każdemu, kto wejdzie do środka: „Zgodnie z prawem stanu Massachusetts karane jest wejście bez specjalnego upoważnienia na miejsce przestępstwa, fałszowanie dowodów rzeczowych lub dokonanie jakichkolwiek innych zmian jego wyglądu...” Caroline zatrzymała się, przesunęła palcami po plastikowej tabliczce z wytłoczonymi literami „Robert M. Danziger. Kierownik”, a następnie zerwała taśmę takim gestem, jakby usuwała pajęczynę. Sam gabinet był schludny, dobrze urządony. Kilka teczek w stojaku na biurku, telefon, terminarz, zszywacz. Wszystko pedantycznie ułożone. Miało się wrażenie, że Bob Danziger zaraz wejdzie przez boczne drzwi i zasiądzie za biurkiem.

— Nie sądzę, żebyś wiele tu znalazł — uprzedziła mnie Caroline. — Zabraliśmy wszystkie akta spraw otwartych przez Bobby’ego.

Zatrzymałem się przy małej fotografii na ścianie. Widniała na niej grupa mężczyzn na stopniach przed gmachem sądu.

— Pierwszy zespół SJD — wyjaśniła. — Wtedy była to tylko grupa antynarkotykowa. Działający wspólnie prokuratorzy i gliniarze. Osiemdziesiąty piąty rok, coś koło tego. Jest tu też twój przewodnik, Martin Gittens.

Fotografia przypomniła mi stare zdjęcia załóg B-52, zawadiackich młodych chłopaków uśmiechających się, obejmujących się ramionami. Gittens stał w przednim rzędzie. Miał sumiaste wąsy, których zdołał się już pozbyć. Musiałem przyjrzeć się bliżej, żeby znaleźć Danzigers. Stał z tyłu i się uśmiechał. Krzepki,

rudowłosy, brodaty gliniarz obejmował Danzigera ramieniem. Wyglądali jak bracia — Danziger starszy, poważny, a psotny, wielki gliniarz młodszy.

— Co to za facet? — zapytałem.

Caroline popatrzyła na wskazywanego przeze mnie palcem wielkiego faceta z brodą.

— To Artie Trudell. Zginął dawno temu. Oskarżono o to Harolda Braxtona, ale się wywinął. — Wpatrywała się w fotografię. — Popatrz, jaki młody był Bobby.

W chwili gdy robiono zdjęcie, Robert Danziger musiał mieć około trzydziestki. Niedawno ukończył studia i nie miał pojęcia, co go czeka. Czując ciężar ręki Artiego Trudella na swoim ramieniu, uważał zapewne, że jest niewrażliwy na kule. Czy Danziger już wtedy nieuchronnie zmierzał do chaty w lasach Maine? Czy też mógł jeszcze wybrać inny los? Odejść z biura prokuratora okręgowego, a nawet całkowicie zaprzestać praktyki prawniczej? Czy po prostu wyjechać z Bostonu, aby zejść z drogi Haroldowi Braxtonowi? Każda biografia zawiera w sobie mnóstwo takiego gdybania. Oczywiście nikt nie jest w stanie przewidzieć swojej gwałtownej śmierci. Wszyscy spodziewamy się, że umrzemy w łóżku. Jednak niektórzy z nas zginą albo umrą przedwcześnie. Ludzie ci podążają obecnie ścieżką powiązanych ze sobą wydarzeń, nieświadomi, że mogą odmienić swój los, gdyby go znali. Wszyscy jesteśmy tak samo ślepi jak Danziger, gdy dwadzieścia lat temu pozował do zdjęcia, i niektórzy z nas umrą tak samo jak on.

— Czym więc zajmuje się obecnie SJD, skoro nie jest już grupą antynarkotykową?

— Skomplikowanymi dochodzeniami. Wciąż prowadzimy sprawy narkotyków, ale także i inne. Białe kołnierzyki, korupcja urzędników publicznych, przestępczość zorganizowana, dawne sprawy. A także te, kiedy w bostońskiej policji pojawiają się konflikty interesów.

— Sądziłem, że gliniarze powinni mieć konflikt interesów z przestępcami.

— Różnie to bywa.

— Aha.

— A Danziger? — zapytałem. — Jakimi sprawami się zajmował?

— W takim małym zespole wszyscy robią wszystko. Bobby koordynował sprawy przeciwko gangom, ale brał również inne.

Zaprowadziła mnie do sali konferencyjnej obok gabinetu Danzigera. Pod ścianą złożone były kartonowe pudła i teczki z aktami. Sięgająca pasa sterta papierów miała jakieś półtora do dwóch metrów szerokości.

— To akta Bobby'ego, wszystko, nad czym pracował w chwili śmierci. Jeżeli

Braxton miał powód go zabić, coś powinno być tutaj... Igła w stogu siana.

— To znacznie więcej niż stóg siana — westchnąłem.

Resztę popołudnia spędziłem w sali konferencyjnej, przeglądając akta Danzigera. Stanowiły niesamowitą lekturę. Wiele z nich dotyczyło różnego rodzaju nadużyć w policji — gliniarz wymuszający od prostytutek robienie laski (raport cytował go: „Nie mów nie, nie mów mi nie!”); kilku detektywów z wydziału antynarkotykowego, którzy zwinęli trzydzieści tysięcy dolarów z dziupli w Mattapan; funkcjonariusz zajmujący się dowodami rzeczowymi, uzależniony od kokainy, która codziennie przechodziła przez jego ręce po drodze do depozytu; kolejna grupa detektywów antynarkotykowych, którzy pobili afroamerykańskiego dealera prochów, by przekonać się, że jest on w rzeczywistości działającym w konspiracji funkcjonariuszem bostońskiej policji (Jestem gliną! Jestem gliną! Zobaczcie moją odznakę!). Jedne akta dotyczyły całkiem banalnej sprawy. „Oskarżenie publiczne przeciwko Julio Vedze” dotyczyło fałszywego zeznania. Oskarżony przyznał się do winy i dostał rok więzienia z zawieszeniem. Postępowanie zakończono przed pięcioma laty, w 1992 roku, i koszulka na papiery była pusta. Dlaczego Danziger w dalszym ciągu interesował się tak błahą historią sprzed wielu lat? Odłożyłem pustą teczkę na bok.

Większość przypadków, którymi zajmował się Danziger, związana była z oskarżeniami przeciwko gangom. Dlatego też zacząłem szukać oskarżonych, o których wiedziałem, że należeli do gangu Braxtona: Geralda McNeese’a, June’a Verisa, samego Braxtona. Zakres spraw był różnorodny, od zwyczajnego posiadania niewielkich ilości narkotyków, po przestępstwa mrozące krew w żyłach. June Veris, którego dzień wcześniej widziałem handlującego w Echo Park, jawił się jako szczególnie ponura postać. W jednym przypadku kawałem betonu zmiażdżył ręce członka Mara Trucha, gangu Salwadorczyków. Obie dłonie zostały zmienione w miazgę. Zemścił się w ten sposób za to, że Mara Trucha sprzedawała kokę w Echo Park, na terenie Oddziału Mission. Veris nigdy nie stanął przed sądem, ponieważ nie było świadków. Nawet jakimś cudownym zbiegiem okoliczności w gronie tych, którzy nic nie widzieli i nie słyszeli, znalazł się także człowiek, któremu zmasakrowano ręce. Ten schemat — okrutne przestępstwo, po którym następowało uniewinnienie albo wręcz odrzucenie zarzutu — powtarzał się stale. Bez względu na to, za jakie obrażenia ciała i okaleczenia odpowiedzialny był Oddział Mission, dopóki ograniczał swoją działalność do Mission Flats, rzadko kiedy sprawy trafiały na wokandę. Mieszkańcy tej dzielnicy po prostu odmawiali składania zeznań.

W miarę upływu czasu moje oburzenie na to, co dzieje się w Mission Flats,

zaczęło słabnąć. W jaki sposób Danziger czy ktokolwiek inny mógłby pomóc poszkodowanym, skoro oni sami nie chcieli wyjaśnić sprawy? Jak wynikało z tych dokumentów, nazwisko Braxtona rzadko pojawiało się w aktach. Danziger nie miał otwartych spraw przeciwko niemu ani żadnej w przygotowaniu.

O drugiej oczy zachodziły mi już mgłą. Caroline przyszła sprawdzić, co się ze mną dzieje. Przyniosła puszkę coli.

— Nie masz jeszcze dość raportów policyjnych, Ben?

— Pozwól, że o coś cię spytam. Gdzie gliniarze nauczyli się mówić w taki sposób: „Wybyłem z mojego pojazdu”. Kto, u diabła, wybywa z pojazdu? Nie można po prostu powiedzieć, że wysiadł z samochodu?

— To gliniarska nowomowa. Wszystkie raporty policyjne brzmią tak samo.

— Moje nie. Moje raporty są piękne.

— Szefie Truman, mówi pan jak zrzedliwy, stary tubylec z Nowej Anglii.

— Nie jestem tubylcem z Nowej Anglii. Nie przeczę jednak, że jestem zrzedliwy.

Uśmiechnęła się, chociaż wydawało się, że robi to z pewnym przymusem.

— Kim jest Julio Vega? Tu leży jego teczka, ale jest pusta.

— Julio Vega? Chodź, pokażę ci.

Komentowałem gliniarską nowomową:

— Personel ochrony prawa i porządku wybył ze swoich krzeseł i na własnych nogach udał się do biura ofiary.

— Dosyć! — rzuciła przez ramię Caroline.

— Przepraszam. Kiedy się już raz zacznie, trudno przestać.

W gabinecie Danziguera Caroline stanęła przed zdjęciem specjalnej jednostki dochodzeniowej z 1985 roku i wskazała przystojnego Latynosa siedzącego w pierwszym rzędzie, tuż koło Gittensa.

— To jest Julio Vega.

— Był gliną?

— W zespole antynarkotykowym w rejonie A-3, czyli we Flats.

— Dlaczego Danziger miał jego akta?

Jej palec przesunął się z Vegi na Trudella, rudobrodego giganta obejmującego Danziguera.

— Vega i Artie Trudell byli partnerami. Vega stał tuż obok, gdy Trudell został zastrzelony.

— Zastrzelony przez Braxtona?

— Tak. Vega widział, jak zabito jego partnera. Okropna sprawa.

— Jaki ma to związek z oskarżeniem Vegi o fałszywe zeznania?

— To długa historia.

— Mam czas.

— Ostrzegam, że to grube akta.

— Jak bardzo grube?

Caroline podeszła do szafki i zaczęła wyjmować pudła, foldery, stenogramy, notesy. Przetaszczyliśmy dokumenty do sali konferencyjnej, gdzie zajęły cały stół.

Pozostawiła mnie tam z dokumentacją dotyczącą zabójstwa Artiego Trudella, dochodzenia zamkniętego niemal dziesięć lat temu. Nie wiedziałem, z jakiego powodu Danziger przechowywał wszystkie te materiały — poza uczuciem przyjaźni do ofiary. Zabrałem się do segregowania papierów, starając się przenieść duchem na miejsce wydarzeń. Przeprowadzałem już wcześniej podobne rekonstrukcje jako niedoszły historyk, zanim choroba matki przekreśliła wszystkie moje plany na przyszłość. Taka właśnie była istota historiografii — odtwarzanie odcinka czasu na podstawie bezpośrednich źródeł. Na uczelni czynności te sprawiały wrażenie bardzo romantycznej przygody. Podróżowałem w czasie i przestrzeni. Kiedy czytałem pochodzące sprzed dziesięciu lat akta dotyczące zabójstwa Artiego Trudella, poczułem się jak przed laty. Czyż detektyw nie jest pewną odmianą historyka?

Z akt prokuratora w sprawie**Oskarżenie publiczne przeciwko Haroldowi Braxtonowi (1987 rok):
Stenogram z taśmy Centrum Dyspozycyjnego, Posterunek Rejon A-****3****17 sierpnia 1987 roku, godz. 2.30***Jednostka 657 (det. Julio Vega):* Potrzebuję karetki.*Centrala:* Zidentyfikuj się.*Vega:* Brawo sześć-pięć-siedem! Potrzebuję tu karetki! To Artie! Potrzebuję natychmiast karetki! Karetki!*Centrala:* Brawo sześć-pięć-siedem, podaj lokalizację.*Vega:* Jezu! On umiera! Artie!*Centrala:* Brawo sześć-pięć-siedem, potrzebuję twojej lokalizacji.*Vega:* Vienna Road pięć-dwa, Vienna pięć-dwa, drugie piętro.*Centrala:* Potwierdzam, pięć-siedem. Potrzebuję karetki, kod siedem, na Vienna Road pięć-dwa.

Wszystkie jednostki: mamy tam rannego funkcjonariusza.

Jednostka 106: Jeden-zero-sześć, Adam-Robert.*Centrala:* W porządku, jeden-sześć.*Brak identyfikacji:* Jedziemy tam.*Jednostka 104:* Czwórka w drodze.*Centrala:* Jeden-zero-siedem i jeden-zero-jeden, gdzie jesteście? Potwierdzić.*Jednostka 107:* Brawo jeden-zero-siedem. Jesteśmy na Mission Ave. Jesteśmy w drodze. Adam-Robert.*Centrala:* Jeden-zero-siedem, Adam-Robert. Wszystkie jednostki, Vienna pięć-dwa, drugie piętro. Ranny funkcjonariusz. Trzymaj się, Julio, już nadjeżdżają.*Jednostka YC8 (sierż. det. Martin Gittens):* Yankee C-osiem. Zgłaszam się na Vienna pięć-dwa. Charlie-Robert.*Centrala:* Yankee C-osiem, powtórz. Mówisz, że jesteś tam?*Gittens:* Jestem. Mam też ze sobą pięć samochodów. Wchodzę.*Centrala:* Detektywie Gittens, proszę czekać na nadjeżdżające jednostki.*Gittens:* [niezrozumiałe okrzyki]*Centrala:* C-osiem, poleciłem czekać na nadjeżdżające jednostki. Potwierdź, C-osiem?*Gittens:* Nie ma czasu. Powiedz Julio, że wchodzimy.*Centrala:* Gittens, czekaj. Gittens, przejdź na kanał siódmy.*Vega:* Gdzie ta pierdolona karetka?*Centrala:* Trzymaj się, pięć-siedem.**Notatka służbowa z 17 sierpnia 1987 roku**

Do: Andrew Lowery, prokurator okręgowy

Od: Francis X. Boyle, zastępca prokuratora okręgowego, szef wydziału zabójstw

W sprawie: Zabójstwo Arthura M. Trudella, raport wstępny

W dniu dzisiejszym o godzinie 3.00 zostałem powiadomiony przez centrum dyspozycyjne o strzelaninie na Vienna Road 52 w Mission Flats. Udałem się na miejsce zdarzenia, dotarłem tam ok. 3.30. Funkcjonariusze zameldowali, że strzelający uciekł tylnymi schodami i nie został odnaleziony. Nie ma identyfikacji ani opisu strzelającego. Nie był widoczny, ponieważ drzwi pozostały zamknięte. Det. Julio Vega, z wydziału antynarkotykowego A-3, zeznał, że trzymał głowę ofiary „żeby się nie rozpadła”. Ramiona Vegi były pokryte krwią. Wyglądał tak,

jakby zanurzył ręce po łokcie w czerwonej farbie. Det. M. Gittens zeznał, że na tylnej klatce schodowej Vienna Rd. 52 znalazł śrutówkę Mossberg 500, natomiast w czasie dokładnego przeszukania wszystkich korytarzy, klatek schodowych i mieszkań nie wykrył żadnej innej broni palnej. Strzelba została wysłana do identyfikacji i badań balistycznych.

Stenogram rozprawy wstępnej w Sądzie Okręgowym Mission Flats, 3 września 1987 roku

Przesłuchanie Julio Vega przez adwokata Maxwella Becka

P. Beck: Detektywie Vega, w jakim celu dokonał pan nalotu na mieszkanie w domu numer 52 przy Vienna Road, tak zwane mieszkanie „za czerwonymi drzwiami”?

Det. Vega: W jakim celu? Było wiadomo, że jest to część operacji antynarkotkowej.

P. Beck: Wiadomo komu?

Det. Vega: Powszechnie wiadomo o tym na ulicy.

P. Beck: Tak, ale jak pan może to potwierdzić?

Det. Vega: Prowadziłem dochodzenie razem z detektywem Trudellem. Dokonaliśmy tam dwóch zakupów kontrolowanych. Poza tym otrzymaliśmy wiadomość od wiarygodnego, tajnego informatora.

P. Beck: Cynk?

Det. Vega: Tak.

P. Beck: Wracając do tego „wiarygodnego, tajnego informatora”... Gdy występował pan o nakaz przeszukania, nie podał pan sędziemu jego tożsamości.

Det. Vega: Miałem takie prawo. Gdybym wymienił jego nazwisko, pański klient by go zabił.

Sędzia: Detektywie Vega, proszę ograniczyć się do odpowiedzi na pytania.

Det. Vega: Przepraszam.

P. Beck: Detektywie, w pańskim wniosku nie ujawnił pan nazwiska swojego informatora, prawda?

Det. Vega: Aby chronić świadka, nie użyłem jego prawdziwego nazwiska.

P. Beck: Określał go pan pseudonimem Raul, prawda?

Det. Vega: Tak.

P. Beck: I oczywiście wie pan, kim jest Raul?

Det. Vega: Oczywiście.

P. Beck: A więc, gdyby chciał go pan ponownie odnaleźć, mógłby pan to zrobić?

Det. Vega: Tak.

P. Beck: To Raul naprowadził pana na tę sprawę? Podał ją panu na srebrnym talerzu.

Det. Vega: Nie wiem nic o srebrnym talerzu. Przekazał nam informację o mieszkaniu. Powiedział, że Braxton w nim handluje.

P. Beck: A sędzia uwierzył panu na słowo? Uwierzył w to, co powiedział panu Raul, i dał panu nakaz, prawda?

Det. Vega: Tak jest.

P. Beck: Po tym, jak detektyw Trudell został zastrzelony, wszedł pan do mieszkania, prawda?

Det. Vega: Tak.

P. Beck: Ale nie miał pan nowego nakazu przeszukania, czyż nie?

Det. Vega: Mieliśmy już nakaz.

P. Beck: Ten, który oparty jest na cynku Raula.

Det. Vega: Właśnie.

P. Beck: A więc, gdyby nakaz został uchylony, wszystko, co znalazł pan w mieszkaniu — broń, podkoszulek — należałoby odrzucić, prawda?

Det. Vega: Takie sprawy rozstrzygacie wy, prawnicy.

P. Beck: Może więc przedstawię to w sposób zrozumiały dla wszystkich. Gdyby Raul nie istniał...

Det. Vega: Co pan ma na myśli, mówiąc „gdyby nie istniał?”

P. Beck: Gdyby Raul nie istniał, całe postępowanie przeciwko panu Braxtonowi należałoby uchylić. Czy nie mam racji?

Det. Vega: [Brak odpowiedzi]

P. Beck: Detektywie, czy zechciałby nam pan powiedzieć, kim jest Raul?

Prokurator: Sprzeciw. Tożsamość informatora jest informacją zastrzeżoną, niezbędną do ochrony bezpieczeństwa świadka i innych związków między policją a informatorami...

P. Beck: Detektywie, kim był Raul?

Prokurator: Sprzeciw!

Sędzia: Tak, dość tego, panie Beck.

Protokół z sesji wielkiej ławy przysięgłych, 21 września 1987 roku Bezpośrednie przesłuchanie detektywa sierżanta Martina Gittensa przez zastępcę prokuratora okręgowego Francisa X. Boyle'a

ZPO Boyle: Detektywie, czy zna pan mieszkanie na drugim piętrze przy Vienna Road 52?

Det. Gittens: Tak. Jest to dziupla używana przez gang o nazwie Oddział Mission.

ZPO Boyle: Czy mógłby pan wyjaśnić ławie przysięgłych, co oznacza słowo „dziupla”?

Det. Gittens: Dziupłą nazywane jest mieszkanie, w którym przechowuje się narkotyki i pieniądze przeznaczone do zaopatrywania ulicznych dealerów. Aby zminimalizować ryzyko, szefowie dają dystrybutorom — czyli dealerom — niewiele towaru, najczęściej jedną paczkę. Paczka to sto fiolek. Są one owinięte w długi odcinek taśmy klejącej i dystrybutorzy sprzedają je, odrywając po kolei od taśmy. W tym przypadku narkotykami handlowano także bezpośrednio w mieszkaniu.

ZPO Boyle: Co jeszcze może pan powiedzieć ławie przysięgłych o tym mieszkaniu?

Det. Gittens: Na ulicy znano je dzięki jaskrawoczerwonym drzwiom. Ćpuny nazywają sprzedawany tam crack kokainią z czerwonych drzwi. Kolor ten ma dwojakie znaczenie. Po pierwsze, w całej dzielnicy czerwień uważana jest za barwy Oddziału Mission. Członkowie tego gangu często noszą czerwone chusty zwisające z kieszeni albo czerwone paski. Również crack jest sprzedawany przez gang w fiolkach z czerwoną, plastikową główką. Gatunek ten na ulicy nazywany jest czerwoną główką.

ZPO Boyle: Fiolki z czerwoną główką rozpoznawane są jako opakowanie cracku stosowane przez Oddział Mission?

Det. Gittens: Tak. W tym rejonie miasta.

ZPO Boyle: Detektywie Gittens, przybył pan tej nocy na miejsce strzelaniny, prawda?

Det. Gittens: Tak.

ZPO Boyle: Czy znalazł pan tam jakąś broń?

Det. Gittens: Tak. Na tylnej klatce schodowej znalazłem strzelbę śrutową Mossberg. Przekazałem ją do analizy kryminalistycznej. Balistycy potwierdzili, że morderstwa dokonano przy użyciu tej właśnie broni. Daktyloskopia ustaliła również, że w czterech różnych miejscach są na niej odciski palców Harolda Braxtona. W mieszkaniu znalazłem także podkoszulek Harolda Braxtona. Rozpoznałem go dzięki charakterystycznemu rozpruciu i logo Uniwersytetu St. John.

ZPO Boyle: Czy strzelba została powiązana z Haroldem Braxtonem w jakikolwiek inny sposób?

Det. Gittens: Tak, przecież świadek przyznał, że kilka miesięcy wcześniej sprzedał ją Braxtonowi. Świadek twierdzi, że przywiózł tę strzelbę z Wirginii.

ZPO Boyle: Detektywie Gittens, czy opierając się na tych wszystkich dowodach, wyrobił pan sobie opinię o tym, co stało się siedemnastego sierpnia bieżącego roku przy Vienna Road 52?

Det. Gittens: Tak. Moim zdaniem tej nocy Braxton znajdował się sam w mieszkaniu, kierując operacją kokainową Oddziału Mission. Pojawienie się oddziału antynarkotykowego pod czerwonymi drzwiami go zaskoczyło. Znalazł się w pułapce. Wpadł w panikę, chwycił broń i strzelił przez drzwi, a następnie uciekł tylną klatką schodową, upuszczając broń po drodze.

ZPO Boyle: W jakim stopniu jest pan przekonany o słuszności tej opinii?

Det. Gittens: W bardzo dużym stopniu.

Stenogram rozprawy w związku z wnioskiem oskarżonego o ujawnienie tożsamości tajnego informatora Raula.

Sąd Najwyższy Hrabstwa Sussex, 7 marca 1988 roku

Przesłuchanie det. Julio Vega przez adwokata Maxwella Becka

P. Beck: Detektywie, czy może pan opisać nam Raula? Jak on wygląda?

Det. Vega: Latynos średniej budowy ciała, średniej tuszy, brązowe włosy, brązowe oczy.

P. Beck: Och, proszę pana, mógłby się pan lepiej postarać. Spotykaliście się przecież wiele razy, prawda? Czy nie mógłby pan podać nam jakieś jego znaki szczególne? Może ma bliznę? Tatuaż, drewnianą nogę? Może sepleni?

ZPO Boyle: Sprzeciw.

Sędzia: Podtrzymuję.

P. Beck: Czy w ogóle zna pan nazwisko Raula.

Det. Vega: Ma ksywę SG, czyli Stary Gangster.

P. Beck: Ale jakie jest jego prawdziwe nazwisko?

Det. Vega: Nie wiem.

P. Beck: Zna go pan od wielu lat i nie ustalił pan jego nazwiska?

Det. Vega: Na ulicy to nic niezwykłego.

P. Beck: Detektywie Vega, czy wie pan, co to jest księga zakupów?

Det. Vega: Jest to rejestr w jednostkach antynarkotykowych, do którego wpisujemy wszystkie dokonane przez nas zakupy narkotyków.

P. Beck: A więc każdy zakup kontrolowany jest zarejestrowany w księdze. Czy tak?

Det. Vega: Każdy zakup narkotyków. Bez znaczenia, czy był to zakup kontrolowany, czy potajemny.

P. Beck: A na czym polega różnica?

Det. Vega: Zakup potajemny to kupno narkotyków przez zakonspirowanego funkcjonariusza policji. Ale nie możemy sami dokonywać wszystkich zakupów, ponieważ dealerzy zaczynają nas rozpoznawać. Dokonujemy więc zakupów kontrolowanych, w czasie których ktoś kupuje towar dla nas.

P. Beck: Rozumiem. Tak więc jeżeli dokonywałyby pan kiedykolwiek potajemnego zakupu, musiałby go pan odnotować w księdze zakupów.

Det. Vega: Tak.

P. Beck: A kiedy wystąpił pan w tej sprawie o nakaz rewizji, oświadczył pan, że tego samego popołudnia dokonał pan zakupu w mieszkaniu z czerwonymi drzwiami?

Det. Vega: Tak.

P. Beck: I było to oświadczenie prawdy?

Det. Vega: Tak.

P. Beck: Ale nie odnotował pan tego zakupu w księdze?

Det. Vega: Nie pamiętam.

P. Beck: Czy mógłby pan spojrzeć do rejestru zakupów na wpisy z 17 sierpnia 1987 roku?

Det. Vega: Tak.

[Pan Beck okazuje świadkowi księgę zakupów, oznaczoną jako dowód rzeczowy 1]

Det. Vega: Przypuszczam, że go nie wpisałem.

P. Beck: Ale jest pan pewny, że dokonał pan zakupu?

Det. Vega: Jestem pewny.

P. Beck: Skoro więc dokonywał pan zakupu, w takim razie musiał pan wejść w posiadanie jakichś narkotyków, prawda?

Det. Vega: Oczywiście.

P. Beck: Co to było?

Det. Vega: Crack. Kokaina. Kupiliśmy jedną butelkę.

P. Beck: „Butelka” oznacza małą plastikową fiolkę?

Det. Vega: Tak.

P. Beck: Zgodnie z wydziałowymi przepisami dowody rzeczowe należy przekazywać funkcjonariuszowi zajmującemu się ich rejestracją i wpisywać do rejestru dowodów, czyż nie?

Det. Vega: [brak odpowiedzi]

P. Beck: Ale pan nie zarejestrował tej fiołki w depozycie dowodów rzeczowych, prawda? Czy chciałby pan spojrzeć do rejestru dowodów?

Det. Vega: Niekiedy...

P. Beck: Detektywie Vega, jeżeli rzeczywiście tego popołudnia kupił pan narkotyk za czerwonymi drzwiami, dlaczego nie ma wpisu w księdze dowodów?

Det. Vega: [brak odpowiedzi]

P. Beck: Detektywie?

Det. Vega: Czasami, kiedy wchodzimy w posiadanie narkotyków, po prostu wyrzucamy je, aby nikt nie mógł z nich skorzystać. W tym momencie nie mieliśmy oskarżonego. Narkotyki nie były dowodem przeciwko nikomu. Być może więc po prostu je wyrzuciłem.

P. Beck: Po prostu je pan wyrzucił. Jak często wyrzuca pan dowody rzeczowe?

Det. Vega: Kiedy kupujemy prochy, a nie ma sprawy z nimi związanej, to co mamy z nimi zrobić? Zostawić na ulicy, żeby jakiś dzieciak je znalazł?

P. Beck: Detektywie Vega, pozwoli pan, że przedstawię hipotetyczną sytuację. Załóżmy, że nie było żadnego Raula. Raul nie istniał.

ZPO Boyle: Sprzeciw.

Sędzia: Odrzucony. Panie Beck, stąpa pan po bardzo cienkim lodzie.

P. Beck: Rozumiem, Wysoki Sądzie. Detektywie Vega, załóżmy hipotetycznie, że nie ma Raula. Dwóch młodych detektywów z wydziału antynarkotykowego słyszy na ulicy pogłoskę, że w pewnym mieszkaniu ktoś sprzedaje crack. Ale to tylko plotka. Może pochodzi od ćpuna. Rozumie pan to założenie?

Det. Vega: Tak.

P. Beck: Czy coś takiego może się zdarzyć? Docierały do was plotki, że w jakimś miejscu handluje się narkotykami?

Det. Vega: Codziennie.

P. Beck: Codziennie, wspaniale. A więc ci dwaj młodzi detektywi wiedzą, że informacja jest prawdziwa. Zdają sobie sprawę, że sędzia nie wyda nakazu na podstawie cynku ćpuna, ale bardzo chcą wejść do tego mieszkania...

Det. Vega: Tak nie było.

P. Beck: Rozumiem, to są tylko hipotetyczne rozważania.

Det. Vega: Tak nie było.

P. Beck: Po prostu chwilowo przyjmujemy takie założenie. Ci dwaj młodzi gliniarze muszą trochę ubarwić sprawę, aby przekonać sędziego, żeby wydał im nakaz, prawda? A więc zamiast powiedzieć: „Ten cynk pochodzi od ćpuna”, mówią: „Mamy cynk od Raula, który jest w stu procentach wiarygodny”. Może nawet posunęli się nieco dalej i wymyślili tajny zakup, aby upewnić się, że dostaną ten nakaz. Nikt nie podważy ich wersji, prawda? Po prostu jest to kolejna operacja antynarkotykowa. Ile takich nalotów przeprowadza pan rocznie, detektywie?

Det. Vega: Dziesiątki, może setki.

P. Beck: A więc ci dwaj funkcjonariusze kłamią, żeby dostać nakaz. Niewielkie kłamstwo. Wiedzą przecież, że za tymi czerwonymi drzwiami naprawdę jest handlarz narkotykami. To białe kłamstwo. Wie pan, co to białe kłamstwo, detektywie?

Det. Vega: [brak odpowiedzi]

P. Beck: Detektywie, wie pan, co to białe kłamstwo?

Det. Vega: Kiedy się kłamie w słusznej sprawie.

P. Beck: Właśnie. Jest to kłamstwo w słusznej sprawie. Ale wtedy wszystko poszło w diabły. Jeden z gliniarzy został zamordowany i nagle pojawiły się pytania: „Kim jest Raul?” „Gdzie są dowody z tajnego zakupu?”

ZPO Boyle: Sprzeciw. Jeżeli jest tu jakieś pytanie, chciałbym, żeby pan Beck je sformułował.

Sędzia: Podtrzymuję. Proszę postawić pytanie, panie Beck.

P. Beck: Detektywie Vega, moje pytanie brzmi: czy ten scenariusz nie wyjaśnia wszystkich nieprawidłowości w tej sprawie?

ZPO Boyle: Sprzeciw!

P. Beck: Detektywie, czy właśnie dlatego nikt nie może znaleźć Raula i nikt nie potrafi nam nawet powiedzieć, jak wygląda?

ZPO Boyle: Sprzeciw!

P. Beck: Detektywie, czy to nie wyjaśnia faktu, że zakup kontrolowany nie został zarejestrowany?

ZPO Boyle: Sprzeciw!

Sędzia: Podtrzymany! Panie Beck..

P. Beck: Detektywie, Raul nie istnieje, prawda?

Sędzia: Panie Beck, sprzeciw podtrzymany!

P. Beck: Detektywie, jeżeli Raul rzeczywiście istnieje, to dlaczego pan go nie pokaże? Gdzie on jest?

Sędzia: Panie Beck, dosyć tego!

Nakaz sądowy z 4 kwietnia 1988 roku

...Poleca się niniejszym, aby oskarżenie zlokalizowało i przedstawiło świadka, określanego w dokumentach sądu jako Raul w czasie siedmiu (7) dni

roboczych. Oskarżenie spełni ten nakaz, przedstawiając pełne nazwisko Raula, jego datę urodzenia, aktualny adres, numer polisy ubezpieczenia społecznego...

Meldunek policyjny z 5 kwietnia 1988 roku

Funkcjonariusz składający meldunek: det. J. Vega (78760)

Poświęciłem dwie zmiany (16.00-24.00, 24.00-08.00) na poszukiwanie tajnego informatora Raula, ale nie byłem w stanie go odnaleźć. Poinformowałem o tym fakcie zastępcę prokuratora okręgowego Boyle'a. Moim zdaniem Raul celowo przeniósł się z tego rejonu, aby nie zostać wmieszany w postępowanie karne przeciwko Haroldowi Braxtonowi za zabójstwo mojego partnera, det. Arthura Trudella. Będę kontynuował poszukiwania.

Postanowienie sądu z 1 czerwca 1988 roku

...Bez względu na to czy Raul rzeczywiście istnieje, czy też, co obecnie wydaje się bardziej prawdopodobne, nie istnieje, oskarżenie popełniło świadome, skandaliczne wykroczenie, pozbawiając obrony ważnego świadka.

W konsekwencji sąd z ciężkim sercem podejmuje następujące postanowienie:

Akt oskarżenia, zarzucający podsądnemu Haroldowi Braxtonowi popełnienie morderstwa pierwszego stopnia na Arthurze M. Trudellu, oddalić.

Wycinek prasowy: „Boston Globe”, 17 stycznia 1992 roku

„Funkcjonariusz z kontrowersyjnej sprawy o morderstwo odchodzi na emeryturę

Detektyw Julio Vega, partner zamordowanego detektywa wydziału antynarkotykowego Arthura Trudella, główna postać kontrowersyjnego procesu oskarżonego o tę zbrodnię przywódcy gangu z Bostonu, dyskretnie odszedł na emeryturę z bostońskiej komendy policji. Vega został odsunięty od służby operacyjnej po oddaleniu sprawy o zabójstwo Trudella w 1988 roku.

Według rzecznika policji Vega odszedł na emeryturę dzień po ukończeniu piętnastu lat służby w policji, czyli dokładnie w chwili nabyciu prawa do świadczeń emerytalnych.

Komenda nie przekazała żadnych informacji na temat miejsca pobytu i przyszłych planów Vegi.

Vega (lat 41) nie udzielił żadnego komentarza i jest nieosiągalny”.

Zgrzyt klucza w zamku mnie zaskoczył. Spojrzałem na zegar — prawie siódma wieczorem. Czy to możliwe? Czyżbym przesiedział tu pięć godzin? Ostatnio zacząłem nosić okulary do czytania, niewielkie, z okrągłymi szklami w drucianej oprawie. Teraz zdjąłem je, żeby jak dziecko przetrzeć oczy. Bolały mnie mięśnie, grzbiet i oczy, ale było to coś więcej niż zmęczenie. W aktach Trudella dostrzegłem jakiś element, który mnie zaniepokoił. Coś, czego jeszcze nie umiałem określić.

Znowu niepewne skrobanie przy zamku drzwi wejściowych. A potem znowu cisza. Wyraźnie słyhać było tło dźwiękowe — brzęczenie świetlówek, potrzaskiwania budynku, klakson samochodu.

Odkaszlnąłem i zapytałem:

— Kto tam?

— Kto tam? A kim, do cholehy, ty jesteś?

— Ben Truman.

— Ben Thuman? Kto?

— Franny, to ty?

— Taak. Otwórz trzwi, dobha?

Zrobiłem to i zobaczyłem stojącego z pijacką, lekko nieprzytomną miną prokuratora Franny'ego Boyle'a. Ścisnął klucze w lewej dłoni. Prawa wyraźnie mu dygotała. Krawat miał wciśnięty do kieszeni płaszcza, a spod rozpiętego kołnierzyka koszuli wystawał postrzępiony podkoszulek.

— Omal się nie zsiąłem ze sthachu, stahy — wymamrotał. Chociaż wydawało mi się to niemożliwe, alkohol jeszcze bardziej nasilił jego bostońską wymowę. — Przyszedłem thochę się zdrzemnąć, dobha? Nie płacę za chatę i nie mogę dać sobie hady z pierdoloną marychą. — Przecisnął się obok mnie.

— Jasne. Jak sobie życzysz, Franny.

Niepewnym krokiem ruszył korytarzem. Jego gruby tors przelewał się przy każdym kroku i w rezultacie Franny kołysał się jak mały holownik na falach.

— Dobrze się czujesz, Franny?

— Klawo.

— Gdzie jest Caroline?

— Skąd, do kuhwy nędzy, mam wiedzieć?

— Po prostu... Nie pożegnała się.

Zatrzymał się i odwrócił do mnie.

— Posuwasz ją?

— Nie!

— Na pewno?

— Raczej tak.

— A czemu nie? Nie podoba ci się?

— Zawsze tak przesłuchujesz ludzi?

— Jest hozwiedziona. Wiedziałaś?

— Nie, nie wiedziałem.

— Cóż, to phawda.

Boyle skinął głową, zupełnie jakbyśmy właśnie wyjaśnili sobie jakieś nieporozumienie, a potem ruszył dalej. Przy drzwiach do sali konferencyjnej zatrzymał się i popatrzył na pudła z dokumentami. Na każdym pudełku grubym markerem napisano „Osk. publ. przeciwko Braxtonowi”. Westchnął ciężko.

— Po co czytasz to gównno?

— Chcę się jak najwięcej dowiedzieć o Braxtonie.

— Jeżeli kóhiegoś dnia zechcesz usłyszeć phawdę, zapytaj mnie.

— Jasne, Franny.

Boyle spojrział na mnie zmęczonym wzrokiem i poszedł do swojego gabinetu, gdzie natychmiast rzucił się na kozetkę.

— Nie mów Caholine, że powiedziałem, że się z tobą pieprzy, dohha? Może to źle przyjąć.

— Och, nie sędzę, by to źle przyjęła, Franny.

— Ona i tak za mną nie przepada. Uważa, że jestem khętaczem.

— To nieprawda. — Przykryłem go starym wełnianym kocem.

— Nienawidzi mnie. Chce się mnie pozbyć, ale Lowehy jej nie daje.

— Prześpij się, Franny. Jestem pewien, że cię nie nienawidzi.

— Powiedziała kiedyś pewnym ludziom: „Fhanny jest taki khętacz, że nawet kapelusz sobie nakhęca na głowę”. To miał być taki żart. Nie przypuszcza, że o tym wiem. Powiedziała: „Fhanny jest taki pokhęcony, że gumkę musi sobie nakhęcać”.

— Tak powiedziała?

— Tak. Czahująca, nie? Ale i tak to niephawda.

— O kapeluszu i gumce?

— Wiesz, o co mi chodzi. Nie jestem khętacz... Nie jestem khętacz.

Byłem gotów znowu zaprzeczyć, ale Boyle zasnął, zanim zdołałem znaleźć odpowiednie słowa.

Po powrocie do sali konferencyjnej zebrałem papiery, włożyłem je z powrotem do pudeł i przeniosłem cały ten bałagan do gabinetu Danzigerera. Z sąsiedniego pokoju dobiegało głośne chrapanie Boyle'a.

I wtedy mnie olśniło. Zrozumiałem znaczenie sprawy Trudella.

Kiedy człowiek jest wyczerpany, łatwo mu pomylić zwyczajne sprawy z

bardzo ważnymi. Ten stan zmęczonego umysłu tłumaczy, dlaczego nasze najgłębsze refleksje zawsze pojawiają się o trzeciej w nocy i dlaczego rano bezskutecznie staramy się je sobie przypomnieć.

Nagle sprawa Trudella — wszystkie ukryte działania i motywy — stała się dla mnie jasna. Wiedziałem, że Raul nie istniał — w każdym razie taki jak go opisano w nakazie rewizji. Detektyw Julio Vega rzeczywiście wymyślił Raula, a jego popełnione w najlepszych intencjach oszustwo miało skłonić sędziów, aby wydali nakaz przeszukania. Sąd nalegał, aby Vega postarał się o coś lepszego niż ćpuny i menele, którzy dostarczali mu informacje na ulicy, w związku z czym Vega wymyślił informatora, który zakasowałby innych, stałby się wyrocznią z rogu ulicy — tak wiarygodną, że sędzia mógłby tylko o takim marzyć. A wtedy nagle wszystko wzięło w łeb. Jednym strzałem Harold Braxton nie tylko zamordował partnera Vegi, ale zdemaskował całą manipulację. I zmienił Julio Vegę z nikomu nieznanego, niewyróżniającego się niczym gliniarza, w niezdarnego, kłamliwego drania, którego twarz pojawiła się na pierwszej stronie „USA Today”. W taki oto sposób Haroldowi Braxtonowi upiekło się zamordowanie Artiego Trudella.

W gabinecie Danzigera stanąłem przed zdjęciem, na którym Artie Trudell trzymał swoje potężne łapsko na ramieniu Bobby’ego Danzigera.

Wiedziałem!

Z pewnością typową dla trzeciej nad ranem wiedziałem, jak irytowała Danzigera świadomość, że Braxton, który zabił Trudella, znajdzie się na wolności. Dlatego właśnie Danziger zatrzymał te akta — chciał ponownie otworzyć sprawę. Wiedziałem też, z kim Danziger musiał się kontaktować. Nie z Frannym Boyle’em czy Martinem Gittensem, z których żaden najwyraźniej nie miał pojęcia, że Danziger wraca do starej sprawy. Nie, mógł to być tylko ten, który wiedział, co naprawdę zdarzyło się tej nocy — Julio Vega.

Drzwi otworzyła mi nie Caroline, ale mały chłopiec. Miał dziewięć, może dziesięć lat, a po jego minie widać było, że przerwałem mu coś bardzo ważnego. Zanim zdążyłem otworzyć usta, wyjęczał:

— Mamo, jakiś gliniarz do ciebie!

— Dlaczego uważasz, że jestem gliną?

— Przyszedłeś zobaczyć się z moją mamą, prawda?

— Z twoją mamą? — Przyszło mi do głowy, że może trafiłem do niewłaściwego mieszkania. Żeby się upewnić, sprawdziłem numer na drzwiach.

Pojawiła się Caroline. Wycierała dłonie w dżinsy.

— Ben! Co tu robisz?

— Muszę z tobą o czymś porozmawiać. Przeglądałem akta Danzigera...

— To jest Charlie — przerwała mi Caroline ze zboląłą miną. — Charlie, to Ben Truman. Ben jest przyjacielem twojego dziadka i dlatego dziadek ma kłopoty...

Dzieciak zdobył się na słabiutkie kiwnięcie ręką.

— Charlie, nie tak. Co się robi, kiedy poznaje się kogoś nowego? No, dalej.

Charlie wzruszył ramionami, a potem wyciągnął rękę.

— Miło mi pana poznać, panie Truman. — Mocno uścisnął mi dłoń, zapewne tak nauczyła go Caroline.

— Oj! — jęknąłem i osunąłem się na kolana, jakby pogruchotał mi wszystkie palce.

Uśmiechnął się zadowolony. Cofnął się i oparł o Caroline, która objęła go, krzyżując ręce na jego piersi.

— Idź odrobić lekcje — poleciła.

— Nic nam nie zadali.

— To odrób jutrzejsze.

— Jak mam to zrobić? — Popatrzył na nią i zniechęcony poczłapał do siebie.

— Możesz już wstać, Ben. Czas na zawieranie męskich przyjaźni się skończył.

— Czas na zawieranie męskich przyjaźni nigdy się nie kończy. Po prostu ulega zawieszeniu, jeżeli akurat w pobliżu znajduje się kobieta.

— To wstrząsająca myśl.

Ukradkiem rozejrzałem się po pokoju, w którym staliśmy. Stos czasopism groził zsunięciem się ze stolika na kawę — „New Yorker”, „Cosmo”, „People”. Pomiedzy nimi trzy egzemplarze „New York Timesa”, wciąż w niebieskich plastikowych torebkach — i niewątpliwie tam sądzone było im pozostać, dopóki nie zostanie rozwiązana sprawa Danzigera. Otwarta puszka coli. Gra *Nintendo*.

Plakat Miró nad kominkiem. W rogu hokejowa torba Charliego i dwa kije. Miły, rodzinny bałagan.

— Zazwyczaj nie rozmawiam tu o pracy — poinformowała mnie Caroline. — W domu poświęcam cały swój czas Charliemu.

— Przepraszam. Coś przyszło mi do głowy. Nie wiedziałem, kogo jeszcze mógłbym zapytać.

Spojrzała na teczkę, którą trzymałem w ręku.

— Jadłeś kolację, Ben? — Kiedy się zawahałem, powiedziała: — Chodź. — I zaprowadziła mnie do kuchni.

Był tam mały okrągły stół z dwoma nakryciami. Caroline zawołała Charliego, żeby dodał jeszcze jedno.

— Jesteś pewna, że wystarczy na troje, Caroline? Nie chciałbym się narzucać.

Pokazała mi żaroodporną tackę z ośmioma pierściami kurczęcia.

— To wszystko miało być dla was?

Charlie wszedł do kuchni w samych skarpetkach i wyjaśnił:

— Zawsze robi za dużo i musimy jeść przez tydzień.

Caroline groźnie machnęła na niego łopatką i odwróciła się do piecyka.

Chłopak uśmiechnął się do mnie. Lubił kurczaki i mógł je jeść codziennie. Odpowiedziałem uśmiechem, dając mu do zrozumienia, że go rozumiem.

— Siadajcie, chłopcy — poleciła Caroline.

Zająłem miejsce naprzeciwko Charliego, a Caroline napełniała talerze nad kuchenką.

— Ryżu? Sałaty? — zapytała. W całej tej sytuacji było coś wzruszającego. — Czego się napijesz? Mam mleko, sok jabłkowy, jabłkowo-żurawinowy, pomarańczowy, wodę, piwo... nie, przepraszam, nie mam piwa. Ale mam wino. Pijesz wino?

Powiedziałem, że tak, i Caroline odszukała butelkę. Podała mi ją do otworzenia.

— I ja napiję się wina — oznajmił Charlie.

— Napijesz się mleka.

Szybko zjedliśmy. Powiedziałem, że kurczak bardzo mi smakował. Przy stole rozmawiałem z Charliem, a Caroline słuchała. Wtrącała się tylko, by zwracać synowi uwagę na dobre maniere. Charlie pasjonował się hokejem i kinem. Był w stanie, naśladować głosy aktorów, wyrecytować od początku do końca listę dialogową najnowszej komedii. Miał spędzić Święto Dziękczynienia z ojcem, a Boże Narodzenie i Nowy Rok z matką. Nienawidził wszystkiego, co wiąże się ze szkołą, a cała jego wiedza o wielkim stanie Maine ograniczała się do tego, że

znajduje się gdzieś pomiędzy Grenlandią a polarnymi wiecznymi lodami. Tak mi w każdym razie oznajmił z triumfalnym uśmiechem. W czasie rozmowy co chwila zerkałem na Caroline. Sama obecność Charliego sprawiała, że się odprężyła, choć wciąż była surowa wobec syna i nieprzystępna w stosunku do mnie. Rysy jej twarzy złagodniały. I stała się przystojną, niemal piękną kobietą. Potwierdzała się stara prawda, że macierzyństwo kobiecie służy.

Po kolacji Charlie posłusznie oczyścił talerz i postawił go koło zlewu, a potem taktownie zniknął, żeby oglądać telewizję. Caroline podeszła do zlewu.

— A więc — zaczęła — co takiego ważnego odkryłeś?

— Uważam, że Danziger wrócił do sprawy Trudella.

Poczułem się rozczarowany, że nie zrobiło to na niej większego wrażenia. Nawet nie podniosła wzroku znad talerzy.

— Bo miał akta? Ja mam akta, które są starsze od Charliego. To nic nie znaczy. Trzymam je, bo nie chcę ostatecznie zamknąć sprawy.

— No właśnie. Może Danziger też nie chciał jej zamknąć?

— Za późno. Sprawa została oddalona dziesięć lat temu.

— W jej wyniku nie powstały żadne kodeksowe konsekwencje dla oskarżonego. Sędzia oddalił sprawę, zanim doszło do procesu. Nie było więc prawnych powodów, które uniemożliwiałyby Danzigerowi jej wznowienie.

— No, no, „kodeksowe konsekwencje”.

— Czy nie tak to określacie?

— Tak właśnie to określamy. Czy praktykowałeś na czarno jako prawnik?

— Nie, ale my tam w Maine też potrafimy czytać.

— Książki?

— Jeżeli nie są za długie.

Uśmiechnęła się lekko i podała mi do wytarcia żaroodporną tackę.

— Mam rację, prawda? Nie było kodeksowych konsekwencji dla oskarżonego.

— Tak. Ale nawet jeżeli masz rację i Danziger istotnie chciał wznowić sprawę Trudella, w dalszym ciągu nie miał dowodów. Nic nie potwierdza faktu, że Braxton zastrzelił Trudella. Nic. Wszystkie dowody zostały odrzucone razem z nakazem. Jakiś gliniarz wymyślił sobie informatora, prawda? Jak się nazywał? Ragu?

— Raul.

— Raul. Dlaczego więc Danziger miałby wznowiać sprawę?

— Nie wiem. Może znalazł coś nowego.

— Wątpię. Posłuchaj, Ben, bez przerwy w sądzie dzieje się coś nie tak, jak powinno. Winni wychodzą na wolność. Bob Danziger doskonale o tym wiedział.

— Tak, ale w tym przypadku sytuacja wyglądała inaczej. Trudell był jego przyjacielem. Możesz to zobaczyć na fotografii. Artie Trudell nie był dla Danziguera po prostu kolejną ofiarą.

— Ale w dalszym ciągu nie ma dowodów. Sprawa jest nie do udowodnienia.

— A jeżeli Danziger tak nie myślał? Może uważał, że uda się ją uratować?

— W jaki sposób?

— Nie wiem. Może Danziger uważał, że Raul istniał naprawdę? Gdyby mógł udowodnić, że Vega nie skłamał, wtedy nakaz byłby prawomocny i cały materiał dowodowy znowu okazałby się ważny. Można by było ostatecznie przygwoździć Braxtona za zabójstwo Trudella.

— Ben, gdyby rzeczywiście istniał jakiś Raul, gliniarze na pewno by go okazali. Nie dopuściliby do uwolnienia zabójcy gliniarza tylko dlatego, żeby chronić informatora.

— Julio Vega powiedział, że szukał Raula, ale nie mógł go znaleźć, bo Raul zwiął.

— Julio Vega kłamał.

— Może Danziger tak nie uważał.

— Może, ale w takich przypadkach zazwyczaj prawdziwe jest najprostsze wyjaśnienie.

— Brzytwa Ockhama — mruknąłem.

Popatrzyła na mnie zaskoczona.

— Zasada logiki, według której prawidłowe jest najprostsze wyjaśnienie.

Zakręciła wodę i gapiała się na mnie.

— No co? Mówiłem, że w Versailles zdarza się nam czytać książki. Kiedyś chciałem nawet zostać profesorem.

— Tak? W jakiej dziedzinie?

— Historia.

— Co się stało?

— Moja matka zachorowała.

— Wyzdrowiała?

— Nie. Zmarła. To długa historia.

— Bardzo ci współczuję.

— Umarła w godny sposób, jeżeli może to być pociechą.

Pełnym współczucia gestem położyła mi na ramieniu wilgotną dłoń.

— W każdym razie nie jesteś teraz profesorem historii i nie ma sensu grzebać się w sprawie sprzed dziesięciu lat.

— Chociaż Danziger to robił.

Wzruszyła ramionami, nie chcąc przyznać mi racji.

— Co więc zamierzasz zrobić?

— Chciałbym porozmawiać z Julio Vegą.

— Nawet nie wiem, gdzie go znaleźć.

— Komenda policji w Bostonie będzie wiedziała. Vega tkwił tam wystarczająco długo, żeby doczekać się emerytury. Muszą mieć adres, pod który wysyłają czeki. Zapytaj ich.

— Julio Vega...

— Mogłabyś go dla mnie znaleźć, Caroline. W ramach uprzejmości.

Uniosła lekko oczy ku górze.

— Jasne. Co mi szkodzi?

Gdy Charlie poszedł już do łóżka, siedzieliśmy z Caroline na sofie, dopijając wino. Caroline wypita nie więcej niż dwa kieliszki, ale alkohol dodał jej rumieńców. Przeprosiła za bałagan i bez przekonania próbowała posprzątać.

— Franny powiedział mi, że jesteś rozwiedziona.

— Tak?

— Oczywiście był wówczas solidnie nawalony.

— To mu się często zdarza.

— A twój mąż... czy Charlie to...

— Tak Ben, w taki sposób rodzą się dzieci.

— Co więc się stało?

Westchnęła.

— Byliśmy bardzo młodzi i bardzo głupi. Razem studiowaliśmy prawo. Zaszłam w ciążę. Uznaliśmy to za dowód, że się kochamy. Wytrzymaliśmy ze sobą tylko osiemnaście miesięcy.

— Widujesz się z nim?

— Kiedy odbiera Charliego albo go przywozi. Poza Charliem nie mamy ze sobą nic wspólnego. Jesteśmy jak obcy sobie ludzie, skuci razem kajdankami.

— Jaki on był?

— Jest... jest bardzo ambitny.

— Spotykasz go w sądzie?

— Nie, już dawno pożegnał się z prawem. W tej branży można zarabiać pieniądze, pobierając opłaty za godzinę. A czasu zaczyna coraz bardziej brakować. — Zorientowała się, że jest cyniczna. — Nie powinnam... Nie chciałam, żeby tak to zabrzmiało. On nie jest złym facetem.

— Może kiedyś znowu wyjdiesz za mąż.

— Na pewno nie. Wystarczy mi te osiemnaście miesięcy.

— A jeżeli pojawi się ten jedyny...

Parsknęła śmiechem.

— Mówię serio.

— Och, Ben, w pewnym wieku przestaje się już marzyć o księciu z bajki.

— A jeśli twój książę wciąż gdzieś jest?

— No cóż, może gdybym poczekała... Chyba nigdy się tego nie dowiem. Nie można oglądać się za siebie.

— Sądzę, że masz rację. Nie można oglądać się za siebie.

— Myślałam, że byłeś historykiem.

Skwitowałam tę uwagę machnięciem ręki. Uwagę, a właściwie całe moje dawne życie. W moim mózgu kiełkowała myśl, że wszystkie retrospekcje są marnotrawieniem czasu.

— Niekiedy — powiedziałem — nawet historycy nie powinni spoglądać wstecz.

— Zgadzam się.

Podniosła w toaście kieliszek i poczułam ogromną chęć, aby ją pocałować. Wydawało się, że na to czeka.

Ale Caroline się odezwała:

— To fatalne, że kobiety nie mogą mieć dzieci bez udziału mężczyzn.

— Tak, to pech — odparłam, a moje emocje znalazły się w pełnym odwrocie.

— W każdym razie... mam już swoje dziecko i sądzą, że już skończyłam z tym wszystkim.

— Mężczyźni są dobrzy również do innych spraw, Caroline. Nie wydawała się przekonana.

Następnego ranka John Kelly i ja znowu byliśmy razem. Wytknąłem mu, że wykręcił się od takiego żmudnego zajęcia, jakim było segregowanie akt Danzigera, ale nie zapytałem, gdzie był.

Caroline dostarczyła ostatni adres zamieszkania Julio Vegi. Był to bungalow w Dorchester, wyglądający jak plażowy dom na małym placyku w zapuszczonym kwartale ulic. Podwórze pokrywał piasek ze sterczącymi tu i ówdzie źdźbłami trawy.

— Pogadaj z nim, Benie Truman. Rozejrzę się z tyłu.

Kelly schował pałkę za plecy i zniknął za rogiem budynku.

Zastukałem do drzwi, a potem zszedłem z ganku. Sztywne źdźbła trawy drapały mnie w kostki. Zastukałem jeszcze raz, głośniej.

W końcu drzwi się otworzyły i za drugimi, z siatki, zobaczyłem mężczyznę. Krępego Latynosa w podkoszulku i spodniach od dresu. Obwisły brzuch. Szara cera. To nie mógł być ten sam facet, ten wąsaty przystojniak, którego widziałem na zdjęciu. Bez słowa zmierzył mnie wzrokiem.

— Szukam Julio Vegi.

— Ktoś ty taki? Reporter?

— Nie, jestem gliniarzem.

— Nie wyglądasz na gliniarza...

Pokazałem odznakę, a on otworzył siatkowe drzwi, wziął ją i cofnął się, żeby dokładnie się przyjrzeć.

— Pan Julio Vega?

— Jest mnóstwo Julio Vegów, człowieku.

Chwiejąc się lekko, oglądał uważnie odznakę, trzymając ją tuż przed nosem.

— Co to takiego? — zapytał. — Versailles, Maine?

Musiałem z całej siły powstrzymać się, by nie pogratulować mu, że prawidłowo wymówił nazwę. Zamiast tego ponownie zapytałem, czy jest Julio Vegą.

— Kto cię tu przysłał?

— Nikt mnie nie przysyłał. Znalazłem nazwisko w aktach Roberta Danzigera. Spojrzał na podwórze, a potem otworzył drzwi i rzucił mi odznakę.

— Nie mam nic do powiedzenia, szefie.

— Czy woli pan, żebym przyszedł z wezwaniem? — Fajnie zabrzmiało, może trochę teatralnie, ale fajnie. — Powoływana jest ława przysięgłych. Może chcieliby usłyszeć od...

Zniknął w głębi domu. Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Rozejrzałem się po małym, lichym podwóreczku. Czuję się głupio.

Zastukałem ponownie.

Tym razem otworzył drzwi, trzymając w ręku szklankę z drinkiem. Spojrzał na mnie spode łba i zagrzechotał kostkami lodu.

— Co masz zamiar zrobić, wyłamać drzwi? — zapytał, a mnie zaświtało w głowie, że jest pijany.

— Nie zamykaj mi drzwi przed nosem.

— Masz to wezwanie?

— Jeżeli trzeba, będę je miał.

— To dobrze. Przynieś mi. Podetrę nim sobie dupę.

Zamknął ponownie drzwi.

Zza węgła wyszedł Kelly, kręcąc pałką.

— I co?

— Chyba nie chce z nami rozmawiać.

— Nie? Tak powiedział?

— No cóż, właściwie wyraził się trochę inaczej.

Kelly wszedł na mały betonowy ganek i zastukał pałką do drzwi. Gdy się otworzyły, spojrzał z góry na Vegę i powiedział uprzejmie:

— Musimy zadać panu parę pytań, detektywie Vega. To potrwa tylko chwilę.

Vega pomyślał i wzruszył ramionami.

— Wejdźcie — powiedział i powłócząc nogami wycofał się w głąb domu.

Kelly spojrzał na mnie. I co w tym trudnego?

Przeszliśmy za Vegą do pogrążonego w półmroku pokoju pełnego śmieci i pożółkłych gazet. Było w nim również kilka zdjęć — uśmiechnięte siostrzenice, starzy dziadkowie. Vega wskazał gestem stary fotel o zapadniętym siedzeniu oraz poczerniałym i śliskim od brudu obiciu. Na oparciu wisiał poplamiony pokrowiec na meble. Siadając, uważałem, żeby nie dotknąć go głową. Vega opadł na stojące obok krzesło, odwracając się do telewizora. Teraz, kiedy nie rozdzielały nas siatkowe drzwi, po raz pierwszy mogłem dobrze mu się przyjrzeć. Ruina człowieka. Był na bosaka, a paznokcie u stóp tak mu wyrosły, że wyglądały jak szpony z żółtej miki. Mimo woli gapiłem się na te paznokcie, potem na gąbczastą, różową bliznę na lewym przegubie Vegi, na jego rozczochrane, zbyt długie włosy. Były detektyw dolał sobie do szklanki wódki z półlitrowej butelki. Z ciężkiej szklanej popielniczki wziął zgaszonego papierosa i zapalił go ponownie.

— Szeffie, coś ci powiem — oznajmił. — Ty jesteś gliną i ja jestem gliną. Ludzi należy traktować z szacunkiem. Nie traktuj gliny, jakby był jakimś ptasim gównem, które znalazłeś na ulicy. Gadkę o wezwaniach i ławie przysięgłych zachowaj dla innych facetów. Rozmawiasz z gliną, czyli rozmawiasz ze swoim

bratem. Okaż szacunek. Zasłużyłem na to. Zapytaj swojego przyjaciela. — Wskazał Kelly'ego papierosem.

— Ma pan rację — powiedziałem.

— Zapracowałem na szacunek przez czternaście lat. Nie obchodzi mnie, co słyszałeś.

— Ma pan rację. Przepraszam.

— Jesteś gliniarzem. Ja jestem gliniarzem. Tylko dlatego tu siedzisz. Szacunek.

Potrząsnął lodem w szklance, znowu wypił łyk. Wódka w prawej ręce, papieros w lewej. Wciągnął powietrze nozdrzami, pijąc spokojnie, ze skupieniem.

— W taki sposób traktuje się ludzi. Zapytaj tego starego.

Kelly nie zwracał na niego uwagi. Chodził po pokoju, przyglądając się nagromadzonym przedmiotom. Trzymał pałkę za plecami, jakby była katalogiem eksponatów na wystawie.

A my z Vegą gapiliśmy się w telewizor. Migawki z meczu futbolowego, napastnik wymykający się obrońcom.

— Lubi pan futbol, detektywie Vega?

— Lubię Barry'ego Sandersa, człowieku. Popatrz na niego.

Patrzyliśmy.

— Jest za szybki. Barry jest po prostu za szybki.

— Detektywie, muszę pana zapytać o Boba Danzigersa. — Vega zerknął na mnie i chwilę potem znowu zaczął wpatrywać się w telewizor. — Chciałbym wiedzieć, dlaczego Danziger miał w swoim biurze pana akta. Akta dotyczące zawieszenia.

— Jest mnóstwo moich akt.

— Mnóstwo, ale Danziger miał tylko jedno. Dotyczące zawieszenia. Myślę, że to nic ważnego, może po prostu interesował się pańską sprawą z osobistych powodów, ponieważ znał go pan. Czy tak?

— Nie zadawaj takich pytań. Dobry detektyw nie stawia pytań, na które odpowiada się tak lub nie. Zostawiaj zawsze otwartą furtkę. Pozwól mówić ludziom. Szukaj niespójności w ich słowach. — Wciąż wpatrywał się w telewizor, a może tylko udawał. Chyba nie był aż tak bardzo pijany. — Jeżeli sam mówisz, nie słuchasz innych i ni cholery się nie dowiesz. Niech ten drugi mówi, to jest jedyny sposób. Nie mam racji?

— Masz — poparł go Kelly. — Zapytaj jeszcze raz, Ben. Zrób to we właściwy sposób.

— Dobra. Niech mi pan powie o Raulu.

— Nie wiem nic o Raulu.

— Niech mi pan powie to, co pan wie.

— Nie ma żadnego Raula, wiem tylko tyle, kropka.

Ciągle patrzył w telewizor, na migawki z rozgrywek futbolowych z ubiegłej niedzieli.

— Patrz, nie można go trafić, jest za szybki. Zawsze stawiam na Lionsów. Bez względu na wszystko zawsze jestem z Sandersem. Pierdolone Lionsy nigdy nie kryją, ale nie mogę stawiać przeciwko mojemu zawodnikowi, kapujesz?

— Julio, dlaczego Danziger zajął się sprawą Trudella?

— Skąd mam wiedzieć, czym zajmował się Danziger? Przejrzałeś moją teczkę, prawda? Jest w niej wszystko, co miałem do powiedzenia.

Sanders w srebrnych spodenkach i ultramarynowej koszulce zrobił taneczny zwód i wymknął się obrońcom.

— Wiesz, dlaczego lubię futbol, szefie? Lubię pole, te linie co metr, sto linii, wszystkie wyraźne, proste. Wszystko dzieje się w ich granicach. Zawodnicy próbują nawzajem się wykiwać, nabrać, dokopać sobie, ale każdy może to zobaczyć. Popatrz na Barry'ego. Robi zwody, odstawia swoją pieprzoną manianę i gra robi się zakręcona jak cholera. Ale potem grzecznie, ładnie rozpoczynają od nowa. Dlatego to takie podniecające, kiedy Barry tak wszystko zamiesza. Bo wszystko dzieje się tylko w czasie gry, a potem znowu wraca do normy. — Znowu pociągnął łyk. — Dlatego właśnie ludzie kochają futbol.

— Julio, dlaczego zginął Danziger?

— Zabrał się za Geralda McNeese'a z Oddziału Mission. G-Mac potraktował to jak sprawę osobistą, złamał zasadę. Załatwił prokuratora. No to będzie musiał zapłacić. Takie są reguły.

— Wierzysz w to?

— A czemu nie?

— Ponieważ Danziger pytał cię o Raula.

Vega się zawahał.

— Julio, Danziger był twoim przyjacielem. Artie Trudell też. Jesteś im coś winien.

— Daj sobie spokój, chłoptasiu. Nie mów mi, co jestem komu winien. Wiem też, co inni są winni mnie.

— O co Danziger pytał w sprawie Raula?

— Wszystko pomyliłeś, szefie. To, co stało się z Danzigerem, nie ma nic wspólnego z Raulem. Artie nie zginął z powodu Raula. To wszystko pierdoły. To zawsze były pierdoły.

— Pierdoły? — powtórzyłem poirytowany. — Ale Raul istniał, prawda?

— Sędzia powiedział, że Raula nie było. Wymyśliłem go. Tak zostało zapisane. Poniosłem karę, wszystko się skończyło. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

— Posłuchaj, Julio. Pytam cię jako gliniarza: skąd ty i Artie mieliście cynk, że za czerwonymi drzwiami handlują prochami? Jeżeli nie dostaliście go od Raula, to od kogo? Informacja musiała skądś pochodzić.

Vega zgasił jednego papierosa i zapalił następnego.

— Raul jednak istniał, prawda? Sędzia się pomylił.

— Nie rozumiesz.

— Nie, nie rozumiem. Pomóż mi.

— Mnóstwo gliniarzy od dawna korzysta z Raula.

— A więc rzeczywiście istnieje?

— Tego nie powiedziałem. To nie ma znaczenia, nic nie ma znaczenia.

Vega spojrzał w głąb szklanki. Czy wyobrażał sobie Artiego Trudella, wciąż stojącego, wciąż trzymającego rurę do wyważenia drzwi? Ile razy widział, jak Artie Trudell umiera?

— Artie stanął wprost przed drzwiami — oznajmił, rzucając spojrzenie, które miało świadczyć o chęci współpracy. — Ja też. Byliśmy głupi. Cała sprawa była niepotrzebna.

— Julio, czy Danziger...

— Ben — przerwał mi Kelly. — Wystarczy, pora iść. Detektywie Vega, dziękujemy, że poświęcił nam pan tyle czasu.

Vega wpatrywał się w futbolowe migawki, w siatkę, gdzie wszystko miało swoje punkty odniesienia i było stale rejestrowane.

Kelly pocieszył mnie w samochodzie:

— Bardzo dobrze. Czegoś się dowiedziałaś. Nie jest jeszcze gotów powiedzieć wszystkiego. Nie martw się, wrócimy. Czasami musi to trochę potrwać.

— Wciąż kłamie.

— Tak. Ale jestem pewien, że ma powody.

O kłamstwach Vegi szybko jednak zapomnieliśmy. Prawdę mówiąc, zapomnieliśmy o wszystkim — o Vedze, Trudellu, Raulu, o czerwonych drzwiach. Gdy Kelly zadzwonił do Caroline, dowiedział się, że Ray Rattleff nie żyje. Strzelono mu w głowę, jak Danzigerowi. Sprawa przeciwko Geraldowi McNeese'owi przestała istnieć — jedyny świadek oskarżenia nie żył. I tym razem trudno było zwalić winę za to na Raula.

Zwłoki znajdowały się w Franklin Park, leżały na mokrych liściach pod kamiennym mostkiem dla pieszych. Zostały przykryte winylową płachtą, ale Ray Rat był za wysoki i sterczały spod niej nogi — podciągnięte nogawki spodni, chude łydki, adidas z wysoką cholewką.

Za odgraniczającą żółtą taśmą zebrał się tłum. Fotoreporterzy krążyli, szukając dobrych ujęć, kierując aparaty z teleobiektywami na zwłoki.

Grupka detektywów stała wokół denata i gawędziła, nie zwracając uwagi na to, co leżało u ich stóp. Jeden wyjaśniał tajemnicę prawdziwego sosu marinara: poza wszystkimi innymi składnikami — pomidorami, bazylią, oregano, oliwą z oliwek — należało dodać odrobinę cukru. Wie o tym dobrze, bo chociaż sam jest pochodzenia niemiecko-irlandzkiego i swego czasu nie odróżniłby sosu marinara o d keczupu Heinza, ma żonę Włoszkę i od dobrych piętnastu, szesnastu lat widzi, jak ona robi sos marinara...

Obawiałem się, że zaraz oprze nogę na trupie, jakby był to kawałek drewna.

Kelly przedstawił się i zapytał, co się dzieje.

— Ktoś kropnął tego faceta — odparł jeden z detektywów, starszy facet o kwadratowej, płaskiej twarzy. — Tu jest dżungla. Rozumiesz, o co mi chodzi? — W teatralnie przesadny sposób puścił do mnie oko.

Kelly przyklęknął i odchylił koc, aby zobaczyć twarz Ratleffa, a raczej to, co z niej pozostało. Prawe oko i oczodół rozbryznęły się, ale czaszka i skóra na niej pozostały nienaruszone. Czarny płyn zebrał się w oczodole i posklejał wspaniałe afro Ratleffa. Kelly ponownie zakrył twarz kocem, ale jej zarysy wciąż były widoczne, niczym obraz na Całunie Turyńskim.

— Małpie figle — parsknął gliniarz o płaskiej twarzy.

Kelly zignorował jego uwagę.

— Kiedy to się stało? — zapytał.

— Zapewne kilka godzin temu. Stężenie wciąż utrzymuje się w mięśniach twarzy i powiekach... — Poprawił się: — Powiece.

— Są jacyś świadkowie? Czy coś znaleziono?

— Nic. Odciski stóp, ale to park publiczny, tu są tysiące odcisków stóp. — Gliniarz spojrział z zadumą na ciało Ratleffa. — Żadnych świadków. Tutaj nikt niczego nie widzi.

Dwadzieścia metrów dalej Caroline prowadziła ożywioną dyskusję z Kurthem i Gittensem. Surowa, ospowata twarz Kurtha była spięta.

Gdy podeszliśmy bliżej, usłyszeliśmy, jak pyta z podnieceniem i napięciem:

— Jak do tego doszło?

— Nie jestem pewien, czy dobrze cię rozumiem — odparł Gittens.

— Znalazłeś faceta i czterdzieści osiem godzin później nie żyje? Jak mogło się to zdarzyć?

— Nie mam pojęcia, Ed.

— Jak go znalazłeś?

— Już ci mówiłem, Ed. Dostałem cynk. Zapytaj tych ludzi. — Gittens skinął głową w stronę Kelly'ego i mnie. — Jesteś wkurwiony, bo nie ty go znalazłeś. To twój problem, Ed, nie mój. Co mam ci powiedzieć? Nie mógłbyś znaleźć dziury w dupie słonia. Czy to moja wina, Ed?

Gittens znajdował przyjemność w zwracaniu się do Kurtha po imieniu, czym wyraźnie go drażnił. To ciągłe akcentowanie „Eda” w końcu zaczęło brzmieć nieco komicznie.

— W porządku, Martin, starczy tego — wtrąciła się Caroline.

— Słuchaj — upierał się Gittens. — Jeżeli Braxton znalazł Raya Rata, to tylko dlatego, bo Ray spierdolił sprawę. Wrócił do domu. Ray wiedział, że nie powinien tego robić, ale mimo wszystko tu wrócił. Jeżeli sugerujesz, że ktoś w sektorze A-3 dał cynk Braxtonowi...

— Nie mówię o nikim innym z A-3. — Kurth spojrzał na niego wściekle.

— Co to niby ma znaczyć? — zapytał Gittens, demonstrując bardziej zdziwienie niż gniew. — Daj spokój, Ed. Jeżeli masz coś do powiedzenia, wal, nie krępuj się.

Ed Kurth ruszył do przodu, ale rozdzielił ich John Kelly. Spoglądał na nich z góry jak niezadowolony ojciec.

— Dostyc tego, dajcie sobie spokój. Powiedziałeś, co miałeś do powiedzenia.

Jednak Kurth nie chciał ustąpić. Wściekłym wzrokiem wpatrywał się w Gittensa, aż w końcu Kelly położył mu pałkę na piersi i rozkazał:

— Cofnij się!

— Ed, Martin ma rację — stwierdziła Caroline — przesadziłeś. Przespaceruj się, uspokój i wróć, kiedy będziesz gotów do pracy.

Przez chwilę wydawało się, że Kurth wybuchnie. Nie wiem, co by się wówczas stało. Gdyby rzucił się na Gittensa, rozerwałyby go na strzępy — na oczach całego tłumu i licznych fotoreporterów. Na szczęście nie doszło do tego. Odwrócił się i poszedł w stronę zielonych łąk Franklin Park.

— Chyba ma zamiar połamać tam drzewa — powiedziałem.

— Ben! — Caroline pokręciła głową z dezaprobatą.

Niekiedy przypominała moją matkę. Wystarczyło jedno słowo, żeby przywołać mnie do porządku.

— To Braxton — stwierdził rzeczowym tonem Gittens, wpatrując się w zwłoki Raya Rattleffa. — Mamy motyw i dla niego typowy sposób.

— Zgadzam się — stwierdziła Caroline. — Zwiń go.

Łatwiej było rozkazać zwinąć Braxtona, niż to wykonać. Znalazł sobie melinę i nikt — gliniarze, dystrybutorzy z Echo Park ani nawet armia kapusiów Gittensa — nie miał pojęcia, gdzie go znaleźć. Pozostawało tylko czekać. W końcu Braxton lub jeden z jego paczki popełni błąd, który go zdekonspiruje.

Opóźnienie szarpało nerwy wszystkim, nie wyłączając mnie. Od dnia przybycia do miasta czułem się jak unoszony prądem. Wydarzenia przemykały obok niby przystanie nad rzeką i wydawało się, że będą tak płynąć aż do końca. A teraz nurt osłabł, sprawa stanęła w miejscu. Popołudniami chodziłem z Gittensem do Flats, próbując wycisnąć jakieś informacje. Wieczory spędzałem w biurze SJD albo jedząc kolację z Kellym i Caroline. Badałem też miasto, spacerując po nim tak, jak moja matka spacerowała po Versailles.

Być może wynikało to z mojego ówczesnego dziwnego nastroju, ale z miejsca uznałem, że nie lubię Bostonu. Było w tym mieście coś z dawnej stolicy Nowej Anglii — introwertyzm, purytanizm, brak wiary we własne siły. Nie byłem nawet w stanie docenić ewidentnego piękna tego miasta. Oczywiście z perspektywy czasu widzę, że to nie Boston zawinił. Kiedyś byłem tu szczęśliwy, uważałem go nawet za swój drugi dom. Teraz jednak wszystko się zmieniło. Nie mogłem tak po prostu postawić tu walizek i czekać nie wiadomo na co.

W czwartkową noc — pierwszą tego okresu beczynności — nie mogłem zasnąć i około północy w samej białej stałem w oknie mojego pokoju hotelowego, myśląc o domu. W dole migają sygnalizatory uliczne na South End (zatrzymałem się w Back Bay Sheraton, jednym z tych nowoczesnych betonowych klocków, ciśniętych na dziewiętnastowieczną Back Bay niczym lądujące przymusowo statki kosmiczne). Stęskniony za jakimś znajomym głosem, pod pretekstem sprawdzenia, co się dzieje, zadzwoniłem na posterunek w Versailles.

— Pstrunek V'saj.

— Maurice, co ty tam robisz?

— Rozmawiam przez telefon.

— No tak, rozumiem, ale... Kazali ci odbierać telefony?

— Mhm.

Zastanowiłem się przez chwilę.

— Dobry pomysł, Maurice. Kto na niego wpadł?

— Dick.

Dick Ginoux podniósł drugą słuchawkę i przekazał najnowsze wiadomości. Maurice, który wciąż kręcił się koło posterunku, okazał się całkiem przydatny. Odbierał telefony, zamiatał i wykonywał inne drobne prace. Diane Harned

wpadła tego popołudnia, żeby zapytać, co się u mnie dzieje.

— Powiedziałem jej, że masz zamiar tam zostać — oznajmił Dick. — Chyba złamałem jej serce.

Natomiast jeżeli chodzi o niego samego, to ostatnio dokonał aresztowania za jazdę w stanie wskazującym, co nie zdarzało się często, ponieważ pijani kierowcy rzadko kiedy zderzają się z budynkiem posterunku, a Dick jeszcze rzadziej z niego wychodzi.

Brakowało mi ich, i to bardziej, niż się spodziewałem.

— Dick, pozdrów wszystkich ode mnie i powiedz, że u mnie w porządku, dobrze?

— Nie ma sprawy, Ben. Ale uważaj na siebie. Jestem pewien, że szef jest z ciebie dumny.

— Dick, to ja jestem szefem.

— Wiem o tym, Ben. Kapujesz, co mam na myśli.

— Jakież wieści od prokuratora generalnego?

— Tak jest. W chacie zidentyfikowali odciski palców Harolda Braxtona. Chyba w ośmiu miejscach. Przypuszczam, że to twój człowiek. I jeszcze jedno. Dzwonił Red Caffrey. Powiedział, że jest coś, o czym chyba powinien nas powiadomić. Parę tygodni przed znalezieniem zwłok na stację benzynową Reda przyjechał białym lexusem z tablicami z Massachusetts czarny chłopak z dziwnym uczesaniem. Kupił mapę i zatankował do pełna. Reda zastanowiło to, że chłopak nawet nie wysiadł z wozu, rozumiesz? Czarny podjeżdża samochodem za pięćdziesiąt tysięcy dolarów i... nawet nie wie, z której strony ma zbiornik. Red pomyślał, że może wózek jest kradziony. Ale stacyjka nie była spięta na krótko. Chłopak miał w niej regularny kluczyk. W każdym razie Red zapisał rejestrację: I dok.

— I dok?

— Tak jest.

— Sprawdziłeś ją?

— Nie możemy dostać się do wykazu rejestracji Massachusetts, ale nie ma meldunku, że był kradziony.

— Dobrze, Dick. Wyświadczy mi uprzejmość, zobacz się znowu z Redem Caffreyem i pokaż mu fotografie policyjne. Popytaj też ludzi, sprawdź, czy ktoś jeszcze widział tego chłopaka. Dick, widziałeś mego tatę?

— Nie.

— Przejeźdź koło domu, dobrze? Przypuszczam, że jest na bańce.

W czasie tej przerwy poznałem również Andrew Lowery'ego, bostońskiego prokuratora okręgowego. Lowery przekazał za pośrednictwem

Caroline, żebyśmy — John Kelly i ja — przyszli do jego biura w piątek o dziewiątej. Tego rodzaju spotkania rzadko kiedy prowadzą do czegoś dobrego i tym razem nie było wyjątku.

Zastaliśmy Lowery'ego za biurkiem w gmachu sądu hrabstwa Sussex. Siedział rozparty w fotelu za biurkiem, oparty jedną stopą o wysuniętą szufladę i najwyraźniej pochłonięty wiadomościami dziennika telewizyjnego.

„...funkcjonariusze policji w dniu dzisiejszym w dalszym ciągu przeczesywali dzielnice Dorchester, Mattapan, Mission Flats oraz Roxbury w poszukiwaniu zabójcy zastępcy prokuratora okręgowego...”

Andrew Lowery był szczupłym, przystojnym Afroamerykaninem w okrągłych okularach w drucianej oprawie, w których odbijał się teraz obraz z telewizora. Miał na sobie niebieską koszulę w różowe paski z kontrastującymi białymi mankietami i takim samym kołnierzykiem.

Stojąc w drzwiach, Kelly odchrząknął.

Gestem dłoni Lowery zaprosił nas do środka, ale w dalszym ciągu wpatrywał się w ekran. Czekaliśmy jeszcze przez dwie lub trzy minuty, podczas gdy prokurator oglądał kanał informacyjny New England Cable News, sprawdzając, czy nie ma nowych informacji w jego sprawie (w konsoli naprzeciwko biurka Lowery'ego znajdowały się trzy telewizory, ale tylko jeden był włączony).

Gdy dziennik się skończył, Lowery włożył marynarkę. Miał na sobie doskonale dopasowany garnitur, prawdopodobnie szyty na zamówienie.

— Dziękuję panom za przybycie — powiedział, gdy zasiedliśmy przy stole konferencyjnym. — Mam nadzieję, że otrzymujecie wszelką niezbędną pomoc?

Pytanie skierowane było do Kelly'ego, który jednak spojrzał na mnie.

— Tak — odparłem. — Wszystko w porządku.

— Czy napijecie się kawy? Albo czegoś innego?

— Nie, dziękujemy.

Gabinet był niewielki, elegancki, z dywanem na podłodze i meblami Bauhaus. Na ścianie wisiały trzy dyplomy z Harvardu — z college'u, wydziału prawa i Szkoły Zarządzania imienia Kennedy'ego. Jedynym akcentem nawiązującym do tradycyjnej estetyki rządowej instytucji była oprawiona w ramy podobizna pieczęci hrabstwa Sussex, przedstawiająca trzy wzgórza, na których pierwsi koloniści zbudowali swoje miasto — Boston.

— Wiem, że jesteście panowie bardzo zajęci, więc nie zabiorę wam wiele czasu. Mam przyjaciela, o którego się niepokoję. Jak sądzę, spotkaliście się z nim, panowie. To Julio Vega.

Wymieniliśmy z Kellym spojrzenia.

— Dowiedziałem się, że przesłuchaliście detektywa Vegę.

— Kto o tym panu powiedział? — spytał Kelly.

— Mały ptaszek.

— I co jeszcze pański mały ptaszek zakomunikował?

Nie zmieniając wyrazu twarzy, Lowery odwrócił się od Kelly'ego. Zwyczajnie go zignorował.

— Szeffie Truman, mam nadzieję, że pan zrozumie. Chcę panów poprosić o pozostawienie Vegi w spokoju. Nie czuje się najlepiej.

— W jakim sensie?

— W każdym. Jest w takim stanie psychicznym, że nie wiem, co może się zdarzyć, jeżeli zaczniecie budzić demony. Nie chcę, żeby Vega zrobił coś, co pogorszy jego sytuację.

— Pan wybaczy — odparłem — ale trudno wyobrazić sobie, aby sytuacja Vegi mogła się jeszcze bardziej pogorszyć.

— Obawiam się, że Julio któregoś dnia może zrobić sobie krzywdę. Jest niezrównoważony. A poza tym nie widzę, do czego miałyby to prowadzić. Czy można zapytać, dlaczego interesuje się pan sprawą Arthura Trudella?

Poinformowałem Lowery'ego, że zajmował się nią Danziger.

— Bob Danziger musiał mieć setki otwartych spraw. Rzecz w tym, czy macie panowie konkretne fakty, które powiązałyby obie sprawy? Jakies wspólne ogniwo?

— Nie. Jeszcze nie.

— Bardzo proszę, aby obchodzili się panowie z Vegą ostrożnie. Jeżeli chcecie z nim porozmawiać, możemy to zorganizować. A w ogóle czy nie lepiej dać spokój tej sprawie?

— Robię to, co uważam za swój obowiązek.

— Szeffie Truman, mam większy zakres odpowiedzialności niż pan.

— Doprawdy?

Pochylił się do przodu, krzyżując ręce na blacie biurka.

— Tak. Moim zadaniem nie jest tylko zapewnienie przestrzegania prawa i porządku, ale również utrzymanie spokoju. Rozumie pan różnicę?

— Nie do końca.

— Sprawa Trudella ma tutaj kontekst rasowy.

W tym momencie wtrącił się Kelly.

— Jestem pewien, że sprawa Trudella jest tak ważna dla jego rodziny, jak sprawa Danzigerera dla jego bliskich.

Lowery przez chwilę przyglądał się Kelly'emu.

— Spróbujemy potraktować obie te sprawy ostrożnie, poruczniku Kelly. Dla dobra obu rodzin.

Pożegnaliśmy się. Kiedy byliśmy już z Kellym przy drzwiach, Lowery dodał:

— Poruczniku Kelly, wiem, że długo pracował pan w tym mieście, ale proszę pamiętać, że obecnie jest pan tu tylko gościem.

— Gościem?

— Tak. A my staramy się być dobrymi gospodarzami. Okazujemy wszelkie względy, zapewniając współpracę policji. Ale nie musi być tak zawsze.

Caroline po raz pierwszy mnie pocałowała.

John Kelly zabrał Charliego na całą niedzielę. O ile mogłem się zorientować, robił wszystko, na co wnuk miał ochotę, żeby zrekompensować mu swą przeprowadzkę do Maine. W konsekwencji zabawianiem mnie musiała zająć się Caroline, co w tej sytuacji wydawało się zupełnie naturalne. Kilka ostatnich wieczorów spędziłem w jej mieszkaniu. Po obiedzie grywałem z Charliem w hokeja na PlayStation i popijałem bushmillsa z Johnem, a następnie wracałem do hotelu.

Tego niedzielnego popołudnia umówiliśmy się z Caroline w księgarni Avenue Victor Hugo na Newbury Street. Był piękny jesienny dzień. Światło słoneczne nadawało wszystkiemu ostrości, wyrazistości. Jakby przez obiektyw o wysokiej rozdzielczości widać było melomanów kręcących się wokół Tower Records, spacerujące pary, europejskie limuzyny włączające się do ruchu.

W labiryncie przejść i pomieszczeń księgarni książki stały wzdłuż schodów i ścian, leżały w stosach na skrzypiącej podłodze, wypełniały półki regałów. Prawdziwy raj. Czekając na Caroline, zawędrowałem do małych pokoików na górze. Przeglądałem przewodnik turystyczny, kiedy z transu wyrwał mnie kobiecy głos: „Ben?” Poznałem ją, ale nie podniosłem głowy. Z naciskiem raz jeszcze powtórzyła moje imię.

Była to Sandra, moja przyjaciółka ze studiów na uniwersytecie bostońskim. Była jeszcze chudsza, ale przynajmniej zmieniła dawne okulary w grubej czarnej oprawie na bardziej szykowny model. Skrzyżowała ręce na piersi i uśmiechnęła się. A potem, pochylając głowę niczym jakiś drapieżny ptak, zapytała:

— Jesteś tu sam?

— Nie.

— Ja też. — Konspiracyjnie przyłożyła palec do warg. — Spotykam się z kimś.

— Ja także — powiedziałem, zanim zdążyłem pomyśleć. Wydawało mi się bardzo ważne, aby nie okazać się gorszym od Sandry. — Będzie tu wkrótce.

— Myślałam, że jesteś w Maine.

— Owszem, mieszkam tam.

— Co z twoją matką?

— Zmarła tego lata.

— Och, Ben, tak ci współczuję.

— Dziękuję.

— Miło było cię spotkać — skłamała. — Co teraz porabiasz? Znowu gdzieś studiujesz?

Pokręciłem przecząco głową.

— No to co robisz?

— Jestem... Jestem kimś w rodzaju policjanta.

— Policjant! W swoim miasteczku? Jak ono się nazywa?

— Versailles.

— Versailles. Piękna nazwa.

— Jestem tam szefem policji.

— Ojej!

Ten wykrzyknik oznaczał, że właśnie stałem się tematem tutejszych plotek:

„Pamiętacie Boba Trumana? Nigdy nie zgadniecie, co teraz robi...”

— A kim jest twój nowy chłopak? — zapytałem.

— Ma na imię Paul. Jest na dole. Wspaniały człowiek. Pracuje w fundacji Across The River. Wszyscy twierdzą, że ma przed sobą wielką przyszłość.

— Doprawdy?

— A twoja dziewczyna? Jest tutaj?

Zamilkłem. To była katastrofa.

— Ben?

— No cóż, ona właściwie nie jest... Nie wiem, kiedy tu przyjdzie.

— Czy to ona?

Pojawiła się Caroline. Miała na sobie džinsy i czarną kurtkę baseballową. Była w doskonałym humorze. Cieszyła się, że podczas tego weekendu nie musi zajmować się dzieckiem ani pracą.

— Jaka ona? — zapytała Caroline.

— Dziewczyna Bena.

Caroline spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

— Właśnie mówiłem Sandrze... — wybełkotałem.

Sandra, zaskoczona w pierwszej chwili, wszystko już sobie poukładała. Kolejny temat dla plotek: „Powiedział, że jest jego dziewczyną, ale ona najwyraźniej nie miała pojęcia...”

Nagle poczułem dłonie Caroline na moim karku, jej wargi na moich ustach, ciepły powiew jej oddechu na policzku i mocny pocałunek.

— Przepraszam, że się spóźniłam — powiedziała. — Korki.

Sandra wyglądała na niepokojoną. Przeprosiła nas i oddaliła się pospiesznie.

— Dziękuję — szepnąłem do Caroline.

— Nie ma o czym mówić, szefie Truman.

— **Bob nie był jednym z tych aniołów mścicieli** — wyjaśniała Caroline, opisując Boba Danzigera. — Nie widział w każdym zbrodniarza. Starał się jakoś tłumaczyć oskarżonych. Zawsze był taki cholernie rozsądny. Kto by pomyślał, że

czeka go coś takiego?

Byliśmy w barze Small Planet na Copley Square.

Wspominając Danzigerę, Caroline orała widelcem małe bruzdy na serwetce.

— Jednak w pewnym momencie w Bobbym zaszła jakaś zmiana. Wydawało się, że utracił odwagę, spokój ducha. Niekiedy obserwowałam go, kiedy ogłaszano wyrok w sprawie, w której oskarżał. Nigdy nie patrzył na podsądnego. Zupełnie jakby się wstydził. Spoglądał w podłogę albo gdzieś w przestrzeń.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Może miał wątpliwości, czy właściwie ocenił sprawę. Trzeba umieć żyć z tą myślą. Być nieco gruboskórnym w pracy.

— A Danziger taki nie był?

— Na krótko przed śmiercią doprowadził do skazania w wielkiej sprawie związanej z gangiem. Poszłam mu pogratulować. Ale on, zamiast się cieszyć z sukcesu, był przygnębiony. Sprawiał wrażenie wewnętrznie pustego. Nie wiedząc, co mu powiedzieć, zapytałam: „Bobby, co teraz czujesz?” Wiesz, co mi odpowiedział? „Odrazę”.

— Odrazę? — powtórzyłem. — Do czego?

— Do całego systemu. Do ławy przysięgłych udającej, że zna prawdę, do sędziego udającego, że wie, co ma z tym zrobić, i do państwa, które zamyka osiemnastolatka w Walpole. A także odrazę do oskarżonego, nie dlatego, że popełnił przestępstwo, ale ponieważ uruchomił tę całą sprawę, tę całą nieubłaganą maszynę. Powiedział mi: „Mam wrażenie, jakbym to ja był winien”. Czuł obrzydzenie do samego siebie, do swojego uczestnictwa w procesach sądowych.

— Chyba rzeczywiście się wypalił.

— Nie — odparła zdecydowanie. — Wypalenie jest stopniowym procesem. To, co zdarzyło się Bobby’emu, stało się szybko. Coś musiało nim wstrząsnąć.

— Co to było?

— Nie mam pojęcia.

— Czy też odwracasz wzrok, kiedy ogłaszany jest wyrok?

— Nie. Patrzę prosto na oskarżonego. Muszę. Muszę dostrzec to drgnięcie jego twarzy, kiedy usłyszy słowo „winien”. Chcę zobaczyć mrugnięcie jego oczu, kiedy zrozumie, że się nie wywinie i mimo wszystko musi zapłacić za swój czyn. Chcę, by wiedział, że miałam w tym swój udział.

Na jej wargach pojawił się uśmiech, który przywodził na myśl kolekcjonera motyli przypinającego rzadki okaz do swojej planszy.

Postanowiliśmy tej niedzieli odwiedzić każdy bar na Newbury Street —

od eleganckiej knajpki na rogu Mass. Ave, aż do Ritza z niebieskimi markizami i odzwierciedlającym w niebieskiej liberii. Na zakończenie naszego biegu przełajowego Caroline usiłowała wciągnąć mnie do baru w Ritzu, ale odmówiłem.

— Nie sądzę, abym się tam dobrze czuł — powiedziałem.

Zamiast tego poszliśmy do Public Garden, gdzie nawet o zmierzchu było kilku turystów oglądających posąg Jerzego Waszyngtona na koniu. Waszyngton łagodnie spoglądał na nich z góry, ściskając w ręku szczątki szabli. (Jej głównie tyle razy odrywano, że miasto przestało już umieszczać ją z powrotem. Ale generał Waszyngton wciąż uparcie dzierży samą rękojeść).

— Stary, zrób mi zdjęcie — zwrócił się do mnie jakiś gość.

Zapytałem go, czy nie uważa, że jest za ciemno na zdjęcia.

— Nie ma sprawy — odparł. — Coś tam na nich zobaczę.

— Lepiej poproś ją — poradziłem, wskazując Caroline. — Piłem.

Stałem z boku, a Caroline wzięła aparat fotograficzny.

Obserwowałem od tyłu, jak ustawia turystów. Przypomniałem sobie Caroline w krótkiej migawce sprzed kilku dni, z sali sądowej. Miękka teczka opierająca się o jej kostkę, jędrne łydki, zgięte plecy, na których obciążała żakiet.

Przeszliśmy do restauracji Finale. Była to owalna sala z małymi stolikami, słabo oświetlona kinkietami w stylu art déco.

— Caroline, dlaczego Lowery chce nas trzymać na dystans od Julio Vegi?

— Żebyśmy nie grzebali w sprawie Trudella. Był prokuratorem okręgowym, kiedy ją zamknięto. Wyborcy nie lubią, jak zabójcom gliniarzy udaje się wywinąć. To robi złe wrażenie. A Andrew wkrótce rozpoczyna nową kampanię. Czy mój tata dał mu popalić?

— Nie, bardzo się pilnował.

— To do niego niepodobne.

— Kim chce zostać Lowery?

— Burmistrzem. Pierwszy czarny burmistrz w Bostonie.

— Nie widzę w tym sensu. Wybory czy nie, Artie Trudell był gliną.

— To nie takie proste, Ben. Sprawy zamyka się z różnych powodów. — Popatrzyła na mnie, szukając oznak zrozumienia. — Posłuchaj. Niektóre sprawy pozostają nierozwiązane, ponieważ ktoś chce, żeby tak było. Jak w przypadku DeSalvo, Dusiciela z Bostonu. Od trzydziestu pięciu lat mówi się wśród gliniarzy i prokuratorów, że Albert DeSalvo wcale nie był Dusicielem. Zamknęli go w celi z seryjnym gwałcicielem, który opowiedział mu o morderstwach, a ponieważ DeSalvo sam był niezrównoważonym gościem, zapamiętał wszystkie te historie i przyznał do rzeczy, których nie zrobił. Mylił najrozmaitsze szczegóły, ale nikogo to nie obchodziło. O wiele łatwiej było powiedzieć ludziom, że sprawa została

rozwiązana. Potrzebowali tego, żeby móc zasnąć w nocy. Gdyby jednak ktoś udowodnił, że DeSalvo nie był Dusicielem, wtedy wiele osób musiałoby odpowiedzieć za swoje czyny. Nie zawsze chodzi o prawdę.

— Kto więc chce utrać sprawę Trudella?

— Przede wszystkim Lowery. Jestem pewna, że także Julio Vega i Franny. Żaden z nich nie popisał się tutaj.

— Franny mówi, że uważasz go za krętacza. Czy to z tego powodu?

Pokręciła głową.

— Nie mam pojęcia, co Franny rzeczywiście wtedy zrobił. Trudno uwierzyć, że Vega samodzielnie wymyślił te bzdury o Raulu. Problem z Frannym polega na tym, że jest pijakiem.

— Dlaczego Lowery go chroni?

— Ponieważ Franny wie więcej, niż mówi, a Lowery chce, żeby tak zostało. Dlatego nie zwalnia Franny'ego, a ten trzyma gębę na kłódkę.

Pocałowałem Caroline.

Uśmiechnęła się i zapytała:

— Jesteś pewien, że chcesz to zrobić?

— Jestem bardzo, bardzo pewien.

Staliśmy przed wejściem do mojego hotelu. Przyglądał się nam portier. Noc była mroźna.

— Ben, nie musisz starać się mnie oczarować. To nie jest konieczne.

— A jeżeli chcę?

— Nie marnuj tego.

W pokoju hotelowym pocałowaliśmy się niezgrabnie i Caroline zaproponowała, żebyśmy poszli do łóżka. Rozebraliśmy się i położyliśmy się obok siebie, zwróceniu do siebie twarzami. Znów mnie pocałowała. Ujęła moją twarz w dłonie i przyglądała się jej uważnie.

— Dlaczego mam wrażenie, że spotkaliśmy się już kiedyś? — zapytała.

— Nie wiem — odparłem. — Sądzę, że zapamiętałbym cię.

Później Caroline zebrała rzeczy i poszła do łazienki umyć się i ubrać. Włączyłem telewizor i kiedy wyszła, oglądałem stary film.

— Co to? — spytała.

— *Rio Bravo*. Chcesz oglądać?

— To film z Johnem Wayne'em?

— Z Angie Dickinson.

— Tej z *Police Woman*?

— Tak.

— *Police Woman* podobał mi się.

— Ciągle zastanawiałem się, co będzie z nią i Earlem Hollmanem.

Caroline włożyła żakiet.

— Earl lubił Angie Dickinson, ale nie mógł tego powiedzieć ze względu na ich pracę.

— Tak?

— Ben, muszę wrócić do domu, do Charliego.

W telewizorze Angie Dickinson mówiła do Johna Wayne'a: „To właśnie bym zrobiła, gdybym była dziewczyną, za jaką mnie uważasz”.

— Nie ma sprawy. I tak wiem, jak się skończy.

— Jak?

— Wszyscy mylili się co do wszystkich. I była oczywiście strzelanina.

Po czterech dniach poszukiwań Harolda Braxtona — od momentu, kiedy po zamordowaniu Raya Rata Caroline zgodziła się, żeby go zgarnąć — bostońska policja nie miała się czym pochwalić. Braxton zniknął.

Gittens i ja codziennie sondowaliśmy Flats, wypytując każdego, kto kiedykolwiek dał mu jakiś cynk. Gittens potrafił nawiązać kontakt z ludźmi wszelkiego rodzaju, co było fascynujące. Mówił niezłe po hiszpańsku. Miał umiejętność zapamiętywania nazwisk, nie tylko informatorów, ale także ich krewnych i znajomych. I co najważniejsze, cechował go zdrowy rozsądek. Nie dążył do jak największej liczby aresztowań i przymykał oko na drobne wykroczenia, których inni gliniarze by nie zignorowali. Przesadą byłoby jednak twierdzenie, że wszystkie te umiejętności zaskarbiły mu wdzięczność społeczeństwa. Gittens był gliną i ludzie mieli się przy nim na baczności. Ale grał swoją rolę z wdziękiem, dostrzegał niuanse i złożoności, które inni pominęli.

W tym przypadku to nie wystarczało. Braxton zniknął i należało czekać, aż sam gdzieś wypłynie. Gittens, przekonany, że zna Braxtona lepiej niż ktokolwiek inny, ulokował kilku ludzi z sektora A-3 w rozmaitych punktach Flats. Kelly i ja również otrzymaliśmy od niego przydziały. Mnie umieszczono przed domem, w którym mieszkała przyjaciółka June'a Verisa. Uważałem to za mało obiecujące, ale Gittens zapewniał, że się mylę.

Przybyłem tam w poniedziałek wczesnym rankiem, około siódmej. Pod posępnym szarym niebem oparłem się o framugę drzwi i popijałem kawę z papierowego kubka. Moim zadaniem była obserwacja budynku naprzeciwko, na wypadek gdyby Braxton poprzedniej nocy postanowił się tam zatrzymać. Zadanie było niesłychanie nudne.

Zacząłem myśleć o Caroline i naszej wczorajszej przygodzie. Co to znaczyło dla niej? A dla mnie? Bardzo przyjemnie pójść z kimś do łóżka, ale zawsze istniało niebezpieczeństwo, że rankiem sprawy się skomplikują — szczególnie kiedy nie do końca jest jasne, kto kogo wziął do łóżka. Nie oznaczało to, że zakochałem się w Caroline. Nie zdarzyło się nic tak dramatycznego, jednoznacznego. Poza tym jestem zbyt ostrożny, aby dać się ponieść emocjom. Coś się jednak stało. Nie mogłem przestać myśleć o niej — a ściślej mówiąc, o mojej wersji jej osoby, ponieważ Caroline Kelly była trudna do zinterpretowania. W jednej chwili mogła być gorąca, pełna temperamentu, a w następnej — zimna, trzymająca na dystans. Odnosiło się wrażenie, że po prostu nie chce dać się poznać, dopóki sama nie będzie do tego gotowa. Dopóki sama nie podejmie decyzji. Kiedy poprzedniego wieczoru powiedziała: „Nie musisz starać się mnie oczarować, Ben”, w jej głosie zdawało się brzmieć ostrzeżenie: „Nie sądz, że

możesz mnie oczarować”.

Czy była to ostrożność wynikająca z jej rozvodu?

Z perspektywy czasu wiem, że właśnie te sprzeczności kryjące się w Caroline powodowały, że nie mogłem uwolnić się od rozmyślań o niej. Im bardziej była zagadkowa, tym bardziej o niej myślałem, tym bardziej byłem zdezorientowany. Czy jest piękna, czy tylko przystojna? Czy łagodna, jak w stosunku do Charliego (i do mnie), czy wybuchowa, co niekiedy chętnie demonstrowała? Chciałem zrozumieć ją na swój sposób, chciałem sprowadzić tę cudowną złożoność i nieuchwytność do kilku suchych przymiotników. Nie, nie zakochałem się. W pewnym wieku człowiek się nie zakochuje. Zakochanie się, z wszelkimi implikacjami, takimi jak oszołomienie i utrata kontroli, nie jest już właściwym określeniem. Teraz człowiek bada swoją kochankę. Analizuje ją. Obraca ją w dłoniach niczym monetę z odległego kraju. Ale w końcu to także jest jakimś rodzajem miłości.

Analizowałem Caroline — wspomnienie smaku jej ust, silnych pleców. Myślałem o Charliem, stanowiącym czynnik komplikujący sprawę. Wszystkie te rozważania kłębiły mi się w głowie. Właśnie zajmowałem się ich segregowaniem, ich klasyfikacją, ponieważ z emocjami trzeba postępować ostrożnie, nie działać pośpiesznie, jak uczyniła to Annie Wilmot w stosunku do Claude’a Trumana, gdy pojawił się Bobo.

Wyglądał inaczej niż tydzień temu, kiedy na zwałowisku śmieci Gittens wyciągnął go z kontenera. Zniknęła podkoszulka Lakersów i poplamione robocze spodnie. Zniknęło również narkotykowe oszołomienie. Teraz Bobo demonstrował swój styl. Grecką czapkę rybacką miał zawadiacko zsuniętą na jedno oko. Poruszał się rytmicznym krokiem, lekko utykając na lewą nogę; szedł ulicą jak ptak ze złamanym skrzydłem.

Znajdował się jeszcze daleko, kiedy poznał mnie i wyczuł kłopoty. Biały facet w tej dzielnicy — który stoi sobie, popija kawę i patrzy na niego w znany sposób — niewątpliwie oznaczał kłopoty. Spoglądając w lewo i w prawo, natychmiast przeszedł na drugą stronę ulicy, aby mijając mnie, zachować nieco większą odległość.

Nawet ludzie przestrzegający prawa niepokoją się, gdy w pobliżu są gliniarze. Ale Bobo wcale nie wyglądał na zdenerwowanego. Bobo był spoko. Kiedy dotarł do samochodów zaparkowanych po drugiej stronie ulicy, spojrzał na mnie — i to wszystko. A potem zniknął za rogiem.

Zawahałem się, rzuciłem ostatnie spojrzenie na dom numer 442 przy Hewson Street, który miałem obserwować, i postanowiłem, że pójdę za Bobo. To była spontaniczna decyzja. Nie wiedziałem, czy chcę z nim porozmawiać, czy

tylko się przekonać, co zamierza zrobić. Przede wszystkim jednak miałem już dosyć wpatrywania się w dom, w którym mieszkała przyjaciółka June'a Verisa — gapienia się, popijania kawy, siusiania w sklepie na rogu i znowu gapienia się. Cztery dni takich zajęć wystarczyły mi w zupełności. Poszedłem więc za Bobo.

Na Hosmer Street, dość ruchliwej ulicy biegnącej przez Mission Flats ze wschodu na zachód, nie było wielkich tłumów, trzymałem się więc o cały kwartał za nim. Bobo minął kilka przecznic, a potem gwałtownie skręcił w boczną uliczkę o nazwie Blue Moon Lane. W chwili gdy dotarłem do rogu, właśnie wchodził do pozbawionego drzwi budynku.

Był to jeden z ośmiu czy dziesięciu domów przy tej ulicy. Wszystkie, poza tym, do którego wszedł Bobo, były dobrze utrzymane. Ten wyglądał tak, jakby pochodził z Berlina zniszczonego podczas drugiej wojny światowej.

Drzwi frontowych nie było, podobnie jak szyb w oknach. Powyrywano wszystko, co się dało — framugi okienne, rynny. Pozostała jedynie piękna, wyłożona piaskowcem fasada, ogrodzenie z siatki drucianej i groźny napis: „Wstęp wzbroniony”.

Całkiem niesłusznie uznałem, że Bobo wszedł do środka, żeby kupić prochy. No bo jaki mógł mieć powód, aby kręcić się po takim budynku? Postanowiłem więc poczekać, aż wyjdzie. Ile czasu może to zająć — pięć, dziesięć minut?

Jednak Bobo nie pojawił się ani po piętnastu, ani po trzydziestu, ani po sześćdziesięciu minutach.

Postanowiłem więc wejść do środka, bo właśnie tak zrobiłby Gittens. W ostatnich dniach świadomie zacząłem go naśladować. Dlatego też wyciągnąłem rewolwer, po raz pierwszy odkąd trzy lata temu włożyłem mundur gliniarza.

W środku znajdowała się centralna klatka schodowa. Drzwi do mieszkań nie było. Światło słoneczne wdzierało się przez otwory okienne, oświetlając puste pokoje. Podłogi pokryte brudem, strzępy tapet na ścianach, rozwalony piec, stare gazety, poplamiony materac. Wszedłem schodami na piętro, gdzie były kolejne puste pokoje, i wreszcie na drugie, gdzie w końcu znalazłem Bobo.

Leżał na podłodze w pomieszczeniu od frontu. Było tu ciemniej niż w innych pomieszczeniach, gdyż okno zasłaniał kawałek kartonu. Bobo leżał pod ścianą i najwyraźniej spał. Obok wałała się strzykawka z igłą i resztką żółtawego płynu. Mało prawdopodobne, by wstrzyknął sobie tylko połowę porcji.

— Bobo! — Ukląkłem obok niego i dotknąłem szyi, szukając pulsu. Potrząsnąłem nim: — Bobo!

Jęknął. Otworzył oczy, popatrzył na mnie zamglonymi źrenicami, a potem zamknął oczy znowu.

— Bobo! Obudź się. Dobrze się czujesz?

— Mhm.

— Jezu, Bobo, zaraz wezwę karetkę!

Wyjąłem radio, które otrzymałem na wypadek, gdybym na Hewson Street spostrzegł Braxtona.

— Nie trzeba. — Bobo usiadł z wysiłkiem. Potarł twarz rękami. — Widziałem cię już?

— Jestem przyjacielem Martina Gittensa. Spotkaliśmy cię na śmietniku.

— Taak — wymamrotał. — Walnąłeś mnie w jaja.

— Nie.

— To były moje jaja. Myślisz, że zapomniałem?

— Owszem, to były twoje jaja, ale nie ja cię w nie walnąłem. Znowu zamknął oczy.

— Dobra, dobra. Nie jestem zły na ciebie. Tylko te jaja, kapujesz?

— Tak jest, Bobo.

Zastanawiałem się, co wziął. Pewnie heroinę.

— Daj mi mój sprzęt, człowieku.

— Nie mogę. Jestem gliną.

— Chcesz mnie aresztować?

— Nie.

— No to daj mi sprzęt. — Wyciągnął rękę w stronę strzykawki, niezdolny sięgnąć nieco dalej.

— Nie mogę ci pomóc, Bobo. Przykro mi. Zamknął oczy. Po chwili zapytał:

— Po co tu przyszedłeś?

— Szukam Braxtona.

— Myślałem, że szukasz Raya. Słyszałeś o Rayu?

— Tak, słyszałem. Dlatego szukamy Braxtona.

— Upierdoliliście Raya na dobre.

— Nie myśmy upierdolili Raya, tylko Braxton.

— Jak sobie życzysz, szefie. — Głowa opadła mu na piersi. — Szukasz Braxtona? Tu go nie znajdziesz.

— Przyszedłem, żeby z tobą pogadać.

— Tak? A o czym mamy gadać?

— O Braxtonie. Wiesz, gdzie jest?

— Może wiem. — Uśmiechnął się krzywo i powtórzył: — Może wiem.

— Bobo, mogę cię zamknąć, jeżeli będę musiał.

— A mówiłeś, że nie chcesz mnie aresztować. — Otworzył jedno oko. — Poza tym Gittens ci nie pozwoli. On mi pomaga.

— Tak to działa?

— Tak to działa. No, szefie, ty też mi pomóż. — Wskazał podbródkiem strzykawkę na podłodze.

— Nie mogę tego zrobić.

— A w ogóle jak się nazywasz?

— Ben Truman.

— No cóż, policjancie Truman, pozwól, że coś ci powiem. Jeżeli coś chcesz dostać, to musisz coś dać. O to właśnie chodzi. Kapitalizm.

— Bobo, wiesz, gdzie jest Braxton?

— No widzisz. Chcesz dostać, ale nie chcesz dać.

Wyjąłem dwudziestkę i rzuciłem mu na kolana. Dwadzieścia dolarów było dla mnie sporą sumą. Nie potrafiłem jak Gittens oskubywać dealerów, aby opłacać kapusiów.

Spojrzał na banknot, ale się nie ruszył. Starając się oderwać wzrok od kolan, mruknął:

— Daj mi tylko mój sprzęt, dobra?

— Nie.

— No to sam szukaj sobie Braxtona.

— Bobo, mógłbym cię znowu walnąć w jaja. To chyba pomaga ci się otworzyć.

— Mógłbyś, ale nie walniesz.

— Tak? A dlaczego?

— Bo nie chcesz tego robić.

— Nie znasz mnie.

— Znam — zapewnił mnie Bobo. — Znam.

Sięgnął po strzykawkę, ale zabrałem mu ją spod ręki. Podszedłem ze strzykawką do okna, żeby ją obejrzeć. Tania, plastikowa, ale zaskakująco czysta. Lekko zakołysałem płynem, który był w środku.

— Daj mi to.

— Bob, już ci mówiłem, że nie mogę tego zrobić. A poza tym wcale tego teraz nie potrzebujesz.

— Ja sam o tym zadecyduję.

— Może powiesz mi, gdzie jest Braxton.

— Może to zrobię. A wtedy mi pomożesz? Pokręciłem przecząco głową.

— W takim razie zobaczymy, kogo teraz zabije. Podszedłem i podałem mu strzykawkę.

— Potrzebuję też tego. — Ruchem głowy wskazał pasek leżący na kolanach.

— To sobie weź — odpowiedziałem.

— Nie mogę, człowieku. Pomóż. Podałem mu pasek.

Bobo przygotował strzykawkę kilkoma ruchami palca, a potem okręcił rękę paskiem powyżej łokcia i zacisnął zęby na wolnym końcu. Podał mi strzykawkę. Cofnąłem się.

Bobo odłożył strzykawkę i wyjął pasek z ust.

— Chcesz, żebym ci powiedział o Braxtonie, czy nie?

— Chcę.

— Nie mogę gadać z tym w gębie. Mam tylko dwie ręce. Ukląkłem przy nim.

— Przytrzymaj. Trzymałem pasek. Mocno.

Bobo długo szukał żyły. Cztery razy wbijał igłę. Gdy w końcu znalazł, westchnął i zapytał:

— Chcesz to zrobić?

— Bobo, po prostu powiedz mi, gdzie jest Braxton. Dam ci szprycę.

— Chcesz to zrobić?

— Gdzie on jest?

— Zrób to wreszcie.

— Nie.

Ujął kciuk mojej swobodnej ręki, położył go na tłoczku. Potem przykrył go swoim kciukiem.

— Zrobimy to razem. Chcesz być gliną, więc powinieneś wiedzieć, jak wszystko działa.

Nie opierałem się dłużej.

— Bobo, gdzie jest Braxton?

— Na Mission Ave jest kościół, kalwaria zielonoświątkowców. Ich ksiądz, wielbny Walker, czasami chowa Braxtona, kiedy ma kłopoty. Wielbny zna Braxtona od dziecka. Pomaga mu. Może tam go znajdziesz.

Gdy skończył mówić, przycisnął kciukiem mój paznokieć i tłoczek wszedł w głąb strzykawki. Rozluźniłem pasek. Bobo zacisnął mocno powieki, kiedy heroinowy orgazm ogarnął go ciepłą falą.

Tłumaczyłem sobie, że i tak dałby sobie w żyłę, bez względu na to, czybym mu pomógł, czy nie. Ja właściwie nic nie zrobiłem. Nic, czego nie zrobiłby Gittens.

Tego dnia nie znalazłem Braxtona w kalwarii zielonoświątkowców. Znowu powróciłem do rutynowych, codziennych obserwacji domu mieszkalnego przy Hewson Street. Fantazjowałem, jak samodzielnie schwytam Braxtona i w ten sposób zakończę sprawę.

Nie przyszło mi do głowy, że bostońska policja ma już nowego podejrzanego — mnie.

Pańskie nazwisko znaleźliśmy w aktach Danzigers.

Nie powinno mnie to zaskoczyć, ponieważ rozmawiałem z Danzigerem w dniu, w którym przyjechał do Versailles. Wstrząsające było to, jak fakt ten w nagły i nieodwołalny sposób uczynił mnie pariasem. Jak łatwo Lowery i Gittens zaczęli mnie podejrzewać, że rozwaliłem wystrzałem głowę Boba Danzigers. Można to było usłyszeć w ich głosach. Byłem skończony. Miało to miejsce dzień przed Halloween. Gittens, Andrew Lowery i ja zebraliśmy się w pozbawionym okien pokoju do przesłuchań na posterunku w sektorze A-3.

Lowery, w eleganckim dwurzędowym garniturze ze spiczastymi klapami, całkiem tu nie pasował.

Gittens pocierał palcami wysokie czoło.

— Panie Truman — odezwał się. — Czy zechce pan wyjaśnić, co się dzieje?

— Co właściwie mam wyjaśnić?

— Dlaczego nas pan okłamał.

— Nie okłamałem was. Po prostu nie sądziłem, że to istotne.

— Och, daj pan spokój! — wybuchnął Lowery. — Nie uważał pan tego za istotne?

— Jaki ma to związek z zamordowaniem Danzigers?

— Motyw! — odparł Lowery.

Gittens starał się załagodzić sytuację:

— Ben, czy chcesz, żeby był tu z tobą adwokat?

— Nie! Gdzie jest Kelly? Dlaczego nie wezwaliście tutaj również jego?

— Nie sądzimy, żeby był tu potrzebny. Ani jego córka. Czy mam ci odczytać twoje prawa?

— Oczywiście, że nie.

— A więc znasz swoje prawa i zrzekasz się ich?

— Martin, o czym ty mówisz?

— Czy znasz swoje prawa i zrzekasz się ich?

Podszedł Lowery.

— Dlaczego nie powie nam pan, że pańska matka się zabiła? Dlaczego nie powie nam pan, że Danziger prowadził dochodzenie przeciwko panu?

— Nie poinformowałem was, że moja matka się zabiła, bo to nie jest wasz cholerny interes. I nie mówiłem wam, że Danziger prowadził dochodzenie przeciwko mnie, ponieważ nie było czego dochodzić.

— Tak? — Lowery z trzaskiem otworzył teczkę. — Szesnasty sierpnia 1997 roku. Anne Wilmot Truman znaleziona martwa w pokoju 412 hotelu Ritz-Carlton w Bostonie. Przyczyna zgonu: samobójstwo za pomocą przedawkowania

barbituranów.

— Moja matka popełniła samobójstwo. I co z tego?

— Ben! Pomoc w samobójstwie jest w stanie Massachusetts nielegalna. To morderstwo.

— Nie mówiłem, że ktoś jej pomógł. Powiedziałem, że moja matka popełniła samobójstwo.

— Najwyraźniej Danziger sądził inaczej.

— Danziger przyszedł porozmawiać ze mną, sprawdzić okoliczności — powiedziałem. — Na jego miejscu pewnie zrobiłbym tak samo. Rozmawialiśmy, zapytał, co się stało, a ja wszystko mu wyjaśniłem. Był zadowolony. Więcej nie słyszeliśmy o Robercie Danzigerze do momentu, gdy odnaleziono jego ciało.

— Słyszeliśmy?

— Słyszałem.

— Co mu wyjaśniłeś?

— Na pewno już wiecie.

— Więc powiedz mi jeszcze raz.

— Wyjaśniłem mu, że moja matka była nieuleczalnie chora. Wiedziała, że zżera ją alzheimer, i nie chciała ciągnąć tego do samego końca. Wyjaśniłem mu, że podjęła straszliwie trudną decyzję, a ja ją w tym wspierałem. Ale to ona podjęła decyzję. Postąpiła tak, jak musiała. I to wszystko. Nie było sprawy o morderstwo.

— Dlaczego więc pan skłamał? — naciskał Lowery.

— Nie skłamałem.

— Po prostu nie podzielił się pan informacją, że miał pan motyw, żeby zabić Danzigera.

— Nie miałem motywu, żeby... Jezu! Czy pan mnie w ogóle słucha?

— Choroba matki uwięziła pana w Maine. Zakłóciła pańskie życie, zniweczyła wielkie plany na przyszłość. Czy jej śmierć nie była panu na rękę?

— Nie!

— Jej śmierć uwolniła pana, nieprawdaż?

— To nie tak.

— Dlaczego zrobiła to w Bostonie? Czemu nie w domu?

— Tu był jej dom. Chciała umrzeć tutaj. W Versailles tak naprawdę nigdy nie czuła się jak u siebie.

— A kiedy pojawił się Danziger?

— Już mówiłem. Rozmawialiśmy bardzo krótko. Powiedziałem mu, że było to samobójstwo. Oświadczył, że bardzo mi współczuje z powodu śmierci matki. Podziękowałem mu za kondolencje. Koniec historii. Miałem pecha, że Braxton

dopadł go w Maine.

— Na miejscu morderstwa wszędzie były pańskie odciski palców.

— Oczywiście, że tam były. To ja znalazłem ciało. Dlatego dałem moje odciski, żeby wykluczono je z dowodów rzeczowych, tak jak powinien postąpić każdy inny gliniarz. Na miejscu morderstwa wszędzie były także odciski Braxtona.

Lowery spacerował z rękami założonymi na piersi. Mankiet koszuli podwinął mu się, odsłaniając elegancki złoty zegarek o rozmiarach i grubości ćwierćdolarówki.

— Czy nie dlatego uparł się pan tu przyjechać? Przedtem nie miało to dla mnie sensu. Aby uzyskiwać informacje o tej sprawie, pojechał pan tak daleko, skoro równie dobrze wystarczyłoby kilka telefonów? Teraz jednak rozumiem. To wcale nie było zainteresowanie zawodowe, prawda? Miał pan osobiste powody, aby przyjechać. Co chciał pan osiągnąć? Naprowadzić nas na kogoś innego? Może na Braxtona? Albo po prostu nie chciał pan żyć w nieświadomości, wiedząc, że trop nieuchronnie doprowadzi do pana?

— To śmieszne. Każde słowo. Martin, czy się z tym zgadzasz? Czy naprawdę wierzysz, że mógłbym to zrobić?

— Powinieneś być z nami szczery, Ben. — Gittens robił wrażenie zagubionego.

Pokręciłem głową.

— Zupełnie surrealistyczne.

— Ależ nie, bardzo realistyczne — odezwał się Lowery. — Zapewniam pana. Niech pan wraca do domu i wynajmie adwokata. Jest znacznie więcej dowodów przeciwko panu.

— Co to ma znaczyć?

— Ben, czy sądzisz, że Danziger opierał się tylko na domysłach, kiedy pojechał aż do Maine, żeby z tobą porozmawiać? Czy myślałeś, że nie ma żadnych dowodów?

— Wrabiacie mnie.

— Nikt pana nie wrabia — odparł Lowery.

— Jestem wrabiany.

— Niech się pan po prostu trzyma z dala od dochodzenia. A jeszcze lepiej, dla swojego dobra, od tego miasta. Jeżeli okaże się, że jest pan zabójcą policjanta...

— Panie Lowery, czy pan mi grozi?

— Po prostu tłumaczę panu, jak przedstawia się sytuacja.

W pierwszym odruchu chciałem po prostu zapomnieć o tej całej sprawie, uznając ją za pomyłkę, fantazję niczym z Kafki — z niejasnymi oskarżeniami, ukrytymi dowodami, fałszywym procesem. Oczywiście, że nie byłem mordercą. Przynajmniej Martin Gittens musiał o tym wiedzieć. Przyszło mi na myśl, że zostałem źle obsadzony w roli mordercy i nigdy nie zdołam przekonująco jej zagrać. Kto w to uwierzy? Wkrótce jednak przeważała realność sytuacji. Na ulicy przed posterunkiem rozejrzałem się dookoła, czując się jak jakiś zbieg — wyczulony na otoczenie, ale zarazem w jakiś sposób od niego odseparowany.

Bez powodzenia próbowałem porozumieć się z Johnem Kellym, a potem popędziłem do śródmieścia, do biura SJD, aby zobaczyć się z Caroline.

Nie chciała mnie widzieć. Franny Boyle kilka razy próbował usunąć mnie z holu, a kiedy odmówiłem wyjścia, zagroził, że wezwie gliny. Wreszcie pojawiła się Caroline i zgodziła się mnie wysłuchać. Postawiła jednak warunek, że świadkiem naszej rozmowy będzie policjant.

— Caroline, potrzebujesz świadka, żeby ze mną porozmawiać?

— Co chcesz mi powiedzieć?

— Zapytać, czy mi wierzysz.

— Ben, nawet cię nie znam.

Wezwała Edmunda Kurtha i przez jakieś dwadzieścia minut czekaliśmy w milczeniu na jego przyjście. Caroline była ostrożna. Teoretycznie obecność Kurtha pozwalała Caroline któregoś dnia oskarżyć mnie o morderstwo Danzigera.

Kurth stanął obok, wpatrując się we mnie ponuro.

— W porządku — odezwała się Caroline. — Co chciałeś powiedzieć?

— Czy wiesz, co się dzieje?

— Tak, oczywiście.

— W takim razie powiedz mi.

— Skłamałeś.

— Komu?

— Mnie, ojcu, wszystkim.

— Nie, nie zgadzam się.

— Czy twoja matka się zabiła?

— Tak.

— Czy Danziger przesłuchiwał cię w tej sprawie?

— Tak.

Caroline wzruszyła ramionami: otóż to.

— Nie chcesz wysłuchać, co ja mam do powiedzenia?

— Lepiej złóż oświadczenie przed detektywem Kurthem. Poczekam na zewnątrz.

— Nie, chcę, żebyś tego wysłuchała, Caroline.

Usiadła przy stole konferencyjnym. Twarz miała bez wyrazu. Wydawało się, że całkowicie się wyłączyła. Była taka zasadnicza, obca.

— Czy on musi tu być?

— Kurth? Tak.

— Nie wiem, od czego zacząć.

— Powiedz, dlaczego to zrobiła.

— Miała chorobę Alzheimera.

— Nie jest to choroba śmiertelna.

— Umiera się latami. Nie znałaś mojej matki. Była inteligentną, wrażliwą kobietą, a nagle zachorowała...

Wpatrywała się we mnie.

— Choroba zaczęła zżerać jej umysł, tak jak gąsienica zżera liść. Nie mogła dłużej czekać. Podjęła decyzję, kiedy jeszcze nie utraciła całkiem świadomości.

— Decyzję, żeby się zabić.

— Decyzję, żeby umrzeć w sposób, który był dla niej do przyjęcia.

— I pomogłeś jej?

— Owszem, słuchałem jej, rozmawiałem z nią.

— Jak to zrobiła?

— Za pomocą seconalu, który lekarz zapisywał jej, aby mogła łatwiej zasnąć. Zgromadziła dziewięćdziesiąt tych małych czerwonych pigułek. Zbadała sprawę. Dokładnie wiedziała, ile wynosi śmiertelna dawka.

— Dlaczego w Ritz-Carlton?

— Kochała to miejsce. W dzieciństwie chodziła tam z ojcem na herbatę. Potem, kiedy wyszła za mąż, ich stosunki się popsuły. Prawie ze sobą nie rozmawiali. Pamiętała doskonale, gdzie siadała razem z tatą — zawsze przy oknach wychodzących na Public Garden. Mogła opisać błękitne zasłony, kobaltowe kieliszki, całą salę. To było ich specjalne miejsce.

— Gdzie byłeś, kiedy to zrobiła?

— A gdzie mógłbym być, Caroline?

— Czemu nie powiedziałeś nikomu, że Danziger rozmawiał z tobą na ten temat?

— Bo się tego obawiałem.

— A więc skłamałeś i pogorszyłeś sytuację.

— Tak, skłamałem i pogorszyłem sytuację. I żałuję tego.

— Jestem tego pewna.

Przez jej twarz przeleciał cień i przez chwilę myślałem, że zobaczyłem prawdziwą Caroline — tę, która zaledwie kilka dni temu była ze mną, całowała mnie.

— To wszystko, co chciałeś powiedzieć? — zapytała.

— Chyba tak.

— A więc dobrze. Wysłuchałam cię. Zrobiłam, o co prosiłeś.

— Gdzie jest twój ojciec? Próbowałem się do niego dodzwonić.

— Ben, nie chcę, żebyś do niego dzwonił. Ani do mnie.

Spoglądając na Kurtha, spytałem:

— Caroline, czy możemy porozmawiać przez chwilę sami?

— Nie. Absolutnie nie. — Wstała, żeby wyjść, ale zawahała się przez chwilę.

— Rozczarowałeś mnie, Ben. Myślałam, że mógłbyś rzeczywiście być kimś.

Kościół kalwarii zielonoświątkowców Ducha Świętego zaczął swój żywot jako świątynia Beth Adonai. Nazwa ta, wyrzeźbiona w architrawie nad głównym wejściem, wciąż była widoczna. Pozostały również inne elementy. Sześcioramienne gwiazdy, wplecione w ogrodzenie z kutego żelaza. Witraże, chronione obecnie przez stalową siatkę, przedstawiające sceny ze Starego Testamentu: wygnanie Adama i Ewy z raju, ofiarowanie Izaaka, Mojżesz otrzymujący tablice na górze Synaj. Chrześcijańskie nawarstwienia były stosunkowo powierzchowne. Odnosiło się wrażenie, że gdyby Żydzi z Mission Flats postanowili kiedyś tu wrócić, można byłoby nadać dawny wygląd ich świątyni w ciągu zaledwie kilku godzin.

Przyszedłem tu bezpośrednio po spotkaniu z Caroline. Przez kilka ostatnich dni kościół był stałym punktem moich patroli, miejscem polowania na Harolda Braxtona. Teraz jednak przyszedłem tu z innych powodów. Nie miałem gdzie się udać, żeby spokojnie usiąść, zastanowić się nad sobą. Kościół doskonale się do tego nadawał. Tym bardziej że tacy zbiegowie jak ja nie mogli tu zostać aresztowani.

Wszedłem do środka przez gigantyczne drewniane drzwi. Cebulasta kopuła przypominała pierwotnych właścicieli tej budowli.

Idąc wzdłuż nawy, dotykałem dłonią ławek. Jak zwykle w poszukiwaniu Braxtona sprawdzałem wszystkie drzwi — do biur, składzików, zakrystii, każdego miejsca, które mogło posłużyć za kryjówkę. Budynek sprawiał wrażenie opuszczonego. We wszystkich pomieszczeniach unosił się zatęchły zapach kurzu, wskazujący, że od dawna nie były wykorzystywane.

Usiadłem w ławce. Chciało mi się machnąć na wszystko ręką, ale przeważało pragnienie, by walczyć we własnej obronie. Uniosłem głowę i wpatrywałem się w pęknięcia w kopule, które pięły się do góry, łącząc się z innymi, głębszymi szczelinami.

Nagle uświadomiłem sobie, że nie jestem sam.

Z tyłu kościoła stał chłopak i wpatrywał się we mnie. Był silnie zbudowany, wysoki, o bardzo ciemnej skórze, z bajerancką czerwoną chustą zawiązaną na głowie. To nie był Braxton. Nigdy przedtem go nie widziałem. Stał z założonymi rękami, obserwował mnie.

Jego oczy na moment skierowały się na kopułę.

— Kim jesteś? — zapytałem. — Co tu robisz?

Żadnej odpowiedzi.

Wyszedłem z ławki i ruszyłem po czerwonym dywanie w tamtą stronę. Chłopak zniknął. Podbiegłem do schodów. Już go nie było.

Stałem w tym miejscu, gdzie przed chwilą go widziałem, tak jak on popatrzyłem na kopułę. Dostrzegłem pierścień wokół jej podstawy, element, którego wcześniej nie zauważyłem. Może jakoś można się tam dostać? Musiał istnieć sposób, żeby oczyścić kopułę, pomalować, zmienić żarówkę. Było to jedyne miejsce, którego nie sprawdziłem.

W biurze w korytarzu zastałem sekretarkę wkładającą listy do kopert.

— W czym mogę pomóc? — zapytała.

Oświadczyłem, że jestem policjantem, nawet otworzyłem portfel z odznaką, żeby wyglądało bardziej oficjalnie.

— Czy można jakoś wejść na kopułę?

— Chce się pan tam dostać? — spytała ze zdziwieniem.

Zaprowadziła mnie do klatki schodowej za zamkniętymi drzwiami.

W tej sytuacji, w innych okolicznościach, wezwałbym wsparcie. Teraz, z oczywistych względów, było to niemożliwe. Nie mogłem jednak sam zmierzyć się z Braxtonem, jeżeli rzeczywiście znajdował się tam na górze. Gdzie się podział John Kelly? Gdzie bez przerwy znikał? Napisałem nazwisko Gittensa i powiedziałem sekretarce:

— Jeżeli nie wrócę za dziesięć minut, proszę zadzwonić pod ten numer i powiedzieć, że Ben Truman jest tutaj.

Ostateczna decyzja należała więc do Gittensa. Mógł zostawić mnie tutaj albo przyjść. W tej sytuacji był to jedyny środek ostrożności, na jaki mogłem się zdobyć.

Zacząłem wspinać się w górę schodami, które sześciokrotnie zmieniały kierunek. Na ich końcu ujrzałem wąskie drzwi, tak wąskie, że tylko bokiem można się było przez nie przecisnąć.

Za drzwiami podest okrążający podstawę kopuły, z poręczą na wysokości ud — zbyt niską, aby dało się dostrzec ją z ławek daleko na dole. Czerwony dywan ciągnął się przez środkową nawę i rozszerzał się przy ołtarzu.

Na pomoście stos pościeli i ubrań.

A po przeciwnej stronie kopuły stał Harold Braxton, gapiąc się na mnie szeroko otwartymi oczami.

Wyciągnąłem pistolet. Po raz drugi w czasie tego tygodnia. Zarepetowałem. Pistolet był ciężki, obcy. Czuję się tak, jakbym sam siebie oglądał na filmie.

Spojrzałem na broń w mojej dłoni. A potem na Braxtona.

Rozległo się głucho „łup”.

Dźwięk potoczył się echem. Rozbrzmiewał wewnątrz mojej głowy. Dźwięk bez bólu. Bez żadnego uczucia.

Leżałem na pomoście. Zakurzone brązowe linoleum. Mój policzek przyciskał

się do niego. W jakiś sposób w filmie przeskoczył jeden kadr — stałem, a potem już leżałem na podłodze.

Spojrzałem na June'a Verisa — wielkiego, w czerwonej bluzie, bladego, o sennych oczach. Trzymał w ręku coś, co przypominało mi pałkę Kelly'ego.

— Nie patrz na mnie, skurwysynu. Nie gap się, kurwa, na mnie.

Mimo to patrzyłem na niego.

— Co ci powiedziałem? Patrz, kurwa, w dół!

Spojrzałem w dół. Ruch głową wywołał tępy ból. Mózg chlupotał jak żółtko w skorupce jajka, grożąc przerwaniem delikatnej błonki. Dotknąłem potylicy. Miałem mokre włosy.

— Co teraz zrobimy, kuzynie? — zapytał June Veris.

Spojrzałem do góry.

Inny dźwięk — nie ból, ale dźwięk „buum” pulsujący w mojej czaszce i wokół niej.

Zapanował dziwny spokój. Sennie analizowałem ten dźwięk. Zidentyfikowałem go jako odgłos pałki uderzającej w moją czaszkę.

Tym razem uderzenie przesunęło moją głowę do przodu. Wbiło mi podbródek w klatkę piersiową.

Moje ciało zwinęło się, wygięło, twarz boleśnie przesunęła się po podłodze, aż zawisała poza krawędzią pomostu, nad czerwoną podłogą kościoła widoczną trzy piętra niżej. Szarpnąłem głowę z powrotem.

— Mówiłem ci, patrz, kurwa, w dół! — usłyszałem znowu słowa Verisa.

Popatrzyłem w dół, na podłogę. Żółtko jajka dygotało. Nie ból, ale coś bardziej odległego — obiektywna świadomość bólu.

Veris grzebał mi po kieszeniach, wyciągnął portfel i odznakę.

— Co chcesz teraz zrobić, kuzynie?

— Zostaw go. Wszystko w porządku, idź — rozległ się głos.

Obróciłem głowę i zobaczyłem, jak Veris odchodzi, przeciska się przez drzwi i znika. Jego kroki dudniły na schodach.

Harold Braxton trzymał mój pistolet.

— Solidna sztuka — mruknął. To była beretta kaliber 9 milimetrów. Wyjął magazynek z kolby, a potem zarepetował broń, rozładowując ją do końca. Nabój przeleciał przez balustradę i z cichym odgłosem upadł na dywan w dole.

Nastąpiła krótka luka — jak drzemka — i nagle ocknąłem się, słysząc pytanie Braxtona:

— Po co tu przyszedłeś?

— Prokurator okręgowy chciała, żeby cię zgarnąć.

— Sam tu jesteś?

Skinąłem głową. Żółtko zakołysało się, zadrżało, ale pozostało w całości, chociaż ból stał się teraz bardzo realny. Postanowiłem trzymać głowę całkiem nieruchomo.

— Tak, sam.

— Naprawdę przyjechałeś z Maine?

— Tak.

Braxton zamknął portfel z odznaką i rzucił go na podłogę obok mnie.

— Nie rąbnałem tamtego prokuratora.

— Aha.

— Słuchaj mnie! Nie zastrzeliłem go.

— To bez znaczenia.

— Bez znaczenia?

— Prokurator chce cię tylko przesłuchać. Możesz jej powiedzieć...

— Co mam jej powiedzieć? — parsknął. — Że jestem niewinny? Myślisz, że mi uwierzy? Oni myślą, że zabijałem gliniarzy. Nigdy nie zabiłem żadnego gliniarza.

— Myślą, że ja też jednego zabiłem. — Z wysiłkiem stanąłem na czworakach.

— Leż — rozkazał. — O czym ty gadasz?

— Uważają, że zabiłem tego prokuratora.

— Jesteś gliną, prawda? A oni myślą, że rąbnałeś prokuratora?

— Tak jest.

— Człowieku, ale to pojebane. To jest... — Jego głos zamarł. Nie mógł znaleźć słów, żeby to opisać. — To jest naprawdę pojebane.

Podniosłem się z wysiłkiem. Ponad moją głowę — całkiem blisko — znajdował się szczyt kopuły, ciemny, mały dołeczek. Z lewej strony pusta przestrzeń — powietrze, a poniżej dywan rozlewający się czerwienią od ołtarza do nawy.

Braxton się cofnął. Rzucił mój pusty pistolet na podłogę i wyciągnął własną broń — mały rewolwer z krótką lufą.

— Możesz mi pomóc — powiedziałem.

— Pomóc? Tobie?

— Mają zamiar zwalić wszystko na mnie. Sprawę Danzigera. Czuję to.

— Gittens, prawda?

— Co?

— Gittens. Wraca do swoich starych sztuczek.

— Co...

W przedniej części kościoła rozległ się jakiś dźwięk. Stojąc niepewnie, odwróciłem się, żeby zobaczyć, kto tam jest. Płyn w mojej czaszce zakołysał się — pociągnął mnie — chciałem złapać się balustrady, ale była zbyt nisko i

chybiłem. Siła bezwładności ciągnęła mnie w dół.

Chwyciłem się balustrady, nadwerężając staw łokciowy, ale wysliznęła mi się ona z palców. Uświadomiłam sobie, że spadam!

I wówczas Braxton chwycił mnie za bluzę, a drugą dłoń zacisnął na moim ramieniu.

Patrzyliśmy na siebie. Oddychał ciężko, z trudem utrzymując ciężar mojego ciała.

— Podciągnij się! — warknął.

Machałem rozpaczliwie rękami, usiłując schwycić balustradę lub krawędź pomostu, ale byłem tak przerażony, że nic mi z tego nie wychodziło.

Braxton przechylił się niebezpiecznie przez poręcz, dysząc ciężko. Jeszcze chwila, a mój ciężar pociągnie nas obu w dół.

— Nie puszczaj! — błagałem.

W dole rozległ się stukot. Do środka wpadł Gittens. Spojrzał w górę, na Braxtona i na mnie, zaklął pod nosem i popędził w stronę schodów.

— Gittens — powiedziałem.

— Kurwa!

Braxton podciągnął mnie na tyle, abym mógł znowu chwycić się balustrady, i wspólnie zdołaliśmy przerzucić moje ciało na pomost. Czuję się jak marynarz wciągnięty do łodzi ratunkowej.

Na schodach coraz głośniejsz rozbrzmiewały kroki Gittensa.

Braxton rzucił się do stosu ubrań, tak szybko, jak tylko odważył się to uczynić na wąskim pomoście.

Znowu wstałem chwiejnie. Waga tego kołyszącego się żółtka destabilizowała mnie, groziła ponownym wyrzuceniem poza balustradę. Niepewnym krokiem ruszyłem po wąskim pierścieniu w stronę Braxtona.

Harold, który zbierał swoje ubrania, wyprostował się, patrząc na mnie z niedowierzaniem. Pokręcił głową i dalej wiązał je ze sobą. Kiedy tak szedłem w jego stronę, musiałem wyglądać jak Frankenstein. Czemu miałby zwracać na mnie uwagę?

Kiedy jednak dobrnąłem do niego, zacisnąłem dłoń na jego ręce. Usiłowałem ją wyszarpnąć, ale postanowiłem, że nic, ale to nic, nie zmusi mnie do rozluźnienia palców. Braxton był silny, lecz okazało się, że i mnie sił nie brakuje. Wdałem się w Claude'a Trumana.

— Nie masz gdzie uciec, Haroldzie. Nie walcz z nami.

— Nie rób tego — poprosił. — Nie rób tego.

— Co zamierzasz zrobić? Odfrunąć?

W drzwiach pojawił się Gittens. Dyszał ciężko. Stał na pomoście,

przytrzymując się jedną ręką framugi.

— Puść mnie — warknął Braxton. — Nie zrobiłem tego.

Gittens trzymał w ręku pistolet, taką samą granatowoczną berettę jak moja.

— Ben! Padnij!

Braxton spojrział na pistolet, a potem na mnie.

— Ben, jeżeli Braxton to zrobił, jesteś niewinny. Padnij!

Gittens zarepetował berettę i w tej samej chwili, gdy usłyszałem metaliczny dźwięk zamka, zrozumiałem...

— Ben! — powtórzył Gittens. — Padnij!

Gittens chciał go zabić. Wiedziałem. Nie miało być żadnego aresztowania. Dokona egzekucji. I proponował mi transakcję: Braxton zamiast mnie.

Postanowiłem, że do tego nie dopuszczę.

— Ben!

Nawet gdyby to wszystko okazało się prawdą i Braxton rzeczywiście był mordercą, zabójcą policjantów, nawet gdyby to uwolniło mnie od absurdalnego oskarżenia o zamordowanie Boba Danzigersa, człowieka, którego spotkałem tylko raz w życiu — nie mogłem do tego dopuścić, a tym bardziej wziąć w tym udziału. Zaszedłem wystarczająco daleko.

Puściłem ramię Braxtona.

— Uciekaj — powiedziałem.

Spojrział na mnie, nie wiedząc, czy może mi ufać. A potem schwycił ubrania i przerzucił je przez balustradę. Tobolek rozwinął się, tworząc prymitywną linę z powiązanych ze sobą koszul, ręczników i innych różności. Przywiązał ją do poręczy, ale okazała się za krótka. Kończyła się jakieś trzy metry od podłogi kościoła.

— Ben, zejź mi z drogi! — rozkazał Gittens.

Spojrzałem na niego.

Braxton przeskoczył przez balustradę.

Oszołomiony, osunąłem się na kolana. Braxton przez chwilę wisiał na linie, kołysząc się, wymachując nogami.

Gittens strzelił do niego, ale chybił.

Wystrzał zadudnił w pustym kościele.

Braxton zeskoczył na czerwony dywan. Upadł na kolana, ale szybko zerwał się i pobiegł pod pomost, gdzie Gittens nie mógł wziąć go na muszkę. A potem wypadł przez drzwi na ulicę.

Gittens schował broń i popatrzył na mnie z wściekłością.

Część III

*Niechaj nikt, nieroztropny i nieuczony,
nie próbuje wniknąć na miejsce sądu, które jest niczym
tron Boży, ażeby miast światła nie przyniósł
ciemności i miast ciemności światła i aby niewprawną
ręką, niby człek szalony, nie wydał niewinnego pod miecz,
a winnego puścił wolno i ażeby nie upadł z wysokości
niczym z tronu Bożego, próbując latać,
zanim dostał skrzydła.*

Bracton *O prawach i obyczajach Anglii*, ok. 1250

Niepowodzenie jest jak kotwica rzucona w nurcie. Wciąż ściąga cię wstecz. Do tego miejsca, do tego czasu. Wracasz do chwili, w której popełniłeś błąd, kiedy wybór należał do ciebie. Powracasz jako widz, aby z melancholią powiedzieć: „Tak właśnie powinienem postąpić”, albo: „To właśnie powinienem powiedzieć”.

Dwanaście godzin po spotkaniu z Braxtonem obudziłem się w łóżku szpitalnym nękany wyrzutami. Czy należało od razu powiedzieć bostończykom o mojej matce? Czy nie wygłupiłem się, idąc sam jeden po Braxtona? Dlaczego za wszelką cenę pragnąłem dowieść, że to Braxton był winien zabójstwa Danzigera?

Na zewnątrz, w holu, trwała cicha krzątanina. W powietrzu mieszały się charakterystyczne szpitalne zapachy — amoniak, chlorek, alkohol, mocz. Leżałem nieruchomo, udając, że śpię. Chorym ludziom podczas snu nie zakłóca się spokoju, a ja chciałem mieć czas na uporządkowanie wydarzeń tego popołudnia.

Kościół z kopułą. Niepewnym krokiem idę w stronę Braxtona, chwytam go za ramię, a potem puszczam, żeby mógł zsunąć się po tej zaimprovizowanej linii i wybiec z kościoła. Gdy było już po wszystkim, do budynku wpadła hurma gliniarzy. Nerwowych, bardzo czujnych. Bali się mnie poruszyć, klękali po kolei obok mnie i zaglądali mi w oczy. Naśladując lekarzy, zadawali pytania i wydawali polecenia, często sprzeczne ze sobą: „Nie ruszaj się”, a chwilę potem: „Czy możesz się ruszać?” Pojawili się dwaj sanitariusze i po krótkim quizie, który miał ustalić, czy mój mózg nie został naruszony („Jaki mamy dziś dzień? Kto jest prezydentem?”), pomogli mi wstać i wyprowadzili na zewnątrz. Na trotuarze ktoś podał mi ręcznik. W bocznym lusterku samochodu dostrzegłem swoje odbicie. Ucho, kark i ramiona miałem upačkane krwią. Nie było śladu po Braxtonie.

W łóżku szpitalnym wałkowałem te wydarzenia tam i z powrotem, tasowałem je i przekładałem.

Obok mnie odchrząknął jakiś mężczyzna, sygnalizując swoją obecność. Uniosłem głowę i zobaczyłem Johna Kelly’ego siedzącego przy nogach łóżka. W długich palcach trzymał długopis, na jego kolanach leżała niedzielna krzyżówka z „Boston Globe”. Na nosie miał małe połówki okularów, w których wyglądał dość staro i dostojnie.

— Co tu robisz?

— Przyszedłem odwiedzić przyjaciela w szpitalu.

— No tak, ale... nie słyszałeś? Zabiłem Danzigera. Tak w każdym razie

wszyscy myślą.

— Tak, słyszałem o tym.

— I nie wierzysz w to?

Wzruszył ramionami.

— Ani wierzę, ani nie wierzę. Nie mam wystarczająco dużo informacji.

— Myślisz więc, że mógłbym coś takiego zrobić?

— Istnieje taka ewentualność.

— Że jestem szalonym mordercą?

— Nie przypuszczam. Nie wierzę, że mógłbyś to zrobić. Ale mogę się mylić.

Zobaczymy, co się okaże.

Mruknąłem pod nosem. Kelly wrócił do swojej krzyżówki.

Zapadałem w sen i budziłem się. Kiedy ocknąłem się znowu, zapytałem:

— Która godzina?

— Dochodzi druga.

— Jaki to szpital?

— Boston City. Zatrzymali cię na noc na obserwację. Wyjdiesz rano. Jak się czujesz?

— Jak w kreskówce. Kiedy ktoś obrywa patelnią, jego głowa wibruje i pojawiają się wokół niej faliste linie.

Kelly zmrużył oczy.

— Dali ci coś na znieczulenie. Poczujesz się senny.

Opadłem na poduszki.

— Braxton mnie uratował.

— Postanowił cię nie zabijać. To nie to samo, co uratować.

— Nie! Wypadłem przez balustradę. Zleciałbym na dół. Wciągnął mnie z powrotem.

— Widać uznał, że tak będzie lepiej. Nie będziemy mu dawać za to medali.

— Jasne. Panie Kelly, dlaczego pan...

— Co takiego?

— Dlaczego pan zniknął? Potrzebowałem pana. Gdzie pan się podziewał?

— Byłem na grobie córki.

Przypomniałem sobie fotografię z saloniku Kelly'ego, przedstawiającą bladą dziewczynkę z grzywą ciemnych włosów.

— Theresa?

— Theresa Rose. Siostra Caroline. Ale była od niej zupełnie inna. Bardziej delikatna. Bardziej łagodna. — Uśmiechnął się. — Co nie znaczy, że Caroline nie jest delikatna i łagodna.

— Wie pan, ona nie chce ze mną rozmawiać.

— Czy możesz mieć o to do niej pretensję?

— Nie. No cóż, przynajmniej pan jest tutaj. Nie uważa pan, że to zrobiłem, prawda?

— Już ci mówiłem.

— To niech pan powtórzy.

Zdjął okulary, potarł oczy palcem, a potem z cichym westchnieniem nałożył je znowu.

— Nie przypuszczam, żebyś mógł to zrobić.

— To dobrze. Bo nie zrobiłem.

Zamknąłem oczy.

Kiedy się obudziłem, zadałem pytanie:

— Jak umarła Theresa Rose?

— Na raka.

— Ile miała... Czy może pan o tym mówić?

— Tak, nie ma sprawy. Miała osiem lat, kiedy zachorowała, dziesięć, gdy umarła.

— Współczuję.

— Rak pożera człowieka, karmi się nim, aby móc rosnąć. — Kelly posmutniał i na chwilę zawiesił głos. — Cóż, to nie jest tłumaczenie. Masz rację. Byłeś moim partnerem. Powinienem być z tobą. Takie jest pierwsze przykazanie. Przepraszam.

— Jak często chodzi pan na jej grób?

— Staram się tam być każdego dnia, jeżeli mogę.

— Co pan tam robi?

— Po prostu siedzę.

— Dlaczego?

— Ponieważ mam wrażenie, że jestem wówczas blisko niej.

Pomyślałem sobie, że od pogrzebu matki nie byłem na jej grobie.

— Czy to nie pogarsza sprawy?

— Czasem łagodzi ból, ale nigdy nie można o nim zapomnieć.

Nie wiedziałem, czy Theresa Rose Kelly w jakiś sposób wpłynęła na to, by jej ojciec usiadł tej nocy przy moim łóżku. Przypuszczałem jednak, że w pewnym stopniu tak było. Poczuję się jak opiekun, który musi bronić swojego podopiecznego przed kolejnym niebezpieczeństwem.

Poczuliśmy się zażenowani rozmową o zmarłych bliskich i zapadła kłopotliwa cisza. Aby ją wypełnić, zapytałem, jak sobie radzi z krzyżówką...

— Ach, ta. Znalazłem ją w poczekalni. Jestem w tym kiepski. Znasz sześcioliterowe słowo, oznaczające coś domowego i zaczynające się na „s”?

- Sprzęt.
- Nie pasuje.
- Skrzat.
- Skrzat?
- S-k-r-z-a-t.

Rzucił mi sceptyczne spojrzenie, tak jak Caroline.

- Śpij, Benie Truman.
- Skrzat. Wpisz to, zaufaj mi.

Położyłem się, pogrążając w sennym oszołomieniu, i natychmiast zaczęły mnożyć się wątpliwości. Może incydent w kościele tylko mi się przyśnił? Czy Gittens rzeczywiście chciał zabić Braxtona? Jak mogę to udowodnić? Każde wydarzenie oglądamy przez pryzmat zawodnej percepcji świadków. Prawda historyczna, jeżeli w ogóle istnieje, natychmiast ginie we mgle zapomnienia. Wspaniały temat pracy doktorskiej, jeżeli kiedykolwiek ją napiszę.

Odsunąłem wątpliwości. Widziałem wszystko dobrze. Wiem, co zamierzał uczynić Gittens. Uwolniłem Braxtona, zamiast oddawać go na pastwę Gittensa. Ocaliłem Braxtona.

— Mogę coś powiedzieć, panie Kelly? Sądzę, że Gittens miał zamiar... — W tej samej chwili jednak rozmyśliłem się. Bolała mnie głowa. Musiałem mylić się co do Gittensa. To przecież niemożliwe. — Nie, nie wiem.

— Spróbuj zasnąć, Ben. Posiedzę tu trochę.

Chciałem podziękować Kelly'emu za to, że przyszedł do mnie. Chciałem dać mu do zrozumienia, jak bardzo cenię jego towarzystwo. Ale słowa utkwiły mi w gardle i gapiłem się tylko na niego jak wyciągnięta do łodzi ryba, z trudem łapiąca powietrze.

— Wszystko w porządku, Ben, wiem. Prześpij się trochę.

Śniło mi się, że pływam na plecach na jeziorze Mattaquissett. Miałem nad sobą zachmurzone niebo. Na granicy pola widzenia — zielone zbocza wzgórz wokół jeziora, wszystkie porośnięte sosnami. W pewnym momencie przestałem czuć pod sobą wodę. A przecież musiała tu być, bo wciąż na czymś się unosiłem. Przekręciłem się na brzuch. Powierzchnia wody ugiwała się pode mną jak pod nogami narтника — napięcie powierzchniowe było wystarczająco silne, aby utrzymać mój ciężar. Ale pode mną woda jeziora zniknęła. Mój wzrok sięgał aż do oświetlonego słońcem dna jeziora, gdzie kraby i denne ryby kręciły się wokół suchych kamieni. Ryby przelatowały obok i w powietrzu wyraźnie słychać było trzepot ich płetw. Wiedziałem, że jeżeli się poruszę, podtrzymująca mnie mydlana błonka pęknie. Całą więc uwagę skupiłem na tym, by leżeć nieruchomo. Aby wisieć tak bez tchu. Ręce i nogi zaczęły mnie boleć. Wkrótce będę musiał

się poruszyć. Dno jeziora stało się ciemne i zarośnięte, zmieniło się w zdradzieckie miejsce, gdzie mieszkały małże i węgorzowe stwory. A ja zacząłem tracić zdolność do trwania w bezruchu.

Muszę od razu stwierdzić, że niezbyt wierzę we freudowską interpretację snów. Przypisuję je raczej biochemii — enzymy działają na tkankę mózgową, wytwarzając całkiem przypadkowe obrazy. Interpretacja więcej mówi o interpretatorze niż o samej rzeczy, której dotyczy. Jednak emocje powodowane przez sny nie są przez to mniej realne. Śniący człowiek czuje strach, smutek, radość, mnóstwo innych wrażeń.

Obudziłem się, ale nadal czułem się zagrożony.

Oparłem się na łokciu. Głowa mi pulsowała. W pokoju było ciemno.

Na tle drzwi zobaczyłem jakiegoś człowieka. Na palcach, z wysuniętymi do przodu rękami, zaczął się do mnie zbliżać.

— Kto tam? — zapytałem. Zatrzymał się.

Macałem w poszukiwaniu włącznika lampki.

— Kim pan jest?

Był to policjant, w mundurze.

— Nazywam się Pete Odorico.

— Co pan tu robi?

— Krzyczał pan.

Zrobił krok w moją stronę. Sprzęt przy jego pasku zagrzecotał.

— Niech pan się nie zbliża.

— Jestem gliną.

— Wszyscy tu są glinami. Proszę zostać na miejscu. Co pan tu robi?

— Pilnuję pana.

— Pilnuje mnie pan? Kto panu powiedział, żeby mnie pilnować?

Do pokoju wszedł John Kelly.

— Aaa, widzę, że poznałeś Pete'a.

— Kim on jest, u diabła?

— Przyjacielem.

— Czyim?

— Moim.

— Ale ja go nie znam.

— Jest w porządku. Pracowałem z jego tatą. Znam Petera od dnia narodzin.

Poprosiłem go, żeby tej nocy stanął na warcie.

Pete Odorico popatrzył na mnie spode łba.

— O północy skończyłem służbę. Jeżeli mnie tu nie chcesz, chętnie pójde do domu spać.

Kelly poklepał go po ramieniu.

— Zostaniesz do świtu — rzekł.

Policjant patrzył na mnie przez chwilę, a potem zapytał:

— Co się panu śniło?

— Mniejsza o to.

— Może mógłbym pomóc.

W tym momencie Kelly objął policjanta za ramiona i wyprowadził go z powrotem na korytarz. Kiedy zamknął drzwi, powiedział:

— To dobry chłopak.

— Postawił pan wartę? Dlaczego? Kelly zastanawiał się przez chwilę.

— Ponieważ coś mi nie pasuje.

Piątek rano. O siódmej trzydzieści rozległo się delikatne pukanie do drzwi i weszła Caroline z torbą na zakupy.

— Dzień dobry — powiedziała. Zrobiła zdziwioną minę na widok swojego ojca. — Przepraszam, że cię obudziłam.

— Nie, nie — zaprotestowałam.

— Jak głowa?

— W porządku.

Skotłowałam koc na kolanach, aby ukryć poranny wzwód, który mógł wyłonić się spod okrycia niczym wiewiórka z dziupli. Było to nie tyle spowodowane seksualnym podnieceniem, ile zwykłą reakcją śpiącego mężczyzny. Wspomnienie ciała Caroline pogorszyło jeszcze sytuację. Miała na sobie kostium z żakietem zapinanym na pięć guzików i wycięciem pod szyją. W jej ubiorze nie było nic prowokującego. Spódnica kończyła się dwa centymetry za kolanami. W dekolcie żakietu widać było jedynie wąski trójkącik skóry z małymi uroczyimi piegami.

Caroline zaczęła wypakowywać z torby nowe ubrania. Zachowywała się tak, jakby cała sytuacja była dla niej trochę niezręczna i wymuszona.

— Nie spodziewałem się zobaczyć cię tutaj — powiedziałem.

— A ja nie spodziewałam się, że się tu znajdę.

— Ale zmieniłaś zdanie?

— Nie. Wygląda jednak na to, że masz nowego przyjaciela.

— Ooo?

— Harold Braxton pyta o ciebie.

— Co takiego?

— Zgarnęliśmy go tej nocy. Nie chce mówić. Oświadczył, że chce widzieć ciebie, a jeżeli nie przyjdiesz, to Maksa Becka.

— Ale Lowery powiedział, że jestem wykluczony z tej sprawy.

— Faktycznie. — Założyła ręce na piersi, pochyliła głowę do przodu i popatrzyła na mnie spod brwi surowym, matczynym spojrzeniem. — Czy to znaczy, że nie chcesz tego zrobić?

— Nie, ja tylko... Jestem zaskoczony, że mnie prosisz.

— Słuchaj, Ben, nie mamy wystarczających podstaw, żeby go zatrzymać, i w związku z tym nie mamy też wielkiego wyboru. Jeżeli twoja obecność skłoni Braxtona do zeznań, musimy to zrobić.

— Nawet jeżeli sam jestem podejrzany?

— Przesłuchamy was obu.

— Dlaczego miałbym wam pomagać?

— Jeżeli coś z niego wydobędziesz, może ci to przynieść tylko korzyść.

— A jeżeli nie?

Nie odpowiedziała.

Zapytałem Johna Kelly'ego, co o tym sądzi.

— To musi być twoja decyzja, Ben. Jeżeli postanowisz nie brać w tym udziału, nikt nie może mieć do ciebie pretensji.

— Przypuszczam, że jest na to trochę za późno, prawda?

— Dobrze — oznajmiła zdecydowanie Caroline. — Kurth czeka na zewnątrz, żeby nas zawieźć. — Rzuciła mi koszulę. Była z białego płótna, o tradycyjnym kroju, z krytymi guzikami. — Twoja jest cała zakrwawiona. Kupiłam ci tę.

— Dziękuję. Ile ci jestem winien?

— Skłoń Braxtona do mówienia i będziemy kwita.

W tonie jej głosu było coś obcego, zimnego.

— Caroline, czy moglibyśmy porozmawiać przez chwilę?

— Nie mamy o czym.

John Kelly skierował się do wyjścia, ale Caroline powiedziała mu, żeby został.

— A więc w porządku — mruknąłem. — Dzięki za koszulę.

Skrzywiła się w leciutkim półuśmiechu, w równym stopniu smutnym co sardonycznym.

— Zwykle to obrońca ubiera oskarżonego w czystą koszulę — zauważyła.

W czasie tych ostatnich dni istnienia starej komendy policji bostońskiej na Berkeley Street wyczuwało się w niej atmosferę znużenia. Miesiąc później policja bostońska przeniosła się do szklanego pudełka stojącego na Tremont Street, eleganckiego, nowoczesnego budynku.

Kurth i Caroline zaprowadzili Johna Kelly'ego i mnie do pokoju przesłuchań, znajdującego się w głębi korytarza, koło biura wydziału zabójstw. Było to zapyziałe, niewielkie pomieszczenie z popękana farbą na ścianach i matowymi oknami. Jedyнным ukłonem w stronę nowoczesności był ekspres do kawy i klimatyzator zajmujący połowę okna.

Spotkaliśmy tam całą resztę zespołu. Prokurator okręgowy Lowery miał muszkę koloru dojrzałej kukurydzy i eleganckie pantofle ze spiczastymi noskami. Mogłem dostrzec swoje zniekształcone odbicie w wypukłych szklach jego okularów. Przywitał mnie posępnym skinieniem głowy. Martin Gittens ostrożnie uściśnął mi dłoń i zapytał, jak się czuję. Uznałem to za znak, że z jakiegoś powodu jego podejrzenia związane z moją osobą osłabły. Być może teraz, kiedy przelałem już swoją krew, zasługiwałem na odrobinę zaufania. W każdym razie chciałem w to wierzyć.

Weszliśmy do ciasnego pokoju za lustrem weneckim. Lowery ostrzegł mnie, że z tego pomieszczenia będą obserwowali i rejestrowali moją rozmowę z Braxtonem.

— Pan też będzie na taśmie, szefie Truman — oznajmił. — Nie tylko Braxton.

— No cóż, to powinno pomóc mi się zrelaksować — odpowiedziałem.

Kelly, który górował wzrostem nad całą grupą, spojrzał na mnie z wyrzutem. Oznaczało to: „Ben, lepiej się zamknij”.

Przyprowadzono Braxtona do pokoju przesłuchań. Po jego bokach szli dwaj umundurowani policjanci. Miał na sobie workowate džinsy, flanelową koszulę i czapkę Brooklyn Dodgers z wyhaftowaną cyfrą 42, numerem Jackie Robinsona. Miał kajdany na nogach i szedł drobniutkimi krokami niczym gejsza. Gdy usiadł, jeden z gliniarzy przykuł mu prawą nogę do krzesła, a następnie zostawiono go samego w pokoju. Patrzył w lustro, jakby mógł przez nie widzieć, jakby to on nas obserwował.

Przez jakąś minutę my również przyglądaliśmy się jemu. Widziałem Braxtona dzień wcześniej, ale dopiero teraz miałem okazję obejrzeć go trochę dokładniej. Szukałem jakichś przejawów jego morderczych skłonności. Jednak mnie rozczarował, podobnie jak kiedyś jego policyjna fotografia. Był dość niski, miał może metr siedemdziesiąt, ale żyłasty i umięśniony. Zachowywał się jak oprych z rogu ulicy — krzywy uśmiezek, ramiona splecione na piersi (na ile pozwalały

mu kajdanki). W tej pozie było coś sztucznego. Braxton grał rolę gangstera, ale była to rola wymyślona przez kogoś innego. Może wszystko to było robione dla nas. Żądaliśmy od niego określonego stylu, więc go nam demonstrował. Jego oczy błędziły po pokoju, jakby próbował ocenić swoją sytuację.

— Zaczynamy — odezwał się Braxton do lustra.

Kurth wyprowadził mnie na korytarz.

— Przeczytaj mu jego prawa, upewnij się, że podpisze — polecił mi. —

Pamiętaj, że słuchamy.

Chwilę później siedziałem naprzeciwko Harolda Braxtona.

— Cześć — powiedziałem.

Żadnej odpowiedzi.

Byłem zaskoczony bliskością Braxtona. W pokoju obserwacyjnym lustro weneckie i głośniki wyolbrzymiały odległość pomiędzy nami. Jakbym widział obraz telewizyjny przekazany ze studia znajdującego się nie wiadomo gdzie. Jednak teraz, oddzielony ode mnie zaledwie kilkudziesięcioma centymetrami blatu stołu, Harold Braxton był aż nadto realny.

— Muszę poinformować cię o twoich prawach — powiedziałem i wyrecytowałem je. Podsunałem mu kartę. — Musisz to podpisać.

Wygiął kartę kciukiem i palcem wskazującym, a następnie odsunął ją z powrotem, jakby niezadowolony z jej elastyczności.

— Nie mogę rozmawiać z tobą bez twojego podpisu — stwierdziłem.

— Nie.

Znowu przesunąłem kartkę w jego stronę.

— Podpisz. W przeciwnym razie wychodzę stąd.

W kącikach jego ust pojawił się uśmiech. Podpisał kartę — zupełnie jakby wyświadczał mi uprzejmość, dodawał mi pewności siebie.

— Znasz Raya Rattleffa?

— Tak, znałem go.

— Co to znaczy, „znałem”?

— Nie żyje. Nie słyszałeś?

— Czy wiesz coś o tym?

— Tylko tyle, co widziałem w telewizji.

— Dlaczego ktoś chciał go zabić?

— Ty mi to powiedz.

— Pytam ciebie, Haroldzie.

— Ray był ćpunem. Pewnie ma to coś z tym wspólnego.

— To znaczy?

— To znaczy, że jeśli zadajesz się z dealerami i menelami, to zazwyczaj

dostajesz w czapę. Widziałem mnóstwo faciów takich jak Rattleff. Wpadnij kiedyś do mojej dzielnicy, to pokażę ci paru.

— Czy byłeś kiedyś dealerem?

— Co to ma wspólnego z Rayem Rattleffem?

— Sam powiedziałeś, że mogli to zrobić dealerzy.

— Masz moją kartę. — Uśmiechnął się. — Wiesz, co robiłem.

— Kartę?

— Mój rejestr, rejestr z Biura Nadzoru Kuratorskiego. Jestem pewien, że ci faceci go mają. — Skinął głową w stronę lustra. — Dobra, powiem ci, co tam jest. Trochę małoletnich sprawek, przeważnie ostry boks. Potem dwa rozprawiania, klasa B, sam proszek. Nadzór sądowy w obu wypadkach. Trochę innego drobnego gówna. Poza tym jestem czysty.

— Czysty? A co z Artiem Trudellem?

Braxton zmarszczył brwi.

— To gliniarz, którego zastrzelono przez drzwi, Haroldzie.

— Nie mam z tym nic wspólnego. Sprawę oddalono.

— Czemu cię oskarżono? Po prostu wzięli twoje nazwisko z książki telefonicznej?

— Zapytaj waszego przyjaciela Raula.

— Kim jest Raul? — zapytałem.

Uśmiechnął się krzywo.

— Może ty jesteś Raulem? Krążyły takie plotki, prawda? Milczał.

To nie miało sensu.

— Słuchaj, masz zamiar odpowiadać na moje pytania, czy nie? Nic mi nie powiedziałeś.

Wzruszenie ramionami.

— Nic nie wiem.

— W takim razie co tu robisz, Haroldzie?

— Zostałem aresztowany.

— Zadałeś sobie trud sprowadzenia mnie tutaj tylko po to, aby powiedzieć, że nic nie wiesz?

— Czy oni naprawdę myślą, że skasowałeś tego prokuratora okręgowego?

— Nie sądzę, by tak uważali.

— Zrobiłeś to?

— Nie.

— Na grób twojej matki?

— Na grób mojej matki.

— No cóż, ja też nie zrobiłem tamtego.

— A więc to tak? Jesteś niewinny?

— Tak.

— Czemu mi to mówisz?

— To Boston. Miasto B. Alabama północy.

— Chcesz powiedzieć, że to sprawa rasowa?

— To zawsze jest sprawa rasowa.

— Nie przypuszczam, Haroldzie. Tym razem jest mnóstwo dowodów.

Kolejny ironiczny uśmiezek. Braxton pochylił się do przodu, powłócząc kajdankami po blacie stołu.

— Pozwól, że coś ci powiem — oświadczył. — Ci gliniarze nie potrzebują dowodów. Zawsze mogą je znaleźć, kiedy już rozwiążą sprawę. — Wpatrywał się we mnie. Wągry psuły wygląd jego nosa. Poza tym był całkiem przystojny z tymi swoimi piwnymi oczami i kucykiem jak u chińskiego mnicha.

— Czy byłeś kiedyś w Maine?

— Po cholere miałbym jeździć do jakiejś zapyziałej dziury?

— Tak czy nie?

— Jasne, że nie.

— Znałeś Roberta Danzigersa?

— Oczywiście, że znałem.

— W jaki sposób go poznałeś?

— Z pięćdziesiąt razy kierowałem moje sprawy do sądu.

— Co w związku z tym czułeś?

— Och, strasznie byłem tym przejęty.

— Odpowiedz na pytanie. Co czułeś w związku z tym, że Danziger raz za razem kierował przeciwko tobie sprawy do sądu?

— A jak ty byś się czuł?

— To zależałoby od okoliczności.

— No właśnie. Taką miał pracę. Nie miałem mu tego za złe.

Pytania były głupie i Braxton wiedział o tym. Było coś protekcyjnego w tonie jego głosu, w sposobie udzielania odpowiedzi. Przestępcy często zachowują się wobec gliniarzy z fałszywą lojalnością, okazują pragnienie nawiązania kontaktu, odwołania się do dobrej woli. On jednak wyraźnie mnie lekceważył.

— Gdzie byłeś we wtorek w nocy i w środę rano, kiedy zabito Raya Rattleffa?

— Balanga w Grove Park. Było tam dwadzieścia czy trzydzieści osób. Chcesz nazwiska?

Wziąłem z bocznego stolika notes z żółtymi kartkami i Braxton równymi, drukowanymi literami napisał w nim kilka nazwisk.

— To już wszystko? — zapytał.

— Czy jest jeszcze coś, o czym chciałbyś mi powiedzieć?

— Chciałem z tobą pogadać, szefie.

— Mów mi Ben. Dlaczego ze mną?

— Potrzebujemy się nawzajem.

— Tak? Do czego miałbym cię potrzebować?

— Musisz udowodnić, że tego nie zrobiłeś, tak samo jak ja. Mają zamiar przyszyć komuś z nas tę sprawę. Wyczuwasz to, prawda? A więc, jeżeli to wyjaśnisz, skorzystamy obaj.

Zawahałem się.

Braxton popatrzył ponad moim ramieniem na lustro, a potem jego spojrzenie powędrowało z jednego kąta pokoju do drugiego. Wtedy pomyślałem, że szuka kamer, w rzeczywistości jednak szukał mikrofonu. Pochylił się do przodu, opierając się piersią o krawędź stołu i szepnął:

— Chodź tu.

— Nie.

— Nic ci nie zrobię.

Pokręciłem głową.

— Myślisz, że mam zamiar nałomotać glinę na posterunku policyjnym? Z tym? — Podniósł ręce skute kajdankami. — Uważasz, że jestem taki głupi?

— Cokolwiek mi powiesz, Haroldzie, i tak im powtórzę.

— To twoja sprawa. Myślę, że zrobisz, co trzeba.

Pochyliłem się do przodu, aby go wysłuchać. Ostrożnie, niczym pogromca zwierząt, wsadzając głowę do lwiej paszczy.

Szybkość, z jaką wszystko się rozegrało, zaskoczyła mnie zupełnie.

Braxton zarzucił mi kajdanki na kark i przygiął głowę do stołu. Nie mogłem się poruszyć. Łańcuszek kajdanek wrzynał mi się w ciało.

Za lustrem rozległy się stłumione krzyki.

Tuż przed oczami miałem plastikową powierzchnię blatu. Była podrapana, tłusta.

Przy samym uchu czułem usta Braxtona. Przyszło mi do głowy, że mnie ugryzie.

— Wczoraj w kościele mi pomogłeś. Dlaczego?

— Nie wiem. Nie chciałem...

— Rozgrywają cię. — Jego oddech był ciepły i wilgotny.

— Co?

— Rozgrywają cię, wrabiają. I mnie. Nas obu.

— Dobra, jesteś niewinny. Kapuję.

— Nie! — Uderzył moją głową w stół. Wszyscy twierdzą, że są niewinni, ale on próbował powiedzieć mi coś więcej. — Muszę ci powiedzieć...

Trzasnęły drzwi i w korytarzu zadudniły kroki.

Braxton przysunął twarz tak blisko, że czułem jego wargi dotykające mojego ucha.

— Znajdź Raula.

— Co?

— Znajdź Raula. To nie ma nic wspólnego z Rattleffem. Sprawdź Raula.

— Dobra.

— Sprawdź Raula. Od Danzigera do Trudella, może jeszcze dalej, do Fazulo.

Uważaj...

Nie skończył.

Kelly dwoma długimi susami przebiegł przez pokój i walnął w plecy pałką. Uderzenie zadudniło głucho. Braxton wygiął się do tyłu. Kelly wyrwał go zza stołu, podniósł do góry i przycisnął do ściany. Krzesło, wciąż przykute do nogi Braxtona, zawisło w powietrzu.

Przyciśnięty do muru Braxton nie stawiał żadnego oporu. Ale jego twarz się zmieniła. Znowu był to uśmiechający się krzywo oprych. Demonstrował swoją pogardę każdemu, kto chciałby to zauważyć.

Kelly odsunął Braxtona od ściany tylko po to, by rzucić go na nią ponownie. Przycisnął mu pałkę do gardła.

— Dostyc tego! — krzyknął Max Beck. Nawet nie zauważyłem, kiedy wszedł. Był zaczerwieniony i już teraz, o dziesiątej rano, węzeł krawata miał na wysokości mostka. — Postawcie tego człowieka!

— Tak — przyłączył się Lowery. — Niech go pan postawi, poruczniku.

Kelly posłuchał. Obciągnął sportową kurtkę i zapytał mnie, czy wszystko w porządku.

— Tak — odparłem. — Nic mi nie jest.

— To była czynna napaść na funkcjonariusza policji — oświadczył Kurth. — Dobra. Teraz możemy go zamknąć.

Oczywiście mogło się tak wszystko potoczyć — szybkie aresztowanie, jeszcze tego ranka sprawa w sądzie miejskim, zaporowa kaucja. Pewnie w taki właśnie sposób by się wszystko odbyło, gdyby nie jedno — prokurator okręgowy był na miejscu i miał bardziej perspektywiczne plany.

— Co pan na to, szefie Truman? — zapytał. — To pan jest ofiarą.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, Gittens burknął:

— Harold, jeżeli jeszcze raz podniesiesz rękę na gliniarza.

— Detektywie Gittens — wtrącił się Lowery, uciszając go gestem ręki. —

Szefie Truman, co w tej sytuacji chce pan zrobić?

Braxton wpatrywał się we mnie.

Kelly również spoglądał na mnie, marszcząc czoło.

— Szefie Truman? — spytał Lowery.

— Puśćcie go.

Kelly zgodził się przestuchać razem ze mną Julio Vegę. Powiedziałem mu, że wciąż intryguje mnie fakt wznowienia przez Danzigera dochodzenia w sprawie śmierci Trudella. Dziwią też uniki Vegi, kiedy zapytaliśmy go o to wcześniej. Kelly przyjął do wiadomości te wyjaśnienia, a przynajmniej robił takie wrażenie.

Kiedy zastukaliśmy do nędznego domku Vegi w Dorchester, nie było żadnego odzewu.

— Poczekamy — oświadczył Kelly.

— Ale nie mamy pojęcia, gdzie on jest.

— Właśnie dlatego poczekamy, Benie Truman. Nie ma sensu gonić go po całym bożym świecie.

W czasie ponadtrzydziestoletniej służby w policji John Kelly zapewne dziesięć lat spędził na czekaniu. Była to część jego pracy. Filmowi gliniarze nigdy nie czekają zbyt długo. Przemykają od jednej poszlaki do drugiej jak kolibry, ponieważ na wyjaśnienie każdej zbrodni mają tylko dwie godziny. W rzeczywistości policjanci czekają na wezwania radiowe i czekają na fajrant. Czekają w sądzie, na rogu ulicy, w zaparkowanym radiowozie. Chodzą i jeżdżą naokoło. Są znudzeni. Przytupują nogami w zimne noce.

— Jak długo będziemy czekać?

— Aż się pojawi.

— A jeżeli się nie pojawi?

— Nie bój się, wkrótce przyjdzie — odparł Kelly. Spojrzał w górę, jakby Julio Vega mógł spaść z nieba. — Przejdźmy się.

— Dobry pomysł. A może zagramy partię golfa?

— Mamy czas, Ben. Przespacerujemy się trochę.

Ruszyliśmy po Dorchester Street. Kelly był w doskonałym nastroju. Wyciągnął pałkę, którą miał wsuniętą z tyłu za pasek spodni. Trzymając za skórzaną pętlę, młynkował nią z roztargnieniem tak jak w Versailles. Dwa obroty w prawo, pac! Dwa obroty w lewo, pac! Wszystko zgrane z rytmem naszych kroków. Obroty, pac! Obroty, pac!

W tym miejscu powinienem jeszcze raz stwierdzić, że być może nie jest to obiektywny obraz Johna Kelly'ego. Zazwyczaj zachowuję rezerwę wobec ludzi, ale jego natychmiast polubiłem i zacząłem podziwiać. Brzmi to może ckliwie, ale czułem, że jest mi bliższy, niż pozornie pozwalałoby na to tych kilka dni, które spędziliśmy razem. Tak więc muszę przyznać, że tego ranka moje poglądy na temat Kelly'ego były zniekształcone uczuciem sympatii. W rezultacie, kiedy szliśmy po Dorchester Avenue, wydawał się mi chemicznie czystą esencją

policjanta. Można go było ubrać w szary flanelowy garnitur lub fartuch chirurga — do diabła, można go było nawet ucharakteryzować na kłowna — a mimo to ludzie powiedzieliby: „Oto idzie policjant”. Dopóki go nie spotkałem, nigdy nie sądziłem, że jest to cecha godna podziwu.

— Jest coś, czego nie rozumiem, Ben. Tego ranka Braxton ściągnął tam ciebie po to, aby oświadczyć o swojej niewinności, a jednak cię zaatakował. To nie ma sensu.

Szedłem obok w milczeniu.

— A potem powiedziałaś Lowery’emu, że nie masz pojęcia, o co Braxtonowi chodziło.

— Być może nie powiedziałem mu całej prawdy.

— Aha.

— Kiedy Braxton się na mnie rzucił, szepnął mi do ucha: „Znajdź Raula”. Powiedział, że ma to coś wspólnego z Artiem Trudellem. I wymienił jeszcze inne nazwisko: Fasulo.

— Fasulo.

— Fasulo. Wie pan, kto to taki.

Kelly zignorował moje pytanie.

— Dlaczego to przemilczałaś?

— Ponieważ Braxton powiedział, że mnie wrabiają.

— Uwierzyłaś mu?

— Nie wiem. W jakimś stopniu tak. Zadał sobie wiele fatygi, żeby przekazać mi tę informację.

— Hm — mruknął pod nosem Kelly.

— Powinienem był powiedzieć. Nie należało ukrywać tego przed innymi gliniarzami.

— Nie bądź śmieszny. Nie pracujemy dla policji bostońskiej. Prowadzimy własne dochodzenie. Powiedziałeś im tyle, ile chciałeś im powiedzieć. Oni też nie przekazują nam informacji. Tak to działa. Witam w bratnim związku służb prawa i porządku.

— Szkoda, że nie powiedziałem panu. O to mi chodziło.

— No cóż. Powiedziałeś mi teraz.

Przeszliśmy kawałek w milczeniu.

— Wie pan, kim jest Fasulo?

— Kim był Fasulo — poprawił mnie Kelly. — Jedyne Fasulo, o którym słyszałem, zmarł dawno temu, w siedemdziesiątym siódmym albo ósmym roku. Zabił gliniarza. Frank Fasulo i drugi typ — jak on się nazywał? Sikes. Chyba tak, Sikes. Obaj byli nawaleni. Próbowali zrobić we Flats napad na bar Kilmarnock.

Teraz już tej knajpy nie ma i bardzo dobrze. To była mordownia. Fasulo i Sikes weszli tuż po zamknięciu, podstawili barmanowi lufę pod nos i powiedzieli, żeby opróżnił kasę. Ale zabawili trochę za długo i zabłądził tam gliniarz patrolujący okolicę. Zaatakowali go i... — Kelly zrobił kilka kroków, zanim podjął opowieść. — Fasulo był stałym klientem Walpole, Bridgewater... Gwałty, napady z bronią. Są takie wredne typy... psychopaci. Jest ich niewielu, ale są. Nie można nic z nimi zrobić. Trzeba ich eliminować.

Ten komentarz zaskoczył mnie. Kelly nie sprawiał wrażenia aż tak żądnego krwi.

— Brzmi to paskudnie, co? Cóż, prawdę mówiąc, nasz system jest nastawiony na karanie przestępstw po fakcie. Natomiast nie jesteśmy w stanie zapobiec przestępstwu, nawet jeżeli jest oczywiste, że zostanie popełnione. Każdy, kto kiedykolwiek zetknął się z Frankiem Fasulo, doskonale wiedział, że kiedyś kogoś zabije. Był urodzonym mordercą. Ale my mogliśmy jedynie czekać, żeby to się stało, dopiero potem pójść i posprzątać.

— Zabił gliniarza, który zaskoczył go w trakcie napadu?

— Zgwałcił go. A potem zabił. Gdy tego dokonał, tańczył wokół baru. — Kelly przestał młynkować pałką. — Ale to było dawno temu, Benie Truman.

— Co się stało potem?

— Kilka dni później wytropiliśmy Sikesa w hotelu. Mieliśmy wtedy swego rodzaju zmilitaryzowaną jednostkę. Nazywała się Taktyczne Siły Patrolowe, TSP. Hełmy, czarne kombinezony, cały ten bajer. W tym czasie byli na topie. Każde miasto ich miało. Wdarli się do pokoju hotelowego i zastrzelili Sikesa. Parę dni później Fasulo skoczył z mostu Tobin i zapewne była to jedyna sensowna rzecz, jaką zrobił w życiu.

Doszliśmy do skrzyżowania, którego najefektowniejszym elementem był nędzny komis samochodowy, składający się z kontenera biurowego i kilku samochodów, ozdobiony setkami małych trójkątnych proporczyków z winylu. Obok znajdował się sklep monopolowy o dźwięcznej nazwie Miły Zdrój. (W dawnej gwarze bostońskiej sklep monopolowy nazywano zdrojem i nadal w całym mieście widać tę nazwę w witrynach sklepowych).

Kelly zatrzymał się, aby się rozejrzeć. Pałka zawirowała. Obrót, pac!

— Jak pan to robi?

— To? — Obrót, pac!

— Tak, jak pan to robi?...

Kelly spojrzał na pałkę, jakby do tej pory nie zauważył, co z nią wyczynia.

— Nie wiem. Po prostu... — Obrót, pac!

— Niech pan mi pokaże. Ale powoli.

Obrót. Pac!

— Po prostu pozwalasz jej trochę opaść z przegubu, a potem podrywa się ją za ten pasek.

— Chciałbym spróbować.

— Wiesz, od jak dawna ją mam?

— O rany, przecież to nie są klejnoty koronne, tylko pałka. Niech pan da spróbować.

Podał mi pałkę, a ja nałożyłem jej pasek na przegub. Próbowałem go naśladować. Pozwalałem pałce opaść do przodu, a następnie podrywałem ją wstecz, w kierunku mojego torsu. Wolny koniec pofrunął w stronę mojej twarzy. Zrobiłem unik.

— Spokojnie, Benie Truman. Nie ogłusz sam siebie.

— Jeżeli się ogłuszę, niech mnie pan dobije.

— Spokojnie.

Cała sztuka polegała chyba na tym, żeby pałka nie wykonywała pełnego obrotu. Miała nieproporcjonalnie rozłożony ciężar (wolny koniec był grubszy i cięższy), a pasek zapewniał wystarczająco dużo luzu, aby oś obrotu stale się zmieniała. Poza tym pałka była niemal tak długa jak ręka i w konsekwencji wciąż groziło niebezpieczeństwo, że przy którymś obrocie wyrznie mnie w głowę.

— To trudniejsze, niż się wydaje — powiedziałem.

— Lepiej mi ją oddaj, zanim zrobisz sobie krzywdę.

To znowu wy?

Julio Vega opierał się ramieniem o framugę. Były gliniarz próbował wbić zamglone spojrzenie we mnie, ale nie bardzo mu się to udawało.

— O co chodzi, Maine? Gittens znów cię przysłał?

— Nie, Gittens nawet nie wie, że tu jestem.

— Jasne, że wie — parsknął Vega i poczłapał na bosaka do środka.

Razem z Kellym weszliśmy do tego samego pokoju, w którym rozmawialiśmy dziesięć dni temu. Vega osunął się na jeden z poczerniałych od potu foteli i wrócił do oglądania swojego ulubionego programu telewizyjnego, ESPN Sports Center.

W wyglądzie Vegi było coś niepokojącego. Nie polegało to tylko na tym, że był pijany. Uszła z niego cała energia. Jego twarz przypominała maskę.

— Czy pan pił? — zapytałem.

— Oczywiście, że piłem — parsknął pogardliwie. — Głupie pytanie.

— Muszę porozmawiać z tobą o Raulu.

Brak odpowiedzi.

— Powiedziałem, że musimy porozmawiać. — Mówiłem zbyt głośno, jakbym mógł dotrzeć do niego tylko krzykiem.

— Hej, Maine! Jestem zalany, nie głuchy!

Wymieniliśmy z Kellym spojrzenia. Co się dzieje z tym facetem?

— Julio, co Frank Fasulo miał wspólnego z nalotem na dziuplę za czerwonymi drzwiami?

— Frank Fasulo? O czym, kurwa, gadasz?

— Tej nocy, kiedy zrobiliście nalot na mieszkanie, cynk od Raula miał coś wspólnego z Frankiem Fasulo, prawda?

— Człowieku, ja nawet nie wiem, kim jest Frank Fasulo.

Obserwował w telewizji migawki z rozgrywek koszykówki.

— Opowiedz mi o nocy, w czasie której robiliście nalot razem z Artiem Trudellem.

— Już ci mówiłem, że nie mam nic do powiedzenia na ten temat.

— Julio, musimy o tym pogadać.

Pokręcił głową.

— Nie mam nic do dodania. — Powiedział to jak aktor recytujący swoją kwestię.

— Julio, muszę wiedzieć, kim był Raul.

Vega zignorował mnie.

— Dobra, dość tego pieprzenia — oznajmił Kelly. Jednym ruchem ręki

wyłączył telewizor. — Przestań rżnąć głupa i odpowiadaj na jego pytania.

— Za kogo się, kurwa, uważasz?

— Zamknij się. — Kelly odwrócił się w moją stronę. — Zapytaj go jeszcze raz.

Vega zaczął się podnosić, zapewne po to, aby ponownie włączyć telewizor.

Czubkiem pałki Kelly popchnął go z powrotem na fotel.

— Siadaj.

— Kim ty, kurwa, jesteś? Włącz ten telewizor, człowieku.

— Chcesz, żebym wyłączył go na stałe? — Kelly podniósł pałkę, jakby chciał rozbić ekran telewizora.

— Hej! — Vega zwrócił się do mnie. — Co to jest? Dobry i zły glina?

— Powiedziałem, żebyś się zamknął. Ben, pytaj.

— Słuchaj, twój chłopaczek ci nie powiedział? — Głos Vegi był łagodny, pełen urazy. — Jestem gliną.

— Gliną? Tak myślisz? — Kelly pomachał pałką przed jego nosem. — Nie jesteś gliną, ale zakałą policji.

— O czym ty gadasz?

— Złamałeś kodeks, Julio.

— Jaki kodeks?

— Sprzedałeś swojego partnera.

— Nikogo nie sprzedałem. Artie został zastrzelony.

— Tak, został zastrzelony, a wtedy go sprzedałeś. Pozwoliłeś zabójcy odejść. Zgrzeszyłeś.

— Co to za gadka? Kochałem Artiego!

— W takim razie dlaczego pozwoliłeś zwiać Haroldowi Braxtonowi?

— Artie i ja byliśmy jak bracia, człowieku...

— Jak znaleźliście się przed tymi drzwiami?

— Nie wiem. To był...

— To było co, Julio?

— Dostaliśmy cynk.

Rozdrażniony Kelly stanął przed fotelem i pochylił się nad Vegą. Wyglądał jak jakaś śmierć z kosą, która przyszła po jego duszę.

— Dobra, zatrzymaj to dla siebie. Chroń Raula. Nie wiem, czy jesteś tchórzem, skorumpowanym łajdakiem, czy po prostu durniem, ale nigdy nie myślałem, że zobaczę gliniarza, który chroni zabójcę policjanta.

— To nieprawda!

— A co to jest, Julio? Raul był twoim kablem, prawda? Twój kabel zabił ci partnera, a teraz boisz się, że wszyscy się o tym dowiedzą?

— Nie, ja... ja...

Kelly pochylił się nad nim jeszcze bardziej.

— Nigdy nie nazywaj się gliną. Ja jestem gliną. Ten człowiek jest gliną. — Wskazał na mnie. — Artie Trudell był gliną. A ty jesteś niczym. Rozumiesz! Niczym!

— Kochałem Artiego — szepnął Vega.

— Nie mogę już słuchać tego gówna — westchnął Kelly. Podszedł do okna.

Przez jakiś czas nikt się nie odzywał. Słyszeliśmy dobiegające z sąsiedztwa głosy dzieciaków, ich śmiech.

— Nigdy się nie dowiedziałem, kim był Raul — powiedział Vega cicho.

Więcej pokrzykujących głosów, radio, odległa syrena.

— Nigdy go nie spotkałem.

Zerknąłem na Kelly'ego. Patrzył przez okno, kręcąc głową.

— To był po prostu cynk — ciągnął Vega.

— Nie rozumiem — powiedziałem. — Braxton się wywinął, ponieważ nie chciałeś wydać Raula. Chodziło o to, żeby ochronić Raula i nie dać go zabić, prawda?

Vega wpatrywał się w ciemny ekran telewizora.

— Powiedziałeś, że nie mogłeś go znaleźć. Zeznałeś... Powiedziałeś, że jeździłeś wszędzie, szukając Raula, ale nie mogłeś go znaleźć.

— Może nigdy nie było żadnego Raula?

— Co?

— Nigdy go nie widziałem.

Ukląknę przed Vegą, aby spojrzeć mu w oczy.

— Julio, to naprawdę ważne, żebyś powiedział prawdę. Bez żadnych kłamstw. Wszystko, co zdarzyło się do tej pory... nic z tego nie ma już znaczenia. Nie możesz tam wrócić i niczego zmienić. Rozumiesz, co mówię? Ale teraz możesz postąpić właściwie.

Cisza. Miałem wrażenie, że Julio Vega znika niczym łódź za horyzontem.

Naciskałem go dalej.

— Słuchaj, Julio, możesz wszystko wyjaśnić. Zrobić to dla Artiego.

I nagle Vega się zmienił. Chyba nie mógł już znieść poczucia winy, wyrzutów sumienia, ciągłego przeżywania śmierci Artiego Trudella. Potępienia policjantów, pogardy miasta, wytykania go palcem. Nic nie drgnęło w jego twarzy, nie było łez, melodramatu. Nie mógł się już jednak powstrzymać i zaczął mówić prawdę.

— Wszyscy o tym wiedzieli — powiedział spokojnie. — Chodziło o to, że tego lata wszyscy we Flats organizowali sobie kokę w tym właśnie miejscu. Wszyscy

mieli kokę zza czerwonych drzwi. I wszyscy wiedzieli, że handluje nią tam OM. Musieliśmy zlikwidować to miejsce. Cała dzielnica miała dość dealerów, narkotyków, gangów. Ale nikt nie powiedziałby niczego. Próbowaliśmy zrobić parę zakupów, ale nikt nie chciał nam pomóc. Nie chcieli się do tego mieszać. Nie mogliśmy więc wstawić tam kapusia, a bez kapusia nie dostalibyśmy nakazu.

— Dlatego wymyśliliście Raula?

Pokręcił przecząco głową.

— Kto dał wam cynk?

— Gittens.

Dosłownie opadła mi szczęka.

— Gittens zawsze miał kabli. Zawsze wiedział więcej niż ktokolwiek inny. Był jak król Mission Flats. Kiedy ja i Artie przyszliśmy tu, czasami nam pomagał, na przykład przekazywał nam cynk od swoich kapusiów. Musisz zrozumieć, we Flats nikt nie gada. Nikt! Zmowa milczenia, jak w mafii. Poszliśmy więc do Gittensa i zapytaliśmy, czy może nam pomóc. Powiedzieliśmy, że musimy zlikwidować ten handel za czerwonymi drzwiami, ale nie możemy zdobyć tajnego informatora. Żeby dostać nakaz, musieliśmy mieć kabla. I Gittens obiecał, że popyta. Kilka dni później przyszedł i oświadczył, że ten Raul powiedział mu wszystko o czerwonych drzwiach i Braxtonie. Więc wykorzystaliśmy to. Cynk był dobry. Dostaliśmy nakaz.

— Może Gittens wymyślił tego kapusia?

— Nie musiał. Ludzie wszystko mówią Gittensowi. Po prostu ma właściwe podejście. Poza tym już wcześniej słyszałem o Raulu. Gittens nieraz go wykorzystywał. Pewnie nazywał się inaczej, ale Gittens nazywał go Raulem.

Vega mówił beznamytnie, monotonnym głosem.

— Czekałeś dziesięć lat, żeby to powiedzieć? Dlaczego? — zapytał wzburzony Kelly. — Czemu po prostu nie powiedziałeś prawdy i nie zmusiłeś Gittensa, żeby znalazł Raula? Jezu, pozwoliłeś, żeby upiekło się zabójcy gliniarza.

Vega pokręcił głową. Jego źrenice poruszały się w rytm tych ruchów niczym zrobione z guzików oczka pluszowego zwierzaka.

— Musieliśmy — rzekł. — Musieliśmy trzymać się tego, co podaliśmy we wniosku o nakaz przeszukania. Gdyby się wydało, że wówczas skłamaliśmy, odrzuciliby całą sprawę. Człowieku, zginął mój partner, mój brat. Jak mogłem pozwolić, żeby odrzucili sprawę? Musieliśmy się trzymać tej historii. Musieliśmy utrzymać ważność nakazu. Jakże miało znaczenie, skąd był cynk? Co za różnica? Cynk był prawdziwy. Każde słowo było w nim prawdziwe! Co niby miałem zrobić? Przyznać, że trochę podkolorowaliśmy wniosek? Wtedy Braxton

natychmiast wyszedłby na wolność!

Jednak Kelly nie dał się przekonać.

— Czemu po prostu nie poprosiłeś Gittensa, żeby dał ci Raula? Musiałeś tylko powiedzieć: daj im tego kapusia, bo zabito gliniarza i wszystkie obietnice są nieważne. Gittens by zrozumiał.

— Powiedziałem mu to. Odparł, że nie zna prawdziwego nazwiska Raula, tylko jego uliczną ksywę.

— SG — podrzuciłem, przypominając sobie akta z biura Danzigersa.

— Właśnie. Stary Gangster. Razem z Gittensem szukaliśmy tego gościa, Raula, SG czy jak mu tam. Ulotnił się. Nie chciał trafić między gliniarzy a gang. Na jego miejscu zrobiłbym to samo. Byłby trupem bez względu na to, która strona znalazłaby go pierwsza. Więc prysnął. Byliśmy bezradni.

— Byliśmy?

— Ja i Gittens. Chociaż tak naprawdę Gittensa niewiele obchodziła ta sprawa.

Kelly westchnął ciężko.

— Czy nie mogłoby to zostać między nami? — zapytał Vega.

— Nie ma mowy — odparłem.

— Wszystko robiłem dla Artiego. Próbowałem ocalić sprawę.

Kiwnąłem głową. Nie miałem mu nic do powiedzenia.

— Zrobiłbym wszystko.

— Julio — odezwałem się w końcu. — Może jest coś. Mógłbyś pokazać nam, jak odbyło się to tamtej nocy.

Trójpokładowiec na Vienna Road 52 we Flats został całkowicie na nowo zasiedlony. Dawna twierdza z handlem crackiem na najwyższym piętrze była teraz schludnym domem dla trzech rodzin, z kolorowymi chryzantemami przed budynkiem.

Na podeście drugiego piętra — gdzie ćpuny podawali zwinięte banknoty przez szczelinę w czerwonych drzwiach — leżała szczeciniasta wycieraczka. Czerwone drzwi nie były już czerwone, ale beżowe. Istniejące w mojej wyobraźni piękne, pokancerowane, przestrelone czerwone drzwi z desek zostały zastąpione stalowymi, pustymi wewnątrz. Podest był maleńki, metr dwadzieścia na metr dwadzieścia — o wiele mniejszy, niż go sobie wyobrażałem — i we dwóch z trudem mieściliśmy się obok siebie. Gdy obejrzałem rozmaite szczegóły, weszliśmy z Kellym jeszcze kilka stopni wyżej, czując niewyraźną ulgę, że znaleźliśmy się poza strefą śmierci przed drzwiami.

Teraz Vega wszedł na tę niewielką scenę.

— Ale zmienili to miejsce — powiedział, jakby bojąc się, że mu nie uwierzemy. — Wtedy inaczej tu wyglądało.

— W porządku, Julio — zapewniłem go. — Po prostu opowiedz nam, co się stało, od początku do końca.

Vega szczegółowo zrelacjonował wydarzenie. Wymienił nazwiska gliniarzy z grupy uderzeniowej, tak jak byli rozmieszczeni, opisał potworny upał letniej nocy, wspomniał o widocznej na pierwszy rzut oka wytrzymałości drzwi. Robił to w taki sam obojętny sposób, jak godzinę wcześniej, gdy się spotkaliśmy. Przypominało to słuchanie martwego człowieka.

— Kiedy Artie został zastrzelony, początkowo niczego nie zobaczyłem. Był tylko dźwięk. Głuchy huk. Patrzyłem na drzwi i zobaczyłem, że jakby eksplodowały od środka. Pomyślałem, że wygląda to niesamowicie. Klęczałem obok drzwi, o tak. Spojrzałem w górę. Artie obrócił się, a potem upadł. Było mnóstwo krwi. — Vega potarł zmęczone, przygasłe oczy. — Tamten musiał stać tuż za drzwiami, tak blisko, że zdołał wycelować w głowę Artiego. Czekał, aż Artie uderzy w drzwi, a potem strzelił tam, gdzie powinna się znajdować jego głowa. Tylko że to nie ma sensu. Jeżeli chciał go zabić na pewniaka, powinien mierzyć w pierś Artiego, gdzie najłatwiej trafić. Zupełnie jakby wiedział, że Artie ma kamizelkę... Czasami myślę... Artie był wielkim chłopem. Miał metr osiemdziesiąt pięć i ważył ponad sto kilo. Ten, który strzelał, celował wysoko. Może nie chciał go trafić, tylko przestraszyć? Nie wiedział jednak, że Artie jest tak wielki...

— Powiedz nam, co się zdarzyło potem. — Mój głos był zimny, rozkazujący.

— Nic się nie zdarzyło. Początkowo nie zdawałem sobie sprawy z tego, że Artie nie żyje. To znaczy wiedziałem, ale nie chciałem się z tym pogodzić. Wziąłem radio, wezwałem centralę i powiedziałem, że mamy kłopoty. Nie miałem pojęcia, co robić. Inni stali na schodach, tam gdzie teraz wy i tutaj na dole, na schodach na pierwsze piętro. Żaden z nas nie wiedział, co robić.

— Czy słyszałeś coś wewnątrz mieszkania? Kroki? Głosy?

— To wszystko było straszne. Ludzie krzyczeli, radio gadało, w uszach mi dzwoniło, po podłodze płynęła w moim kierunku krew. Nic nie słyszałem.

— Czy ktoś zajrzał przez dziurę w drzwiach, żeby zobaczyć, co się dzieje w mieszkaniu?

— Nie! Nikt nie stanął przed tymi drzwiami!

Podest był tak mały, że ciało z trudem mogło się na nim zmieścić. Nic dziwnego, że Vega nie mógł uciec przed rozplywającą się krwią. Był jak sparaliżowany. Prawdopodobnie też bym tak zareagował.

Vega wstał i oparł się plecami o ścianę.

— Wiesz, co pomyślałem? Że Artie sam sobie jest winien.

— Dlaczego?

— Już od paru tygodni czułem, że coś jest nie tak. Nie, to nie ma sensu. Wiem, że to nie była wina Artiego, ale miałem takie uczucie, że sam szukał śmierci.

— Sam szukał śmierci? — zdziwił się Kelly.

— Od pewnego czasu był czymś przygnębiony, podenerwowany. Wiedziałem, że coś go gnębi. Zapytałem go nawet o to, ale przysiągł, że wszystko w porządku. Zapytałem, czy nie potrzebuje jakiejś pomocy. Bo Artie był moim kumplem. Nigdy bym nie pozwolił, aby coś mu się stało. Ale nie chciał pomocy. Człowiek tak wielki jak Artie pewnie wyobraża sobie, że jest nietykalny. Zupełnie jak słonie, kapujesz? Są tak wielkie, że w dżungli nic im nie zagraża. A potem nagle pojawia się mały człowieczek i — bum. Umierają. Muszą być bardzo zdziwione, że je pokonał.

Nie przerywałem mu. Tłamsił w sobie to wszystko przez dziesięć lat.

— Myślałem, że może coś wydarzyło się w jego domu — mówił dalej Vega — ale to nie był mój interes. Artie miał żonę i dwojkę dzieciaków. Może wiedział coś, czego nie powinien wiedzieć? Są takie sprawy, o których się nie mówi. W każdym razie sądziłem, że gdyby miał mi powiedzieć, o co chodzi, zrobiłby to. Artie zawsze wszystko mówił, wcześniej czy później. Uznałem więc, że dam mu spokój. Byliśmy obaj zajęci staraniami o ten nakaz w sprawie koki z za czerwonych drzwi i nie mieliśmy czasu. To było dla nas najważniejsze. Pomyślałem, że o tamtych sprawach pogadamy później.

— Co było dalej? — zapytałem. — Artie upadł. Co stało się potem?

— Już powiedziałem, było nas tu dziesięciu, nie mieliśmy wsparcia...

— Dlaczego nie mieliście wsparcia? — przerwał mu Kelly.

— Zawsze tak robiliśmy. Musieliśmy się tam dostać po cichu. Gdyby zobaczyli, jak podjeżdżamy radiowozami, zwialiby. Musieliśmy ich zaskoczyć. Poza tym w A-3 nikomu niczego się nie mówiło. Mieliśmy tam facetów blisko powiązanych z Braxtonem. Niektórzy z nich brali w łapę, inni znali jakiegoś chłopaka z tej dzielnicy. Gdyby usłyszeli o nakazie, zawiadomiliby ich. Dlatego nie mówiliśmy nikomu o nalocie aż do tej nocy, w której go przeprowadziliśmy. I osobiście wybraliśmy tych ludzi, bo im ufaliśmy. Ty wiesz, o co mi chodzi. — Ostatnie słowa były skierowane do Kelly'ego.

— Dobra — naciskałem. — Kapujemy. Nie było wsparcia.

Zanim jednak Vega zdążył coś powiedzieć, rozległ się zza drzwi mieszkania męski głos:

— Nie wiem, kim jesteście, ale mam zamiar wezwać policję.

Nikt z nas się nie odezwał.

Mężczyzna uchylił drzwi i przyglądał się nam. Afroamerykanin około siedemdziesiątki, o wygładzie emerytowanego urzędnika.

— Co tu robicie?

Wysunąłem się do przodu, pokazałem odznakę i przeprosiłem za zakłócenie spokoju.

— Nikt nie wzywał tu policji.

— To stara sprawa. Proszę się nie obawiać.

Nie zareagował.

— Dawno temu miał tu miejsce wypadek — wyjaśniłem. — Zastrzelono policjanta.

— Wiem o tym. Wrobili w to Braxtona.

Oczy Vegi napełniły się smutkiem.

— Sprawa nie jest taka prosta — zaoponowałem bez przekonania.

— Hm... Czy nie ma pan nic przeciwko temu, że tu zostanę?

— Ależ skądże! Może się nam pan bardzo przydać, panie...

— Kenison.

— Panie Kenison. Jestem Ben Truman. — Podaliśmy sobie ręce. — John Kelly, Julio Vega.

Starszy jegomość zawahał się, zanim wyciągnął do Vegi rękę — czyżby pamiętał nazwisko pariasa? — ale uściśnął ją, a potem znowu zajął posterunek w drzwiach.

Jego obecność najwyraźniej krępowała Vegę. Wpatrywał się w podłogę,

jakby szukając upuszczonej monety.

— W każdym razie miałem radio, wszędzie była krew i słyszałem, jak Gittens wzywa centralę. Wiedziałem, że Gittens ma zamiar być w pobliżu, bo to był trochę jego nakaz. Wiesz, w pewnym sensie był to jego kapuś... — Zerknął na Kenisona. — To znaczy jego informator. Poza tym był naszym przyjacielem, pomagał Artiemu i mnie. Tak więc słyszałem, jak mówi, że jedzie tutaj. Następną rzeczą, którą pamiętam, był Gittens wchodzący po tych schodach. Pojawił się jak spod ziemi. Stał za mną i pyta: „Co się, kurwa, stało?” A ja mu mówię: „Artiego zastrzelili przez drzwi”. Gittens wstaje, łapie rurę i sam zaczyna rozwalać drzwi. Bez kamizelki. Po prostu skacze przed drzwi i zaczyna walić. Potyka się, ponieważ podłoga jest we krwi i ma Artiego leżącego pod nogami. Ale rozwala te drzwi, nie zwracając na nic uwagi. Wpada do środka, a my za nim.

Vega skierował się do mieszkania.

— Przepraszam.

Kenison odsunął się na bok, nie odrywając wzroku od twarzy Vegi.

Dziesięć lat temu Gittens wprowadzał tu grupę z nakazem przeszukania.

— Wchodzimy. Pusto. Nic. Nie ma strzelca, nie ma broni, nie ma koki. Nawet mebli. Tylko jakieś drobiazgi w szufladach. Na całej podłodze papier i gówno. Było ciemno. Jedyne światło padało z ulicy.

Opis Vegi całkowicie nie pasował do jasnego, wysprzątanego mieszkania. Ściany zostały niedawno pomalowane na kremowożółty kolor, w kuchni znajdował się nowy sprzęt, okna zastąpiono najnowszymi modelami z winylową żaluzją.

— Czy to pan zrobił to wszystko? — zapytałem pana Kenisona.

— Tak, ja — odparł z dumą.

— Jest tu naprawdę bardzo miło.

Vega mówił dalej:

— Jak już powiedziałem, przedtem nigdy tu nie byliśmy. Nie wiedzieliśmy, czego mamy się spodziewać. Wchodzimy. A potem zobaczyłem, że Gittens biegnie tylnymi schodami, a wszyscy za nim. Nawet nie wiedzieliśmy, że są tu tylne schody. Nie poszedłem z nimi. Wróciłem, żeby zostać z Artiem.

— Ale wiesz, co się stało?

— Tak. Gittens znalazł broń w głębi mieszkania, przy drzwiach. Wielka półautomatyczna śrutówka. Balistycy ustalili, że to z niej zabito Artiego, odciski palców świadczyły, że należała do Braxtona. Znaleźliśmy różne inne dowody potwierdzające, że Braxton był tutaj. Mieszkanie miało z tyłu drzwi prowadzące na drugą klatkę schodową, którą uciekł strzelec. Prosta sprawa. To był Braxton,

nie ma najmniejszej wątpliwości.

— Braxton potwierdził, że zdarzało mu się tu bywać — powiedział zdecydowanym tonem Kenison, niespeszony faktem, że jesteśmy funkcjonariuszami policji. — Dlatego znaleziono jego odciski palców, ale to nie oznacza, że był tu tej nocy.

— Jego odciski palców były na broni! — zawołał Vega.

— Mogli kiedyś zabrać tę broń chłopakowi i podrzucić ją na podwórzu.

— Och, daj pan spokój! — mruknął Vega.

— To się zdarza.

— Naprawdę pan w to wierzy?

— Tak, wierzę, że się zdarza.

— Ale czy wierzy pan, że stało się tak tutaj? Że podłożyliśmy broń? Mieszka pan tutaj, widzi pan, co się dzieje. Naprawdę wierzy pan, że tak się stało?

— Nie wiem, komu mam wierzyć. Nie wierzę temu chłopakowi i nie wierzę policji. To nie rozstrzyga o jego winie.

— Myśli pan, że jest niewinny?

— Nie powiedziałem tego. Powiedziałem, że nie rozstrzygnięto o jego winie. Może zrobił to. Ale wy, funkcjonariusze policji, powinniście byli lepiej wykonać swoją robotę.

Vega najwyraźniej oklapł. Wszyscy wiedzieli, że w sprawie Trudella wina czy niewinność Braxtona były mało istotne. Szczególny nacisk położono tu na kłamstwa policji, na prawa obywatelskie. Spektakl odegrany na użytek mas. Z Braxtonem jako przypadkowym beneficjentem.

Vega rozejrzał się po mieszkaniu, szukając czegoś znajomego, co mogło się łączyć z tamtą nocą. W kuchni przesunął dłonią po laminowanych blatach. Zmiana wyglądu wnętrza najwyraźniej go dezorientowała.

— Ten chłopak zabił Artiego — mruknął.

Nikt nie odpowiedział.

— Ten chłopak zabił Artiego.

Przyszło mi do głowy, że podjął straszliwą decyzję — postanowił zabić Braxtona. Ale niemal natychmiast o tym zapomniałem.

Na ulicy pojawiły się błyskające migacze radiowozu. Wyjrzałem przez okno. Zobaczyłem Martina Gittensa i samochód wsparcia, ogółem trzech gliniarzy. Przyjechali po mnie.

Ben, musimy znowu porozmawiać.

— Czy jestem aresztowany?

Gdy Gittens zawahał się, wskazałem dwóch mundurowych i błyski migaczy radiowozu.

— Nie — odparł.

— W takim razie po co ta asysta?

— Ludzie często zachowują się emocjonalnie — odparł Gittens — kiedy sprawy zaczynają źle wyglądać.

— Czy zaczęły źle wyglądać?

Wzruszył ramionami.

— Jestem pewien, że możesz to wyjaśnić.

Posterunek sektora A-3 znajdował się zaledwie parę przecznic dalej. Wróciliśmy do tego samego obskurnego pokoju przesłuchań, w którym dwadzieścia cztery godziny wcześniej rozmawiali ze mną Lowery i Gittens. Tym razem Lowery'ego nie było. Zastąpił go Kurth.

— Chcę, żeby Kelly był w pokoju.

— Nie — odparł Gittens. — Niestety.

— W takim razie nie mam nic do powiedzenia.

— Jak pan sobie życzy, szefie Truman. Może pan tylko słuchać. Albo mówić. Pański wybór.

— A jeżeli po prostu wyjdę? Powołam się na prawo zachowania milczenia?

— Wtedy się zastanowimy.

— A co z... — Pomyślałem o tym, że jestem gliniarzem i należą mi się jakieś względy. Ale coś w zachowaniu Gittensa ostrzegło mnie, że lepiej o tym nie wspominać. Coś, co kryło się za tą wyrafinowaną kurtuazją, za tym pełnym szacunku zwrotem „szefie Truman”.

— A czy Kelly mógłby obserwować nas zza szyby? — Skinąłem głową w stronę lustra weneckiego.

Gittens zastanawiał się przez chwilę, zanim wyraził zgodę.

Kelly namawiał mnie, żebym w ogóle odmówił udziału w przesłuchaniu. Niczego się dzięki niemu nie zyska. Uważałem jednak — całkiem głupio — że niczego nie zyskam, urządzając prawnicze przepychanki. Chciałem udowodnić swoją niewinność. Co więcej, byłem zaintrygowany nieustanną podejrzliwością Gittensa wobec mojej osoby. Dlaczego? Musiałem zobaczyć dowody przeciwko mnie, pragnąłem tego. Freud określiłby to jako chęć uwolnienia się od napięcia. Nie mogłem żyć w niewiedzy.

Gdy jednak Kelly wyszedł z pokoju, nie Gittens, ale Kurth rozpoczął

przesłuchanie. Zmiana była niepokojąca. Świadczyła, że sprawa przechodziła od miejscowego detektywa z A-3 do jego odpowiednika z wydziału zabójstw. Przekazano pałeczkę. Kurth w przeciwieństwie do Gittensa nie starał się być dla mnie miły.

— Właśnie otrzymaliśmy to z powrotem — oznajmił, kładąc na stole zapieczętowaną termicznie plastikową torebkę. Znajdowała się w niej szklanka, którą obsypano proszkiem w poszukiwaniu odcisków palców. Złożony herb hotelu Ritz-Carlton ledwie był spod niego widoczny.

Starałem się zapanować nad przyspieszonym oddechem, nad gwałtownym biciem serca. Nie mrugać, nie czerwienić się, zachować spokój.

— Szklanka pochodzi z pokoju, w którym znaleziono ciało pańskiej matki. Odciski należą do pana. Analiza płynu w jej wnętrzu wykazała obecność barbituranów.

W ciszy, która zapanowała, bacznie wpatrywał się we mnie.

— Czy zechce pan wyjaśnić, jak znalazły się na niej pańskie odciski palców?

— Nie w tej chwili.

— To narzędzie zabójstwa.

— Nie jest nim i pan o tym wie.

— Wypiła to? Myślałem, że zażyła proszki.

Nie odpowiedziałem.

— Tę szklankę miał Danziger. Musiał pan o tym wiedzieć. Czy pytał pana o nią? — Kurth odczekał chwilę, a potem dodał: — Jest coś jeszcze. Nagranie z kamery hotelowej. Widać, jak przychodzi pan z matką i melduje się. Jeszcze nie przeprowadziliśmy analizy grafologicznej dokumentów hotelowych, ale w tej sytuacji nie wydaje się to potrzebne. Był tam pan razem z nią.

Miałem kamienną twarz pokerzysty, co odziedziczyłem po Anne Truman.

— Pomógł jej pan, prawda? — Chwila przerwy. — Zamordował ją pan.

— To nie było morderstwo — odpowiedziałem.

— W tym stanie, owszem. Czy Danziger powiedział to panu? Miał zamiar pana oskarżyć, prawda? Oczywiście, że tak. W jakim innym celu jechałby aż do Maine? Miał zamiar postawić pana przed ławą przysięgłych. Gliniarza zamieszanego w morderstwo — przepraszam, w samobójstwo. Jak Danziger mógłby przymknąć na to oko?

— Nikogo nie zamordowałem.

— Dlaczego wśród innych rzeczy Danziguera nie znaleźliśmy akt dotyczących tej sprawy?

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— Akta dotyczące śmierci pana matki zaginęły. Jadąc do Maine, musiał

zabrać ze sobą teczkę, ponieważ zamierzał tam nad tym pracować. Musieliśmy rekonstruować jej zawartość na podstawie duplikatów i tego, co miał w swoim komputerze. Gdzie są więc oryginalne akta?

— Nie mam pojęcia.

Położył na stole kartkę papieru.

— Czy to pański podpis?

Popatrzyłem na przedstawiony mi dokument z ostentacyjną obojętnością, jak na wczorajszą gazetę albo menu deserów.

— „Komenda Policji w Versailles — czytał na głos Kurth. — Zaginiona broń palna. Pistolet glock 17 kaliber 9 milimetrów. Zaginięcie broni z szafy z dowodami rzeczowymi zgłosił funkcjonariusz Dick Ginoux. Podpisano: SzeF Benjamin W. Truman. 29 września 1997 roku”.

Łatwo zgadnąć, że glocka nie znaleziono.

— Nie znaleziono.

— Czy ma pan jakieś podejrzenie, gdzie mógł się podziać?

— Nie.

— Czy zdziwi pana wiadomość, że glock 17 kaliber 9 milimetrów odpowiada broni, z której zamordowano Boba Danzigera?

— Widziałem zwłoki. Musi istnieć setka egzemplarzy broni, które też pasowałyby do tego zabójstwa.

— Ale to dziwny zbieg okoliczności, nieprawdaż? Właśnie taki wielki pistolet znika z szafy z dowodami rzeczowymi w takim małym posterunku jak pański.

— Zdarza się.

— Zdarza się — powtórzył. — Co więc pan zrobił, żeby go odnaleźć? A może nie przejmował się pan tym, że samopowtarzalny pistolet kaliber 9 milimetrów leży gdzieś przy drodze?

— Oczywiście, że się przejmowałem. Szukaliśmy, prowadziliśmy dochodzenie. Nie mogliśmy go znaleźć.

— Miał pan dostęp do tej szafy, prawda? Mógł pan wziąć ten pistolet?

Nie odpowiedziałem.

— SzeFie Truman, czy może mi pan powiedzieć, po co poszedł pan do chaty tego ranka? To znaczy w dniu, kiedy znalazł pan ciało. Co pan tam robił?

— To rutynowe działania. Sprawdzamy wszystkie chaty w czasie obchodów.

— Nawet w zimie?

— Zwłaszcza w zimie.

W tym momencie włączył się Gittens. Usiadł przede mną, oparł dłonie o stół i splótł palce. Była to poza pełna zadumy.

— Ben, czemu nie chcesz sobie pomóc? Zdystansować się od tego trochę,

zanim sprawy nie zajdą za daleko? Sam widzisz, jak pasują wszystkie fakty, prawda? Motyw, środki, sposobność. Danziger powiedział ci, że ma zamiar wnieść oskarżenie w sprawie pomocy w samobójstwie, więc zastrzeliłeś go, a potem wyrzuciłeś gdzieś broń, pewnie do jeziora. I zabrałeś akta Danzigerera.

— Taka jest wasza teoria?

— Owszem, taka jest nasza teoria.

— To nieprawda, Martin. Nie jestem mordercą. Co jeszcze mogę ci powiedzieć?

Gittens pokręcił ze smutkiem głową.

— Gittens, macie zamiar nadać temu bieg?

— To zależy od prokuratora okręgowego.

— A więc mogę sobie iść?

— Możesz iść. Chyba że chciałbyś jeszcze coś powiedzieć.

— Nie — odpowiedziałem. A potem dodałem: — Nie zrobiłem tego.

Powtórzyłem sobie w myślach raz jeszcze tę prawdę: „Nie zrobiłem tego”. W mojej głowie z coraz większą siłą rozbrzmiewały słowa Braxtona: „Znajdź Raula”.

Dom Danzigera był miniaturą kolonialnej willi z zielonymi okiennicami, jednym z czterech identycznych budynków stojących obok siebie na zasypanej liśćmi, półkolistej uliczce w West Roxbury. Trudno go było uznać za rezydencję kawalera. Budynek otaczał pas kwietników — wymyślnie urządzonych, z wiecznie zielonymi roślinami w głębi, a chryzantemami i nagietkami z przodu. Tarasowate grządki przywodziły na myśl zdjęcie klasowe z roześmianymi dziewczynami siedzącymi z przodu i niezgrabnymi chłopakami o poważnych twarzach w tylnym rzędzie.

Przyszedłem tu zdesperowany, by odszukać Raula — jakiegokolwiek sygnału, że Robert Danziger zidentyfikował informatora odpowiedzialnego za to, że dziesięć lat temu Artie Trudell stanął przed tamtymi czerwonymi drzwiami. Rozwiązanie zagadki Raula było obecnie jeszcze bardziej palącą koniecznością. Stałem się pierwszym podejrzanym. Czułem ciężar przygniatających mnie dowodów rzeczowych. Sprawiałem wrażenie winnego, nawet w moich własnych oczach. Ogarniała mnie panika.

Tylne podwórze Danzigera było bardzo schludne. Para jaskrawo pomalowanych foteli, domek dla ptaków, stanowiący kopię prawdziwego budynku.

W górnej połowie drzwi kuchennych znajdowała się zasuwka i cztery szklane szybki, co mogło odstraszyć jedynie tych nielicznych włamywaczy, którzy mieli opory przed rozbiciem szkła. Wypchnąłem szybę łokciem. Żadnego alarmu, szczekającego psa, niczego. Pierwszy raz w życiu włamuję się, a nikogo to nie obchodzi.

Drzwi prowadziły do kuchni. Bardzo porządne garnki wisiały na mosiężnej listwie, książki i pisma kucharskie wypełniały dwie półki.

W saloniku na półce nad kominkiem stały oprawione fotografie. Na większości z nich znajdował się sam Danziger, z wąsem jak u morsa, uśmiechający się zza okularów w rogowej oprawie. Na tych fotografiach pojawił się jeszcze jeden mężczyzna, przystojny, młodszy od Danzigera. Przyszło mi do głowy, że prokurator był gejem.

Do tej pory Danziger był dla mnie abstrakcją. Niekiedy w moich rozmyślaniach określałem go mianem ofiary. W sprawach o morderstwo ofiar nie zna się osobiście, stają się więc czymś nierealnym. Detektyw dysponuje jedynie ciałem i nawet ono z profesjonalnych i psychologicznych względów jest klasyfikowane jako dowód rzeczowy, ponieważ inaczej nie można znieść ciągłego przypominania o własnej śmiertelności, o tym, z jaką łatwością ciało ulega uszkodzeniu. Zamordowane dzieci powodują bardziej emocjonalne

reakcje, ale ogólnie rzecz biorąc, detektyw zajmujący się zabójstwami stara się zachować dystans. Tu, we własnym domu, Bob Danziger przestał być abstrakcją. Czuło się jego obecność. Pamiętałem, jak po raz pierwszy podszedł do mnie w Versailles. „Szef Benjamin Truman? — zapytał. — Czy moglibyśmy zamienić słówko?”

Przyglądałem się zdjęciom. Na jednym z nich Danziger i jego partner, obaj w smokingach, stali obok siebie na jakimś przyjęciu. Na innym stali na plaży objęci ramionami jak starzy kumple. Na tej fotografii Danziger miał zawieszoną na szyi złotą gwiazdę Dawida, a na palcu jego partnera wyraźnie było widać pierścień Claddagh. Tak brzemienne w znaczenie obrazu, tak sugestywnie wskazujące nieskończoną złożoność życia Danziguera, jakiegokolwiek życia.

Błądziłem po pustym domu, otwierając szuflady i szafki. Zajrzałem do apteczki w łazience — zielona plastikowa szczoteczka do zębów i pełna tubka pasty wybielającej, maszynka Panasonic do przycinania wąsów, pęseta, jednorazowa maszynka do golenia Gillette, szczotka z tkwiącymi w niej rudymi włosami, grzebyk z drobnymi ząbkami do wąsów, nawilżacz z filtrem przeciwsłonecznym SPF 15 do jasnej cery, dwie fiołki z zapisanymi przez lekarza pastylkami kodeiny na bóle pleców.

Usiadłem w sfatygowanym fotelu przed telewizorem. Obok leżała książka Updike’a *Królik odpoczywa* w twardej oprawie. Użył skrzydełka obwoluty, aby zaznaczyć miejsce, w którym skończył czytać. Na wewnętrznej stronie okładki książka była podpisana niebieskim atramentem — „Rob. Danziger 17/1/92”.

Wyobraziłem go sobie, jak siedemnastego stycznia 1992 roku podpisuje tę książkę dla potomności. Gdy Bobby Danziger po pewnym wahaniu postanowił skrócić imię do „Rob.” — zabieg, który miał ukryć znaczenie, jakie przywiązywał do swojego podpisu — nie mógł wiedzieć, że fatalna trajektoria jego życia już została ustalona, a łańcuch zbiegów okoliczności pięć i pół roku później zaprowadzi go do chaty w Maine. Prawdę mówiąc, ciąg przyczynowo-skutkowy rozpoczął się jeszcze wcześniej, w 1977 roku, od zabójstwa policjanta w pubie Kilmarnock — wydarzenia, które zdążyłem już połączyć z pierwszą morderczą komórką, dzielącą się i tworzącą przerzuty w mózgu mojej matki. Być może Fasulo oddał zabójczy strzał w głowę policjanta właśnie w tym momencie, kiedy pierwsza złośliwa komórka podzieliła się na dwie. Powinna być jakaś reguła w tych sprawach, w przeciwnym bowiem razie wszystko jest przypadkiem i absurdem — ciężarówka przełamująca barierki ochronne, płytki zatykające arterie w ludzkim sercu, silniki lotnicze, które przestają działać nad północnym Atlantykiem. Każdy z nas zmierza bezwiednie w stronę swego własnego, przypadkowego i bezsensownego końca. A mimo to w dniu takim jak dzisiaj —

szeleszczącym suchymi liśćmi i przesyconym zapachem nadciągającej zimy, pełnym poczucia rozkładu i odrodzenia, w takim dniu, który jest specjalnym darem Nowej Anglii — któż chciałby to wiedzieć? Kto mógłby zmienić kierunek lotu strzały? Dlaczego Danziger miałby poznać swój kres — gdzie, kiedy i jak? Dlaczego miałby chcieć wyobrazić sobie swoje ciało na podłodze chaty, plamy krwi i odłamki kości rozbryzgane po ścianach? Czy więc mógł wybrać inną drogę? Gdyby poznał swój kres, czy pozostawiłby morderstwo Artiego Trudella nierozwiązane? Uciekłby gdzieś i ukryłby się przed swoim losem? Być może. Ale droga jego życia prowadziła do tej chaty.

W małym gabinecie na piętrze przeglądałem dokumenty i akta, szukając czegokolwiek związanego ze sprawą Trudella. Przejrzałem papiery Danziguera, teczki z napisami „Auto, Podatki i Dom”. Nie znalazłem niczego o Raulu ani Trudellu. W pokoju było gorąco i duszno. Pyłki kurzu wisiały w świetle promieni słonecznych.

Za moimi plecami ochrypli, szorstki głos — głos z gangsterskich filmów — zapytał:

— Co, u diabła, tu robisz?

Podskoczyłem.

W drzwiach gabinetu stał Edmund Kurth.

— Jezu, zawsze się tak zakradasz?

— Co tu robisz?

— Robię... robię przeszukanie.

— Przeszukanie? Masz nakaz?

— Nie potrzebuję nakazu do przeszukania domu martwego faceta.

— Nie potrzebujesz, jeżeli jesteś gliną. Nie jesteś nim, a więc to bezprawne wejście. Mógłbym cię aresztować.

— Chcesz zobaczyć moją odznakę, Ed?

— Twoja odznaka gównu tu znaczy. Powiedziano ci, żebyś wyjechał.

— Masz więc zamiar aresztować mnie za bezprawne wejście?

— Być może.

Stał w drzwiach. Wyglądał jak bokser, który przed walką mierzy się wzrokiem z przeciwnikiem. W jego oczach widniała groźba, a sama jego obecność sugerowała niebezpieczeństwo.

— Nie pomoże ci to, że cię tu znalazłem. Tylko pogarszasz sytuację.

Zrobiłem minę pokornego winowajcy.

— Czego szukałeś?

— Sam nie wiem.

— Już zrobiliśmy tu rewizję. — Wszedł do pokoju. — Nie zostało nic, co

mógłbyś znaleźć.

Wziął z biurka Danzigera prymitywnie wyglądający nóż, stanowiący zapewne pamiątkę z jakiegoś procesu. Był to właściwie kawał metalu o długości piętnastu centymetrów z oklejonym taśmą jednym końcem tworzącym rękojeść.

— Widziałeś kiedyś coś takiego, szefie Truman?

— Nie.

— Robią je w więzieniach. Biorą nogę od łóżka albo stołu i szlifują tak długo, aż wyjdzie z tego nóż.

— Ciekawe. Dzięki za informację.

Zignorował mój sarkazm.

— Nie jest zbyt ostry, ale można nim zrobić krzywdę. Trzymał ostrze jakieś trzydzieści centymetrów od mojego nosa. Jakby zastanawiał się, czy mnie pchnąć. A potem podał mi nóż rękojeścią do przodu. Kiedy go nie wziąłem, ostrożnie odłożył ten prymitywny sztylet z powrotem na biurko.

— Jeszcze raz pytam, szefie Truman. Co tu robisz?

— Nie uwierzysz mi.

— Zdziwisz się.

Cóż mi pozostało w tej sytuacji? Musiałem mu zaufać.

— Wiem, dlaczego Danziger został zamordowany.

— Tak? Dlaczego?

— Zajął się sprawą Arthura Trudella. Przypuszczam, że znalazł jego mordercę.

— Kto więc to zrobił? Braxton?

— Jeszcze nie wiem.

— No dobra, a skąd masz tę informację?

Skrzywiłem się.

— Od Braxtona.

Kurth się uśmiechnął. Słońce oświetliło wgłębienia w jego policzkach, które wyglądały jak podziobane ptaki.

— To zbyt proste — powiedział.

— Kurth, musisz się tym zająć. Musisz!

— Dlaczego?

— Ponieważ to prawda. — Szukałem bardziej przekonującego powodu. — Przecież na tym polega twoja robota.

— Mogę się zająć. Pod jednym warunkiem. Powiesz mi wszystko, co wiesz na ten temat. Bez pieprzenia o Piątej poprawce, bez adwokatów. Powiesz całą prawdę.

— Oczywiście. Powiem ci wszystko, co wiem. Ale zajmij się tym. Proszę.

— W porządku — rzekł. — Gadaj.

Punkty zwrotne historii rzadko kiedy dostrzegane są przez uczestników wydarzeń. Stają się widoczne dopiero z perspektywy czasu. Teraz widzę, że tego dnia, w którym Gittens i Kurth mnie oskarżyli, wystąpił właśnie taki punkt zwrotny. Potem jak gdyby przestano się mną zajmować. Często się tak zdarza w dochodzeniach kryminalnych. Detektywi rzucają się na najbardziej prawdopodobny cel, potem pojawia się nowy podejrzany i detektywi zwracają się w jego stronę, zmieniając kurs niczym ławica ryb. Mówi się wprawdzie o podążaniu tropem poszlak, ale zazwyczaj coś takiego nie ma miejsca. Istnieje zbyt wiele możliwych tropów, a wstępne założenia mają zdecydowany wpływ na to, co widzą prowadzący dochodzenie. To, że szybko skreślono mnie z listy podejrzanych o zamordowanie Roberta Danzigera, nie było wówczas dla mnie wcale oczywiste i cały weekend przeżywałem piekło, wymyślając scenariusze, w których mnie aresztowano, postawiono przed sądem, uwięziono. W poniedziałek — trzeciego listopada — z niewyspania miałem podkrążone oczy.

Tego ranka John Kelly i ja znowu poszliśmy do sądu okręgowego Mission Flats, gdzie mieliśmy obserwować rozprawę.

— Proszę wstać!

O godzinie dziewiątej jeden w sali sądowej rozpraw wstępnych zapanował szum, gdy publiczność podniosła się z miejsc, a maruderzy wbiegli z korytarza, aby zająć miejsca na zatłoczonych ławkach.

Jeden z urzędników sądowych, ubrany w mundur z niebieskiego poliestru, wielki mężczyzna z brzuchem jak beczka, monotonnym głosem wygłosił formułę otwarcia:

— Sąd okręgowy stanu Massachusetts dla okręgu Mission Flats rozpoczyna posiedzenie. Przewodniczy czcigodny Hilton Z. Bell, asesor sądu okręgowego. Wszyscy, którzy mają sprawę do tego sądu, niech się zbliżą, a zostaną wysłuchani. Niech Bóg ma w opiece stan i ten czcigodny sąd.

— Powinien powiedzieć amen — westchnął jeden z prawników. Przed stołem sędziowskim oskarżyciele oraz obrońcy szeptali do siebie i się uśmiechali. Codzienne pogaduszki.

Z bocznych drzwi po prawej stronie podium wyłonił się sędzia Bell i ruszył do swojego fotela w rozpiętej, rozwiewającej się za nim todze.

— Oskarżenie publiczne przeciwko Geraldowi McNeese'owi Trzeciemu! — ogłosił woźny z takim pośpiechem, jakby czekał na ten moment cały weekend. — Sprawa numer dziewięćdziesiąt siedem łamane przez siedem-siedem-osiem-osiem. Sprawa wniesiona na wniosek pana Becka.

McNeese pojawił się w małym, nieoszkłonym oknie z boku sali — na ławie

oskarżonych. Na ogolonej głowie miał już nowe włosy. Uśmiechał się pogardliwie. Najwyraźniej wiedział, jak się to skończy.

Z przeciwnej strony sali sądowej obserwowali go Kurth i Gittens.

— Słucham pana, panie Beck — odezwał się sędzia. Sędzia Bell wiedział, co się stanie, wiedział, co Beck zamierza powiedzieć. Ale należało postępować zgodnie z protokołem. Musieliśmy wysłuchać rozprawy.

Beck przemaszerował przez salę sądową do ławy oskarżonych w rytm cynicznego pobrząkiwania monet w jego kieszeni.

— Wysoki Sądzie, wystąpiłem z wnioskiem o przeprowadzenie rozprawy w celu oddalenia oskarżenia w związku z tragiczną zmianą okoliczności. Po przedstawieniu zarzutów mojemu klientowi znaleziono we Franklin Park zamordowanego Raymonda Ratleffa.

Kurth się poruszył.

— Pan Ratleff był ważnym świadkiem w tej sprawie — ciągnął dalej Beck. — Jedyнным świadkiem, który twierdził, że mój klient dokonał na niego napaści, uderzając jego głową o chodnik. Wydaje się więc, że bez pana Ratleffa nie ma materiału dowodowego, potwierdzającego powyższy zarzut. W związku z tym chciałbym zapytać panią Kelly, czy oczekuje...

— Panie Beck — warknął sędzia. — To moja sala sądowa i ja tu zadaję pytania.

— W takim razie chciałbym poprosić sąd, aby zapytał panią Kelly, czy istnieje szansa, by ta sprawa została kiedykolwiek poparta materiałem dowodowym. Jeżeli nie, oskarżenie należy oddalić, a mój klient powinien zostać niezwłocznie zwolniony.

— Niezwłocznie — powtórzył pod nosem sędzia. — Co pani na to, pani Kelly? Czy w dalszym ciągu nie ma pani nic więcej w tej sprawie?

Caroline wstała.

— Mamy trochę krwi — odparła niepewnie. — Była na butach podsądnego. Obecnie jest w laboratorium kryminalistycznym.

— Tylko krew? Nic więcej? Nie ma sposobu, żeby określić, w jaki sposób się tam znalazła, zakładając, że należała do ofiary?

— Nie.

— Czy chce pani wystąpić w sprawie wniosku?

Caroline pokręciła głową.

— Nie. — Po raz pierwszy widziałem, że się poddała.

Sędzia Bell masował podbródek w sposób mający świadczyć o głębokim namyśle. Prawdę mówiąc, decyzja nie wymagała wyteżnienia mózgu. Skoro Ray Rat nie żył, G-Mac miał prawo do biletu na wolność. Jednak wszystko to było

obrzydliwym, ewidentnym kręactwem. Sędzia uważał się za prawnika dżentelmena, za Holmesa, który urodził się w niewłaściwych czasach. Dlatego kręcił nosem na machinacje G-Maca i wahał się. Ale ostatecznie nie można było nic na to poradzić.

— Wniosek zostaje przyjęty — burknął.

McNeese krzyknął głośno z radości. Uczyniła to też siedząca niedaleko nas kobieta.

— Panie Beck — upomniał sędzia. — Proszę pouczyć klienta... — Nie zadał sobie trudu, żeby skończyć. Co za różnica, jeżeli G-Mac pokrzyczy trochę? Zło i tak już się dokonało.

Urzędnik sądowy rozpiął kajdanki na rękach i nogach G-Maca, a Beck wyprowadził go z sali sądowej.

Kobieta, śliczna młodziutka Latynoska, aż podskakiwała z radości, a potem pobiegła za G-Makiem.

W tym momencie Kurth nie wytrzymał. Ruszył w ślad za nimi. W drzwiach sali Kelly wyciągnął rękę, aby go zatrzymać, ale Kurth ją odtrącił. Przeszedł energicznie przez podwójne wahadłowe drzwi do holu, w którym McNeese stał przy windach.

Kelly szedł za Kurthem. A ja tuż za nim.

Beck, który mówił coś do swego klienta, i przyjaciółka G-Maca, która głaskała go po ramieniu, spojrzeli na detektywa z zaskoczeniem. Kto to taki? Glina? Wygląda wrednie z tą paskudną cerą. Idzie w naszą stronę. Czy chce coś powiedzieć? Czy o czymś zapomniał?

Kurth maszerował, nie zwracając uwagi na prośby Kelly'ego, żeby się uspokoił.

Beck podniósł rękę z żółtym notesem, żeby zatrzymać Kurtha.

Detektyw go odtrącił. Stał parę centymetrów przed McNeese'em, który był o wiele wyższy, ale mimo to odchylił się do tyłu i odwrócił głowę. Kurth szturchnął go palcem w pierś.

— Myślisz, że to koniec?

Kelly próbował go uspokoić.

— Ed, nie tutaj, synu, to zły moment.

Położyłem Kurthowi rękę na plecach, w nadziei że uda się go uspokoić. Wyczułem w nim napięcie, kipiącą siłę, której nie chciałbym wystawiać na próbę.

— Odpowiedz! Myślisz, że to jakaś pierdolona gra?

— Hej, weźcie ode mnie tego porąbanego skurwiela!

Z sali sądowej zaczęli wychodzić zwabieni hałasem ludzie.

Przez rosnący tłum precyzyjnie się Caroline.

— O Jezusie, Ed!

W tej samej chwili tuż obok nas otworzyły się drzwi windy. W kabinie stała dystyngowana starsza pani w czerwonym płaszczu. Kurth spojrzał na nią wściekle. I G-Mac też. Dama wytrzeszczyła oczy. Drzwi windy zamknęły się znowu.

John Kelly wcisnął się pomiędzy obu mężczyzn, stanął przed Kurthem i kazał mu się cofnąć.

Kurth wyciągnął palec w jego stronę, ale zreflektował się i zrobił krok do tyłu.

— Otóż to — rzucił McNeese — cofnij się, porąbany skurwysynu.

— Zamknij się — polecił mu Kelly.

McNeese umilkł.

— Ben — zwrócił się do mnie Kelly. — Zabierz stąd pana Becka i jego klienta.

— Hej, gówniarzu — syknął Kurth. — Powiedz Braxtonowi, że to był wielki błąd. Powiedz mu, że to jeszcze nie koniec.

— Nic mu nie zrobisz — wykrzywił się McNeese.

— Ben — odezwał się znowu Kelly. — Powiedziałem, żebyś ich stąd zabrał.

Drzwi windy otworzyły się i znowu stała w niej tamta srebrnowłosa dama.

— Przepraszam — powiedziała niepewnie. — Gdzie mogę znaleźć kancelarię sądu do spraw spadkowych?

Caroline podniosła trzy palce.

— Trzecie piętro — poinformowałem.

— Dziękuję panu.

Na smaganym wiatrem placyku przed gmachem sądu odciągnąłem Maksa Becka na bok.

— Chcę, żeby przekazał pan wiadomość Braxtonowi. — Wokół nas wirowały liście i papierki po cukierkach. — Niech mu pan powie, że chcę się z nim zobaczyć. Potrzebuję więcej informacji.

— Żartuje pan? Nie mam zamiaru niczego powtarzać Haroldowi. Czy kiedykolwiek słyszał pan o konstytucji?

— Mecenasiu, niech pan po prostu przekaże mu wiadomość. — Ścisnąłem go za rękę.

McNeese wystąpił w obronie swego adwokata.

— Hej, ty!

— Zamknij się — powiedziałem, tak samo jak Kelly przed paroma minutami. I znowu McNeese umilkł, co zaskoczyło mnie niepomiernie.

- Potrzebuję pomocy Harolda — oświadczyłem Beckowi.
- Powie mi pan, o co tu chodzi?
- Niestety, nie mogę. Gdybym powiedział, musiałby to pan wykorzystać. Beck przyglądał mi się przez chwilę.
- Dobrze się pan czuje, panie Truman?
- Nie. Niech pan powie Haroldowi.
- Dobrze. Przekażę mu wiadomość. Ale dodam też, żeby ją zignorował.

W czasie kiedy Kelly gawędził z jednym z sądowych weteranów, zadzwoniłem z automatu do Versailles, żeby sprawdzić sytuację.

Telefon odebrał Dick Ginoux. Mogłem go sobie wyobrazić na posterunku, jak siedzi z nogą opartą o szufladę, z okularami zsuniętymi na czoło i „USA Today” rozłożonym na biurku.

— Halo?

— Dick? To tak się teraz odbiera telefony?

— Cześć, szefie.

— Nie mówicie, że to komenda policji w Versailles?

— Sądzę, że ludzie wiedzą, dokąd dzwonią.

— Nie w tym rzecz. To ma brzmieć profesjonalnie.

— Dla kogo?

— Dick, po prostu odbieraj telefon we właściwy sposób, dobrze?

— Tak jest, szefie.

Tym razem Dick pominął wszystkie plotki z Versailles. Roznosiło go, aby powiedzieć mi o czymś o wiele ważniejszym.

— Jimmy Lowens — znasz Jimmy’ego — zadzwonił wczoraj i mówi: „Właśnie wróciłem z weekendu i usłyszałem, że wypytujesz o białego lexusa”. Był gdzieś nad jeziorem. W każdym razie Jimmy powiedział mi, że widział tego chłopaka na Trzymilowej Szosie. Jednocześnie podjechali do znaków stopu na skrzyżowaniu z 2A. Nie może sobie zbyt dobrze przypomnieć jego twarzy, ale mówi, że miał dziwaczną fryzurę — wygolone po bokach włosy i mały kucyk, taki w japońskim stylu. Jak u samurajów. Poprosiłem więc, żeby przyszedł, i pokazałem mu policyjne zdjęcie Braxtona. Jimmy jest prawie pewny, że to on.

Byłem zaskoczony, że Dickowi udało się dokonać tej identyfikacji.

— To wspaniale.

— Przypuszczałem, że będziesz z tego zadowolony. Poczekaj, Ben, jest tu ktoś, kto chciałby się z tobą przywitać.

Rozległo się kilka trzasków i stłumione głosy.

— Witaj, Ben — w słuchawce telefonu zadudnił głęboki bas.

— Cześć, tato.

— Jak ci tam leci?

— Wszystko w porządku, tato.

Umilkł.

W telefonie słyhać było inną rozmowę. Wesole kobiece głosy, nieczytelne słowa. Dwie kobiety, nieświadome istnienia Claude’a i Benjamina Trumana, i całej naszej historii. W sieci musiały istnieć miliony — miliardy — takich

mruczących głosów.

— Czy na pewno, Ben?

— Raczej tak.

— O co chodzi?

Co miałem mu powiedzieć? Że jego syn jest podejrzany o morderstwo?

— Nic ważnego, tato. Nie martw się.

— Mówisz to w taki sposób...

— Nie, naprawdę to nic. Opowiem ci o wszystkim, kiedy wrócę do domu. Nie martw się. I nie pij niczego.

— Nie... Ja nie... — Odchrząknął: — Nie piję.

— To dobrze.

— Chcesz, żebym do ciebie przyjechał, Ben?

— Nie, tato, nie rób tego.

— Mam wrażenie, że powinienem być z tobą.

— Nie. Zostań w domu. Nie masz się czym martwić. To nic.

— Dla ciebie wszystko to nic.

— Tato, zrób, co ci mówię, chociaż ten jeden raz. Nie przyjeżdżaj tutaj.

Rozumiesz?

— Chciałbym przyjechać, żeby się z tobą zobaczyć, upewnić się, że wszystko jest w porządku.

— Nie, nie przyjeżdżaj. Przysięgam, że naprawdę nic się nie dzieje.

Mogłem go sobie wyobrazić, jak zgodnie ze swoim zwyczajem trzyma aparat telefoniczny w jednej ręce, a słuchawkę w drugiej.

— Nie ma tu nic, w czym mógłbyś mi pomóc, tato. Muszę zrobić to sam.

Wszystko będzie w porządku.

Chciałem powiedzieć mu więcej. Chciałem powiedzieć mu wszystko. I pragnąłem usłyszeć, że nic mi nie zagraża, bo nikt nie pokona Claude'a Trumana. Ale w tym przypadku ojciec nie mógł mi pomóc. Byłem zdany na siebie.

Teraz, kiedy spoglądam wstecz, jestem zadowolony, że nie powiedziałem mu więcej. Zaledwie parę godzin później sprawa została rozstrzygnięta, a mnie oczyszczono z wszelkich podejrzeń.

Około godziny drugiej tego samego dnia zadzwonił do mnie Gittens, by oznajmić, że już po wszystkim.

— Możesz odetchnąć spokojnie — powiedział.

Już nie byłem podejrzany o zabójstwo Danzigera.

Okazało się, że Gerald McNeese się mylił — mimo wszystko gliniarze mogli dorwać Braxtona.

Pierdoły — było to ulubione słowo Johna Kelly'ego. Cały świat dzielił się na pierdoły i niepierdoły. Ja nie posiadałem jeszcze takiej umiejętności klasyfikowania rzeczy. Dlatego zaskoczyło mnie, gdy Kelly określił jako pierdoły zachowanie Gittensa z tego popołudnia.

Kiedy około drugiej spotkaliśmy się z Gittensem w biurze wydziału zabójstw, był on buńczucznie pewny siebie.

— Wygląda na to, że właśnie ocaliłem twoją skórę — rozpromienił się na mój widok. Objął mnie, witając z powrotem w bractwie. — Bez urazy. Wszystko było wielkim nieporozumieniem.

Gliniarze uśmiechali się do mnie przyjaźnie. Tłumiony niepokój, wywołany drepczącym wciąż w miejscu śledztwem, został ostatecznie rozwiany.

Gittens oznajmił na cały pokój:

— Beze mnie nie zrobiliście ani kroku!

— Pierdoły! — szepnął do mnie Kelly.

Nie byłem tego pewien. Czy Gittens nie miał prawa się cieszyć? Zanurkował w Mission Flats niczym poławiacz pereł z nożem zaciśniętym w zębach i wynurzył się z rozwiązaniem. Był to majstersztyk. Znajdując zabójcę Danzigera — a być może i Trudella — Gittens oczyścił również mnie. Dlatego też przyłączyłem się do powszechnego świętowania.

Przyczyna naszej radości siedziała w pokoju przesłuchań. Był to nalany chłopak o skórze koloru karmelu. Kręcił się na krześle, jakby cierpiał na hemoroidy. Andre James wyglądał na takiego chłopaka, który zawsze trzyma się na skraju boiska, unika wszelkich konfliktów. Jakim cudem ktoś taki mógł się związać z ferajną Braxtona? Obok siedział jego ojciec, dobry parafianin w okularach w szylkretowej oprawie.

Gittens zaprosił nas, żebyśmy „poszli posłuchać historii tego dzieciaka. To prawdziwy dynamit”.

Uścisnąłem wilgotną rękę chłopca, a potem jego ojca. Gittens przedstawił Kelly'ego i mnie jako „funkcjonariuszy prowadzących dochodzenie” i polecił Andre, aby opowiedział wszystko „dokładnie tak, jak powiedziałaś mnie”.

Andre kręcił się, nie chciał nic mówić, dopóki ojciec go nie upomniął.

— Zrób, co ci ten pan kazał!

— Powiedziałem detektywowi Gittensowi, że widziałem Harolda parę tygodni temu. Jego matka mieszka obok nas w Grove Park. To bardzo miła pani. Harold już dawno wyprowadził się stamtąd. Właściwie go nie znam. Czasami przychodzi, pomaga ludziom z okolicy. Daje pieniądze tym, którzy nie mają z czego żyć.

Gittens dał mu znak ręką, żeby przeszedł do sprawy.

— Pewnego razu wysiadałem z windy i zobaczyłem Harolda, jak wchodzi po schodach. Zapytałem, dlaczego nie skorzysta z windy, ale nic mi nie odpowiedział. Wszedł do mieszkania matki, a ja poszedłem do naszego mieszkania.

— Czy zauważyłeś coś dziwnego w jego wyglądzie? — zapytałem.

Zerknął nerwowo na Gittensa.

— Nie ma sprawy, Andre — zapewniłem go. — Tylko pytam. Czy zauważyłeś coś dziwnego?

— Co?

— Zadrapania, plamy, porwane ubranie, cokolwiek.

— Nie, niczego takiego nie pamiętam. — Znowu spojrzał na Gittensa. — Ale słyszałem, że Harold czymś tam łomocze, jakby garnkami i patelniami. Ściany są bardzo cienkie i kiedy u sąsiadów gra telewizor, słychać każde słowo.

Gittens znowu poruszył się niecierpliwie.

— Pomyślałem sobie, że Harold nie zachowuje się normalnie, a potem usłyszałem, jak wychodzi. Otworzyłem drzwi i zobaczyłem go w korytarzu z wiadrzem i butelką chloroksu. Zdziwiłem się. Wiedziałem, że nie wbiegałby po schodach tylko po to, żeby urządzić sobie pranie w korytarzu.

Andre uśmiechnął się ze swojego dowcipu i popatrzył na nas, czekając na reakcję. Jego pragnienie przypodobania się było tak oczywiste jak machający ogon psa.

— Harold miał wodę w wiadrze, wlał do niej wybielacz, włożył w to ręce i zaczął je myć. Musiało go piec, ale mył dalej. No to wystawiłem głowę i zapytałem: „Brax, co robisz? To nie nadaje się do mycia rąk. Chcesz się wybielić jak Michael Jackson?” A na to Harold powiedział mi: „Zamknij drzwi i nie gadaj o tym”.

— Widziałeś, co miał na rękach? Co takiego zmywał? — przerwałem mu.

— Nic nie widziałem. Ale pewnie nie chciał, żeby znalazło się to na podłodze mieszkania matki i dlatego wyszedł na korytarz. Kiedy skończył, wrócił do środka.

Spojrzałem na Gittensa i wzruszyłem ramionami.

— Mów dalej — polecił Gittens.

— Usłyszałem przez ścianę, jak Harold dzwoni do kogoś i mówi: „Nie musimy się już przejmować prokuratorem okręgowym”. Potem powiedział coś takiego: „Dałem mu w czapę i zdrefiłem”.

— Zdrefiłem? — zapytałem.

— Tak, tak właśnie powiedział: „zdrefiłem”.

— Co to znaczy?

— Nie wiem, może to, że się przestraszył.

— Czy powiedział coś jeszcze?

— Nie. Tylko to: „Dałem mu w czapę, potem zdrefiłem i uciekłem. Wjechałem jego samochodem do jeziora, żeby nikt go przez jakiś czas nie znalazł”.

— To wszystko?

— To wszystko.

Chłopak spojrzał na Gittensa, aby upewnić się, że niczego nie opuścił.

— Co jeszcze mówił? — naciskałem.

— Nie wiem. Nie słyszałem.

— Myślałem, że mogłeś słyszeć wszystko.

— Nic więcej nie pamiętam.

— Ale to, co opowiedziałeś, pamiętasz dobrze?

— Tak, każde słowo.

— Czy przed przesłuchaniem na policji wspomniałeś komuś o tym? — zapytał Kelly.

— Nie, ponieważ każdy wie, że nie należy zadzierać z OM. Ale dziś rano, jak przyszedł detektyw Gittens, postanowiłem powiedzieć prawdę.

— Czekałeś przez cały ten czas i nagle postanowiłeś powiedzieć prawdę?

— Nikt mnie wcześniej nie pytał.

Wpatrywałem się w okrągłą jak księżyc twarz chłopaka.

Gittens wtrącił się, żeby wyjaśnić:

— Andre dał się złapać na drobnych narkotykach. Dystrybutorzy werbują dobre dzieciaki, żeby nosiły dla nich prochy, bo wiedzą, że gliniarze nie będą ich niepokoić. Andre został złapany z małą ilością koki. Pozwoliłem mu to odpracować.

Dzieciak popatrzył na niego z gorliwością.

— Wykonywał dla nas różne zakupy poza Flats, tam gdzie nikt go nie zna. Czasem, jeżeli coś usłyszy, przekazuje to nam. Świetnie się sprawia. Po sześciu miesiącach, jeżeli wytrwa do końca, odstąpimy od oskarżenia. Andre ma czystą kartę. Dobrze się uczy. Powinien siedzieć w college’u, nie w mamrze.

Ojciec zacisnął dłoń Andre, żeby go podnieść na duchu.

Chłopak spojrzał na rękę ojca. Pewnie uświadomił sobie, iż jego stary niewiele może dla niego teraz zrobić.

— Andre — odezwałem się — jesteś pewien wszystkiego, co nam tu powiedziałeś?

— Tak.

— I chcesz to powiedzieć ławie przysięgłych? Na procesie?

— Jeżeli będę musiał.

Na korytarzu zapytałem Gittensa:

— Czy ten człowiek rzeczywiście będzie zeznawał?

— Andre tak pali się do współpracy, że muszę go powstrzymać. Nie możemy dalej wykorzystywać go we Flats, ponieważ wszyscy wiedzą, że współpracuje z policją. Nazywają go Pięć-Zero. Nikt nie będzie z nim rozmawiał, a tym bardziej nic mu nie sprzeda. Dlatego teraz jest taki napalony, żeby robić zakupy w innych dzielnicach — Roxbury, Dorchester. Nie ma dość. Wierz mi, Andre się stawi.

— Mam złe przeczucia — powiedziałem. — Braxton go zabije.

— No cóż — odparł filozoficznie Gittens. — Jak kto sobie pościele... Po prostu dajemy mu szansę.

— Zwykle posiadanie, jako pierwsze wykroczenie? Czy nie można było po prostu zaniechać sprawy?

— Być może. — Gittens wzruszył ramionami. — Ale robimy to, co musimy. Wystawianie takiego dzieciaka też mnie nie bawi. Andre to dobry chłopak. Jednak w przeciwnym razie pozwolimy Braxtonowi wywinąć się, a wtedy może zabić kogoś jeszcze. Poza tym nie robiłem z Andre świadka. Przypadkiem tam mieszka. Ktoś musiał tam mieszkać.

Kelly splótł ramiona na piersi, najwyraźniej usatysfakcjonowany wyjaśnieniami. Andre z własnej woli włączył się do brutalnej gry. A stanie się ona o wiele brutalniejsza, kiedy Braxton dowie się o jego zeznaniach.

— Masz coś przeciwko temu, żebym porozmawiał z nim sam na sam? — spytałem Gittensa.

— Bardzo proszę. Ale jedź tu Caroline Kelly. Nie będzie zadowolona, jeżeli spisujemy zbyt wiele zeznań bez niej.

W pokoju przesłuchań Andre i jego ojciec trzymali na stole dłonie ze splecionymi palcami, zupełnie jakby się modlili.

— Proszę pana — zwróciłem się do ojca. — Czy pozwoli pan, że porozmawiam z Andre na osobności?

— Oczywiście. — Wstał powoli, najwyraźniej niechętnie opuszczając syna. Przez chwilę stał bezsilnie nad chłopakiem. Wąty, w okularach, wyglądał na człowieka pracującego od dziewiątej do piątej — pokornego, przyzwoitego, zdyscyplinowanego. Wyobrażałem go sobie, jak wstaje przed świtem, żeby złapać autobus. Jak cicho czyta po nocach. Jak chełpi się swoim synem, który ma iść do college'u. Pragnąłem mu powiedzieć: „Niech pan weźmie dzieciaka i wynosi się stąd. Niech pan ucieknie. Zniknie. Nie będzie tak cholernie szlachetny. A przede wszystkim — niech pan nie mówi prawdy. Trzyma się od

tego z daleka”.

Zamiast tego rzekłem:

— To nic takiego. Po prostu chciałbym zadać mu jeszcze parę pytań.

Kiedy pan James wyszedł, zapytałem:

— Andre, niepokoi mnie jedna sprawa. Czemu czekałeś tak długo, żeby komuś o tym powiedzieć?

— Bałem się.

— Ale teraz się nie boisz?

— Rozmawiałem z detektywem Gittensem. Wyjaśnił mi, że postępuję właściwie.

— Właściwie, Andre. Po prostu chciałem się upewnić. Wiem, że Gittens pozwala ci odpracować te narkotyki. Po prostu chcę być pewien, że to prawda.

— To prawda, najświętsza.

— A gdybym ci powiedział, że mógłbym wycofać tę sprawę o prochy i nie wisiałaby już więcej nad twoją głową — że nie byłbyś niczego winien Gittensowi, prokuratorowi czy komukolwiek — dalej pozostałoby to prawdą?

Uśmiechnął się do mnie, dając do zrozumienia, że zrozumiał pytanie, zauważył haczyk.

— Prawda to prawda.

W chwili gdy przyjechali Kurth i Caroline, zaczęliśmy zdawać sobie sprawę z faktu — który detektywi wydziału zabójstw już znali — że sprawa jest rozwiązana. Dowody przeciwko Braxtonowi osiągnęły masę krytyczną i nagle bardzo skomplikowany przypadek stał się całkiem prosty. Harold Braxton zamordował Danzigerą. Oczywiście były jeszcze jakieś niedokończone wątki. Nie odnaleźliśmy broni ani żadnego dowodu rzeczowego. Motyw też wciąż był niejasny, ale mieliśmy kilka jego wersji: Braxton popełnił tę zbrodnię, żeby chronić swojego pomocnika w gangu, Geralda McNeese’a, którego Danziger miał postawić w stan oskarżenia; zabił, aby chronić samego siebie, uniemożliwiając G-Macowi zawarcie układu z Danzigerem. Braxton zareagował instynktownie, atakując swojego dręczyciela tak, jak zrobiłby to na ulicy. Było jeszcze coś do zrobienia, ale wstępna faza dochodzenia dobiegła końca. Już nie pytaliśmy: „Kto to zrobił?” Teraz należało udowodnić to, co ustaliliśmy. Wszystko, co czułem od dnia, w którym znalazłem w chacie zwłoki Danzigerą, zniknęło i pojawiła się wywołująca lekki zawrót głowy ulga. Uśmiechnąłem się. Rozglądając się po pokoju, dostrzegłem takie same głupie uśmiechy u prawie wszystkich gliniarzy.

Euforia ogarnęła nawet Kurtha. Choć niechętnie, próbował przeprosić za swój wybuch w sądzie.

— Przykro mi... z powodu... tego, co zaszło... Caroline... no wiesz, tego ranka... co powiedziałem...

Caroline go nie oszczędzała.

— No cóż, dziękuję ci, wyraziłeś to bardzo precyzyjnie.

Roześmialiśmy się, a Gittens najgłośniej ze wszystkich.

Caroline uścisnęła Kurtha, który nawet próbował się uśmiechnąć.

Uścisnęła również mnie i szepnęła:

— Bardzo, bardzo się cieszę. Przykro mi, że musiałeś przez to wszystko przejść.

Przeszliśmy do gabinetu Kurtha, żeby zebrać materiał dowodowy do nakazu aresztowania. Gittens zacytował słowa, które usłyszał Andre James: „Dałem mu w czapę (temu prokuratorowi), potem zdrefilem i uciekłem”. Następnie Kelly i ja opowiedzieliśmy, że Braxtona widziano w hrabstwie Acadia w białym lexusie. Samochód był zarejestrowany nie na Braxtona, ale na okulistę mieszkającego w podmiejskim Brookline. Sądziłem, że to kradziony wóz, ale jak się okazało, myliłem się.

— To wóz działkowy — poprawił mnie Gittens. — Dealerzy pożyczają je od bogatych ćpunów. Biorą samochód na kilka godzin, zamiast pieniędzy za prochy. W ten sposób mają spokojny przejazd. Gliny nie utrudniają im życia. A ćpun, zanim wróci do Weston czy Wellesley, dostaje działkę za friko. Będziemy potrzebowali także nakazu na ten samochód.

— Ładny wózek — powiedziałem. — Kabriolet lexus.

— No cóż, Harold odbył długą drogę, aż do Maine. Te chłopaki kochają merce, ale lexus też jest fajnym wózkiem. Nikt już nie kupuje amerykańskich samochodów. Wstyd i hańba.

Caroline wyraźnie chciała, żeby Gittens trochę spuścił z tonu.

— Detektywie — wtrąciła — chyba już najwyższy czas znaleźć Braxtona.

— Ben i ja znajdziemy go — oświadczył.

Uśmiechnąłem się szeroko, szczęśliwy, że znowu jestem wśród nich, że mnie akceptują.

— Jak to zrobimy? — zapytałem.

— Dziś jest dzień wywózki śmieci. — Gittens spojrział na zegarek. Było tuż po drugiej trzydzieści. — Chyba jeszcze zdążymy.

Idąc do wyjścia, minęliśmy pokój przesłuchań, w którym wciąż spokojnie czekali Andre i jego ojciec. W tym momencie jedyna wątpliwość psuła mi nastrój — myśl, że ktoś zapłaci za nasze szczęście.

Właściwie nie myślimy o śmieciach. Mamy niejasną świadomość, że wywozi się je na wysypiska czy do spalarni, ale praktycznie rzecz biorąc, śmieci po prostu dla nas znikają. Może dlatego właśnie, kiedy nadchodzi dzień wywózki śmieci, bierzemy nasze najtajniejsze sekrety i wraz z kośćmi kurczaka i puszkami po tuńczyku zostawiamy na rogu ulicy, gdzie każdy może je zobaczyć. W każdym kwartale stoją pękate białe lub ciemnooliwkowe foliowe worki. Każdy, kto w nich pogrzebie, może zdobyć twoje billingi telefoniczne, wyciągi operacji kartą kredytową, wszelkiego rodzaju numery rachunków, listy, notatki. Może przekonać się, jakie czasopisma czytasz, co jesz, ile zarabiasz. A jeżeli jesteś niechlujem, może ustalić, czy handlujesz narkotykami, bo znajdziesz torebki na kanapki z odciętym rogiem, szalki, żyletki i inne narzędzia tnące, materiały pakunkowe (folia lub plastik do owinięcia cegły, czyli kilograma kokainy, samouszczelniające się opakowania albo zgrzewane termicznie kopertki na mniejsze ilości, często jeszcze ze śladami narkotyków). A najlepsze jest to, że gliniarz nie potrzebuje żadnego nakazu, ponieważ śmieci nie należą już do ciebie. Wystawiając je na róg ulicy, zrezygnowałeś z prawa własności. Dlatego właśnie gliniarze kochają dni wywózki śmieci — zwłaszcza ci, którzy zajmują się narkotykami.

Gittens zamierzał ustalić, gdzie przebywa Braxton, przeglądając śmieci w najbardziej prawdopodobnych punktach. Byle drobiazg mógł naprowadzić nas na niego. Prosta sprawa. I wszystko przebiegało całkiem gładko, gdy zabieraliśmy worki z krawężników przed paroma domami z łuszczącymi się tynkami, w których w rozmaitych momentach mieszkał Braxton. Oznakowaliśmy worki taśmą klejącą i markerem.

Niestety, według Andre, pełnego entuzjazmu kapusia, Braxtona widywano również w osiedlu Grove Park, gdzie mieszkała jego matka. A w blokach z wieloma mieszkaniem śmieci wrzucano do zsypu, który prowadził prosto do kontenera.

Zeszliśmy do piwnicy bloku C. Na boku kontenera znajdował się napis informujący, że należy on do Przedsiębiorstwa Asenizacyjnego Zip-A-Way na Mission Ave. W identycznym kontenerze urządził swój dom Bobo.

— Na górę — powiedział wesołym głosem Gittens.

— Co to znaczy?

— No cóż, ktoś musi tam wejść.

— Na pewno nie ja.

— To twoja sprawa — rzekł. — Zaczęła się w twoim miasteczku.

— Ale to był twój pomysł.

— Właśnie dlatego musisz tam wleźć. Nie mogę robić wszystkiego.

Gorączkowo szukałem kontrargumentu. Jak może mnie tak traktować?

Przecież jestem gościem.

Gittens wyciągnął z kieszeni kurtki gumowe rękawice.

— Daj spokój, Ben, nie mamy czasu. No, hopla!

Na podłodze dokoła kontenera zastygł jakiś płyn, do którego lepiły się podeszwy butów.

— Czy nie o tym marzyłeś? — zapytał Gittens. — Jaskrawe światła, wielkie miasto?

Naciągnąłem rękawice i rzuciłem się w otwartą paszczę dumpstera. Zsyp znajdował się z tyłu i dlatego w przedniej części było stosunkowo pusto. Zsunąłem się po ukośnej przedniej ścianie kontenera na jego dno.

— Uważaj na szczury — poradził mi Gittens.

Wybałuszyłem oczy.

— Żartowałem — powiedział.

Za tym przekomarzaniem kryła się aluzyjna, męska propozycja przyjaźni. Przywrócenie praw, ponowna akceptacja.

Z szelestem przedzierałem się przez gazety, przetłuszczone torby papierowe, obierki. Szybko opracowałem metodę: złapać, zerknąć, wyrzucić z kontenera, złapać, zerknąć, wyrzucić.

— I co? — zapytał Gittens. — Teraz myślisz trochę inaczej o swoim przyjacielu Braxtonie?

— Nigdy nie był moim przyjacielem. Ale przypuszczam, że przez cały czas znałeś prawdę o nim. Przynajmniej od dziesięciu lat.

— Znam Harolda Braxtona dłużej niż dziesięć lat.

— Miałem na myśli sprawę Trudella.

— Dlaczego o tym mówisz?

Wysunąłem głowę z dumpstera.

— Rozmawiałem z Julio Vegą.

— Doprawdy?

— Tak.

— Kiedy to było?

— Kilka dni temu.

Informacja nie mogła być dla Gittensa nowością, już dawno temu dotarła do prokuratora okręgowego Lowery'ego. Zrobił jednak zaskoczoną minę — uniesione brwi, zmarszczone czoło — zupełnie jakby nigdy o tym nie słyszał.

— Przeglądałem akta Danzigera — wyjaśniłem. — Okazało się, że zajmował się sprawą Trudella. Uznałem, że lepiej będzie się dowiedzieć, czym się tak

interesował.

— I co Julio miał do powiedzenia?

— Że Raul był twoim kablem.

Gittens uśmiechnął się tajemniczo.

— To prawda? — zapytałem.

— Tak bez świadków? Oczywiście, że prawda.

— Jak to się stało, że ani ty, ani Julio nikomu nie powiedzieliście o tym?

— A niby komu mieliśmy powiedzieć?

— Sędziemu, prokuratorowi.

— Powiedzieliśmy tym, którym należało.

— Prokuratorowi też?

— Słuchaj, Ben, Julio i ja zrobiliśmy to, co uważaliśmy za najlepsze dla sprawy i Trudella. Dokonaliśmy oceny. Wykonaliśmy naszą robotę.

— To znaczy, że powiedzieliście prokuratorowi?

— To znaczy, że zrobiliśmy, co uważaliśmy za słuszne.

Wyciągnąłem zgnieciony „Newsweek” i podnosząc go do światła nad krawędzią kontenera, udałem, że czytam nalepkę z adresem. Chwila do namysłu. W końcu rzuciłem czasopismo na podłogę, pomiędzy inne śmieci.

— Dlaczego po prostu nie ujawniliście Raula? — zapytałem.

— O co chodzi? Co chcesz przez to powiedzieć, Ben?

— Nic. Po prostu tak sobie mówię. Gdybyście ujawnili tego kapusia, może sprawy nie trafiłby szlag.

Gittens spojrzał na mnie.

— Próbowałem. Przetrzaśnałem całą dzielnicę. Nie mogłem go znaleźć. Julio powiedział o tym sędziemu.

— Jak się nazywał ten kapuś?

— Nie znałem jego nazwiska. Jezu, Ben, to włóczędzy. Pojawiają się, znikają. Zmieniają nazwiska, tak samo jak ty zmieniasz skarpetki. Raul nie miał nazwiska, nie miał adresu, nie miał numeru telefonu. Co właściwie mieliśmy zrobić? Co ty byś zrobił?

Nie znalazłem odpowiedzi.

— Zrobiliśmy, co uważaliśmy za słuszne — powtórzył z uporem Gittens. — Sędzia zepsuł wszystko. Nie rozumiał sytuacji.

— Może. Ale nie powiedzieliście prawdy.

— Och, Ben, daj spokój, to nie przedszkole.

— Po prostu usiłuję sobie wszystko poukładać.

— Dobra, pozwól, że ci w tym pomogę. Zginął gliniarz, dobry gliniarz, który był moim przyjacielem. Harold Braxton rozwalił Artiemu Trudellowi głowę. Co

właściwie miałem zrobić? Pójść do sędziego i powiedzieć: „Wysoki Sądzie, być może Julio Vega opuścił pewien szczegół we wniosku o nakaz. Raul był właściwie moim kapusiem, nie Vegi. A więc proszę oddalić sprawę, Wysoki Sądzie”. Czy wtedy postąpiłbym właściwie, Ben? Powiedz.

Podniósł kawałek betonu i cisnął nim o ścianę, rozbijając go na kawałki. Pokręcił głową.

— Jakim prawem mówisz mi takie kazania? Czy kiedy tu przyjechałeś, powiedziałeś prawdę? Czy powiedziałeś wszystko o śmierci matki? O tym, dlaczego Danziger pojechał do Maine? Nie, zrobiłeś, co uważałeś za słuszne. Próbowaleś zrobić tak, żeby wszystko ułożyło się we właściwy sposób.

— Masz rację. Przepraszam.

— Powinieneś docenić, co dla ciebie zrobiłem, Ben. To jeden z moich kapusiów powiedział prawdę o tej sprawie. W przeciwnym razie mógłbyś odsiadywać dożywocie w Walpole.

— Masz rację. Przepraszam, głupio powiedziałem.

Gittens stał z rękami opartymi na biodrach, niezdecydowany, zostać czy odejść. Pod odsuniętą do tyłu połą kurtki widziałem kaburę na jego pasku. Przyszło mi do głowy, że gdyby zastrzelił mnie tu, w tym pojemniku, i zamknął wieko, prawdopodobnie nigdy by mnie nie znaleziono. Zostałbym wywieziony na wysypisko i pogrzebany pod foliowymi workami. Odsunąłem od siebie ten obraz.

— Słuchaj, Gittens, to stara historia. Po prostu usiłuję wszystko uporządkować.

— Chcesz wiedzieć, co się stało? Powiem ci. Julio zależało na tym nalocie, ponieważ chciał awansować na sierżanta, może przenieść się do wydziału zabójstw, czy w ogóle wydostać się z Flats. Proste. Chciał tego samego, co wszyscy inni. A ja przekazałem mu tylko cynk od tego mojego szczura. Tak się ciągle dzieje — słyszysz coś, przekazujesz dalej. Gliniarze pomagają sobie nawzajem. Dzięki temu możemy przetrwać.

— Przepraszam, że wyciągnąłem tę sprawę. Nie oskarżałem cię o nic, Martin.

Wzruszył ramionami, dając znak, że wszystko zostało wybaczone. Bez urazy. Znowu podniósł kawałek betonu i cisnął nim w ścianę.

— Muszę złapać trochę powietrza. Skończ sam, Ben.

Opuściliśmy osiedle Grove Park z pustymi rękami i wróciliśmy do sektora A-3, żeby przejrzeć zebrane przez nas worki ze śmieciami. Na posterunku rozrywaliśmy je po kolei, wysypywaliśmy ich zawartość na przykryty gazetami stół konferencyjny i poszukiwaliśmy skrawków papieru, które mogły być związane z Braxtonem. Staliśmy po przeciwnych stronach stołu, prawie nie

odzywając się do siebie.

— Czy praca policyjna zawsze jest tak czarująca? — zagadnąłem go w końcu. Skwitował moją uwagę uśmiechem, ale nic nie odpowiedział.

W gruncie rzeczy nigdy nie byliśmy przyjaciółmi, a w pewnym momencie — kiedy podejrzewał mnie o zabicie Danzigera — staliśmy się przeciwnikami. Teraz jednak pomiędzy nami dawało się wyczuć coś nowego. Coś bardziej osobistego. Zawiodłem jego zaufanie, wypytując go o rolę, jaką odegrał w sprawie Trudella, i między nami pojawiła się chłodna rezerwa. Mój nastrój pogorszył się jeszcze, kiedy wreszcie znaleźliśmy wiele śmieci Braxtona — w tym również noszące jego podpis pokwitowanie z zakupu kartą kredytową.

— Wygląda na to, że znowu ci się udało — pogratulowałem mu.

— Dziesięć lat za późno, no nie?

Godzinę później John Kelly i ja siedzieliśmy w nieoznakowanym samochodzie policyjnym, wpatrując się w niewielki blok mieszkalny — prowadząc obserwację, jak określił to Kurth. Według znalezionych w śmieciach dowodów Braxton ostatnio mieszkał tutaj. Naszym zadaniem było ustalić, zanim policja przystąpi do szturm, czy jest w budynku, czy z niego wyszedł. Kiedy Caroline uzyska nakaz z sądu okręgowego w Mission Flats, musimy błyskawicznie przeprowadzić rewizję, zanim ktokolwiek na posterunku w sektorze A-3 zdoła ostrzec Braxtona. Tymczasem nie mieliśmy nic do roboty — tylko czekać, obserwować i mieć nadzieję, że nie umrzemy z głodu.

— Denerwujesz się, Benie Truman?

— Tak.

— To dobrze. Tylko głupi się nie denerwuje.

— A pan się denerwuje?

— Jestem za stary na nerwy.

Po drugiej stronie ulicy przy St. Albans Road w Mission Flats znajdował się dom z numerem 111, o oszalowanych drewnem ścianach w kolorze zielonej pleśni i dwóch wejściach, które prowadziły do kilku mieszkań. Budynek stał na krzywym fundamencie, co sprawiało wrażenie, że zsuwa się z niego niczym jajka sadzone z patelni.

Siedzieliśmy tam przez jakiś czas.

Kelly wyciągnął jabłko z kieszeni płaszcza i zaczął je gryźć. Patrzył przez przednią szybę, zupełnie nie przejmując się St. Albans Road 111 ani niczym innym. Trudno było się skupić, słysząc wciąż chrzęst jedzonego jabłka. Wyciągnąłem pistolet. Sprawdziłem magazynek, włożyłem go z powrotem, wprowadziłem nabój do lufy. Lepiej się przygotować, niż potem żałować. Wycelowane w skrzynkę pocztową.

— Schowaj to — powiedział Kelly. Włożył jabłko między zęby, aby uwolnić ręce, wziął ode mnie pistolet, wyjął magazynek i rozładował broń, a potem mi ją oddał. — Zostaw to w spokoju. — Znowu zaczął gryźć jabłko, patrząc przed siebie. — Poradzisz sobie, Benie Truman.

— Jak pan myśli, ile czasu trzeba na uzyskanie nakazu?

— Ile trzeba, tyle trzeba.

Skinąłem głową.

— Czy postrzelił pan kogoś, panie Kelly?

— Jasne.

— Ilu?

— Nie wiem. Sporo.

— Sporo?

— W Korei. Nie liczyliśmy ich.

— A kiedy był pan gliną?

— Tylko jednego.

— Zabił go pan?

— Nie. Postrzeliłem w tyłek.

— Ja jeszcze do nikogo nie strzelałem.

— Domyślam się.

— Nie mogę strzelić nawet do jelenia. Widział pan kiedyś postrzelonego jelenia?

— Nie.

— A ja tak. Raz. Postrzeliłem dużego samca, a kiedy podeszliśmy, był jeszcze żywy. Kopał nogami, usiłując wstać. Mrugał oczami. Był przerażony. Powinienem go dobić, ale nie mogłem. Wyręczył mnie jeden z kolegów.

— To nie jest strzelanie do jeleni, Ben.

— Nie lubię nawet sprawiać ryb...

— Ben!

Włożyłem ponownie magazynek do beretty, wsunąłem pistolet do kabury na pasku i zapiąłem rzep.

— Rozmawiałem dzisiaj z Gittensem. Przyznał, że Raul był jego kablem, tak jak twierdził Vega. Przyszło mi do głowy, że może nie ma to znaczenia. Dziesięć lat temu Gittens przekazał cynk — i co z tego? A potem pomyślałem: Danziger nie miał pojęcia, że Gittens brał w tym udział.

Kelly popatrzył na mnie bez słowa.

— Kiedyś powiedział mi pan, że dobrzy gliniarze robią złe rzeczy z dobrych powodów, a źli gliniarze robią złe rzeczy ze złych powodów. Otóż aresztowanie Braxtona jest złą rzeczą.

— Czemu tak twierdzisz?

— Po prostu tak mi się wydaje.

Kelly wpatrywał się w przednią szybę.

— Gittens jest dobrym gliną. Poczekajmy i zobaczymy, co będzie. Lepiej zadbaj o to, żeby dziś wieczorem wrócić do domu w jednym kawałku. — Otworzył drzwi i wyrzucił ogryzek do rynsztoka. — Caroline mnie zabije, jeżeli coś ci się zdarzy.

— Co to znaczy?

Zerknął na mnie.

— Benie Truman, chyba jesteś za tępy, żeby być detektywem.

— Co to znaczy? Niech mi pan powie.

— Caroline skończyła już trzydzieści siedem lat i ma syna. Faceci nie chcą takich. Nie jest jej łatwo kogoś znaleźć.

— Panie Kelly, a może ona wcale nie chce nikogo znaleźć?

— Uważasz, że woli kobiety?

— Nie. Po prostu może nie chce wyjść za mąż.

— Uważasz, że jest lesbą?

— Ależ nie. Rzecz w tym, że nie wyczuwam od niej takich fluidów.

— Czyli po prostu cię nie interesuje.

— Sądzę tylko, że Caroline chce być samodzielna. Pod tym względem jest jak mężczyzna.

— Jak mężczyzna?

— Chodzi mi o niezależność, a nie o... inne sprawy.

— Nie uważasz, że jest piękna?

— Jest... jest bardzo, bardzo przystojna — stwierdziłem ostrożnie.

— Zależy mi, żeby nie została sama.

— Nie musi się pan martwić o Caroline. Sądzę, że potrafi o siebie zadbać.

— Nikt tak naprawdę nie jest w stanie o siebie zadbać. Nawet Caroline.

— Być może. — Wzruszyłem ramionami. Czułem się niezręcznie, rozmawiając na ten temat. — W każdym razie gdyby wiedziała, że mówi pan ze mną o tym, zabiłaby pana. Poza tym nie przypuszczam, żeby była szczególnie mną zainteresowana.

Pokręcił głową, wyraźnie rozczarowany.

— Ben, założę się, że wiesz, jakiego koloru oczy miała Marta Waszyngton, ale nie potrafisz patrzeć na żywą, prawdziwą kobietę.

— Marta Waszyngton miała zielone oczy.

— Żartujesz.

— Nie. To jest w korespondencji.

Kolejny raz pokręcił głową.

Wróciliśmy do obserwacji St. Albans Road 111.

I czekania.

Godzinę później przybyli ninja.

Wysiedli z ciężarówki — dziesięciu facetów w komandoskich kombinezonach, czarni od czubka hełmów w stylu Wehrmachtu po pięty bojowych butów. Mieli nawet rękawiczki, aby nie rzucały się w oczy ich różowe dłonie. Potruchtali trotuarem, a potem kucnęli za niskim murkiem, niewidoczni od strony domu.

Ich pojawienie się wywołało na ulicy falę podniecenia. Dzieciaki gapiły się przez chwilę, zanim odbiegły, wrzeszcząc piskliwie i śmiejąc się. Może gliniarze wydawali się im zabawni — dorośli bawiący się w wojnę — a może był to nerwowy śmiech. Dorośli nie śmiali się i nie biegali. Na ulicy znajdowały się przede wszystkim kobiety, stojące grupkami po dwie lub trzy. Były młode i stare, matki i dziewczyny. Stały jak zahipnotyzowane. A ja miałem wówczas poczucie, że dzieje się coś bardziej groźnego. Że bardzo łatwo można przekroczyć pewną granicę i dojdzie do konfliktu rasowego.

Wyskoczyliśmy z Kellym z samochodu i przebiegliśmy przez ulicę, aby przyłączyć się do ninja. Na wszelki wypadek przez całą drogę machaliśmy nad głowami odznakami.

Dowódca komandosów uśmiechnął się do mnie krzywo. Jego strój i wyposażenie sprawiły, że dopiero po chwili poznałem niczym wyjętą z obrazów El Greca twarz Kurtha.

— Pokazał się? — zapytał.

— Nie — odpowiedziałem z roztargnieniem. A potem dodałem: — Czy to naprawdę potrzebne?

— Jednostka operacji taktycznych. Są przeszkoleni do działania w niebezpiecznych sytuacjach. Zakładnicy, zamieszki.

— Ale tu nie ma zakładników ani zamieszek.

— Sytuacja jest niebezpieczna.

Przyjrzałem się gliniarzom. Ich oporządzenie grzechotało metalicznie.

— Wszystko na jednego chłopaka?

— Ten chłopak zabił gliniarza i prokuratora. Myślisz, że mamy zamiar się z nim bawić?

— Nie, ale ci faceci wyglądają, jakby byli gotowi napaść na Polskę.

— Nie mamy zamiaru napadać na Polskę — zapewnił mnie Kurth.

W trzech nieoznakowanych samochodach przyjechał Gittens i jego zespół. Bez migaczy, syren czy mundurów. Bez szczególnego pośpiechu. Byli ubrani w dzinsy, bluzy i kamizelki kuloodporne. Uzbrojeni w strzelby. Większość miała wyraźne brzuchy i wysokie czoła. Ale czuło się od nich taką pewnością siebie, że pewnie robili to już setki razy.

Jeden z nich, krzepki pięćdziesięciolatek, rumiany na twarzy od częstego zaglądania do kieliszka, z papierosem zwisającym z kącika ust, powitał komandosów kpiącym głosem:

— Dobry wieczór panom.

Gittens z dawną fanfaronadą zagadnął Kurtha:

— Jesteście tu, żeby udzielić nam wsparcia? — I potem do mnie: — A co z tobą, Ben? Wchodzisz w to? — Jeżeli w dalszym ciągu był zdenerwowany moimi dzisiejszymi uwagami, nie dawał tego po sobie poznać.

Powiedziałem, że tak. Uważałem, że dokonując aresztowania, całkowicie zrehabilituję się w ich oczach.

Gittens polecił, aby ktoś wydał oporządzenie Kelly'emu i mnie. Rumiany facet z papierosem zaprowadził nas do jednego z samochodów. Z bagażnika wyjął strzelby i kamizelki. Miał zniekształcony bulwiasty nos i siatkę popękanych naczynek krwionośnych na twarzy. Czy ktoś taki mógłby ścigać Braxtona?

— Wiesz, jak się tym posługiwać? — zapytał, podając mi strzelbę.

— Tak, pociąga się za ten dyngs, prawda?

Facet uśmiechnął się zadowolony, że znalazł kumpla cwaniaczka. Jednak Kurth przejrzał moją fanfaronadę.

— Uważaj — powiedział.

Odpowiednio wyposażeni podeszliśmy do Gittensa i Kurtha stojących na czele oddziału szturmowego.

— Pójdziemy pierwsi — oznajmił Gittens.

— Nie — odparł Kurth. — To moja rola. Jestem tu najstarszym funkcjonariuszem wydziału zabójstw. My pójdziemy pierwsi.

— Ci chłopcy znają okolicę, znają Braxtona. Wejdziemy bez trudu — zaprotestował Gittens.

Kurth zdjął hełm.

— Słuchaj, Gittens...

— Gwarantuję, że nie będzie problemów.

Kurth pokręcił przecząco głową.

— Ed, jak twoim zdaniem on zareaguje, kiedy wpadniesz tam z komandosami? Nie bądź głupi.

Wprawdzie Kurth był starszy stopniem, ale policja to nie wojsko. Nie miał zamiaru wymuszać niczego na detektywach z tego rejonu, z którymi musiał współpracować przy każdym przypadku zabójstwa we Flats. Zrezygnowanym gestem włożył ponownie hełm.

— Dobra. Wejdziemy razem.

To była zła decyzja. Musiała wywołać zamieszanie. Z perspektywy czasu

widzę jednak, że nie miało znaczenia, który zespół wchodził pierwszy — dzicy jeźdźcy Gittensa czy ninja Kurtha. Emocje sięgnęły zenitu. Sami prosiliśmy się o kłopoty.

Weszliśmy do holu domu przy St. Albans Road 111. Z mieszkań słychać było różne dźwięki — płacz dzieci, ryk telewizora, kłótnia jakiejś pary, śmiech z telewizyjnego sitcomu.

Wspięliśmy się po schodach na górę. Gittens i Kurth na czele.

Na drugim piętrze ujrzelśmy krótki korytarz z czterema poobijanymi metalowymi drzwiami. Na jednych z nich wisiało pełno ozdóbek z Halloween.

Gittens wskazał drzwi w głębi, z widniejącym na nich numerem 3C.

— Tutaj — powiedział mi. — Braxton jest w środku. Ruszaj, stary. Jaskrawe światła, wielkie miasto. Może zapukasz i zaanonsujesz nas?

— Ja?

— Wydaje się, że Braxton ci ufa. A z całą pewnością nie ufa nam.

— Nie sądzę, żeby ufał mi aż tak bardzo.

— Nie musisz tego robić.

Jednak z jakiegoś powodu chciałem stanąć w tym samym miejscu co Artie Trudell, chciałem poczuć to samo. Młodzi ludzie robią różne rzeczy.

Kurth sprzeciwił się, ale Gittens powiedział:

— Chce to zrobić. Pozwólmy mu.

— Absolutnie wykluczone — wtrącił się Kelly. — Co z tobą, Gittens?

— Ben chce to zrobić.

— Nie ma sprawy — powiedziałem im. — Zrobię.

Przycisnąłem się do ściany z prawej strony drzwi. Ponieważ 3C było mieszkaniem narożnym, nie sposób było uniknąć stanięcia przed drzwiami. Inni zajęli pozycje wzdłuż ścian. Paru obserwowało drzwi z głębi korytarza.

Tylko Kelly stanął z prawej strony drzwi. Ujął mnie za ramię.

— Nie rób żadnych głupstw — powiedział.

Ściana, której dotykałem potylicą, była chłodna.

Słodki zapach z któregoś z mieszkań. Co to takiego? Sos z orzeszków ziemnych?

Gittens wyciągnął rękę, podając mi nakaz — sześć kartek spiętych zszywką. Pokazał zegarek. Już czas.

Głęboki oddech. Stałem przed drzwiami.

Nastąpił surrealistyczny moment, pauza, w czasie której usłyszałem kwestię z sitcomu: „Niech się pan nie martwi, w jednej chwili nauczymy pana lambeth-walka”, a po niej błazeński, sztuczny śmiech: „cha, cha, cha, cha, cha!”

Pauza skończyła się i wszystko zaczęło dziać się bardzo szybko.

Załomotałem do drzwi:

— Policja! Otwierać! Mamy nakaz!

Świst mojego oddechu.

„Niech się pan nie martwi, w jednej chwili nauczymy pana lambeth-walka”.

Kelly odciągnął mnie z powrotem pod ścianę.

— Harold, tu Ben Truman! Otwórz drzwi.

Szmery i szelesty w mieszkaniu. Żadnej odpowiedzi.

Potem z mieszkania dobiegł męski głos:

— Chwileczkę, już otwieram.

Gittens się skrzywił. Kucając przy drzwiach, warknął:

— Jazda!

Do przodu wysunęło się dwóch policjantów z taranem. Do przedniej części miał przyspawaną kwadratową stalową płytę.

— Gittens, poczekaj, przecież powiedział...

— Nie ma czasu, Ben, to trwa zbyt długo. Nie możemy ryzykować. Naprzód, naprzód!

Pomyślałem, że chcą go zabić.

Rozbite przy klamce drzwi otworzyły się gwałtownie.

Gittens przetoczył się przez próg do mieszkania. Trzymał się nisko, wodząc na boki lufą strzelby.

Zrobiłem krok do przodu, ale zostałem odepchnięty na bok przez falę biegnących gliniarzy.

— Policja! Policja! Policja!

Wszedłem za nimi z gotową do strzału strzelbą.

W środku panował chaos. Ruch. Krzyki. Miotający się naokoło gliniarze.

— Policja! Policja! Policja! Nie ruszać się! Na ziemię! Na ziemię!

Mała dziewczynka biegła z krzykiem przez pokój. Jeden z ninja zagarnął ją dłonią w czarnej rękawiczce i wyniósł na zewnątrz. Jej wrzaski rozlegały się na klatce schodowej, coraz ciszej i ciszej.

— Nie ruszać się! Nie ruszać się!

Gliniarze wypełniali całe mieszkanie.

— Ręce do góry! Powiedziałem, ręce do góry!

Krzyki przeniosły się do sypialni. Skierowałem się w tamtą stronę, gdy nagle w mieszkaniu rozległ się wystrzał.

„Niech się pan nie martwi, w jednej chwili nauczymy pana lambeth-walka”.

Kurth i dwaj ninja wbiegli do drugiego pokoju. Ruszyłem za nimi.

Starannie zasłane łóżko, przykryte węzełkowatą kapą z kordonka. Na ścianie krzyż i obraz Chrystusa. Przy nogach łóżka stłoczeni gliniarze. Kurth

rozepchnął ich i ukląkł przy ciele.

Na ziemi leżał mężczyzna, Afroamerykanin w wieku około siedemdziesięciu lat. Miał na sobie szkarłatną koszulę z koloratką duchownego. Jego twarz była zupełnie szara.

— Wezwać karetkę! — krzyknął Kurth.

Ksiądz przetoczył się na bok, starając się złapać powietrze. Kurth gmerał przy koloratce, aż w końcu znalazł z tyłu zatrzask i rozpiął ją. Nic to nie dało. Duchowny wciąż wił się, nie mogąc odetchnąć.

— Cofnąć się, cofnąć się, do cholery!

Szukałem śladów krwi na ciele księdza. Nie było żadnych.

— Nie zabiłem go. Dlaczego nie podniósł rąk do góry? Mówiłem mu, żeby podniósł ręce!

Ksiądz już się nie ruszał.

Kurth dotknął jego szyi, szukając pulsu. Potem przewrócił duchownego na wznak, podwinął koszulę, podkoszulek i przyłożył ucho do jego piersi.

— Cholera! — warknął. Zaczął sztuczne oddychanie usta-usta.

Gittens potarł oczy.

— Jezu!

W drzwiach sypialni stanęła kobieta. Krzyknęła przeraźliwie. Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Rzuciła się na ciało, zmuszając Kurtha do przerwania reanimacji.

— Weźcie ją stąd — warknął.

Dwaj ninja złapali kobietę pod pachy i odciągnęli na bok.

Kurth prowadził reanimację przez kilka minut, długich jak godziny. Wtłaczał powietrze do tchawicy mężczyzny, podczas gdy my wiedzieliśmy już, że na nic się to nie zda. Nikt jednak nic nie mówił i przez jakiś czas w pokoju słychać było tylko sapanie Kurtha i łkania modlącej się kobiety. W końcu Kelly podszedł do Kurtha i powiedział mu, że ten człowiek nie żyje.

Jak się później dowiedziałem, zmarłym był Avril Walker, emerytowany pastor kościoła kalwarii zielonoświątkowców na Mission Ave, swego czasu opiekun Braxtona. Przyczyna śmierci: atak serca.

Przez pewien czas po śmierci księdza gliniarze znajdujący się w tym pokoju stali z opuszczonymi głowami, spacerowali jak dzieciaki, które rozbiły wazon, wiedząc, że nie da się go skleić i że czeka je dzika awantura. Gittens przekazał wiadomość przez radio na posterunek A-3. Wiadomość ta rozeszła się szybciej, niż mógłbym przypuszczać. Kiedy zeszliśmy na dół, na trotuarze zebrał się już niewielki tłum. Dwadzieścia minut później rozrósł się do stu osób. Przy akompaniamencie buczących nad głową świetlówek lamp ulicznych pomiędzy dwoma słupami przeciągnięto rytualną żółtą taśmę policyjną. Tłum się rozrastał, co wymagało zwiększenia sił policyjnych, to zaś ściągnęło furgonetki dzienników telewizyjnych z halogenowymi reflektorami. Grupa szturmowa przez jakiś czas kręciła się w holu, trzymając się z daleka od spojrzeń i kamer.

Potem zaczęły się pytania. Ostatecznie wszystkie one sprowadziły się do jednego: Czy bostońska policja zabiła wielebnego Walkera? Pytania zadawało biuro prokuratora okręgowego, detektywi i funkcjonariusze z wydziału wewnętrznego. „Czy potwierdzono, że Braxton przebywa w tym mieszkaniu? Czy był to nakaz zezwalający na wejście bez pukania? Czy zastukaliśmy i przedstawiliśmy się, czy po prostu wdarliśmy się do środka? Kto oddał strzał?” Odpowiadałem tak cierpliwie, jak było to możliwe, mimo że pytania stawały się coraz bardziej oskarżycielskie: „Przede wszystkim, co pan tam w ogóle robił? Czy odczuwał pan naciski ze strony bostońskich policjantów? Może próbował pan coś wykazać?”

Starannie dobierałem słowa, mówiąc tyle prawdy, ile wydawało mi się konieczne. „Nie, nikt na mnie nie naciskał”, „Tak, zapukaliśmy i przedstawiliśmy się” (ale potem ci cholerni kowboje z A-3 i tak postanowili rozwalić drzwi). „Tak, uważam, że stosowano właściwe procedury”. Powtarzałem to w kółko, aż odpowiedzi stawały się prawdą, przynajmniej jedną z jej wersji. W końcu w moim głosie pojawiły się nuty zniecierpliwienia: „Chyba na to odpowiedziałem”, „Moje oświadczenie już wyjaśniło tę kwestię”. Ktoś z bostońskiej komendy policji zapewnił mnie, że nikt nie będzie z tego powodu mieć do mnie pretensji, co sprawiło, że poczułem się jeszcze bardziej zagrożony. Nie przyszło mi w ogóle na myśl, że ktokolwiek mógłby mieć taki zamiar. A gdyby do tego doszło, bez wątpienia woleliby poświęcić kmiotka z Versailles w stanie Maine niż kogoś ze swoich.

Jedno pytanie zupełnie mnie zaskoczyło: „Czy patrząc na to z perspektywy czasu, postąpiłby pan inaczej?” Zaczynałem przypuszczać, że znam odpowiedź. Odpowiedzialny za wszystko — za nalot, śmierć księdza, za te pytania — był zabójca Danzigera. Bobby Danziger wyznał kiedyś Caroline: „Czuję odrazę do

pod sąd nie dlatego, że popełnił przestępstwo, ale ponieważ puścił w ruch całą tę nieubłaganą maszynę. A także odrazę do samego siebie, ponieważ biorę w tym udział”.

Godzinę później, całkowicie wyczerpany, pojechałem do mojego hotelu w śródmieściu, gdzie natychmiast zapadłem w głęboki sen.

Gdy tak spałem, w pewnej chwili poczułem czyjąś obecność w moim pokoju — było to uczucie bardzo słabiotkie, niczym plamka światła, które jednak narastało i narastało, aż w końcu nie mogłem go ignorować i obudziłem się z biciem serca. W chwili gdy otworzyłem oczy, rozległ się chropawy dźwięk. Rozpoznałem go. Był to rzep zapięcia mojej kabury. Uniosłem głowę z nad poduszki o parę centymetrów, nie więcej, a potem opuściłem ją z powrotem pod naciskiem lufy pistoletu. Po dziś dzień czuję, jak dotyka skóry na mojej głowie, zupełnie jakby coś tam węszyła.

— Zaufałem ci, skurwysynu — odezwał się głos. Był to głos Braxtona, dobiegający z drugiej strony pokoju, spod okna.

— Nie, nie — szepnąłem.

— Myślałem, że jesteście przyjaciółmi.

— Jesteście przyjaciółmi.

— Tak postępujesz z przyjaciółmi? Zabiliście wielebnego Walkera? Pierdolone, gliniarskie kurwy, zabiliście go. Dlaczego?

— Nie zabiliśmy. Miał atak serca. Po prostu umarł. Nie tknęliśmy go, nic nie zrobiliśmy.

— Włamaliście się do jego... Tam było małe dziecko. Widziałeś ją?

— Tak.

— Gdzie jest?

— Uciekała. Ktoś ją zabrał. Potem jej nie widziałem.

— To była moja córka.

Lufa pistoletu znowu obwącowała moją głowę. Wcisnąłem się w materac, aby odsunąć się od niej. Jedynym dźwiękiem był szmer mojego oddechu.

— Mogę spróbować ją znaleźć — zaproponowałem. — Spróbuję sprowadzić ją z powrotem.

Parsknął pogardliwie.

— Jak twoja córka ma na imię?

— Tamarrah.

— Gdzie powinni ją odstawić?

— Do jej babci. Zapiszę adres.

— Dobrze. Spróbuję ci pomóc.

Po chwili milczenia Braxton powiedział:

— Daj mu usiąść, kuzynie.

Pistolet odsunął się i powoli usiadłem na krawędzi łóżka.

Braxton stał przy oknie — szary, bezkształtny w fosforycznych światłach miasta. Jednak dzięki temu małowym pędzelkowatemu kucykowi jego żylastej sylwetki nie można było pomylić z żadną inną. Ręce miał skrzyżowane na piersi i trzymał pistolet — zapewne mój pistolet. Drugi mężczyzna, mięśniak Braxtona, stał w półmroku przy drzwiach. Mogłem dostrzec jedynie jego ogromną sylwetkę, nylonową kurtkę i białe pasemko czapeczki naciśniętej nisko na czoło.

Gdy spróbowałem wstać, cień przy drzwiach skierował w moją stronę lufę. Zaprotestowałem:

— Chcę włożyć spodnie.

Mięśniak podniósł z podłogi dzinsy, obszukał je, a potem rzucił w moją stronę.

— Dziękuję — powiedziałem.

Braxton odwrócił się, żeby popatrzeć przez okno. W dole mrugały światła South End.

— Ładny widok.

— Nie miałem czasu na niego popatrzeć.

— I teraz nie będziesz miał czasu. Chcę odzyskać córkę jeszcze tej nocy. Słyszysz? Dziś w nocy. Nie pozwolę, żeby trafiła do domu dziecka.

— Pewnie już wróciła. Gliny nie są zainteresowane niańczeniem czteroletniej dziewczynki.

— Ma sześć lat. I jeszcze nie wróciła.

— Dobra. Zobaczę, co da się zrobić.

— Co z Fasulo, Raulem i tym wszystkim? Sprawdziłeś?

— Czy sprawdziłem? Nie, nie sprawdziłem.

— Dlaczego? Co robiłeś przez cały dzień?

Wciągałem właśnie spodnie, ale wyprostowałem się i spojrzałem na niego.

— Szukałem cię. Całe miasto cię szuka. Mają nakaz aresztowania.

— Za co? Nic nie zrobiłem.

— Za zabójstwo Danzigera. Mają świadka, który twierdzi, że się przyznałeś.

— Kto tak mówi?

— Nie mogę ci tego zdradzić.

— Tak? Jesteś teraz jednym z nich? Nie wiem, co się tam dzieje, ale nie zastrzeliłem tego gościa i nie przyznałem się do niczego takiego. Ktoś ci wciska kit. Gdzie dowody?

— Są dowody. Mamy świadka.

— Kto jest tym świadkiem? Raul? Widziałeś go?

— Tak, widziałem.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Są też inne dowody. Nakaz ma dobre uzasadnienie, Haroldzie. Braxton pokręcił głową i znowu odwrócił się do okna.

— No to czemu mnie nie aresztujesz?

— Dobra, jesteś aresztowany. Ty też — odwróciłem się do wielkiego faceta przy drzwiach. — Byłbym wdzięczny, gdybyście rzucili broń. Ale chyba tego nie zrobicie.

— Powinieneś się tym zająć, człowieku.

— Jak mogę się tym zająć, jeżeli niczego mi nie dałeś?

— Już ci wszystko dałem. Mówię ci, to ma coś wspólnego z Fasulo.

— Co Fasulo ma z tym wspólnego?

— Dokładnie nie wiem.

— Nie wiesz? Tyle rabanu o nic? Skąd mam mieć pewność, że Fasulo jest z tym związany?

— Nie mogę ci powiedzieć.

— Daj spokój. Znowu takie same pierdoły.

Mięśniak przy drzwiach wydał z siebie coś w rodzaju nieartykułowanego ostrzeżenia, ale wiedziałem już, że nie mieli zamiaru zrobić mi nic złego. Martwy nie pomógłbym córce Braxtona. Myśl ta podnosiła na duchu, zupełnie jak zdanie sobie sprawy z tego, że warczący pitbull jest uwięziony na łańcuchu.

— Mógłbyś się zamknąć — powiedziałem do niego.

Braxton patrzył przez okno, wciąż zatopiony w myślach.

— Danziger wszystko wygłówkował. Całą historię z Fasulo, Raulem i Trudellem. Wszystko wiedział.

— Jezus, czemu po prostu nie powiesz mi, co się dzieje?

— Bo nie wiem. — Gwałtownie szarpnął głową. — Nie wiem.

— A skąd wiesz, czego Danziger szukał?

— Nie mogę ci powiedzieć.

Jęknąłem.

— Mam swoje źródła — odparł Braxton. — Muszę się dowiedzieć pewnych rzeczy.

— A więc wiedziałeś, nad czym pracował Bobby Danziger, kiedy został zabity?

— Tak.

— Nie wierzę ci.

— Gównu mnie obchodzi, w co wierzysz.

— Harold, co robiłeś w Maine? Świadek widział cię tam tuż przed

zabójstwem Danzigerera.

— Nie mogę o tym mówić.

— Ale tam byłeś?

— Chcesz mi odczytać moje prawa?

— Jezu — westchnąłem. — Potrzebuję szklanki wody.

— Przynieś mu, kuzynie — polecił Braxton.

— Czy jestem obsługą hotelową? Nie będę nosił wody mendum. Niby dlaczego?

— Bo mnie suszy — wyjaśniłem.

— No to niech cię suszy, skurwysynu.

— Ty... — Braxton uniósł rękę, ale się opanował. — Przynieś mu wodę.

Olbrzym powędrował niechętnie do łazienki i wrócił ze szklanką wody w jednej ręce i pistoletem w drugiej.

— Powietrze w tych hotelach jest bardzo suche — wyjaśniłem.

Mięśniak popatrzył na mnie wrogo i wrócił na posterunek przy drzwiach.

— Powinieneś postawić sobie szklankę przy łóżku — zasugerował Braxton.

— Słuchaj, Harold, nawet gdybym ci uwierzył, że Fasulo jest z tym jakoś powiązany, niewiele mogę zrobić bez dowodów. Nikt ci nie uwierzy na słowo. Oskarżają cię o zabicie dwóch gliniarzy.

— Nigdy nie zabiłem żadnego gliniarza.

— Harold, daj spokój.

— Powiedziałem: nigdy nie zabiłem żadnego gliniarza. Nigdy.

— Nie zastrześliłeś Artiego Trudella?

— A niby dlaczego miałbym to zrobić? Nawet nie wiedziałem, kto to taki.

— Dlatego, że cię zaskoczyli w tym mieszkaniu. Pojawili się nagle i zaczęli wyłamywać drzwi. Musiałeś utorować sobie drogę.

— Musiałbym być głupi, żeby dać się tak złapać.

— Mieszkałeś tam?

— Ale wiedziałem, że przyjdą.

— Co?

— Wiedziałem, że te skurwysyny przyjdą. — Wzruszył ramionami. W jego głosie było słycać lekką przechwałkę, ale przede wszystkim było to proste stwierdzenie faktu. — Powiedziałem ci, że słyszę różne rzeczy.

— Od kogo słyszałeś? Od gliniarzy?

— Niczego więcej nie powiem.

— Ktoś dał ci cynk?

— Powiedziałem ci, że słyszę różne rzeczy.

— Harold, kto dał ci cynk?

— Hej, szefie, przecież ci tłumaczę, że nie mogę powiedzieć. Ale wiedz jedno: bardzo wielu ludzi nie chce procesu w tej sprawie, uwierz mi, bardzo wielu ludzi.

— Więc kto zabił Trudella?

— Skąd mam wiedzieć? Jakiś porąbany dupek, ktoś na tyle głupi, żeby znaleźć się tam, kiedy przyszły gliny.

— Ale to nie ty byłeś tym dupkiem, prawda?

— Nie ja.

Patrzyliśmy na siebie przez chwilę, oceniając nawzajem naszą wiarygodność. Nie miałem powodu ufać Braxtonowi, a on nie miał powodu spodziewać się, że mu uwierzę.

— Jeżeli wyjdę, będziesz próbował mnie aresztować?

— Tak. Mamy na ciebie nakaz.

— Wiesz, że ten nakaz jest gównem wart.

— Tego nie wiem.

— Ale zajmiesz się moją córką?

— Powiedziałem, że tak.

Braxton westchnął znowu.

— Dobra, zwiąż go — polecił. — Przepraszam, ale musisz tu poczekać, zanim wyjdziemy.

Olbrzym wetknął czterdziestkępiątkę pod kurtkę i z krzywym uśmiechem ruszył w moim kierunku. Właśnie ten uśmiezek — kryjąca się w nim pogarda, przekonanie, że się podporządkuję, że dam się pokonać, a moje własne życzenia nie będą warte złamanego centa — spowodował, że zakipiała we mnie złość. Zerwałem się z łóżka, zrobiłem dwa kroki i wspaniałym sierpowym rąbnąłem olbrzyma prosto w oko. Poczułem pod pięścią miękka jak gotowane jajko gałkę oczną i delikatne kostki oczodołu. Mięśniak poleciał na drzwi i osunął się na ziemię.

Ból jak prąd elektryczny przeleciał od kostek palców do nasady dłoni. Wrzasnąłem i zacząłem potrząsać ręką.

Braxton zarepetował mój własny pistolet.

— O skurwysyn — mruknął z pewnym podziwem. Trzymał broń wycelowaną we mnie, a nogą szturchał swojego mięśniaka. — Co ci jest kuzynie?

— Nic nie widzę — jęknął olbrzym, przyciskając obie dłonie do oka.

— Potrzymaj tylko spluwę.

— Powiedziałem ci, że nie widzę.

— Użyj drugiego oka. — Braxton był poirytowany. Nigdzie już nie można znaleźć dobrych pomocników.

Facet wstał i wziął pistolet, ale trzymał go w bezwładnie opuszczonej dłoni. Braxton skuł mi kajdankami ręce na plecach, przekładając łańcuszek przez oparcie krzesła.

— Nie musiałeś tego robić — powiedział.

— Miałem trudny dzień, Haroldzie.

Zostawili mnie przykutego do krzesła, z ręką pulsującą bólem. Braxton przed wyjściem wycelował do mnie wskazujące palce obu dłoni, jak lufy rewolwerów, co miało znaczyć: „Jeśli źle się spiszesz — zastrzele”, a potem zamknął za sobą drzwi.

Rozpamiętywałem szczegóły — smuga krwi na drzwiach, boląca pięść — zupełnie jakbym chciał przekonać sam siebie, że wszystko to rzeczywiście się zdarzyło. Nie czułem strachu, nie dygotały mi nerwy ani nie łomotało serce. Miałem poczucie nierealności i byłem okropnie zmęczony. Ludzie, którzy ocalili z katastrofy lotniczej, znają chyba to wrażenie. Nie cieszą się ze swojego ocalenia. Są zaszokowani, jakby skacowani, dręczeni wyrzutami sumienia.

Ale dałem Braxtonowi słowo. Przestałem więc gapić się w przestrzeń, przetoczyłem się na łóżko z krzesłem przytulonym do mnie jak zazdrosne dziecko. Kluczyki miałem w kieszeni kurtki. Po jakimś czasie zdołałem je wyciągnąć i rozkuć ręce. Ku memu ogromnemu zdziwieniu było dopiero kwadrans po północy.

Zadzwoiłem do Caroline do domu, żeby zapytać ją o dziewczynkę. Zaledwie dzień wcześniej bez trudu uwierzyła, że mogę być zabójcą Danzigera. Wciąż słyszałem tę rozmowę, jakby nagraną na taśmę magnetofonową:

„Ben, co chcesz, żebym ci powiedziała?

Że mi wierzysz.

Nawet cię nie znam”.

Trudno mieć do niej pretensję za tę ostrożność. Była prokuratorem, ja — podejrzanym. Rzeczywiście mnie nie znała i nie miała powodu mi ufać. W jej sytuacji być może postąpiłbym tak samo. Wszystko to i tak mogło już nie mieć znaczenia. Serce wspomina coś, o czym należałoby zapomnieć.

Tak więc zadzwoniłem do niej, obudziłem ją i opisałem incydent, pomijając szczegół, jakim był pistolet przyciśnięty do mojej głowy.

— Może jednak nie róbmy z tego wielkiej sprawy? — powiedziałem. — Jestem wykończony. Jutro sporządzę raport.

— Nie robić wielkiej sprawy? Zwariowałeś?

Nie odpowiedziałem.

— Ben, dobrze się czujesz? Mówisz tak, jakbyś był niezbyt przytomny.

— Czuję się dobrze. Ale nie wiem, co się tu dzieje. Sprawdzisz, gdzie jest to dziecko?

— Ben, przyjadę do ciebie.

— Nie, nie rób tego.

— Braxton może do ciebie przychodzić, a ja nie?

— Caroline, jestem zmęczony. Nie chcę odgrywać znowu całej tej sceny, pisać raportu. Nie chcę mieć dwudziestu gliniarzy w moim pokoju. Porozmawiamy jutro.

— Nie powiem nikomu. Przyjadę sama.

Bardzo chętnie zobaczyłbym Caroline, ale chciałem najpierw uporządkować myśli, poukładać sprawy.

— Caroline... Posłuchaj, musimy porozmawiać, koniecznie musimy porozmawiać. Ja w tym momencie po prostu nie mam na to dość energii.

— Tylko chcę zobaczyć, czy wszystko z tobą jest w porządku.

— Wiem. Ale... nie zrozum mnie źle.

Z drugiej strony przewodu słuchawka zaszeleściła o jej podbródek.

— Mam zamiar przyjechać i zobaczyć, czy wszystko u ciebie w porządku.

Nic więcej.

— Caroline, mam już dość powtarzania...

— Wiem, Ben, ale zrozum, nie proszę cię o pozwolenie. Mówię ci, że jadę do ciebie. Możesz sobie myśleć, co chcesz. Potrzebujesz czegoś?

— Zakazu zbliżania się do mnie.

— Ha, ha!

— Caroline, no wiesz, nie będziemy mogli... no wiesz.

— O Jezusie, nie martw się. Nie zamierzam cię wykorzystać.

— Właśnie coś takiego miałem na myśli.

— Co?

— Mam za sobą kilka trudnych dni. Czy nie moglibyśmy przełożyć tego na jutro?

— Jadę.

Przypominało to mówienie kotu, aby nie wlaził na sofę.

— No dobrze, przyjeżdżaj. A skoro już decydujesz się na tę wycieczkę, przywieź coś mocniejszego.

Trzydzieści minut później Caroline stała w drzwiach z butelką jima beama.

Nalała szklankę, podała mi, a potem usadowiła się na krześle w rogu pokoju, jakby chciała tym podkreślić, że trzyma się z daleka.

Stałem przy oknie. W świetle księżyca widać było na South End długie, niskie osiemnastowieczne domy z piaskowca i wieżę katedry Świętego Krzyża. Gdzieś dalej na północny zachód znajdowało się Mission Flats. A na cały ten pejzaż nałożone było odbicie mojej twarzy w szybie.

— Krwawisz? — zapytała Caroline, wskazując smugę krwi na drzwiach.

— To krew faceta, którego Braxton miał ze sobą.

— Co się stało?

— Nie uwierzysz, ale uderzyłem go.

— Jestem pod wrażeniem.

— Chyba złamałem rękę.

Whisky drapała trochę w gardle, lecz rozgrzewała żołądek.

— Zajęłaś się sprawą tej dziewczynki?

— Wszystko załatwione. Wiozą ją właśnie do babci. Na posterunku nie chciała z nikim rozmawiać. Nie wiedzieli, co z nią zrobić.

— Doskonale. Dziękuję.

Dalej wyglądałem przez okno.

— Ben, coś ci jest?

— Nie, wszystko w porządku. Nie tknęli mnie.

— Pytam, czy martwisz się czymś. Może jednak nie chcesz o tym rozmawiać. Pójdę sobie, jeżeli tak sobie życzysz. Widzę, że nie jesteś ranny.

— Nie, zostań.

Caroline ponownie usiadła głębiej na krześle, podciągnęła kolana pod brodę. Nawet w dżinsach i baseballowej kurtce wyglądała elegancko.

— O czym myślisz? — spytała.

— Czuję się trochę zagubiony.

— Zagubiony?

— Brakuje mi matki.

Pochyliła głowę ze współczuciem, ale nie chciałem żadnych zwyczajowych, banalnych kondolencji.

— Muszę się przyzwyczajać do tego, że moja matka naprawdę nie żyje.

Caroline czekała na ciąg dalszy, ale jak mogłem jej to wyjaśnić? Co historia Annie Truman może znaczyć dla kogoś, kto jej nigdy nie spotkał?

— W Versailles jest jezioro Mattaquisett — powiedziałem do okna. — Bardzo piękne i bardzo zimne na wiosnę. Jest film przedstawiający moją matkę pływającą po tym jeziorze na oponie. Miała na sobie żółty kostium kąpielowy i była w ciąży. Spodziewała się mnie. W dżdżyste dni oglądaliśmy często ten film. Była na nim młoda, miała jakieś trzydzieści lat, trochę więcej niż ja teraz. Śmiała się szczęśliwa. Nie wiem czemu zapamiętałam ten obraz.

— Ponieważ ci jej brakuje.

Skinąłem głową.

— Jestem pewna, że byłaby z ciebie dumna.

— Mam nadzieję.

— Ben, ja też jestem matką. Uwierz mi, byłabym z ciebie dumna.

— Byłaby szczęśliwa, że wróciłem tu, do tego miasta. Miała też dryg do tego, co robimy.

— A co robimy?

— Flirtujemy.

— Flirtujemy?

— A nie? Wiesz, że twój tata codziennie chodzi na grób twojej siostry?

— Tak.

— Codziennie.

— To mu pomaga. Trzeba czasu, żeby zapomnieć o stracie bliskiej osoby.

— Właśnie tak mi wyjaśnił.

Wypiłem kolejny łyk, czując rozlewające się wewnątrz ciepło burbona.

— Ben... Mam nadzieję, że mnie zrozumiesz. Musiałam być ostrożna. W pewnej chwili wydawało się, że Gittens ma rację, oskarżając ciebie o zabójstwo Danzigera.

— Czasami trzeba zapomnieć o tych wszystkich bzdurach w stylu Agaty Christie. Trzeba także przyjrzeć się człowiekowi.

— Chyba masz rację.

— Inna rzecz, że kiedy moja matka się zabiła...

— Ben, nie chcę, żebyś mi cokolwiek o tym mówił. Postawisz mnie w fatalnej sytuacji.

— Musimy kiedyś przez to przejść.

— Proszę cię, Ben.

— Dobra. — Postukałem kostką palca w szybę. — Wiesz, ostatniej zimy matka miała wypadek samochodowy. Nie powinna była w ogóle prowadzić. Odłączałem przewody od akumulatora, żeby samochód nie dał się uruchomić. Jednak jakoś poradziła sobie, a może ktoś jej pomógł. Moja matka potrafiła być... uparta. W każdym razie dojechała aż do I-95. Może chciała wrócić do Bostonu, do domu. Urodziła się tutaj. Kochała to miasto.

Oczy zaczęły mi wilgotnieć.

Caroline milczała.

— W jakiś sposób wjechała na autostradę od złej strony. Musiała pomylić znaki. Przeraziła się, widząc samochody jadące z naprzeciwka i wpadła na betonowy filar wiaduktu. Nic się jej nie stało. Tylko guzy i siniaki. Miała podbite oko. Długo trwało, zanim wylew zniknął. Samochód został skasowany. Ojciec dostał furii. Wtedy właśnie podjęła decyzję. Powiedziała: „Nie chcę zostać rośliną, Ben. To będzie upokarzające”. Chciała, żeby ktoś jej pomógł, a nie mogła zwrócić się z tym do ojca.

— Ben, proszę. Nic już nie mów.

— Przeczytała książkę na ten temat. Poznała pewnego lekarza. Nie powiem ci, jak się nazywał. Dał jej też lekarstwo przeciwko mdłościom, żeby nie zwymiotowała.

— Ben, nie chcę tego słuchać. Nie mogę.

— Miała dziewięćdziesiąt kapsułek. Musieliśmy je wsypać do szklanki wody. Dziewięćdziesiąt czerwonych żelowych kapsułek, jedna po drugiej. Nie chciały

się rozpuszczać. Trzeba było wciąż mieszać.

— Ben...

— Podobno miały gorzki smak. Powiedziała, że musi je czymś popić. Użyła do tego celu burbona.

Caroline podeszła do okna. Stała przede mną, blisko i powiedziała:

— Ben, przestań! Nie mogę tego słuchać.

— Chcę, żebyś zrozumiała.

— Rozumiem.

— Mama poprosiła: „Ben, weź mnie za rękę”. Zrobiłem to. A ona wtedy powiedziała: „Mój Ben, mój Ben”. I zasnęła.

— Ben, skończ już. Dla twojego własnego dobra. Rozumiem cię.

Otarłem oczy.

— Naprawdę?

— Rozumiem — szepnęła.

Pocałowaliśmy się, opierając się o okno. Był to inny, lepszy pocałunek, bo tym razem Caroline poddała mu się całkowicie.

Następnego ranka obudziłem się wcześnie, o świcie, i stanąłem przy oknie. Miasto było szare, niebo nad nim przypominało ciemny łupek i rozjaśniało się niechętnie. Palcem zatoczyłem na szkle kółko, małe zatłuszczone kółko wokół miejsca, gdzie moim zdaniem znajdowało się Mission Flats.

— Po co wstałeś? — spytała Caroline.

— Muszę dowiedzieć się więcej o sprawie Trudella.

— Dlaczego?

— Bo Braxton powiedział... Gdzie mogę znaleźć więcej informacji?

Jęknęła.

— Już widziałeś akta.

— Musi ich być więcej.

— Ben, jest za wcześnie...

— Nie mogę spać. Wciąż myślę, że musi ich być więcej. Gdzie można by je znaleźć?

— Czy musimy rozmawiać o tym teraz?

— Nie. Przepraszam, śpij dalej.

— Spróbuj dotrzeć do notesów detektywów.

— Dobrze. — Myślałem przez chwilę. — Poczekaj... a co to jest takiego?

— Detektywi wydziału zabójstw do każdego dochodzenia prowadzą osobne notesy. To rutynowe działanie. Niekiedy w notesach są informacje, które nie weszły do raportu. Może w nich coś znajdziesz.

— Gdzie one są?

— Chyba w archiwum.

— Możesz mnie tam wprowadzić?

— Nie w tej chwili.

— Oczywiście.

Nie podnosząc głowy ani nawet nie otwierając oczu, powiedziała:

— Ben, wszystkie akta Trudella są zastrzeżone. Nie ma ich w obiegu. Lowery dopilnował tego. Będziesz musiał wypełnić wniosek, który prawdopodobnie zostanie odrzucony. Mógłbyś skierować podanie do prokuratora generalnego, powołując się na ustawę o swobodzie informacji, ale trochę to potrwa.

— Ile?

— Sześć miesięcy. Może rok.

— Rok? Nie mamy czasu.

— Cóż mogę ci powiedzieć?

— Powiedz, w jaki sposób mógłbym zobaczyć te notesy jeszcze dzisiaj.

Otworzyła jedno oko. Oparła się na łokciu.

— Szefie Truman, jeżeli kiedykolwiek dojdzie do procesu w tej sprawie, prokurator nie może wiedzieć, że materiał dowodowy został zdobyty w niewłaściwy sposób. Poza tym byłoby nieetyczne z mojej strony, gdybym ci powiedziała, jak ominąć przepisy archiwalne.

— Słusznie. Przepraszam. Nie powinienem...

— Coś ci jednak powiem. Gdybyś — całkiem hipotetycznie — chciał dotrzeć do tych dokumentów bez odpowiednich upoważnień, najlepiej byłoby, gdybyś wziął ze sobą mojego tatę i spotkał się na Berkeley Street z panem Jimem Doolittle. I nigdy nie zająkniesz się przy mnie, że dostałeś te notesy nielegalnie, ponieważ musiałabym wtedy zgłosić ów fakt sądowi.

— Hm, a co mógłbym powiedzieć pani prokurator?

— Że notesy dostarczyła ci anonimowa osoba, a jeszcze lepiej ktoś, kto już nie żyje, na przykład Bob Danziger. I musiałbyś zeznać to pod przysięgą. Czy to jasne?

— Jak kryształ.

Jej głowa znowu opadła na poduszkę.

— Mój tata był dobrym detektywem. Załatwi ci to. Nie ma dla niego rzeczy niewykonalnych.

— Będę o tym pamiętał.

— Ben, wracaj do łóżka. Archiwum otwierają dopiero o dziewiątej.

Jimmy Doolittle był archiwistą w bostońskiej komendzie policji. Pracował w zatęchłym piwnicznym pomieszczeniu wypełnionym kartonowymi pudłami i stalowymi regałami. Centrala przy Berkeley Street dożywała swych ostatnich dni i w dziale dokumentacji panował jeszcze większy chaos niż zazwyczaj. Teczki wkładano do pudeł, a pudła ustawiano w stosy gotowe do załadunku do ciężarówek. Wkrótce miały trafić do nowej centrali albo do archiwów stanowych, ale obecnie przypominało to stary antykwariat. Meldunki policyjne coraz częściej pisane są na komputerze, lecz większość bostońskich policjantów w dalszym ciągu skrobie je ręcznie albo wystukuje na maszynie do pisania.

John Kelly trącił dzwonek na biurku, taki sam, jaki można zobaczyć w starym hotelu. Z głębi tunelu pomiędzy pudłami rozległ się głos:

— Słyszę, słyszę!

— Czy pan Jimmy Doolittle? — zapytałem.

— Tak.

Z jakiegoś powodu sądziłem, że ujrzę człowieka podobnego do słynnego pilota bombowców o tym samym nazwisku. Zamiast tego zobaczyłem szczupłego kurdupla na krzywych nogach. Twarz miał przystojną, ale cały efekt psuł złamany nos, który wyglądał jak kupka kitu. Doolittle był starszy, niż przypuszczałem. Miał co najmniej sześćdziesiąt lat.

— Musimy zajrzeć do akt — powiedziałem mu.

Położył przede mną wniosek o wydanie dokumentów. Wypełniłem jego rubryki skąpymi informacjami, które posiadałem:

„Sprawa/Numer akt: NIEZNANY, Podsądny/podejrzany: HAROLD BRAXTON, Ofiara: ARTHUR TRUDELL, Oskarżenie o: MORDERSTWO (1 stopnia), Data popełnienia przestępstwa: 17 SIERPNIA 1987”.

Doolittle zerknął na blankiet krytycznie.

— To czarne akta. Przykro mi. — Przesunął wniosek w moją stronę.

— Czarne akta? Co to znaczy? Muszę je zobaczyć.

— To znaczy, że nie mogą być udostępnione bez polecenia komisarza. Muszę mieć coś na piśmie.

— Od kogo?

— Właśnie powiedziałem. Od komisarza policji. Dopiero wtedy otrzyma pan akta.

— Przysyła mnie Caroline Kelly.

— Co ja przed chwilą powiedziałem? Nie czytałem jeszcze dzisiejszych gazet. Czy komuś się zmarło i Caroline Kelly została komisarzem policji? Nie przypuszczam.

Pokręciłem z niedowierzaniem głową. Grozili mi gliniarze i gangsterzy, miałem pistolet przystawiony do głowy i po tym wszystkim nie byłem w stanie pojąć, że mógłby mnie zatrzymać jakiś bezkompromisowy archiwariusz.

— Panie Doolittle, wcale nie powiedziałem, że jest komisarzem.

— Nie mam zamiaru z panem dyskutować. To czarne akta. Nic nie mogę zrobić.

— Muszę je zobaczyć.

— Nic nie poradzę.

— Prowadzimy dochodzenie w sprawie zabójstwa.

— Rozumiem.

— I nie mogę zobaczyć akt?

— Takie są przepisy.

Oto miałem przed sobą w całej okazałości biurokratę, który ślepo zastosuje się do każdego bezsensownego przepisu.

— Bzdury — powiedziałem. — Totalne bzdury.

Doolittle spojrzał wściekle, a potem odwrócił się i zniknął pomiędzy stosami pudeł.

— Jimmy — wtrącił się Kelly — mógłbyś mi udostępnić na chwilę swój telefon?

Doolittle spojrzał na niego podejrzliwie, jakby telefon również był zastrzeżony.

— Nie można nim wyjść na miasto. To tylko telefon wewnętrzny.

— Nie szkodzi. Chcę zadzwonić na górę. — Doolittle podsunął mu aparat, a Kelly wybrał dwucyfrowy numer. — Z komisarzem Evansem proszę — powiedział do mikrofonu. — Mówi detektyw John Kelly. Tak jest... Och, Margaret, co u ciebie? U nas wszystko w porządku. Caroline ma się świetnie... Tak, poczekam. — Kelly stukał w blat paznokciem ze straszliwie znudzoną miną. Uśmiechnął się uspokajająco do Doolittle'a. Po jakimś czasie znowu przyłożył słuchawkę do ucha. — Paul? Tak... Wspaniale, a ty? Tak, przykro mi, że się narzucam, przyjacielu. Mam małeńki problem. Jestem na dole w dokumentacji. Muszę zajrzeć do czarnych akt, ale dowiedziałem się, że potrzebne jest twoje upoważnienie. Masz tu bardzo odpowiedzialnego pracownika, Jimmy'ego Doolittle'a... — Kelly gawędził z komisarzem jeszcze przez chwilę, a potem podał słuchawkę Doolittle'owi. — Chce z tobą mówić, Jimmy.

Doolittle wziął ją tak niepewnie, jakby mogła mu eksplodować w dłoni.

— Halo? — Zaczerwienił się, rozpoznając głos komisarza. Chwilę później rozłączył się z głupią miną. — Komisarz powiedział, że się zgadza — wymamrotał. — Takie mam obowiązki, nie chciałem...

— Dobra — pocieszył go Kelly. — Nic się nie stało. Nie martw się, Jimmy. Drobne nieporozumienie.

Doolittle wydobył akta — ogółem osiem pudeł — i ustawił je w rzędzie w małym gabinecie z boku korytarza.

— Przepraszam — powiedziałem, wciąż wkurzony — ale czym właściwie są czarne akta?

— Są to akta, które nie mogą być udostępniane, ponieważ mają kontrowersyjny charakter.

— W jaki sposób zostają czarnymi aktami?

— Na podstawie decyzji komisarza. Podobnie też sędzia wydaje czasem nakaz, że coś nie może być ujawnione. Dzieje się tak na przykład wówczas, gdy podsądnym jest jakiś znany człowiek. Wszystkie akta wydziału wewnętrznego są czarne. Podobnie jak akta dotyczące molestowania dzieci.

— A jeżeli akta nie są czarne?

— Wtedy każdy może przyjść i je dostać. To znaczy każdy gliniarz lub prokurator. Ale niewielu z tego korzysta. Wszystkie dokumenty tutaj dotyczą zamkniętych spraw. Nikogo już nie obchodzą.

— A gdyby ktoś próbował zajrzeć do tych akt?

— Musiałby mieć zezwolenie z biura komisarza. Zazwyczaj podpisuje je zastępca komisarza.

— Czy taki fakt byłby gdzieś odnotowany?

— O tutaj, na pierwszym pudle. Widzi pan?

Doolittle wskazał kartkę na jednym z kartonowych pudeł. Była to decyzja komisarza, na papierze z nagłówkiem bostońskiej komendy policji:

„Na wniosek prokuratora okręgowego prokurator Robert M. Danziger lub wyznaczone przez niego osoby mogą korzystać z wszelkich materiałów dowodowych zawartych we wspomnianych wyżej aktach w dowolnym czasie, przez jeden rok od niniejszej daty”.

— A więc nikt nie otwierał tego pudła poza Danzigerem?

— Od momentu zamknięcia sprawy. Zanim je tu przysłano, mogły w nim grzebać setki ludzi.

— Czy dałoby się ustalić, kto zażądał utajnienia tych akt?

— Oczywiście. — Uniósł kartkę i odsłonił następną. — Lowery. Prokurator okręgowy. — Doolittle odwrócił się, żeby wyjść, ale zatrzymał się i zapytał: — Może chcieliby panowie napić się kawy albo czegoś innego?

Zadziwiająco, co może dziać telefon komisarza.

— Nie, dziękujemy, Jimmy. — Kelly się uśmiechnął. Poczekał, aż Doolittle wyjdzie z pokoju i zapytał: — Dobra, a teraz czego szukamy?

— Notesów detektywów z wydziału zabójstw. Wszystkiego, co nie trafiło do raportów, wszystkiego, co wiąże Trudella z Frankiem Fasulo.

— I robimy to, ponieważ Braxton tak powiedział?

— Ma pan może lepsze pomysły?

Grzebaliśmy w pudłach, w których znajdowały się przede wszystkim papiery. Dowody rzeczowe — zakrwawione ubrania, pociski wydobyte ze ścian, akcesoria narkotykowe — zapewne zostały pogrzebane w innym archiwum. Jednak kilka pozostało, w tym gruba teczka makabrycznych fotografii. Jeżeli chodzi o dokumenty, kserokopie większości z nich widziałem już w zgromadzonych przez Danzigersa aktach tej sprawy. Stworzył własną dokumentację, zawierającą kopie każdego skrawka papieru znajdującego się w tych pudłach. W jego papierach brakowało tylko jednej rzeczy — oryginalnych notatników detektywów. Jeżeli Danziger uważał, że detektywi przeoczyli coś w czasie pierwszego podejścia, ich ówczesne notatki stanowiłyby niezwykle ważny materiał dowodowy.

— Danziger na pewno skopiował notatniki — powiedziałem. — Ale ktoś zabrał je z jego biura.

Notesy nie wyglądały imponująco. Większość z nich była kołonotatnikami ze spiralą na grzbiecie, jakich używają studenci. Znaleźliśmy kilka kieszonkowych notesów. Tylko jeden detektyw zbierał notatki w skoroszycie. Razem z Kellym czytaliśmy je do południa. Każdy stanowił dziennik codziennych prac, skrupulatnego odsiewania dobrych poszlak od złych (wywiady z sąsiadami, przyjaciółmi, podejrzanymi, kapusiami) i codziennych kontaktów z innymi instytucjami ochrony prawa i porządku (rozmowy telefoniczne z prokuratorami, laboratoriami kryminalistycznymi, innymi policjantami). Była to mrówcza robota i nie przyniosła żadnych rezultatów. Pod koniec lata 1987 roku Mission Flats dotknęła epidemia amnezji i szczękościsku. Wszelkie dowody zgromadzone przez śledczych, w tym również narzędzie zbrodni, zostały zdobyte kilka minut po strzelaninie.

Pewną ciekawostką była notatka nagryzmołona przez detektywa Johna Reversa dzień po zastrzeleniu Trudella:

„Wg. JV [Julio Vega?] O [ofiara, tj. Trudell], zmartwiony, „nieswój”, radził się FB [Franny Boyle]. JV nie zna dokł. charakteru problemu”.

Pora znowu porozmawiać z Frannym Boyle’em.

Kiedy razem z Kellym jechaliśmy do Centrum Rządowego, gdzie mieściło się biuro SJD, i Boyle’a, przypomniałem sobie o innych rewelacjach tego ranka.

— Nie wiedziałem, że się pan przyjaźni z komisarzem — rzekłem.

Spojrzał na mnie z politowaniem.

— Naprawdę, słowo daję. Jestem pod wrażeniem.

— Benie Truman, nie bądź naiwny. Nie poznałbym komisarza, nawet gdybym się z nim zderzył. To był Zach Boyages z administracji.

Gdy Franny Boyle zobaczył mnie w drzwiach swego gabinetu, wcisnął głowę jeszcze bardziej w gruby, ropuszy kark i napiął mięśnie.

— Co jest grane, chłopie? Wyglądasz cholernie poważnie.

Przedstawienie Franny'ego było mało przekonujące pomimo całego nadymania się. Siedział za gigantycznym dębowym biurkiem o blacie jak pokład lotniskowca, którego rozmiary jeszcze bardziej pomniejszały jego postać.

— Franny, musimy porozmawiać.

— Także „musimy porozmawiać” nie wróży nic dobrego. Kiedy ostatni raz ktoś mi powiedział, że musi ze mną porozmawiać, skończyło się rozwodem. — Franny uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo, ale nie było mi do żartów.

Zamknąłem za sobą drzwi.

— Gdzie jest Kelly?

— Na zewnątrz. Chciałem porozmawiać z tobą w cztery oczy.

— Masz zamiar przeczytać mi moje prawa?

— A uważasz, że jest to potrzebne?

Wydął wargi rozczarowany, że nie może żartami skłonić mnie do porzucenia poważnego tonu.

— No cóż, przynajmniej usiądź. — Wskazał krzesło z leżącymi na nim teczkami. — Zwal to wszystko na podłogę.

— Dobrze mi tu, gdzie jestem.

Siedząc w fotelu za biurkiem, splótł dłonie na potylicy tysej głowy, odsłaniając dwa ciemne półksiężyce pod pachami koszuli.

— Franny, nie będę ci wciskał kitu. Kelly i ja właśnie wróciliśmy z działu dokumentacji na Berkeley Street. Przeglądaliśmy akta Trudella. Wiemy, że przyszedł do ciebie z jakimś problemem.

— Mnóstwo gliniarzy przychodziło do mnie z problemami. Byłem jedynym prawnikiem, którego znali osobiście. Ludzie za bardzo wierzą w prawników. Uważają, że potrafimy odpowiedzieć na wszystkie pytania. Przychodzili do mnie w sprawie rozwodu, kupna nieruchomości...

— Franny, tu nie chodziło o nieruchomość.

— Nie? Skąd wiesz?

— Domyślam się.

— A więc, o co tu chodziło, mądralo?

— O Franka Fasulo.

Franny się uśmiechnął.

— Franka Fasulo?

— Tak jest.

Franny Boyle nie byłby dobrym pokerzystą, nie potrafił ukryć zakłopotania.

— Gdzie wygrzebałeś tego Franka Fasulo? — zapytał.

— Dostałem cynk.

— Dostałeś cynk? Od kogo?

Chciałem już powiedzieć Franny'emu o Braxtonie, ponieważ obiecałem, że nie będę mu wciskał kitu. Ale dałem też inne obietnice.

— Powiedzmy, że od Raula.

— Nie wygłupiaj się. No więc od kogo?

— Nie mogę ci tego powiedzieć.

— Naprawdę szybko się uczysz. Skąd, u diabła, dostajesz te cynki? Na pewno nie od Gittensa.

— Dlaczego tak uważasz?

— Gittens zazwyczaj nie odsłania kart, nie zna ciebie na tyle dobrze. Moim zdaniem musi to być pani Kelly. Słyszałem, że ty i księżniczka Caroline jesteście... blisko.

Przyglądał mi się, czekając na moją reakcję.

— Franny, zanim Artie Trudell zginął, przyszedł do ciebie z problemem. Wiemy, że tak zrobił, bo powiedział o tym Julio Vedze. A Vega zeznał, że Artie był zamordowany, jakiś nieswój. Pytam cię: z jakiego powodu Trudell był tak zamordowany?

— Nie wiem.

— Nie przypominasz sobie?

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Franny, chcesz adwokata?

— Jestem prawnikiem.

— W takim razie przestań pieprzyć i odpowiedz! Czego Artie Trudell się bał?

— Już ci powiedziałem, nie wiem, o czym mówisz. — Odepchnął do tyłu fotel i wstał. — Czyżbyś mi sugerował...

— Siadaj, Franny.

— To mój gabinet.

Pchnąłem go tak mocno, że z hukiem opadł na fotel.

W drzwiach pojawił się Kelly. Popatrzył na mnie, jak stoję nad rozciągniętym niezgrabnie na fotelu Boyle'em.

— Przepraszam — powiedział — myślałem, że są jakieś problemy. — I zniknął znowu.

— Nie podoba ci się, co sugeruję, Franny? Pozwól, że odświeżę twoją pamięć. Nie sądzę, żeby Artie Trudell przyszedł do ciebie w sprawie nieruchomości, bo w tej kwestii nie odróżniasz gówna od cukierka. Myślę, że

przyszedł do ciebie, ponieważ jesteś prokuratorem okręgowym, a do prokuratora okręgowego idzie się po to, żeby złożyć doniesienie o przestępstwie.

— Jakim przestępstwie?

— Jeszcze nie wiem, ale mam zamiar się dowiedzieć.

— Tak? A jak masz zamiar to zrobić?

— Na początek mam zamiar porozmawiać z Julio Vegą. Cokolwiek wiedział Trudell, wiedział również Vega. Byli partnerami, pamiętasz?

— Vega to wariat.

— Ale przynajmniej nie jest skorumpowany.

Spojrzał wściekle.

— Chłopie, nie wiesz, o czym mówisz.

— Być może. Ale wiem, że Trudell miał informacje o Franku Fasulo i gliniarzu, którego zabito w Kilmarnock, o kokainie za czerwonymi drzwiami i Raulu. Trudell posiadał wszystkie te informacje i przyszedł z nimi do ciebie, ponieważ myślał, że coś zrobisz w tej sprawie. Ufał ci, uważał, że zrobisz, co do ciebie należy. Ale nie zrobiłeś tego i Trudell został zabity. Sądzę, że Danziger to właśnie wygrzebał.

Boyle się uśmiechnął.

— Tak myślisz?

— Owszem. I uważam, że kiedy cała sprawa wyjdzie na jaw, okaże się, że nie była to wina Vegi.

Drzwi otworzyły się znowu. Tym razem był to Gittens. Zobaczył, jak macham Boyle'owi palcem przed nosem, i zaskoczony uniósł brwi.

— Wszystko w porządku?

— Tak, Franny i ja gawędzimy sobie.

— Lowery chce się z tobą widzieć, Ben.

Prawdopodobnie myśli pan, że dzieje się tu jakaś wielka niesprawiedliwość?

— Nie do końca wiem, co myśleć, panie Lowery.

— To odpowiedź polityka. Czy zachowuje się pan wobec mnie jak polityk, szefie Truman? — Lowery stał przy oknie, odwrócony plecami do Kelly'ego i mnie. Zadając jednak to pytanie, zwrócił się ku mnie. — Czy też jest pan aż tak uczciwy?

— Jestem uczciwy.

— Nie wiem, czy mogę panu wierzyć. Mam pewne podejrzenia, że coś pan ukrywa.

Znowu zaczął patrzeć przez okno. Przed nim rozpościerała się panorama śródmieścia z ratuszem na pierwszym planie i ścianą wież biurowców w tle. Widok z gabinetu prokuratora okręgowego był wspaniały, a trzy telewizory pozwalały trzymać sprawy pod kontrolą. Przypomniałem sobie, że Lyndon Johnson lubił oglądać programy z trzech telewizorów naraz. Może Lowery próbował się do niego upodobnić?

— Burak odgrywa się na miejskich cwaniakach — myślał na głos Lowery. — Z pewnością jest to rewanż za to, co pan tutaj przeszedł. — Westchnął. — Szefie Truman, chciałbym, żeby pan zrozumiał moje stanowisko.

— Nie jest mi pan winien żadnych wyjaśnień, panie Lowery.

— Ma pan rację... niczego nie jestem panu winien. Chodzi o odpowiedzialność, szefie Truman. Był pan dzisiaj w archiwum i grzebał w aktach Trudella.

— Tak, proszę pana.

— Zakładam, że pana zdaniem sprawa ta jakoś się wiąże z morderstwem Danzigera.

— Jest taka możliwość.

— Jest możliwość. Rozumiem. Nie uważa pan, że zrobił to Braxton?

— Nie jestem w stu procentach pewny.

— Czy chciał pan uzyskać stuprocentową pewność?

— Tak.

Lowery myślał przez chwilę.

— Ben, wiesz, co sędzia mówi przysięgłym na końcu każdego procesu? Mówi im, że muszą uznać podsądnego za winnego „ponad uzasadnioną wątpliwość”. Pomyśl o tym „ponad uzasadnioną wątpliwość”, nie „ponad wszelką wątpliwość”. Widzisz, nigdy nie ma stuprocentowej pewności. Póki są ludzie, zawsze istnieć będą wątpliwości i pomyłki. Musimy się z tym pogodzić. Nie mamy wyboru.

Żaden z nas nie ma monopolu na prawdę. Rozpatrujemy materiał dowodowy, domyślamy się, jak tylko umiemy, i modlimy się, żeby postąpić właściwie. To straszna odpowiedzialność, Ben.

— Wiem o tym.

— Znajdujemy człowieka, którego należy oskarżyć, a wtedy nie liczy się już, czy mamy sto procent pewności, czy tylko pięćdziesiąt jeden. Kiedy wybraliśmy naszą wersję sprawy, staje się to dla nas jedyną prawdą.

— Tak, proszę pana.

Zerknąłem na Kelly'ego, który siedział w skórzanym fotelu obok mnie. Wpatrywał się w sufit. Na jego wargach igrał uśmieszek. Dla niego prokurator okręgowy równie dobrze mógł sobie głądzić o traktacie gandawskim albo o obyczajach reprodukcyjnych żółwi z Galapagos.

— Ma pan wątpliwości, czy Harold Braxton jest winny, szefie Truman?

— Owszem.

— Niech pan machnie na nie ręką.

— Słucham?

— Niech pan machnie na nie ręką. Braxton jest tym, o kogo chodzi.

— Skąd pan wie?

— Wiem, ponieważ zajmuję się tym od dawna. Jest dość dowodów, żeby skazać Braxtona za zabójstwo Bobby'ego Danziger'a. Do diabła, wygrywałem sprawy, które nie były nawet w połowie tak mocne. Nie potrzebuje pan sprawy Trudella. Proszę dać temu spokój. Nie ma sensu wyciągać historii sprzed dziesięciu lat, która nie ma z tym nic wspólnego. — Prokurator odwrócił się, aby ocenić moją reakcję. — To, czym się tu zajmujemy, ma swój wymiar polityczny. Obecnie nie mamy w tym mieście żadnych konfliktów rasowych. Przestępczość spada, policja jest szanowana, społeczność afroamerykańska żyje lepiej niż kiedykolwiek. Podczas gdy w innych miastach, Nowym Jorku, Los Angeles, policja nie cieszy się zaufaniem, jest wręcz znienawidzona. To decyzja polityczna w najlepszym tego słowa znaczeniu. I kiedy przedstawię moje ustalenia — nawet jeżeli proces odbędzie się w Maine — chcę powiedzieć ludziom z tego miasta, że był to Braxton i nikt inny. Nie mam zamiaru wracać do przeszłości.

— Przeszłość zawsze pozostanie żywa, proszę pana.

— Ben, proszę cię, żebyś zapomniał o sprawie Trudella. Zostaw ją w spokoju. Dziesięć lat temu podzieliła miasto, ponieważ podsądnym był czarny, a ofiarą biały policjant. Siedzimy na beczce prochu. Dla dobra tego miasta nie wrzucaj do niej zapałki.

— Chyba już wszystko rozumiemy — odezwał się grzecznie John Kelly,

choć na końcu języka miał parę niecenzuralnych słów. Widział, jak ludzie w rodzaju Lowery'ego przychodzą i odchodzą. Ten też kiedyś zniknie. Wstał i zwrócił się do mnie: — Chodźmy, Ben.

Lowery ponownie odwrócił się do okna i zaczął patrzeć na miasto. Pokręcił głową.

— To zawsze jest tuż pod powierzchnią.

Przed gmachem sądu afroamerykański chłopak grał na zaimprovizowanych bębnach. Siedział na skrzynce od mleka, mając przed sobą cały zestaw plastikowych wiader oraz kilka metalowych przedmiotów (taca do lodu, blacha do pieczenia) spełniających rolę cymbałów. Rytm był natarczywy, radosny. Nie mogłem pozbyć się myśli, że jest o wiele bardziej wymowny i uczciwy niż wszystko, co przed chwilą powiedział nam Lowery — bliższy prawdziwemu tętnu miasta.

— Co o tym wszystkim sądzisz, Benie Truman?

— Pierdoły.

— Dokładnie. Jesteś moim najlepszym uczniem. To stuprocentowe, wysokooktanowe pierdoły. Dlaczego Lowery nie chce, żebyśmy węszyli przy sprawie Trudella?

— Ponieważ jest coś, co chce ukryć.

— Bardzo dobra teoria. Może nadeszła pora, żeby złożyć kolejną wizytę Julio Vedze. Wie więcej, niż nam mówi.

Nie wiedzieliśmy o tym, że Julio Vega już nie żył.

Vega wisiał w kuchni swojego małego domku. Posłużył się elektrycznym przedłużaczem, który zaczepił o hak żyrandola. Z przodu przewód znikał w tłustych fałdach na szyi. Krzesło, z którego zeskoczył, leżało na boku.

Kelly dotknął grzbietem dłoni ręki Vegi. Tym lekkim dotykiem sprawił, że ciało obróciło się nieco, a potem wróciło do dawnego położenia. — Zimny — powiedział.

Wezwał, kogo należało. Maszyna została puszczona w ruch. Wkrótce mieli się zjawić ludzie z wydziału zabójstw policji stanowej. Samobójstwa uważane były za „śmierć z nienaturalnych przyczyn” i dokładnie je badano.

Jednak śmierć Julio Vegi była jak najbardziej naturalna. Stanowiła logiczne zakończenie dziesięciolecia hańby i banicji. Była jedynym sposobem uniknięcia powtórnego wałkowania sprawy Trudella. Nowej rundy pytań związanych z nową ofiarą: „W jaki sposób nalot na melinę za czerwonymi drzwiami doprowadził dziesięć lat później do śmierci Boba Danzigersa?” Nawet samo ciało Vegi wskazywało na naturalny charakter jego samobójstwa. W przeciwieństwie do przedziurawionych pociskami, napęczniałych gazami szczątków Danzigersa i Rattleffa, zwłoki Vegi mogły uchodzić za ciało śpiącego człowieka: opuszczona na pierś głowa, lekko uchylone powieki, przykurczone palce, pępek widoczny spod podkoszulka.

Jednak zwłoki muszą być zbadane, dlatego też zjawili się mundurowi gliniarze, detektywi, fotografowie, anatomopatologowie. Przyjechał czarny furgon z zakładu medycyny sądowej. Przybyli także policjanci, którzy znali Julio, również Martin Gittens.

— Przypuszczałem, że któregoś dnia do tego dojdzie — westchnął. — To było okrutne, co mu zrobili.

Gittens najwyraźniej bardzo to przeżywał. W połowie lat osiemdziesiątych Vega i Trudell byli blisko z nim związani. Dostarczał im informacji, pomagał w pracy. Przez długą chwilę Gittens stał w milczeniu na uboczu, z dala od innych. Chciałem podejść do niego, ale rozmyśliłem się, bo ostatnio nie byliśmy w najlepszych stosunkach.

Kelly wziął jednego z detektywów na bok i zapytał, co ustalili.

— Samobójstwo — odparł. — Nie ma co do tego wątpliwości.

Zwłoki ciągle wisiały. Nie można było ich odciąć, dopóki nie zostały sfotografowane, a czynność ta opóźniała się, ponieważ tego ranka Służba Zabezpieczenia Miejsca Przystępstwa była potrzebna w kilku miejscach.

Zauważyłem, że Kelly bacznie przygląda się zwłokom. Z bliska Vega przypominał mi spadochroniarza, który zawisł na gałęziach.

— Spójrz na ślady otarcia, Benie Truman.

Na szyi, w miejscu gdzie przewód werznął się w miękką skórę, widniały dwa paski. Większy z nich biegł od ucha do ucha, pod brodą, powyżej jabłka Adama. Był w niego wciśnięty przewód, a powyżej widniało sine pasmo, różowawy cień zastygłej krwi uwięzionej przez nacisk stryczka. Ponad tym śladem znajdowała się druga, cieńsza linia. Tutaj przewód w kilku miejscach przeciął skórę i krew wypłynęła, a potem zastygła kropelkami. Wokół tego znaku również wystąpiło zasinienie, ale nie tak wyraźne.

Mruknąłem niezdecydowanie.

Kelly popatrzył na mnie z rozczarowaną miną.

— Czy nie zauważyłeś nic niezwykłego?

— Nie wiem. Nigdy dotąd nie widziałem wisielca.

— Mnie się już to zdarzało. Ale nigdy nie widziałem kogoś takiego, kto powiesiłby się dwa razy.

Byliśmy obecni przy tym, jak Vegę odcięto i położono na noszach. Zapakowali go do worka razem z przewodem elektrycznym, wciąż owiniętym wokół szyi niczym szal. Był tak głęboko wbity, że nie można go było usunąć, nie uszkadzając skóry.

Przyjechała Caroline. Podała mi różową karteczkę z notatnika, na której był tylko numer bez nazwiska.

— Dlaczego nie zapisałaś nazwiska? Nie znam tego numeru.

— To numer Maksa Becka.

Kaczki w Public Garden były podniecone. Z małej wysepki pośrodku stawu, gdzie się zebrały, dobiegała kakofonia kwakania. Szczególnie agresywnie zachowywały się samce. Atakowały się nawzajem, drąc się i bijąc skrzydłami o wodę.

Max Beck je obserwował. Siedział na ławce pod płaczącą wierzwą i z roztargnieniem jadł kanapkę. Papierowe opakowanie miał wetknięte pod udo, aby nie porwał go wiatr. Wydawało się, że zrzucił swój kostium Obrońcy Wyklętych. Tutaj, przy stawie z kaczkami, stał się kimś zwyczajnym — urzędnikiem biurowym, powoli zbliżającym się do wieku średniego, z nadwagą, o kręconych szpakowatych włosach zmierzwionych przez wiatr.

— Panie Beck...

Wzdrygnął się.

— O, szefie Truman, dziękuję za przybycie. — Zerwał się i zrobił miejsce na ławce zwróconej w stronę stawu. — Proszę usiąść. Chce pan kanapkę? Z tuńczykiem.

Wziąłem ją niepewnie.

— Bez obaw — powiedział — nie mam zamiaru zwerbować pana na świadka obrony.

Usiadłem.

— Często przychodzi pan tu na lunch?

— Nie. Zazwyczaj nie jem lunchu. Nie mam na to czasu. Jestem albo w sądzie, albo w drodze do sądu. Poza tym i tak muszę uważać. — Poklepał się po brzuchu. — Wybrałem to miejsce, ponieważ uznałem, że możemy tu porozmawiać bez świadków.

Kaczki rozpoczęły kolejną rundę kwakania.

— Są czymś zaniepokojone — stwierdził Beck.

— Robi się zimno. Szykują się do odlotu.

Rozpakowałem kanapkę i przez chwilę jedliśmy w milczeniu. Na spotkaniach w czasie lunchu obowiązuje szczególna etykieta. Od czasu do czasu trzeba robić przerwy w rozmowie i nie należy zadawać pytań komuś, kto właśnie włożył kawałek tuńczyka do ust.

— Czy ktoś wie, że jest pan tutaj, szefie Truman?

— Nie. Przez telefon powiedział pan, że spotkanie jest poufne. Zresztą nie jest to coś, czym chciałbym się chwalić moim policyjnym przyjaciołom.

— Pańscy policyjni przyjaciele nie są o mnie za dobrego zdania.

— Uważają pana za czciciela diabła.

Beck się uśmiechnął. Wydawało się, że taka opinia wcale mu nie

przeszkadza.

— Dziękuję, że pan przyszedł. Załatwmy sprawę szybko, zanim ktoś nas zobaczy. Mój klient chce się poddać.

— Niech się więc podda.

— Chce się poddać panu.

— Mnie? Dlaczego?

— Ufa panu.

— Nie powinien. Czy pański klient powiedział panu, że ubiegłej nocy razem z jednym ze swoich zbirów włamał się do mojego pokoju hotelowego i przyłożył mi pistolet do głowy?

Beck pokręcił głową.

— Chyba nie jestem dzisiaj dla Harolda najlepszym obrońcą — stwierdziłem.

— Rozumiem. Ale nie wystąpił pan z oskarżeniem przeciwko niemu, prawda?

Milczałem.

— Harold powiedział mi, że pomógł mu pan odzyskać córkę.

— To nic wielkiego.

— Dla niego tak. Szefie Truman, bostońska policja bardzo intensywnie poszukuje mojego klienta. Ważne, żeby go nie znalazła. Rozumie pan?

— Myślę, że jest ważne, żeby go znalazła. Mają na niego nakaz aresztowania.

— Chodzi mi o to, żeby Harold nie trafił do ich aresztu, żeby w jakiejś ciemnej uliczce nie polowała na niego banda białych gliniarzy ze spluwami. Tu nie chodzi o kwestię zgodności z prawem.

Nastroszyłem się, słysząc to uogólnienie. W końcu ja też byłem białym gliniarzem ze spluwą.

— Czy to pana słowa, czy pańskiego klienta?

— Mój klient i ja mówimy jednym głosem.

— Aha. Na tym polega czczenie diabła.

Beck zmarszczył brwi. Odłamał kawałek chleba i rzucił na ziemię, gdzie kaczki rozerwały go między sobą.

— Mój klient prosił mnie, żebym przekazał panu propozycję. Mówi, że da się aresztować, ale pod dwoma warunkami. Podda się tylko panu i ma zostać natychmiast zabrany do Maine na proces. Nie obawia się sądu. Ale nie chce ani jednej godziny spędzić w bostońskim areszcie.

— A w przeciwnym razie?

— W przeciwnym razie bostońska policja może dalej go szukać, a kiedy go znajdzie, Harold się nie podda. Ktoś na tym ucierpi.

— Zapewne Harold.

— Tak. Zapewne on. Czy jest to dla pana pociechą, szefie Truman?

— Oczywiście, że nie. Czy aż tak źle ocenia pan policjantów?

— Owszem, niektórych.

— Nie zna mnie pan. Nie zasłużyłem sobie na taką opinię.

— Tak, ma pan rację. Przepraszam. Mój klient uważa, że grozi mu niebezpieczeństwo ze strony pewnych bostońskich gliniarzy. Tylko to miałem na myśli. Pozwoli pan, że coś mu pokażę.

Beck odłożył kanapkę i wytarł dłonie o uda. Pogrzebał w teczce i wyciągnął dokument na papierze z nagłówkiem prokuratury okręgowej. Trzy lub cztery bite strony. Na samej górze widniał napis: „Poufne”. A poniżej: „Umowa pomiędzy Oskarżeniem Publicznym a Haroldem Ellisonem Braxtonem. Dokument podpisali trzej prokuratorzy: stanowy prokurator generalny, prokurator okręgowy Andrew Lowery i zastępca prokuratora okręgowego Robert M. Danziger”.

— Harold prosił, żebym to panu pokazał. Wie pan, co to takiego, szefie Truman? Porozumienie o współpracy. Podpisane przez Boba Danziguera. Wiedział pan, że Harold dla niego pracował?

— Nie.

— Czy Harold mógłby zamordować prokuratora, który właśnie przyznał mu immunitet? Proszę spojrzeć. — Przerzucił jedną kartkę. — „Zastosować immunitet na okoliczność zeznań Harolda Braxtona, dotyczących wydarzeń z 16/17 grudnia 1987 roku, z nocy, kiedy zabito Artiego Trudella”. Wie pan, co znaczy „zastosować immunitet”?

— Tak, że cokolwiek zezna, nie może to być użyte przeciwko niemu, chyba że oskarżenie zdoła wykazać, iż dysponuje niezależnym źródłem informacji.

Przejrzałem szybko dokument. Sprawa była całkiem oczywista.

— Widzę, że Danziger skaptował Braxtona. Wykorzystywał go, żeby ponownie otworzyć sprawę Trudella.

— Tak. I powiem panu, co jeszcze oznacza ten dokument. Bob Danziger nie uważał, że Harold zabił Artiego Trudella. Nie przyznaje się immunitetu zabójcy policjanta.

— Nie rozumiem. Jeżeli Harold nie zabił Artiego Trudella, co takiego mógł wiedzieć o sprawie?

— Szefie Truman, stosunki Harolda z policją są złożone. Nie jest takim potworem, jak go przedstawiają. Pomagał niektórym detektywom, w tym również pańskiemu przyjacielowi Martinowi Gittensowi.

— Braxton był kablem Gittensa?

— Jest. Braxton jest kablem Gittensa.

— Nie wierzę.

— Proszę zapytać Gittensa. Obaj byli przez długi czas we Flats i zupełnie nieźle współpracowali. Nie mówię, że są przyjaciółmi. To raczej biznesowe porozumienie, wymiana usług. Gittens otrzymuje informacje, a Harold — pole manewru.

— Pole manewru. Chce pan powiedzieć, że Gittens go chronił? Nie wierzę.

— Nie chronił. Po prostu pomagał mu trzymać się z dala od kłopotów. Jeżeli miał być nalot, Gittens go uprzedzał. Nie tak znowu rzadka rzecz. Wywiad i kontrwywiad.

Beck musiał dostrzec, że jestem oszołomiony jego rewelacjami, ponieważ umilkł, czekając, aż wszystko przetrawię. Dla zabicia czasu odrywał kawałki chleba i rzucał je na ziemię. Robił to tak, aby padały w miejsce, w którym mogła je trochę podziobać mała zięba, póki nie przegonił jej ogromny kwaczący kaczor.

— Martin Gittens jest dobrym gliniarzem. Robi, co do niego należy. Zbiera informacje tam, gdzie może je znaleźć. Gittens zajmuje się sprawami narkotykowymi, a jedynymi ludźmi, dysponującymi informacjami o handlu narkotykami, są niestety ci, którzy handlują narkotykami. Co można na to poradzić? — Wzruszył ramionami. — Nawet trochę go lubię, choć jest glina.

— Czy Gittens ochraniał Braxtona w sprawie Trudella?

— Owszem, ostrzegł go o nalocie. Dlatego właśnie Harolda tam nie było. Ale potem Gittens grał jak należy. Kiedy uznał, że strzelał Harold, ruszył za nim na czele innych. Niech pan pamięta, że to on znalazł broń — narzędzie zbrodni.

— Z odciskami Braxtona.

— Zostały nałożone.

— Och, niech pan da spokój.

— Odciski można przenieść. Trzeba mieć tylko kawałek taśmy klejącej i trochę wiedzy, jak to zrobić. Mamy technika kryminalistycznego, który zezna, że odciski zostały tam nałożone, zapewne przez jakiegoś gliniarza starającego się podbudować kiepską sprawę.

— A więc Raulem był Braxton?

Kolejne teatralne wzruszenie ramion.

— Kto wie?

— No dobrze, ale do czego Danziger potrzebował Braxtona? O czym miał zeznawać?

— Że Gittens dał mu cynk o nalocie. Tyle tylko wie o tej sprawie. Szefie Truman, Harold nie zabił Boba Danzigera. Nie powiem, że jest aniołem, ale tego nie zrobił.

— Skąd taka pewność?

— Ponieważ Danziger wiedział o tym. Wiedział, że Harold nie zabił Artiego

Trudella. Dlatego dał mu immunitet.

— Niestety, nie mogę zapytać o to Danziguera.

— Musiał coś mieć — dowód, świadka, cokolwiek. Mój klient ufa panu.

Harold prosił, abym pokazał panu ten dokument. Chce, żeby pan również mu

zaufał. Nie musi pan aprobować wszystkiego, co robi, ale proszę mu zaufać.

Pozwolić mu się poddać.

Cisnąłem resztę kanapki kaczkom, które rzuciły się na nią zapamiętale.

— Dobra, jak ma się to odbyć?

— Wybierzemy miejsce poza granicami miasta, poza jurysdykcją policji bostońskiej. Harold dobrowolnie pozwoli się panu aresztować. Stamtąd zabierze go pan bezpośrednio do Maine na proces.

— Na jego miejscu nie domagałbym się tak procesu.

— Proces jest teraz dla niego najmniejszym zmartwieniem.

Cypel Battery sięga aż do portu w Bostonie, na południowo-wschodnim krańcu Mission Flats. Znajduje się tam niewielki park. Tablica informuje, że kiedyś stały tu angielskie armaty strzegące podejść do miasta od strony południa. Sięgający do kolan kamienny mur otacza punkt widokowy, a poniżej niego ziemia szybko zmienia się w mokradła. Jeżeli ktoś przejdzie przez mur, znajdzie się po pas w wodzie. Kilka kroków dalej zniknie całkowicie pod powierzchnią. Teren nie nadaje się do zabudowy i jest zbyt oddalony od centrum, aby kusić inwestorów do wykorzystania go tak jak w Back Bay. Dlatego też wszystko pozostało tu niemal w dziewiczym stanie. Jeżeli pominiemy samoloty startujące z Portu Lotniczego Logana, pole ze zbiornikami na ropę, śmiecie zaplątane w trawę, nie trzeba szczególnie wysilać wyobraźni, żeby przedstawić sobie to miejsce tak, jak musiało wyglądać wówczas, gdy przybyli tu pierwsi Anglicy. Z bujną roślinnością, a zarazem skaliste i zimne. Nowa Anglia odpowiadała purytańskiej wizji społeczeństwa bez grzechu, wizji Nowego Świata. Musieli płynąć tuż obok tych mokradeł. Gdyby ktoś stał w tym miejscu czterysta lat temu, widziałby ich, proto-Amerykanów, szukających miejsca do wylądowania.

Gittens kazał mi na siebie jakiś czas czekać. Gdy wreszcie przybył, stanęliśmy na betonowym parapecie, z którego rozpościerał się widok na północ, na panoramę miasta. Chroniąc się przed chłodnym wiatrem od portu, założyłem ręce na piersi.

— Ładnie tutaj — zauważył.

— Pomyślałem, że lepiej będzie, jeżeli porozmawiamy na osobności.

— Ooo?

— Mam pewne informacje o sprawie Trudella.

— Jezus, wciąż się tym zajmujesz?

— Martin, czy nie zastanawia cię, że wszyscy związani z tą sprawą nie żyją?

Najpierw Trudell, potem Danziger, teraz Vega.

— Vega? Sam się zabił.

— Nie. Na szyi ma dwie bruzdy od sznura. Nie można powiesić się dwukrotnie. Vega został zamordowany. Ktoś zaaranżował jego śmierć, żeby wyglądała jak samobójstwo. Vega musiał walczyć, raz się wyrwał, dlatego morderca zrobił to po raz drugi.

— Czepiasz się nie wiadomo czego — powiedział poirytowany Gittens. — Zapomnij o Vedze, o Trudellu. Braxton zastrzelił Danzigera, ponieważ Danziger był prokuratorem. Nie rozumiesz tego?

— A co z Trudellem?

— Trudellem?

— Kto go zabił?

— O rany, może był drugi strzelec na trawiastym wzgórzu.

— Mówię poważnie, Martin.

— Zabił go Braxton. Czy to chciałeś usłyszeć?

— Niemożliwe.

— Niemożliwe? Dlaczego? Ponieważ z Braxtona jest taki fajny facet?

— Nie. Ponieważ go tam nie było. Braxton wiedział, że szykuje się nalot.

Ostrzegłeś go.

Przez chwilę słyszałem tylko szum wiatru.

— Ktoś tobą manipuluje, Ben. Nie ostrzegłem Braxtona. Kto ci o tym powiedział?

— Danziger. Informacja była w jego aktach, a sytuacja wygląda teraz jeszcze gorzej. Danziger przyznał Braxtonowi immunitet, żeby mógł zeznawać o tym wszystkim. Chciał przedstawić to ławie przysięgłych.

— Nieprawda.

— Prawda. Oto dokument dotyczący ich współpracy. Teraz już wiadomo, dlaczego Braxton był w Maine. Nie pojechał tam, żeby zabić Danzigera, ale żeby się z nim spotkać.

Gittens patrzył na okazany mu materiał bez słowa, z beznamiętnym wyrazem twarzy.

— Martin, Danziger wiedział.

— Co wiedział?

— Wiedział, że Braxton jest twoim kablem. Że go osłaniasz.

— To po prostu lipa. Czy otrzymywałem informacje od Braxtona? Jasne, że tak. Czy dawałem mu coś w zamian? Oczywiście. Tak to działa. Taka jest moja praca. Co nie oznacza, że Braxton był moim kablem.

— Dałeś mu cynk o nalocie, w którym zginął Artie?

— Oczywiście, że nie!

— Czy kiedykolwiek go chroniłeś?

— Nie. Nie w ten sposób, jak myślisz.

— Czy Braxton był Raulem?

— Nie. I nawet nie wspominaj w raporcie, że zadałeś mi to pytanie.

Przestąpiłem z nogi na nogę. Nagle poczułem się niepewnie.

— Ben, posłuchaj uważnie: Braxton zabił Trudella. Sprawa jest zamknięta.

— To nie ma sensu. Jeżeli Harolda ostrzeżono o nalocie, dlaczego miałby być w mieszkaniu, kiedy przyszedł tam Trudell?

— Usłyszałeś to wszystko od Braxtona?

— Dlaczego zostawił strzelbę? Jest zbyt sprytny, żeby porzucić narzędzie zbrodni ze swoimi odciskami palców. Czemu miałyby tak zrobić?

— Bo w prawdziwym życiu sprawy się pieprzą. Dlaczego był w mieszkaniu? Skąd, u diabła, mam to wiedzieć? Może wrócił, żeby coś zabrać. Może chciał wyjść wcześniej, ale coś go zatrzymało. Jeżeli go ostrzeżono — we Flats nie byłoby to niczym dziwnym — może grupa policyjna dotarła tam szybciej, niż się spodziewał. A kiedy go przyłapano w środku, musiał utorować sobie drogę. Co innego mógłby zrobić? Negocjować? Nie jest żadnym Henrym Kissingerem.

— A strzelba? Dlaczego ją porzucił?

— Ponieważ był w stresie i popełnił błąd. Tak, jest cwany, ale sprytni ludzie popełniają niedoskonałe zbrodnie. Ciągłe tak się dzieje. Dlatego się ich łapie. Morderstwa nie zawsze są popełniane z zimnym wyrachowaniem.

— Co z Raulem?

— Zapomnij o Raulu! Mówiłem ci, że były tysiące Rauli. To nie ma żadnego znaczenia.

Oparł stopę na kamiennym murku i popatrzył w stronę lotniska na drugim brzegu zatoki portowej.

— Świat jest strasznie popieprzony. Ludzie angażują się w coś i... — machnął z irytacją ręką — „...i komplikują wszystko. Robią różne rzeczy z powodów, których w ogóle nie rozumieją. Robią je w ogóle bez żadnego powodu. Wiem, że to twoje pierwsze morderstwo i chcesz wszystko wyjaśnić. Ale czasami nie można wyjaśnić wszystkiego, ponieważ nie można tak naprawdę zrozumieć innych ludzi. Ludzie są tajemniczy, cały świat jest tajemniczy. Nie możesz wiedzieć wszystkiego. Nikt tego od ciebie nie oczekuje. To nie jest książka. To jest prawdziwy świat.

Gittens był idealnym gliniarzem dla Mission Flats. Działał na skróty, a jego temperament doskonale nadawał się do tego miejsca, w którym nie istniały żadne ograniczenia. Jeżeli zasady nie pasowały, naginał je. Naginał fakty. I ogólnie rzecz biorąc, takie postępowanie dawało pożądane skutki. Bez ludzi takich jak Gittens system by się zakorkował. Ale dlatego też Gittensa trudniej było rozszyfrować niż Franny'ego Boyle'a. Z całą pewnością był też lepszym od niego pokerzystą. Blefowałem, mówiąc, że informacja ta pochodziła z akt Danziger'a. W rzeczywistości jej źródłem byli Vega, Braxton i Beck. Blefowałem, ale Gittens nie odkrył kart. W przeciwieństwie do Franny'ego Martin Gittens się nie odstąpił. Oburzył się, że sugeruję mu coś takiego.

— Co masz zamiar zrobić z tymi wszystkimi teoriami w sprawie Trudella? — zapytał.

— Nie jestem pewien. Wciąż nie wiem, kto strzelał. Może jednak Braxton?

Gittens podarł dokument o współpracy i rzucił skrawki do wody. Poczułem się urażony tym jego gestem, ale kiedy Gittens odezwał się znowu, zrozumiałem, iż podarł dokument dla mojego dobra. Niektóre tajemnice powinny pozostać tajemnicami.

— Uważaj na siebie — powiedział. — Są ludzie, którzy nie chcą ponownego otwarcia tej sprawy. Ważni ludzie.

— Słyszałem o tym. Ale nie mogę tak tego przerwać.

— W tej pracy trzeba umieć się wycofać we właściwej chwili. Nikt nie oczekuje od ciebie, że odpowiesz na każde pytanie, że będziesz podążał każdym tropem w nieskończoność. Nasza praca polega na rozwiązywaniu spraw, które mamy przed nosem. Potem należy przejść do następnych.

Gittens miał oczywiście rację. Zawsze pozostają jakieś tajemnice. Każde morderstwo zawiera setki małych zagadek — co robiła tam ofiara, dlaczego krzyknęła (albo nie krzyknęła), dlaczego zabójca porzucił broń, dlaczego zatrzymał się na miejscu zbrodni? Większość z nich jest nieistotna i śledczy uczą się je ignorować. Sprawę uważa się za rozwiązaną, kiedy zostanie ustalony podstawowy fakt — tożsamość zabójcy. Nie ma scen w salonie, w którym zgromadzono podejrzanych, a detektyw przedstawia wszystko wyjaśniające rozwiązanie. Gittens miał rację. Świat jest o wiele bardziej popieprzony.

Po rozmowie z Gittensem byłem gotów pogodzić się z tym, że jakaś niepewność zawsze pozostanie. Zapewne nigdy nie dowiemy się, czym Artie Trudell tak się gryzł kilka tygodni przed śmiercią. Może w ogóle nie ma to żadnego znaczenia. Frank Fasulo i sprawa Kilmarnock, Raul i czerwone drzwi, morderstwo Trudella, fakt, że zabójca poruszył zwłoki Danzigera, szukając czegoś — prawdopodobnie nikt nigdy nie pozna prawdy o tym i być może wcale nie jest to takie istotne. Zabójstwo Danzigera zostało wyjaśnione. Wszystkie dowody rzeczowe wskazywały na Braxtona. Reszta stanowiła po prostu szum informacyjny — pogłoski, plotki i donosy. Musiałem się z tym pogodzić.

Była jednak pewna tajemnica, której nie mogłem tak po prostu zostawić. Frank Boyle, jedyny ze świadków, który wciąż nie był jeszcze czysty. Zostawiłem Gittensa i pojechałem prosto do śródmieścia, żeby go znaleźć.

Zaparkowałem na Union Street i ruszyłem dalej na piechotę, obok Faneuil Hall i pomnika Samuela Adamsa, koło piętrzących się geometrycznych brył ratusza, by wyjść na otwartą przestrzeń City Hall Plaza.

To plac jedynie z nazwy. Jest zbyt wielki i bezkształtny, zbyt pusty jak na plac. Ma rozmiar czterech lub pięciu boisk futbolowych i cały wybrukowany jest czerwonymi cegłami. W takim miejscu człowiek mimo woli przyspiesza kroku, żeby przejść na drugą stronę.

Maszerowałem szybko po czerwonych cegłach w kierunku Cambridge Street. Rozmyślałem o Gittensie — czyżbym niesprawiedliwie go ocenił? — i o historii tego miejsca, gdzie pięćdziesiąt lat temu szajbnięty urbanista postanowił zrównać z ziemią stary Scillay Square i urządzić tę monochromatyczną pustynię. Nawet „Bomber” Harris nie był aż tak dokładny, równając z ziemią Drezno. Innymi słowy, w moim mózgu bulgotała zwykła myślowa papka. Dumiałem więc o wielu rzeczach i o niczym...

Nagle pod moimi stopami, niczym mina, eksplodował mały obłoczek ceglanego pyłu.

Najpierw przyszło mi do głowy, że ktoś rzucił kamień albo coś spadło z

budynku. W pobliżu jednak nie było nikogo, a najbliższy budynek znajdował się w odległości pięćdziesięciu metrów.

Usłyszałem świst, a potem coś uderzyło mnie mocno w lewe ramię. Ręka podskoczyła mi na wysokość piersi. Rękaw bluzy był rozerwany. Krwawiłem. Czułem tępy, narastający ból, który pojawił się z opóźnieniem, po pierwszej chwili niedowierzania.

Dopiero kiedy trzeci pocisk wzbił kolejną fontannę ceglanego pyłu, pogodziłem się z oczywistym faktem. Ktoś do mnie strzelał.

Włosy stanęły mi dęba na głowie. Bez chwili zastanowienia, całkiem instynktownie, zacząłem uciekać.

Pobiegłem najpierw w kierunku Cambridge Street, jak najdalej od strzałów. Ale jedynym schronieniem na tym cholernym placu było wejście do metra. Zawróciłem więc i popędziłem w tę stronę, chociaż w ten sposób zbliżałem się znowu do strzelca.

Wokół wejścia do metra tłoczyli się ludzie. Urzędnicy, którzy zakończyli długi dzień pracy. Odwrócili się, widząc, jak biegnę. Nie usłyszeli strzałów. Spoglądali na mnie, biegnącego w ich stronę mężczyznę z krwawiącym ramieniem — był to dziwny widok, ale nie dawał powodu do niepokoju. Yuppie w garniturze uśmiechnął się do mnie, jakby sądził, że może to jakiś żart.

Wciąż w biegu, wyciągnąłem i zarepetowałem pistolet. Był to filmowy numer, który mogłem sobie darować. Nie miałem pojęcia, skąd padają strzały, a poza tym jak mógłbym odpowiedzieć ogniem, jeżeli wokół mnie było tylu ludzi?

Widok mojej broni wywołał panikę.

Ludzie cofnęli się do wejścia do metra, a potem, kiedy hol wypełnił się, wypadli przez drzwi i rozbiegli się z krzykiem. Nie zadałem sobie trudu, żeby pokazać odznakę albo krzyknąć, że jestem gliną. Biegłem.

Dotarłem do wejścia do metra i oparłem się o ścianę. Ręka mi pulsowała, rękaw koszuli był nasiąknięty krwią.

Kasjer w budce przycisnął się do ściany. Z otwartymi ustami wpatrywał się w pistolet moim ręką.

— W porządku, jestem policjantem.

— Chce pan, żebym wezwał policję?

— Nie! — warknąłem. — Żadnej policji.

Zacisnąłem rękę dłonią, żeby powstrzymać krwawienie, i zacząłem segregować możliwości. Kto do mnie strzelał? Braxton? Jakiś inny gangster? Gittens? Bądź co bądź kilka minut wcześniej zdenerwował się, gdy zapytałem go o sprawę Trudella. Ale nic z tego nie miało sensu. Braxton uczynił mnie swoim powiernikiem. A Gittens, o ile wiedziałem, w dalszym ciągu był we Flats.

Podszedłem do okienka kasowego, jakby w czasie ostatnich sześćdziesięciu sekund nic się nie zdarzyło.

— Jeden poproszę. — Sięgnąłem do kieszeni po dolara na żeton, ale była pusta. — Jezu, nie mam gotówki. Przepraszam.

Kasjer patrzył wytrzeszczonymi oczami. Nie odkleił się jeszcze od ściany.

— Nie ma sprawy, stary — powiedział — możesz obejść bramki.

Zanim dotarłem do specjalnej jednostki dochodzeniowej, ból w ramieniu osłabł, ale rękaw i prawą dłoń miałem mokre od krwi. Gdy stanąłem w drzwiach, Caroline poderwała się z fotela.

— Ben! O mój Boże, co ci się stało?

— Myślę, że zostałem postrzelony.

— Myślisz?

— Tak sędzę. Nie zdarzyło mi się to nigdy dotąd. Pobiegła po apteczkę pierwszej pomocy, a potem usiedliśmy na jej sofie. Poleciała mi zdjąć kurtkę i zakrwawioną koszulę.

— Tylko cię drasnęło — powiedziała, zapewne żeby mnie uspokoić.

— Drasnęło? Zostałem postrzelony!

— Dobrze, Ben — oznajmiła — zostałeś postrzelony. Chciałam tylko powiedzieć, że wszystko jest w porządku.

— Caroline, nie rób tego.

— Czego?

— Tego co zawsze, kiedy chcesz postawić na swoim.

— Po prostu powiedziałam, że zostałeś postrzelony. Zgadzam się z tobą.

— Wiem, ale chodzi mi o sposób, w jaki to powiedziałaś.

Spojrzała na mnie, marszcząc czoło.

— Przepraszam. Staralam się pomóc. Masz rację, zostałeś postrzelony. — Wrzuciła gazę do apteczki, a potem powiedziała: — Jestem po twojej stronie, Ben. Pamiętaj o tym. — Popatrzyła mi w oczy, żeby zaakcentować swoje słowa.

— Przepraszam, jestem trochę roztrzęsiony.

Pocałowaliśmy się. Dopiero wtedy zrozumiałem, że jeśli Caroline Kelly zaakceptowała już kogoś, będzie stać u jego boku w najtrudniejszych chwilach. Tacy ludzie mają niewielu znajomych, ale nie brak im przyjaciół. Ukrywają swoje uczucia, ponieważ tak wiele kosztuje ich to, że oddają się tak całkowicie, i ponieważ nigdy, ale to nigdy nie wycofują się z tego. Jeżeli ma się szczęście, można w całym życiu spotkać jedną lub dwie takie osoby.

Caroline wyciągnęła z szuflady biurka bluzę i rzuciła mi ją. Z przodu miała logo policji miasta Boston i napis: „Pierwsza komenda policji w Ameryce”.

— Dzięki.

— Nie ma za co. Daję je każdemu, kto przychodzi tu z raną postrzałową.

Kiedy wkładałem bluzę, Caroline wzięła do ręki słuchawkę telefonu.

— Co robisz?

— Wzywam policję.

— Nie.

— Szefie Truman, nie bądź śmieszny. Musimy o tym zameldować.

— Wykluczone.

Popatrzyłem na nią tak wymownie, że odłożyła słuchawkę.

— Zaczynasz wpadać w paranoję. Dlaczego ktoś chciałby cię zastrzelić?

— Może nie lubią buraków.

— Nie jesteś burakiem — powiedziała lekkim tonem, żebym przypadkiem nie pomylił tego z komplementem.

— Chodzi o sprawę Trudella. Ktoś nie chce, żebym koło niej węszył. Czy Franny jest tutaj? Muszę z nim pogadać. Tylko on mi pozostał, a kłamie od samego początku.

— Jest u siebie w gabinecie.

Wstałem.

— Poczekaj — poleciła mi Caroline. Ponownie sięgnęła po słuchawkę.

— Powiedziałem, żadnych glin.

— Dzwonię do ojca.

— Dobra. W porządku. Sprowadź go tutaj.

— Ben, czy mogę ci coś zasugerować? Zawołaj Kurtha. Franny nie będzie niczego próbował w jego obecności. Nie ośmieli się.

— Jezu, Caroline! Nie uważasz, że ten facet jest nieco...

— Wiem, jest trochę dziwny. Ale Ben, jeżeli mamy tu jakiegoś gliniarza, któremu możesz zaufać, to jest nim właśnie Kurth.

Można było odnieść wrażenie, że Franny czekał na nas. W czasie tych kilku godzin, jakie minęły od chwili, gdy widziałem go po raz ostatni, zmienił się ogromnie. Siedział przygarbiony za biurkiem, wyglądał na wyczerpanego, chorego i rozpaczliwie smutnego. Odniosłem wrażenie, że może nawet płakał — jego twarz lśniła od potu, który wyglądał jak łzy. Jednak czułościowość tak nie pasowała do charakteru Franny'ego Boyle'a, że uznałem, iż jest po prostu pijany.

Nawet nie drgnął, kiedy pojawiliśmy się w drzwiach. Spojrzał po kolei na każde z nas — na mnie, Caroline, Johna Kelly'ego i Kurtha.

— Wygląda na to, że jest cała ferajna — powiedział. Między udami miał butelkę piwa. Podniósł ją, pociągnął łyk. — Chcecie trochę? Tylko nie mówcie szefowi. Bo nie da mi podwyżki. — Potem po jego twarzy przesunął się cień i przestał żartować. Udawanie wesołego nastroju wymagało zbyt wielkiego wysiłku, a poza tym po co miał się teraz wysilać? — Zastanawiałem się, ile czasu wam to zajmie.

— Franny — zacząłem — chcesz mieć adwokata?

— Ty znowu z tym adwokatem! Nie, nie chcę adwokata.

Jego wzrok przesunął się na ścianę za moimi plecami.

— Czy mówiłem ci kiedyś o moim pierwszym zabójstwie? Wtedy mieliśmy tu prawdziwych gangsterów, typy ze starego North End, a nie tych azjatyckich chłopaczków. Prawdziwe zakapiory. Moją pierwszą ofiarę znaleziono przywiązaną łańcuchem do słupa pod molo niedaleko Red Falcon Terminal, na nabrzeżu. Przywiązali faceta do słupa i zostawili, gdy zaczął się przyływ. Stara metoda. Nigdy tego nie rozgryźliśmy. Nikt nie chciał mówić. — Jeszcze bardziej obwisł w fotelu. — Przez cały czas myślę o tym gościu, przykuty, patrzy, jak woda się podnosi. Nic nie mógł zrobić. Tylko patrzeć. — Otarł z policzka niewidzialną łzę i popatrzył na mnie, jakbym był gdzieś bardzo daleko.

Odwróciłem wzrok.

Na biurku miał fotografię, która wisiała w gabinecie Danziger'a — specjalna jednostka dochodzeniowa, w takim składzie, w jakim powołano ją w połowie lat osiemdziesiątych. Zastępcy prokuratora okręgowego Bob Danziger i Franny Boyle, detektywi Artie Trudell, Julio Vega, Martin Gittens i kilku innych — obejmujący się ramionami, pewni siebie. Niczym załoga bombowca pozująca do zdjęcia na pasie startowym przed ostatnim feralnym lotem.

— Franny — ciągnąłem — Bob Danziger prosił cię o pomoc, prawda? Byłeś jednym ze świadków. Pozostałeś tylko ty i Julio Vega. Danziger chciał się zabrać za mordercę Artiego Trudella.

Cisza.

— Czy prosił cię o pomoc, Franny? A może miał zamiar wezwać cię do złożenia zeznań?

— Nie musiał wzywać — wymamrotał Franny. — Powiedział, że jestem to winien Artiemu. To wystarczyło. Rzecz w tym, że Danziger nie wiedział, za co się bierze, dopóki nie zaczęliśmy mówić. Teraz już wie. — Jego oczy błędziły w lewo i w prawo, zupełnie jakby obserwował mecz badmintona rozgrywający się gdzieś za moimi plecami. — Może skończę w ten sam sposób. Powiniennem był osiągnąć coś więcej.

Według Caroline Franny Boyle był w swoim czasie jednym z budzących największy lęk, najbardziej elokwentnych, najbardziej charyzmatycznych prokuratorów w Bostonie. Nigdy specjalnie nie dbał o obowiązujące w sądzie zasady i na polecenie prokuratora okręgowego pozwalano mu występować w poważnych sprawach tylko w obecności prokuratora apelacyjnego, mającego okiełznać go, gdyby zaczął szaleć. Jednak prawdziwą miarą talentu prawnika procesowego są wygrane sprawy, a Francis X. Boyle wygrywał je raz za razem. Później udowodniano, że skazał nawet niewinnych ludzi, ale jego zdaniem niewinność podsądnego jedynie podnosiła poprzeczkę.

Tego wieczoru — słońce już zaszło, pogrążając gabinet w półmroku do chwili, gdy ktoś włączył świetlówki pod sufitem — dostrzeegliśmy przebłysk talentu Franny'ego, kiedy pozbierał się na tyle, by móc opowiedzieć historię zabójstwa Boba Danzigersa, historię, która sięgała dwadzieścia lat wstecz. Franny przypominał sobie różne sprawy, dorzucał pogłoski, zasłyszane informacje, fakty, których nie mógł znać, być może manipulował nawet trochę materiałem dowodowym. Był taki jak zawsze, ale niewątpliwie umiał opowiadać. Musiał być cholernie dobrym prawnikiem, jeśli nawet pijany i załamany wciąż potrafił tak opowiadać. Sprawiał, że jak gdyby widziało się wszystko na własne oczy.

Frankie Fasulo musiał się mocno trzymać. Zgiętą w łokciu ręką obejmował stalową belkę, przyciskał ją do żeber, bo w przeciwnym razie wiatr wiejący przez most Tobin zdmuchnąłby go z poręczy, na której stał, porwałby do góry i nie miałoby znaczenia, czy ma odwagę, żeby skoczyć, czy też nie. Pierdolony wiatr! Wiatr jest jak żywy, jak w tych biblijnych historiach, gdy Bóg pojawił się Żydom w małym wirze burzy piaskowej. Pierdolony wiatr pcha go w plecy, próbuje zepchnąć z krawędzi. Chce, żeby przeleciał przez krawędź. Dlatego Fasulo obejmuje belkę. Nie ma rękawiczek, a stal jest kurewsko zimna, tak zimna, że parzy dłonie jak prąd elektryczny. Fasulo czuje zimno przez kurtkę, gównianą, oliwkowozieloną wojskową kurtkę z pacyfą na ramieniu. Zwinął ją z

ławki na stacji Trailways na St. James Ave, kiedy tamten hippis nie patrzył. Gdzieś tam trzęsący się z zimna hippisowski dupek zastanawia się, gdzie podziała się jego gówniana wojskowa kurtka z przypominającą cipkę pacyfą i nawet tu, na górze, Frank Fasulo ma z tego ubaw. Nic dziwnego, że pierdolone żółtki skopały nam dupę w Wietnamie. Te jebane wojskowe kurtki są gównem warte na mrozie! Fasulo usiłuje patrzeć prosto przed siebie, prosto na — co tam, kurwa, jest? Chelsea, Charlestown, jakieś pierdolone miejsca, całe oświetlone, a za nimi panorama Bostonu. Piękna. Zdaje sobie sprawę z tego, że jest kurewsko piękna. Próbuje się w nią wpatrywać, ale nie może zmusić oczu, żeby nie spoglądały w dół, na ciemność pod jego stopami, gdzie powierzchnia wody odbija maleńkie punkciki światła otaczającego ją miasta. Jak to daleko? Może kilometr? Czy most może mieć kilometr wysokości? Za dużo. Nie może tego zrobić. Nie może puścić stalowej belki, zrobić kroku do przodu, żeby zacząć spadać i spadać. Ale z drugiej strony nie może się cofnąć.

Jest dwudziesty marca 1977 roku, godzina czwarta sześć.

— Nie mogę! — wrzeszczy Fasulo, ale wiatr tu, na górze, jest tak silny, że chyba nikt go nie może usłyszeć. Krzyczy więc znowu: — Kurwa, nie mogę tego zrobić!

— Twój wybór, Frankie — odzywa się głos za jego plecami, spokojny i leniwy, ponieważ jebany dupek nie stoi jakiś kilometr nad pierdoloną rzeką Mystic.

Jezu, nogi Fasulo tak się trzęsą, że zaraz spadnie z wąskiej poręczy, na której stoi. Będzie się trząsł całą drogę, lecąc w dół, do tej czarnej wody. Ale jest tak cholernie zimno, że nie może zapanować nad mięśniami. Jego mięśnie są tak samo kurewsko przerażone jak cała reszta jego ciała.

— Schodzę!

— Twoja broszka, Frankie!

— Co się stanie, jak zejdem?

Brak odpowiedzi.

— Pytam, co się stanie, jak zejdem?

— Jak ci już powiedziałem, Frankie, dostajesz to, co sam dałeś. Ale jakoś się dogadamy. Nie jestem złym facetem. Nie każę ci obciągnąć mi fiuta, dobra? Nie zafunduję ci tego wszystkiego, co zrobiłeś temu glinie, rozumiesz, Frankie?

— Ja nie zrobiłem...

— Czego nie zrobiłeś, Frankie? No powiedz, czego nie zrobiłeś?

— Nie zrobiłem tego!

— Tylko mi, kurwa, nie kłam, Frankie! Tylko, kurwa, nie kłam!

— Dobra, dobra, zrobiłem! Zrobiłem! Nie powinno go tam być! Po prostu chcieliśmy forsy! Nie powinien tam wchodzić! Co niby mieliśmy zrobić?

— Nie mogę już słuchać tego pierdolenia, Frankie. Rób, co chcesz, tylko już nie gadaj, dobra? Daję ci wybór, Frankie. A ty nie dałeś wyboru temu glinie. Ten gliniarz był moim przyjacielem, Frankie, wiedziałeś? Nawet nie wiesz, jak się nazywał, prawda? Wiedziałeś, że był moim przyjacielem?

— Nie wiedziałem.

— A powinieneś wiedzieć, zanim wetknąłeś mu fiuta w usta, Frankie.

— Nie wiedziałem!

Fasulo znowu patrzy w dół. Może nie będzie tak źle. Wielu facetów zginęło, budując most Tobin, wszyscy o tym mówią. Niektórzy z nich spadli nawet do płynnego betonu i zostali wmurowani w most — czy ludzie nie opowiadają takich rzeczy? A może mówią to o każdym pierdolonym moście? Co się czuje, spadając? I kim jest ta jebana świnią? Jak mnie, kurwa, znalazł? Ktoś mnie zakablował, jakiś pierdolony skurwiel. Zabiję tego skurwiela, kimkolwiek jest. Nie, nie zabiję, bo nie mogę zejść z tego jebanego mostu...

— No, dalej, Frankie, nie mamy czasu. I jak będzie?

— Nie mogę!

— Możesz.

— Nie mogę!

— No to nie. Złaż stamtąd.

— Co? Chcesz powiedzieć, że to koniec?

— Tak, złaż Frankie. Po prostu zejdz.

Frankie słyszy, jak gliniarz repetuje pistolet. Ten dźwięk — metaliczny, bezwzględny — wwierca się w bębunki jego uszu, jakby pistolet znajdował się tuż obok niego.

— No, dalej, Frankie. Twój wybór. Chcesz, żebym ja to zrobił, czy wolisz sam?

— To niesprawiedliwe!

— Nie mów mi o sprawiedliwości, Frankie. Uwierz mi, to jest sprawiedliwe.

Głęboki oddech — zapach zimna, jego metaliczny smak na czubku języka. Fasulo pochyła się nieco do przodu, na tyle, aby utracić równowagę, zaczyna okręcać się wokół słupka, trzymanego lewym ramieniem, obracać się wokół niego, jakby to była lampa uliczna — krok do przodu i nagle nic już pod nim nie ma. Wiatr porywa go, unosi...

Frankie leci...

A potem zaczyna spadać...

Spada i spada...

To wcale nie jest takie złe uczucie. Różne myśli przebiegają mu przez głowę. Wiatr jest taki głośny, kłuje w uszy i policzki stalowymi szpilkami, zadziera mu

nogawki spodni nad kostki, włosy smagają go po oczach. Jego ciało zaczyna koziółkować, a wiatr zrywa mu kurtkę...

A na moście Martin Gittens — po cywilnemu — ze spokojną twarzą, starannie zabezpiecza berettę i chowa ją do kabury, ponieważ jest już po wszystkim i w taki sposób miało się to skończyć. Nikt nie musi mu mówić, co trzeba zrobić...

Tylko jego partner, Artie Trudell, rudzielec z twarzą jak księżyc w pełni, kula ciasta, stoi i patrzy w stronę miejsca, w którym Frank Fasulo, gwałciciel gliniarza i jego zabójca, zniknął za krawędzią — patrzy, jakby jakiś cudowny wiatr miał podchwycić Franka Fasulo i przenieść go z powrotem na most.

— **Kurth, piszesz to wszystko?**

Kurth skinął głową. Gryzmolił gorączkowo w notesie, starając się nadażyć za Frannym.

— Mogę wszystko to jeszcze raz powtórzyć.

— Nie martw się o mnie, Franny — oświadczył Kurth. — Mów dalej.

— Nie chciałbym, żebyś coś opuścił. Każdy z tych, kto słyszał tę historię, kiedy nadchodził dzień spotkania z ławą przysięgłych, jakoś nie mógł się na nie stawić. — Wykrzywił się do nas w lekkim uśmiechu, aby upewnić się, że zrozumieliśmy aluzję. Wcześniej czy później każdy z nas mógł zostać wciągnięty do tego *danse macabre*.

Dziesięć lat. Tyle czasu trwało, zanim Artie Trudell uznał, że nie może dłużej znieść wspomnienia Franka Fasulo przekraczającego krawędź mostu Tobin. Dziesięć lat ciągłego rozpamiętywania tej chwili. Dziesięć lat, w czasie których widział Fasulo na poręczy, trzymającego się belki i starającego się przekrzyczeć wiatr: „Nie mogę!” A potem robiącego krok. Nie, najpierw pochylił się, Artie Trudell dokładnie to pamiętał, pochylił się jak zawodnik przed skokiem z wieży, kiedy lekko skłania do przodu tors, zawisa, przedłuża chwilę chwiejnej równowagi i wreszcie ulega coraz silniejszemu działaniu grawitacji. A potem Fasulo obrócił się, wciąż trzymał się belki, nie mogąc się zmusić do zrobienia kroku, jego ręka ześliznęła się z belki i zniknął za krawędzią. Artie Trudell nie mógł się ruszyć z miejsca. Nie mógł odwrócić oczu od miejsca na poręczy, gdzie jeszcze przed chwilą stał Fasulo. Nie widział więc spadającego człowieka, ale nie zostały mu oszczędzone takie wizje. Nie, to jedynie skłoniło jego wyobraźnię do tworzenia niekończących się, wywołujących zawrót głowy obrazów — koziółkowania, opadania po spirali w czarną pustkę pełną gwiazd... Trudell zawsze budził się, zanim Frank Fasulo wpadł do wody.

Dziesięć lat.

Najpierw żył w szoku, cała sprawa wydawała mu się nierzeczywista. Wspomnienie było zbyt ostre, zbyt silne. Trudell zepchnął je w głąb, do tej samej

czarnej dziury, w której trzymał inne swoje upiory. Wyparł je, jak mogliby powiedzieć później fachowcy.

A potem wspomnienie zaczęło wygrzebywać się z tej dziury. Trudell poszedł do Gittensa, ponieważ nikt inny nie mógłby uspokoić jego wyrzutów sumienia. I Gittens przypomniał mu, co Fasulo zrobił. Gwałt, morderstwo. I nie chodziło tylko o gliniarza z Kilmarnock, choć już samo to było wystarczająco paskudne. Frank Fasulo był złym człowiekiem. Dostał to, na co zasłużył. Kto wie, ile istnień ludzkich udało się dzięki temu ocalić. Martin Gittens twierdził, że śpi jak nowo narodzone dziecko, śpi snem sprawiedliwego. Te sesje psychoterapeutyczne początkowo odnosiły skutek. Uspokajały Trudella i pozwalały mu zająć się służbą, najpierw jako policjant z patrolu, potem detektyw wydziału antynarkotykowego we Flats, gorącej strefie, gdzie każdy chciał trafić. Sektor A-3 Narkotyki — Mission Flats. Mały Bejrut, jak nazwali tę dzielnicę gliniarze. Kto wie, czy tego gorącego lata 1987 roku nie była gorsza od prawdziwego Bejrutu? Czy Gittens nie torował drogi Trudellowi? Nawet Julio Vega — wiedzący więcej o wydziałowej polityce niż sam komisarz, Vega, który zawsze z zazdrością patrzył na ludzi zajmujących wyższe niż on stanowisko — nawet Vega uważał Gittensa za godnego zaufania. A więc jeśli Gittens twierdzi, że należało tak postąpić, niewątpliwie ma rację. Kropka.

Jednak tego lata 1987 roku Trudell znów zaczął myśleć o Franku Fasulo. Od dawna unikał mostu Tobin. Kiedy czasem musiał udać się na North Shore, robił długi objazd szosą 128, obwodnicą biegnącą wokół Bostonu. Był jednak inny most, którym Trudell musiał przejechać, nie mógł go ominąć. Most Sagamore, jeden z dwóch łączących Massachusetts z Cape Cod. Sagamore jest wysokim mostem, o wiele ładniejszym niż zaprojektowany w latach trzydziestych Tobin, łączącym oba brzegi kanału Cape Cod. I czy nie było zezowatym szczęściem Artiego Trudella, że jego teściowie mieszkali w Dennis? Że jego żona upiera się, aby jeździć na przylądek ze względu na dzieciaki? Trudell wykręcał się od większości tych wizyt. W lecie brał dodatkową służbę, a potem tłumaczył się żonie, że nie ma czasu na wycieczki na Cape Cod. Jest jednak zbyt wiele weekendów, by udało się całkowicie uniknąć wyjazdów. W końcu żona zaczęła narzekać: „Nigdy nie będziesz miał wolnego dnia, Artie? Ani jednego? Czy jesteś jedynym gliniarzem w Bostonie?” I Artie Trudell — który, choć tak duży, nie lubił walczyć — musi stawić czoło przejazdowi przez most Sagamore. Dwa razy w czasie każdego wyjazdu — tam i z powrotem. Powodują one niepokój, który Trudell nie bardzo jest w stanie wytłumaczyć. Zajrzał nawet do słownika nerwic, biblii dla szajbusów. Właściwą nazwą tego przypadku jest gefyrofobia, czyli lęk przed przekraczaniem mostów, i niepokoje Trudella są niczym w porównaniu z

przypadkami opisanymi w książce. Są ludzie — zupełne szajbusy — którzy nawet nie mogą znieść widoku mostu. Ale jego most jest też wystarczająco realny. Artie staje się poirytowany, zdekoncentrowany, poci się, zwłaszcza gdy korki na drodze zmuszają go, by przebywał na moście piętnaście, dwadzieścia minut. Z lękiem myśli o jeździe do domu i nie może spać w nocy poprzedzającej wyjazd. Teraz, w lecie 1987 roku, jego stan się pogorszył, bardzo pogorszył, ponieważ każdy przejazd przez most budzi wspomnienia Franka Fasulo. Każda podróż na przylądek z wizytą u cholernych teściów, każdy przejazd po moście Sagamore wywołuje kolejną porcję snów, niepokoju, pocenia się w nocy. I wizji. Frank Fasulo pochylający się do przodu jak zrąbane drzewo. Fasulo kręcący się wokół filaru mostu niczym Gene Kelly wokół lampy ulicznej w *Deszczowej piosence*. Fasulo nurkujący w dół z ogromną prędkością... W lipcu Trudell prawie nie mógł spać, a poczucie winy oraz zmęczenie całkiem go wykończyły. Artie miał wrażenie, że ucieka z niego życie.

W tym samym czasie zdaje sobie sprawę z prawdy. Popełnił morderstwo. Uświadomienie tego faktu nie przychodzi nagle, jak grom z jasnego nieba. Być może zawsze o tym wiedział, tylko nie chciał tego dostrzec. Nie da się jednak zaprzeczyć — jest mordercą. Albo współnikiem, współpiskowcem, współautorem, czy jak tam prawnicy zechcą to nazwać. Samo słowo właściwie nie ma tu znaczenia. Bez względu na to, jaką etykietkę przykleją prawnicy, Trudell wie, że jest mordercą. Wie też, że nie może już dłużej żyć z tą tajemnicą.

Jest poniedziałek, trzeci sierpnia 1987 roku. Dwa tygodnie do nalotu na mieszkanie z czerwonymi drzwiami.

— Mam zamiar zobaczyć się z Frannym — oznajmia Trudell.

Gittens nie reaguje. Patrzy na Artiego Trudella i widzi, że jest on u kresu wytrzymałości. Wygląda paskudnie. Wokół oczu ma czerwone obwódki, cerę bladą jak kreda. Gittens nie chce go spłoszyć.

— Nie wiem, co mam zrobić, Martin. Zabiliśmy tego faceta.

— Ciii, mów trochę ciszej.

Są w szatni posterunku w sektorze A-3, ponurej jak piwnica, która śmierdzi niczym szatnia przy sali sportowej. Podłoga z pomalowanego betonu. Nad głowami mruczą świetlówki. Jedenasta w nocy, pomieszczenie jest puste. Mimo to Gittens i Trudell zachowują się tak, jakby byli w tłumie ludzi. Siedzą na ławkach naprzeciwko siebie, pochyleni do siebie i mówią szeptem. To A-3, hotel Gęba na Kłódkę. Tutaj sami załatwiamy nasze problemy — i każdy, kto spojrzy na Artiego Trudella, zda sobie sprawę, że ma on bardzo wielki problem.

— Martin, nie wiem, co robić. — Trudell ściska głowę dłońmi, jakby chciał

wydusić z niej myśli o zamordowanym kiedyś człowieku. — Nie wiem, co robić.

Gittens ujmuje Trudella za przeguby i odciąga ręce od jego głowy.

— Daj spokój, Artie, przestań.

— Jezu, Martin!

— Co jest, Artie?

— Byłem ministrantem!

— No cóż, pewnie już nie dostaniesz tego zajęcia.

— Jestem mordercą. Zamordowaliśmy go.

— Nie. Już o tym mówiliśmy. To nie było morderstwo, Artie. Wiesz, co czekało tego gościa? Zostałby złapany i poszedłby na dożywocie do Walton. On już był martwy. Nie można zabić kogoś, kto jest już martwy.

— Nie wierzę w to.

— Artie, gdybyśmy tego nie zrobili, facet mógłby żyć jeszcze dzisiaj. Czy uważasz, że po tym, co zrobił, byłoby to słuszne? Mógłby nawet dostać zwolnienie warunkowe, pomyśl o tym, Artie. Jego adwokat powiedziałby, że był naprany, i przekwalifikowaliby to na drugi stopień, a to jest tylko piętnaście lat do warunku. Chciałbyś być tego świadkiem, Artie? Chciałbyś widzieć Fasulo z powrotem na ulicy, podczas gdy gliniarz, którego zabił, wciąż jest martwy? To nie byłoby sprawiedliwe, prawda?

— Ja też czuję się jak martwy.

Trudell wygląda tak, jakby miał się za chwilę rozpłakać.

— Ciii, ciii. Daj spokój, przestań. Daj spokój, Artie, musisz się wziąć w garść — uspokaja go Gittens.

— Mam zamiar zapytać Franny'ego, co robić.

— Błąd.

— Nie obchodzi mnie to.

— Będzie cię obchodziło, Artie. Jak myślisz, co ci powie? Myślisz, że możesz wejść do prokuratora okręgowego, przyznać się do morderstwa, a potem po prostu sobie pójść? Pomyśl, w jakiej sytuacji go postawisz. Nie rób tego Franny'emu. Będzie musiał o tym zameldować. Odsuną nas obu. Będą musieli.

— Już mnie to nie obchodzi.

— Nie? Chcesz być mordercą?

— Powiemy, że działaliśmy pod wpływem emocji.

— Andrew Lowery ma głęboko w dupie wpływ emocji. Tak samo przysięgli. Załatwią nas za to. To się nazywa morderstwo pierwszego stopnia, przyjacielu. Dożywocie, bez zwolnienia warunkowego. Chcesz siedzieć w Walpole do końca życia. Tego właśnie chcesz? Masz żonę, dwójkę dzieci. Jak możesz chcieć iść do Walpole na dożywocie?

Trudell nie odpowiada.

— Musisz wziąć się w garść, słyszysz? Nikogo nie zamordowaliśmy.

— Ja nikogo nie zamordowałem — poprawia go Trudell.

Gittens spogląda gniewnie.

— Po prostu tam stałem. To ty miałeś pistolet.

Gittens milczy.

— Po prostu stałem, Martin. Nic nie zrobiłem.

Cisza.

— Tylko tak mówię — wycofuje się Trudell.

— Posłuchaj, Artie, nie gadaj tak. Myślisz w niewłaściwy sposób. Musimy się trzymać razem.

Brak odpowiedzi.

— Artie, obiecaj mi tylko, że nie zrobisz nic, dopóki ze mną nie porozmawiasz, dobrze? Dajesz słowo? Możesz mi obiecać, że nie powiesz nic Franny'emu ani nikomu, dopóki nie porozmawiamy znowu? Proszę cię tylko o to. Możesz mi dać słowo?

Trudell kiwa głową na znak zgody.

— Chyba tak. Ale nie może się to ciągnąć długo. Nie dam rady.

Gittens przygląda się Trudellowi, a potem mówi ze współczuciem:

— W porządku, olbrzymie. Tylko się trzymaj, dobra? Coś wykombinujemy. Tylko nie zrób żadnego głupstwa. Daj mi czas, żebym coś wymyślił.

— Przyszedł do ciebie?

— Tak, przyszedł — odparł Franny.

— I co?

— Opowiedział mi wszystko, tak jak ja opowiedziałem wam. Oświadczył mi, że jest mordercą. I co miałem z tym zrobić? — Franny pulchnymi palcami ugniała swoje policzki. — Musiałem mieć czas, żeby wszystko przemyśleć. Powiedziałem Artiemu, że postąpił słusznie, przychodząc do mnie. Jednak w głębi duszy nie byłem tego pewien. Nie byłem pewien, czy w ogóle chcę o tym wiedzieć. Artie miał rację. Był mordercą. Moglibyśmy go oskarżyć, jasne. Tak więc przyszedł do mnie jak do przyjaciela po pomoc, a co ja miałem zrobić? Powiedziałem, że obmyślę najlepszy sposób załatwienia tej sprawy i przyjdę do niego, ale powinien również wziąć sobie adwokata. Ostatecznie to od prokuratora okręgowego, Lowery'ego, zależało, czy oskarżyłby ich obu, czy tylko Gittensa. Nie wiedziałem, co robić.

Jego spojrzenie znowu skierowało się na zdjęcie na biurku.

— Wahałem się.

Artie Trudell czuł, że coś jest nie tak. Narastał w nim niesprecyzowany

niepokój związany z tym nalotem. Niby wszystko było tak jak zwykle. Dochodzenie, nakaz, przyływ adrenaliny, gdy zespół czekał przed czerwonymi drzwiami — razem z Julio Vegą przeszedł już przez pięćdziesiąt, może nawet sto albo i więcej takich drzwi. Wojny narkotykowe szalały we Flats od tak dawna, że naloty takie jak ten stały się codziennością. Nawet niewidzialna obecność Harolda Braxtona i jego wrednej bandy nie jest powodem niepokoju Trudella. Miał już do czynienia z Oddziałem Mission. We Flats wszyscy mają z nim do czynienia. Poza tym Braxton jest biznesmenem. Nie będzie walczył w obronie tego miejsca. Nie zostawi tu żadnego ze swoich oprychów. Poświęci mieszkanie i przeniesie się gdzie indziej. Tak się właśnie dzieje z dziuplami gangu. Gliniarze odcinają jedną rękę, wyrasta druga, odcinają nogę, i ta również odrasta. Zawsze i ciągle, na wieki wieków amen. Trudella niepokoi coś bardziej nieuchwytnego, niedającego się określić słowami. Jakieś niesprecyzowane złe przeczucie, które każe ludziom zrezygnować z lotu samolotem albo wsłuchiwać się w odgłosy kroków. Coś wisi w powietrzu.

A może to ten sam szum, który dźwięczy wciąż w głowie Trudella, hałas w tle, który zagłusza każdą inną myśl: Frank Fasulo, gefyrofobia, most Sagamore? Morderca. Oczywiście Gittens znajdzie jakieś wyjście z tej sytuacji. Gittens wciąż mu pomaga się wykręcić, pomaga zachować pozory. W końcu to właśnie Gittens doprowadził do tego nalotu, gdy przekazał Trudellowi i Vedze cynk od Raula. Czyż Gittens nie pomagał zawsze Trudellowi robić kariery, czy nie robił tego od czasu, kiedy on i Vega przyszli do wydziału narkotyków? Czyż Gittens nie potrafił zawsze znaleźć jakiegoś wyjścia?

Stop! Trudell musi uspokoić napływ myśli. Przez następne dziesięć minut musi zapanować nad swymi emocjami. Po nalocie może wrócić do rozważań o Franku Fasulo, ale teraz ważne jest tylko jedno — przejść przez te drzwi i wrócić żywy do domu. Ta chwila stanowi największe niebezpieczeństwo dla każdego gliniarza i Artie Trudell dobrze o tym wie. Taki szum może go zabić. A może Artie tego właśnie chce?

Upał. Trudno oddychać wilgotnym powietrzem. Trudell nie jest stworzony do takiego gorąca. Ubranie lepi mu się od potu. Ma mokrą twarz. Mokre dłonie. Pot spływa rowkiem między pośladkami. Załatwmy to wreszcie, myśli. Załatwmy to i wracajmy na posterunek, gdzie jest klimatyzacja.

On i Vega stoją po przeciwnych stronach drzwi, przywarci plecami do ściany. Vega wskazuje ruchem głowy czerwone drzwi, jakby chciał powiedzieć: paskudne drzwi, Artie.

Trudellowi udaje się uśmiechnąć. Kiedyś był z niego luzak. Wielki żartowniś. Teraz, patrząc na partnera, napina bicepsy: żaden problem, jeszcze nie zrobili

wystarczająco mocnych drzwi.

Gliniarze z grupy uderzeniowej zaczynają się denerwować. Niebezpiecznie jest tak tu tkwić. Powinni albo ruszać, albo odwołać wszystko. Trudell czuje ich napięcie. Wszyscy wiedzą, że Vega i on nigdy dotąd nie dowodzili nalotem. Wszyscy obserwują, żeby się przekonać, jakimi okażą się przywódcami.

Vega kiwa głową.

Trudell staje przed drzwiami, zdejmuje czarny taran z ramienia i chwyta za dwie rączki. Wypełniona betonem rura jest niewiarygodnie ciężka, nawet dla niego. Przypomina torpedę, którą ma właśnie załadować do wyrzutni.

Vega odlicza: pięć palców, cztery palce, trzy, dwa — gdy zostaje jeden, wskazuje nim na Trudella.

Buum!

Taran wstrząsa drzwiami. Cały dom się trzęsie.

— Dalej, wielkoludzie! — mruczy Vega.

Buum!

Pot ścieka po twarzy Trudella, ale nie ma swobodnej ręki, żeby go wytrzeć. Wpływa mu do oczu. Trochę szczypie. Artie odдыcha głęboko. Wal w jedno miejsce! Uderzaj w to samo miejsce, aż ustąpi! Znajduje punkt na czerwonych drzwiach, mniej więcej na wysokości ramion. Skupia na nim uwagę...

Drzwi zaczynają pękać...

Jeszcze jedno uderzenie w to miejsce...

Szczelina...

Po drugiej stronie drzwi taka sama szczelina... małe pęknięcie w drewnianej płycie...

Dokładnie tam, gdzie stoi Martin Gittens ze strzelbą, śrutówką Mossberg 500 — jej lufa znajduje się parę centymetrów od czerwonych drzwi.

Gittens ma na dłoniach białe, jubilerskie rękawiczki, żeby nie zatrzeć odcisków palców, które są już na strzelbie. Oczywiście, są to odciski palców Braxtona. Broń została mu zabrana dziewięć miesięcy temu. Gittens będzie musiał ją przeładować pomiędzy strzałami. To oznacza, że zdoła strzelić raz, może dwa razy. A potem musi spadać.

Spogląda wzdłuż lufy na szczelinę w drzwiach. Na tej wysokości znajduje się taran — a piętnaście centymetrów wyżej — nie, jeszcze wyżej, bo Artie Trudell jest tak cholernie wielki — dwadzieścia centymetrów nad tym punktem... Buum! Drzwi znowu dygoczą, a cały budynek się trzęsie. Podłoga pod nogami Gittensa wibruje od uderzenia.

Gittens unosi strzelbę, żeby wycelować prosto w głowę Artiego Trudella, wstrzymuje oddech i płynnie naciska spust.

— **Podejrzałem to już wówczas** — mówi nam Franny — nie byłem pewien, ale miałem takie podejrzania. Artie powiedział mi, co Gittens zrobił z Fasulo. A tej nocy Gittens tak szybko znalazł się przy czerwonych drzwiach i skoczył do nich bez namysłu... Miałem wątpliwości, ale trzymałem język za zębami, ponieważ mimo wszystko wydawało się, że to Braxton. Teraz jestem pewien. Vega nie żyje i nie mam wątpliwości, że to Gittens zastrzelił Artiego.

— A Raul? Kim był Raul?

Franny wzruszył ramionami.

— Może Raul był, a może nie. Może Gittens dostał cynk od jakiegoś szczura i wykorzystał go, żeby zastawić pułapkę na Artiego. Ale co za różnica. Strzelał Gittens i tylko to ma znaczenie. Kto wie, może Raulem był Braxton. Przez cały ten czas Gittens miał wszystkowiedzącego kabla we Flats i przez cały ten czas Braxton był w stanie wywinąć się od wszystkiego. Z całą pewnością wygląda to tak, jakby ktoś go chronił. Nigdy nie poznamy prawdy o Raulu.

— Powiedziałeś w sądzie, że cała historia o Raulu jest prawdą.

— Jestem prawnikiem. Wiem tylko to, co mówią mi moi świadkowie.

— Pierdoły — mruknął John Kelly, który w milczeniu wysłuchał całej opowieści Franny'ego. — Gittens kłamał, a ty szedłeś mu na rękę. Wiedziałeś, że coś jest nie w porządku, ale łatwiej było oskarżać Braxtona, posługując się kłamstwami, niż domyślić się, o co naprawdę chodziło Gittensowi.

Spoglądał na Franny'ego z pogardą.

— Ja... — Franny umilkł. Uszła z niego cała energia, która pomogła mu przebrnąć przez tę historię. Od 1987 roku Franny'ego Boyle'a nieustannie zsuwano po równi pochyłej. — Jeżeli będziecie chcieli, żebym zeznawał — powiedział — zrobię to. Przyrzekłem to samo Danzigerowi.

— Chcesz, żeby zwinąć Gittensa? — Kurth zwrócił się do Caroline.

Pokręciła przecząco głową.

— Mamy trzy morderstwa i żadnego dowodu. Nie ma świadka, który znajdował się na moście tej nocy, kiedy został zamordowany Fasulo. Vega nie żyje i nikt nie może opowiedzieć nam o nocy, w czasie której zginął Trudell. I nie ma nikogo, kto znajdowałby się w tej chacie, kiedy zastrzelono Danzigera. Trzy morderstwa, żadnych świadków. Detektyw Gittens idealnie zatarł ślady.

— Mamy jednego świadka — powiedziałem. — Harolda Braxtona.

Chelsea, stan Massachusetts, tuż za granicami Bostonu, godzina 6.34

Czekaliśmy na nich na zdewastowanym parkingu. Za naszymi plecami wznosił się na wysokość trzydziestu metrów most Tobin, szkielet z dźwigarów zwieńczonych kręgosłupem jezdni. Dick Ginoux, który poprzedniej nocy przyjechał policyjnym bronco z Versailles, stał razem z nami. Przytupywał lekko dla rozgrzewki i sprawiał wrażenie trochę zagubionego. Kelly miał na sobie tę samą co zazwyczaj flanelową kurtkę, ale tego ranka przypiął sobie do kieszeni na piersi małą sześcioramienną gwiazdę: „Funkcjonariusz, komenda policji Versailles”. Kręcił pałką i gwizdał pod nosem. Może taką nonszalancją chciał mnie uspokoić, a może naprawdę się nudził. Jeżeli o mnie chodzi, z trudem powstrzymałem nerwowy uśmiech. Cała sceneria przypominała mi wymianę szpiegów z powieści o zimnej wojnie. W bronco znalazłem swoją mundurową kurtkę z wyhaftowanym napisem: „Szef Truman”.

Nie rozmawialiśmy wiele. Niebo było szare jak popiół, powietrze bardzo mroźne jak na listopad. Przez długi czas słychać było jedynie ruch uliczny na moście wysoko nad nami, pogwizdywanie Kelly’ego oraz plaśnięcia jego pałki.

Oczywiście Dick podchwycił melodyjkę i zaczął śpiewać cicho:

— „Szukam czterolistnej koniczyny, którą przegapiłem wcześniej. Pierwszy listek jest na słońce, a drugi na deszcz...”

— Dick!

— Och, pozwól mu śpiewać, szefie — powiedział Kelly. — I tak nie ma nic lepszego do roboty.

— No, Ben — zachęcił mnie Dick. — Dołącz do mnie.

Również Kelly zaczął śpiewać baranim głosem. Nie wiadomo było, czy śmiać się, czy płakać.

Poddałem się i zaśpiewałem razem z nimi ostatnią zwrotkę.

Kelly spojrzał na mnie z uznaniem.

— Brawo, chłopcze — powiedział.

Była już prawie siódma, kiedy na parking wjechał czarny mercedes Becka. Wysiedli z niego Beck i Braxton. Harold miał na sobie obszerną bluzę z kapturem, a na niej skórzaną kurtkę Avirex. Popatrzył na nas ponuro.

Ruszyłem do przodu, ale Kelly złapał mnie za rękę.

— Jesteś tu najstarszy stopniem — przypomniał mi. — Pozwól, że ja to zrobię.

Obszukał Braxtona, recytując jednocześnie znaną litanie:

— Haroldzie Braxton, jesteś aresztowany za morderstwo Roberta

Danzigera. Masz prawo zachować milczenie. Masz prawo do obecności adwokata w czasie przesłuchań. Masz prawo...

Braxton stał z podniesionymi rękami i patrzył na mnie wściekle, oburzony tą procedurą. Jego wzrok mówił, że w głębi serca się nie poddaje. Nie przyjmuje do wiadomości naszej władzy ani swojej bezsilności.

Kelly ściągnął ręce Braxtona w dół, żeby skuć mu je na plecach.

— Szefie Truman — wtrącił się Beck — czy to konieczne, żeby jechał aż do Maine z rękami na plecach? Czy nie można by go skuć z przodu? To długa podróż.

Braxton spuścił wzrok. Nie chciał brać udziału w pertraktacjach o ulgowe traktowanie.

Skinąłem głowę. Kelly rozpiął kajdanki Braxtonowi i skuł mu ręce z przodu, a potem zaprowadził go na tylne siedzenie bronco. Było to aresztowanie, o którym marzył każdy gliniarz w mieście, ale nie sprawiło mi szczególnej przyjemności.

— Jutro rano zatrzymany zostanie postawiony w stan oskarżenia — powiedziałem stłumionym głosem.

Beck skinął głową i odwrócił się, by odejść.

Po raz ostatni spojrzałem na most — ten sam, z którego dwadzieścia lat temu skoczył Frank Fasulo. Odsłonięta konstrukcja, kilometry dźwigarów i belek. Rury, kable, studzienki ściekowe. Zupełnie jakby zdjęto skórę i odsłonięto szkielet miasta, jego pulsujące żyły, systemy rozrodcze. Miałem dosyć tego wszystkiego.

— Załatwione — powiedziałem do Kelly'ego i Dicka. — Jedźmy do domu.

Byłem poza Versailles zaledwie siedemnaście dni, ale odnosiłem wrażenie, że moja nieobecność trwała znacznie dłużej. Po długiej podróży zazwyczaj czujemy się trochę obco we własnym domu. Zauważamy nowe szczegóły. Odnajdujemy piękno ulicy, parku czy budynku, którego jakoś nie dostrzegało się wcześniej. Jest to szok wywołany zetknięciem z czymś znajomym, wstrząs, który czujemy niekiedy, gdy widzimy żonę czy kochankę stojącą na rogu ulicy i przez ułamek sekundy patrzymy na nią oczami obcego człowieka. Dopiero wtedy zdajemy sobie sprawę, jak jest cudowna. Versailles wydawało mi się absolutnie piękne, nawet te części miasta, o których wiedziałem, że wcale piękne nie są.

Z zachodu, od wzgórz nadciągały burzowe chmury. Ich wygląd zapowiadał chłodny zimowy deszcz. Pora oglądania liści się skończyła, turyści wyjechali. Nadszedł czas na zimę.

Grupka dzieciaków grała na trawniku w piłkę, nie przejmując się chmurami.

Na Central Street, przed Sową, stali Jimmy Lowens i Phil Lamphier, paląc papierosy i spoglądając w niebo. Jimmy pomachał mi ręką. Wkrótce zacznie opowiadać, że wróciłem z aresztowanym czarnym chłopakiem, i przed obiadem będzie już o tym wiedziało całe miasto. Też dobrze. Oszczędzi mi to kłopotów z ogłaszaniem tej wiadomości.

Na posterunku zaprowadziliśmy Braxtona do celi. Bez względu na wątpliwości, jakie mógłbym mieć w kwestii jego winy, wciąż był podejrzany o morderstwo. Należało przestrzegać procedury.

Potem Kelly, Dick Ginoux i ja stanęliśmy na chwilę w drzwiach posterunku.

— O rany — powiedział Dick — ale lunie!

— Może poszedłbyś do domu, Dick? Posiedzę z nim.

— Nie, szefie.

— Poradzę sobie. Idź.

Popatrzył na mnie uważnie.

— W porządku, Ben. Skoro tak mówisz.

— Dziękuję za pilnowanie spraw, kiedy mnie tu nie było.

Dick odwrócił wzrok.

— Wpadnę później, żeby sprawdzić. — Wychodząc, skinął głową Kelly'emu.

— Cóż, wygląda na to, że wróciłeś do domu, Benie Truman — westchnął Kelly.

— Chyba tak.

— Chcesz, żebym objął pierwszą wartę?

— Nie, panie Kelly, sądzę, że nadszedł czas, aby pan też pojechał do domu.

— Do domu?

— Jest pan na emeryturze, pamięta pan?

— Ano, tak...

— Nie pozostało już nic do roboty. Teraz to sprawa Bostonu. Zgarną Gittensa, jeżeli już tego nie zrobili. Tutaj pozostała tylko służba wartownicza. Rano postawimy Braxtona w stan oskarżenia, potem stanówka zabierze go i będzie trzymać aż do procesu. Naprawdę, niech pan jedzie do domu. Wszystko jest w porządku.

— Dasz sobie z nim radę?

— Tak. Bywało gorzej.

Kelly wyciągnął spod kurtki pałkę.

— No cóż, weź to. Na wypadek gdyby się wygłupiał.

— Nie mogę tego przyjąć.

— Oczywiście, że możesz. Co niby mam z tym robić? Jestem na emeryturze.

— Jest pan pewien?

— Weź, Benie Truman.

Wziąłem.

— No dobrze — powiedział Kelly, jakby czując ulgę, że w końcu uwolnił się od tej pałki. Stał przez chwilę, najwyraźniej niepewny, co robić dalej.

— Wkrótce do pana wpadnę — odezwałem się — opowiem panu, jak się wszystko ułożyło.

— Będzie mi miło.

Poszedł do swojego samochodu i wcisnął się do niego jak pajak do szczeliny w ścianie. Otworzył okno.

— Wiesz, mógłbyś zostać dobrym profesorem.

— Kto mówi, że nie zostanę?

Uśmiechnął się porozumiewawczo, a potem gestem głowy wskazał pałkę w mojej dłoni.

— Nie zrób sobie tym krzywdy.

Kiedy wróciłem na posterunek, postawiłem fotel przy drzwiach drugiego pokoju i usiadłem, wyciągając nogi. Pałka spoczywała ciężko na moich kolanach.

— Zostaliśmy sami, szefie Truman? — odezwał się Braxton.

Po południu chmury zaczęły przewalać się nad miastem. Deszcz bębnił o okna posterunku.

Koło czwartej zapytałem Braxtona, co chce na obiad. W czasie pięciogodzinnej jazdy z Bostonu i czterech godzin pobytu tutaj prawie się do mnie nie odzywał.

— Wezmę homara — powiedział.

— To jest Maine. Spróbuj jeszcze raz.

— Stek.

— Stek? A może hamburgera albo kanapkę?

— Powiedziałem stek.

— Niech będzie stek.

Kiedy dostarczono jedzenie z Sowy, wziąłem je i otworzyłem celę. W małym korytarzyku nie było miejsca, usiadłem więc na krześle w celi, a Braxton na pryczy. Jego stek był szary i miał pośrodku wgłębienie, jak poduszka, z której dopiero co ktoś podniósł głowę. Braxton ugryzł kawałek i się skrzywił.

— Co to za gówno?

— No tak, pewnie powinienem cię ostrzec przed stekiem.

Męczył się z mięsem w milczeniu. Mój posiłek był lepszy — kanapka z indykiem. Zaproponowałem, że się wymienimy, ale odmówił.

— Nie boisz się, że chciałbym zwiać? — Skinął głową w stronę otwartych drzwi celi.

— Nie. Dokąd byś poszedł? Ta cela jest w tej chwili najbezpieczniejszym dla ciebie miejscem.

— Być może dla ciebie również.

Toczyliśmy dość niezwykłą rozmowę. Braxton nie zamordował Boba Danzigera, a siadając z nim do obiadu, dawałem mu poznać, że też jestem tego świadom.

— Gittens pewnie już tu jedzie — powiedział Braxton.

— Tak sądzę.

— Co masz zamiar zrobić?

— Nie jestem pewien.

— Lepiej coś wymyśl, bo będziesz miał kłopoty.

— A co ty zrobiłbyś na moim miejscu, Haroldzie?

— Nie jestem na twoim miejscu.

— Ale gdybyś był?

— Wezwałbym moich czarnuchów. — Użył tego słowa bez wahania. Dla niego nie zawierało żadnych politycznych podtekstów.

— Nie mogę tego zrobić.

— Masz gliny. Wezwij.

— To nie takie proste.

— Dlaczego?

— Dlatego. — Wlepiał wzrok w przykurzoną plamę na podłodze. — Po prostu nie mogę.

— A ten wysoki facet? Zawołaj jego.

— Kelly? Nie, nie mogę.

Braxton kiwnął głową — chyba nie dlatego, że mnie rozumiał, po prostu nie chciał marnować czasu na rozmowę z głupim gliniarzem.

— A może jednak wezwę moich ludzi? Ochronimy ci tyłek.

— Nie, Haroldzie. Dziękuję.

Zadzwoił telefon. Była prawie piąta, zapadał zmrok. Budynek posterunku jęczał pod uderzeniami wiatru i deszczu. Zanim podniosłem słuchawkę, wiedziałem, że to Martin Gittens.

— Ben? Musimy pogadać.

— O czym tu gadać, Martin? Mają na ciebie nakaz. Gdzie jesteś?

— Prowadziłem dochodzenie. Mam ci coś do pokazania. Nowe dowody.

— Co to takiego?

— Och, sądzę, że powinieneś sam to zobaczyć.

Nie odpowiedziałem. Przez jakiś czas panowała cisza.

W końcu odezwał się Gittens. Mówił wolno, cierpliwie.

— Ben, wszystko będzie w porządku. Ale musimy zachować spokój. Zachować spokój i myśleć. Możesz to zrobić, Ben?

— Tak. — Głos mi się załamał. Odchrząknąłem i powtórzyłem: — Tak, mogę.

— Wiem, że możesz. Obserwowałem cię, Ben. Zachowasz spokój przez jakiś czas, prawda? A teraz zastanów się. Chcesz się ze mną spotkać i zobaczyć, co mam, czy może wolisz, żebym po prostu wyjechał?

— Spotkam się z tobą.

— Nie rób tego. Nie idź — odezwał się z celi Braxton.

— Dobra decyzja — pochwalił mnie Gittens. — Może spotkamy się nad jeziorem? Będziemy mogli sobie porozmawiać.

— Nad jeziorem?

— Tak, Ben. W chacie Danzigera. Pasuje ci? A może będzie ci tam nieswojo?

— Nie, nie będzie.

— Dobra. Musimy razem popracować. Jesteśmy bardzo do siebie podobni, wiesz?

— Nie — odparłem — nie jesteśmy.

Gittens umilkł na chwilę, a potem rzekł:

— Przyjeżdżaj.

Zanim dotarłem nad jezioro, deszcz przestał padać. Nawierzchnia drogi lśniła fosforyzująco. Z perspektywy czasu przypuszczam, że spowodowało to światło księżyca przemykającego się pomiędzy chmurami. Ale wtedy wydawało mi się, że światło promieniuje z samego jeziora, wytryska z wody, aby rozświetlić niebo.

Przez przednią szybę dostrzegłem Gittensa stojącego na twardo ubitym piasku nad wodą. Patrzył na jezioro. Miał na sobie drelichowe spodnie i żółtą kurtkę przeciwdeszczową z wypisanym na plecach nazwiskiem projektanta.

Obok niego znajdował się mój ojciec.

Siedzący obok mnie Braxton zapytał:

— Naprawdę chcesz to zrobić?

— Nie mam wyboru, z Gittensem jest mój ojciec.

— No to dobra. Chronię ci dupę. — Kiedy się zawahałem, wzruszył ramionami. — Jest, jak jest. — Zdawał się uważać, że słowa te wyjaśniają całą sytuację.

Wyszliśmy z bronco. Braxton pozostał przy samochodzie, ja zszedłem w dół, do Gittensa i ojca stojących na skraju wody.

Gittens spojrział na drogę dojazdową i Braxtona, a potem znowu zaczął patrzeć na jezioro i jego niezwykłą fosforescencję.

— Mówiłem, żebyś przyjechał sam.

— Powiedziałaś też, że bym myślał.

Uśmiechnął się do mnie krzywo.

— Jakbym widział się w lustrze.

Ojciec wyglądał koszmarnie. Chwiał się, jakby miał za chwilę zemdleć. Pod oczami miał ciemne worki, a mokre włosy opadały mu rzadkimi pasemkami. Ręce miał skrzyżowane na brzuchu.

— Zdejmij mu kajdanki — poleciłem Gittensowi.

Zrobił to bez wahania, a ojciec zaczął masować swoje przeguby.

— Tato, jesteś pijany?

Opuścił z zakłopotaniem wzrok.

— Ty mu to zrobiłeś — odezwałem się do Gittensa z absurdalnym zarzutem.

— Nie, sam to sobie zrobił. Znalazłem go w takim stanie.

— Tato, co mu powiedziałaś? — Złapałem ojca za ramiona i potrząsnąłem nim. — Tato?

— W porządku, Ben — wtrącił się Gittens. — Uspokój się. I tak już wiedziałem.

— O co ci chodzi, co już wiedziałeś?

— Ben, daj spokój, pomyśl! Miałem przewagę. Wiedziałem, że nie zabiłem Danzigera. Byłem jedynym człowiekiem, który mógł to wiedzieć na pewno.

Poczułem zawrót głowy. Wpatrywałem się w Gittensa. Ziarnka piasku przyklepiły się do jego pantofli i mankietów spodni. Na kurtce lśniły krople deszczu. Kiedy się poruszył, kropelki spłynęły po rękawach.

— Nie masprawy, Ben. Zachowaj spokój — oznajmił Gittens. Rozpiął kurtkę i

płynnym ruchem wyciągnął zza paska pistolet.

Ale kiedy się odwrócił, rozległ się okrzyk:

— Hej! — Braxton szedł w naszą stronę, celując do Gittensa.

Gittens podał mi pistolet, trzymając go na palcu przełożonym przez osłonę spustu.

— Wszystko w porządku, Ben. My dwaj nie potrzebujemy broni.

Wziąłem ciężki pistolet, tę samą ciężką, czarną trzydziestkęósemkę, którą mój ojciec nosił przez wszystkie lata pracy na stanowisku szefa policji.

— Narzędzie zbrodni — stwierdził po prostu Gittens.

— To jakieś wariactwo.

— Damy broń balistykom, żeby potwierdzili.

Przyszło mi do głowy, że mógłbym cisnąć pistolet do jeziora. Wyobrażałem sobie, jak wiruje w powietrzu na tle rozświetlonego nieba, wpada z pluskiem do wody i znika.

Gittens odwrócił się i rzekł do Braxtona:

— Spokojnie, Haroldzie. Tylko rozmawiamy.

Braxton opuścił broń — moją berettę — i zrobił krok do tyłu.

— Przez długi czas nie mogłem zrozumieć — powiedział Gittens — dlaczego zadałeś sobie tyle trudu, by pilnować tej sprawy, czemu podjąłeś takie ryzyko. Wydawałeś się na to za sprytny. Początkowo myślałem, że naprawdę musiałeś zabić Danzigera. To było jedyne wytłumaczenie. Ale nie za bardzo pasowało. Nie jesteś zabójcą. Wiele czasu trwało, zanim zrozumiałem. Chroniłeś kogoś.

— Braxtona...

— Nie. Harold i Danziger już zawarli układ.

Trzydziestkaósemka w moim ręku była ciężka, wciąż zachowywała ciepło dłoni Gittensa. Zacisnąłem palce na plastikowych okładkach kolby, z przyjemnością czując jej kształt i wypukłą, kratkowaną powierzchnię.

— Tato, chyba lepiej będzie, jeśli sobie pójdiesz. Martin i ja musimy porozmawiać.

— Przepraszam, Ben — rzekł. Popatrzył na mnie, a potem zamknął w niedźwiedzim uścisku. Jego nos znalazł się tuż przy moim uchu, słyszałem jego ciężki oddech. Mocno przycisnął mi ręce do boków.

— W porządku, tato — powiedziałem, dając znak, by mnie puścił. Jednak nie zrobił tego. Może nie mógł. — W porządku — powtórzyłem, ale on wciąż trzymał mnie mocno.

Nad jego ramieniem widziałem Braxtona, stojącego przy bronco i obserwującego nas.

Tamtej nocy we wrześniu — zaledwie przed sześcioma tygodniami, a

miałem wrażenie, że było to w innym życiu — mój ojciec pojawił się na posterunku z zakrwawioną twarzą i koszulą. Mówił coś bez związku, jakby był w szoku. Nie potrafił wyjaśnić, skąd wzięła się ta krew, a ponieważ mylnie uznałem, że należy do ojca, obejrzałem go, szukając rany. Była to krew Danzigersa. Tata zabił go jednym strzałem z trzydziestkiósemki.

Stojąc przede mną, powtarzał w kółko to samo:

— Co ja zrobiłem? Co ja zrobiłem? Ben, co teraz poczniemy?

Zawahałem się. Co właściwie mogliśmy począć?

Danziger. W czasie krótkiej rozmowy na kilka godzin przedtem, zanim został zabity, nawet go polubiłem. Widać było, że to przyzwoity człowiek, nawet kiedy powiedział, że oskarży mnie o pomoc w samobójstwie Anne Truman.

„Czy jest coś, co powinienem wiedzieć? — zapytał. — Czy istnieje coś, co złagodziłoby wymowę faktów — gliniarz biorący udział w zabójstwie z litości. Gliniarz! Niech mi pan ułatwi, pomoże to zrozumieć. Przyjechałem tu osobiście w nadziei, że dowiem się czegoś i zmienię zdanie. Gdyby nie był pan policjantem, wtedy...”

Odparłem, że nie mam mu nic do powiedzenia, że zmarnował czas, jadąc tutaj.

„Czy pan wie — powiedział mi Bob Danziger — że jest to morderstwo pierwszego stopnia, czy pan to rozumie? Wszystko zostało zaplanowane. Próbowałem jakoś to złagodzić, sprowadzić do zabójstwa drugiego stopnia, przypadkowego, ale w żaden sposób się nie dało. Po prostu fakty nie pasują”. — Jedną ręką masował skórę wokół oczu. Miał czerwone piegi na grzbiecie palców. „Czasami — mruknął — mam dość tej pracy”.

Kilka godzin później nie żył.

A przede mną stał mój ojciec, obryzgany jego krwią.

— Nie mogłem pozwolić, żeby cię zamknął, Ben — powiedział. — To niemożliwe, żebym stracił Annie i ciebie. Nie mogłem do tego dopuścić. Kiedy usłyszałem, po prostu... Co teraz zrobimy?

Wahałem się.

Co powinienem teraz zrobić? Co powinien zrobić syn policjant?

Wahałem się, aż nagle, w ułamku chwili, zapadła decyzja.

— Gdzie pistolet, tato?

— Upuściłem go.

— Gdzie?

— W chacie.

— Tato, musimy go zabrać. Natychmiast, słyszysz?

Nie usprawiedliwiam swojego postępowania i z całą pewnością nie

usprawiedliwiam mojego ojca. Po prostu nie miałem siły woli, aby całkowicie pozbawić się rodziny. Moja matka nie żyła, a teraz ojciec... Próbowałem w tym miejscu przerwać łańcuch nieszczęść.

Wróciliśmy do chaty, zabraliśmy pistolet ojca i zamknęliśmy dom.

I czekaliśmy.

Wielokrotnie wracałem do chaty. Rozmyślałem, stojąc nad zwłokami. Czytałem akta Danzigera i dowiedziałem się, jak Oddział Mission dokonywał egzekucji — strzałem w oko, w taki sam sposób, w jaki mój ojciec zabił Danzigera. Był to brzemienny w skutki zbieg okoliczności. Zaaranżowałem wygląd miejsca zbrodni tak, by wskazywało na morderstwo dokonane przez gang. Spaliłem akta dotyczące śmierci mojej matki, na których znajdowały się moje odciski palców. Pewnej nocy, po ciemku, wepchnąłem hondę Danzigera do jeziora.

Potem zamknąłem chatę i czekałem. Minął zaledwie tydzień, a tato zaczął znów popijać. Mimo wszystko czekałem, chcąc, aby kto inny znalazł ciało. Przez jakiś czas miałem nadzieję, że zwłoki nigdy nie zostaną znalezione, że rozkład w nieodwracalny sposób zniszczy wszystko, co łączyło z nim tatę — i mnie. Jednak w pewnym momencie stwierdziłem, że nie mogę już dłużej czekać, ponieważ ojciec całkiem się załamał. Wówczas „odnalazłem” ciało.

Jako student historii powinienem być mądrzejszy. Każdy historyk wie, że łańcuch wydarzeń nigdy się nie kończy. Nie ma przyczyny bez skutku, nie ma wydarzenia bez jego następstw. Próbowałem zerwać ten łańcuch nieszczęść, ale nie zdołałem. Nie mogłem zapobiec cierpieniu mojego ojca.

Zbocza wzgórz za jeziorem były skąpane w mrocznej poświacie.

— Kiedyś, w New Hampshire, gdy byłem dzieckiem — powiedział Gittens — jeździliśmy w podobne miejsce. Chata nad jeziorem, cała moja rodzina. Pamiętam, że w jednym z sąsiednich domków mieszkała dziewczyna. Ładna blondyneczka w niebieskim kostiumie kąpielowym. Często gimnastykowała się na plaży. Wiesz, nigdy nie zamieniłem z nią ani słowa.

Nie byłem w stanie go słuchać. Miałem wrażenie, że wali się cały świat. To nie był strach. Strach wydawał się już czymś nieistotnym, z dalekiej przeszłości. To, co czułem, bardziej przypominało zmęczenie. Pogodzenie się z losem. Kapitulację.

Musiało się to odmalować na mojej twarzy, bo Gittens powiedział:

— Spokojnie, Ben. Myśl.

— Czego chcesz, Gittens?

Popatrzył na mnie, a potem sięgnął mi pod kurtkę, obmacał tors, boki i plecy w poszukiwaniu przewodów i mikrofonów. Mgła wisząca w powietrzu znowu

zamieniła się w deszcz, który szumiał w nagich drzewach.

— Jaki będzie twój następny ruch, Ben? — Nie odpowiedziałem. — Czy obmyśliłeś jakieś wyjście z sytuacji? Strategię odwrotu?

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Och, daj spokój. Jesteśmy na to za sprytni.

— A jakie ty masz wyjście? Jaką masz strategię odwrotu?

— Nie potrzebuję żadnej.

— Franny Boyle ma zamiar zeznać, że zabiłeś Fasulo i Trudella.

— Franny nie jest wiarygodny. Lowery nie oskarży nikogo na podstawie jego zeznań. Poza tym Franny dysponuje jedynie zasłyszаныmi informacjami — pogłoskami szeptanymi do ucha przez nieżyjących już ludzi. Żadnej z nich nie da się sprawdzić. Przeciwko mnie nie ma niczego, żadnego dowodu. Jesteś sprytnym facetem, Ben. Musisz teraz pomyśleć.

Ale żadna myśl nie przychodziła mi do głowy.

— Mogę ci pomóc, Ben. Możemy pomóc sobie nawzajem.

— Jak?

— Beze mnie nie ma dowodu. Twój stary wypowiadał się tylko mnie. Wyłącznie ja wiem, że pistolet, który masz w ręku, jest narzędziem zbrodni. Jeżeli będę trzymał gębę na kłódkę, nie będzie sprawy przeciwko twojemu staremu. Ani przeciwko tobie.

— A co stanie się ze sprawą Danzigera? Przecież muszą kogoś dostać.

— Braxtona — odparł Gittens.

— Nigdy tego nie kupią. Danziger miał z nim umowę.

— Kupią wszystko, co im sprzedam. Zwłaszcza jeżeli mnie poprzesz, jeżeli będziemy pracowali razem.

— Ale... — Głos mi zamarł.

— Niech wszystko spadnie na Braxtona. Było mu to pisane. W swoim czasie skrzywdził wielu ludzi. Po prostu zostanie wyrównany rachunek. Braxton nie należy do grzecznych chłopców. Pamiętaj o tym. Pozwól mi z nim pomówić. Przyzna się do obu...

— Przyzna? Nie zrobił nic...

— Przyzna się! A potem zaatakuje mnie w taki sam sposób, jak w ubiegłym tygodniu rzucił się na ciebie. Schwyci mój pistolet, który wystrzeli.

— To morderstwo!

— Nie, właściwy sposób załatwienia sprawy. Musimy robić to, co konieczne, Ben.

Pokręciłem głową.

— Nie mogę.

— Ty nie musisz nic robić. Ja odwalę najgorszą robotę.

Nie byłem w stanie odpowiedzieć.

— Ben, nie ma innego sposobu. Jeżeli stąd odejdę, twój stary dostanie dożywocie bez zwolnienia warunkowego. Ciebie też posadzą, za utrudnianie śledztwa.

— A co ty będziesz z tego miał, Gittens? — usłyszałem swój głos. Wzruszył ramionami. — Pozbędziesz się Braxtona — mówiłem dalej. — Tylko on może ci zaszkodzić. Dlatego Danziger tak bardzo chciał się z nim dogadać. Tamtej nocy dałeś Braxtonowi cynk. Jest świadkiem, który może cię ustawić za tymi czerwonymi drzwiami.

Gittens ruchem głowy wskazał pistolet, który trzymałem w ręku. Podałem mu go. Miałem wrażenie, jakby wszystko to działo się we śnie.

— Ben, proponuję ci jedyne możliwe wyjście. Skorzystaj z niego. — Patrzyłem na jezioro i ciemny zarys wzgórz. — Skorzystaj — nalegał Gittens. Pokręciłem przecząco głową. Gittens westchnął z irytacją.

— Ważne jest tylko to, co zrobisz, jak cię zaszachują. Musimy sobie ufać.

— Czy właśnie tak powiedziałaś Trudellowi?

Gittens zważył w dłoni trzydziestkęósemkę i włożył ją ponownie za pasek.

— Podejmujesz cholernie złą decyzję, Ben. Pamiętaj o swoim ojcu.

Obróciłem się i popatrzyłem na ojca, który stał z Braxtonem przy samochodzie. Taki skurczony, przemoczony, mały.

Nie pamiętam dokładnie, co stało się potem. Mam tylko przebłyski wspomnień tej chwili — moja ręka opadająca w dół, świst powietrza wydobywającego się z moich ust, wibracja mojej dłoni. Żywy pozostał dźwięk: łupnięcie pałki Johna Kelly'ego o czaszkę Gittensa, co przypominało uderzenie końskiego kopyta o bruk.

Gittens osunął się na piasek. Pałka odbiła się od jego czaszki z taką siłą, że wypadła mi z ręki. Leżał twarzą w dół, bez ruchu.

Podniosłem głowę i zobaczyłem Braxtona i mojego ojca zbiegających po drodze dojazdowej.

Ciało się poruszyło. Nogi wolno przesuwają się po piasku.

Braxton i mój ojciec patrzyli na leżącego Gittensa.

— To jedyne wyjście — odezwałem się do nich. Ojciec spojrzał na mnie. Jego twarz jakby się zapadła, wargi miał lekko rozchylone. — Jedyne wyjście — powtórzyłem.

Słyszałem mój głos — taki opanowany, taki spokojny. Ale daleko było mi do spokoju. Wyzwoliła się we mnie jakaś dzika energia. Nie mogłem i nie chciałem jej opanować. Rozejrzałem się, szukając pałki.

Gittens z cichym jękiem zaczął czołgać się w stronę jeziora. W jego włosach widać było krew zmieszana z piaskiem.

— Co teraz? — odezwałem się do ojca. Nie odpowiedział. Tylko mrugał oczami, marszcząc czoło. Skórę koło ust przecinały mu bruzdy, wokół oczu utworzyły się kurze łapki, twarz miał mokrą od deszczu. Nie mogłem na niego patrzeć. Odwróciłem się do Braxtona. — Co teraz?

Braxton brodą wskazał Gittensa, który usiłował stanąć na czworakach.

— Chcesz, żebym to zrobił? — zapytał.

Powiedziałem mu, że nie. Gittens upadł.

— Trzeba to dokończyć — stwierdził Braxton.

Stanąłem nad Gittensem, wsunąłem mu ręce pod pierś i pociągnąłem go dalej na jezioro. Chłód go ocucił. Odpychał się rękami, żeby unieść głowę nad powierzchnię. Woda miała tu zaledwie jakieś trzydzieści centymetrów głębokości. Położyłem mu prawą rękę na czubku głowy i wepchnąłem ją pod wodę. Wynurzył się, łapiąc powietrze, dziko młócąc rękami. Jego żółta kurtka przeciwdeszczowa lśniła w świetle księżyca. Tym razem już obydwoma dłońmi chwyciłem jego głowę i wdusiłem mu twarz w piasek. Razem z bąbelkami na powierzchnię wyostał się słabutki krzyk. Przebił się przez odgłosy szamotania w wodzie. Był wysoki jak krzyk niemowlęcia. Najstraszliwszy dźwięk, jaki słyszałem w życiu.

Epilog

Minął już niemal rok od tamej nocy nad jeziorem. Rok od chwili, kiedy postanowiłem przelać te wydarzenia na papier, aby zrozumieć samego siebie.

Na pewno chcecie dowiedzieć się, jak się ta historia kończy. Poznać szczegóły. Prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, jak mawiają prawnicy. Chcecie odpowiedzi. Bardzo proszę.

Zwłoki Martina Gittensa znaleziono w bostońskim porcie, zanurzone w mule, koło cypla Battery we Flats. W raporcie koronera odnotowano, że płuca miał wypełnione słodką wodą, a nie słoną portową breją. Wydawało się jednak, że nikogo nie zainteresowała ta nieściskość, zwłaszcza po tym, jak zaczęły krążyć plotki o udziale Gittensa w zabójstwie Fasulo, Trudella i Boba Danzigera. Kiedy wszyscy — prokuratorzy, dziennikarze, a także dobrzy obywatele — doszli do wniosku, że wszystkie te morderstwa popełnił Gittens, sprawa jego utonięcia zeszła na plan dalszy. Ot, można powiedzieć, że sprawiedliwości stało się zadość. Jednak formalnie rzecz biorąc, dochodzenie jest wciąż otwarte.

Podejrzanie o zamordowanie Gittensa padło na Braxtona, ale okazało się, że w tym czasie znajdował się w areszcie w Versailles, w stanie Maine. Gdyby ktoś zadał sobie trud sprawdzenia tej nocy aresztu w Versailles, okazałoby się, że cela była pusta, a Braxton i szef Truman powrócili na posterunek tuż przed wschodem słońca. Ale nikt nie sprawdzał. I nikt nie zauważył przemoczonej wykładziny z tyłu bronco, gdzie na czas ostatniej jazdy do Bostonu ukryliśmy pod kocem zwłoki Gittensa. Jeżeli chodzi o morderstwo Danzigera, po paru tygodniach odstąpiono od wszelkich oskarżeń wobec Braxtona, który natychmiast gdzieś zniknął.

Andrew Lowery w dalszym ciągu jest prokuratorem okręgowym w hrabstwie Sussex i któregoś dnia niewątpliwie zostanie burmistrzem Bostonu. Będzie cholernie dobrym burmistrzem.

Kiedy piszę te słowa, stara pałka Johna Kelly'ego leży przede mną na biurku. Kelly już nie żyje. Staranował go pijany kierowca, kiedy czekał przed budką do pobierania opłat przy wjeździe na autostradę do New Hampshire. Kierowca miał siedemnaście lat i dwa i pół promila alkoholu we krwi. Wyszedł z wypadku bez szwanku. Kelly został pochowany obok żony i wiecznie dziesięcioletniej córki, Theresy Rose.

Towarzyszyłem Caroline w czasie pogrzebu w paskudny dżdżysty ranek. Była bardzo zmieniona, jakaś zagubiona. Nie spodziewała się, że jej ojciec może kiedyś umrzeć. Rozpoznałem to uczucie — egoistyczne przerażenie towarzyszące śmierci — ponieważ sam go doświadczałem przez większą część roku.

Od tej pory widywałem się z Caroline wiele razy. Nie wiem, co z tego wyniknie, poza wygórowanymi rachunkami telefonicznymi i dodatkowymi kilometrami, które musiał pokonać mój roztrzęsiony stary saab. Jak na razie wystarcza mi po prostu pojechać tam i pobyc z nią. Caroline gotuje, ja zabieram Charliego na mecze Red Sox. Mam tam coś w rodzaju domu.

W czasie jednej z tych wizyt Caroline dała mi prezent — zapieczętowaną termicznie plastikową torbę ze szklanką z Ritz-Carlton. Szklanka była pokryta moimi odciskami palców. „Rozbij ją” — powiedziała. Powiedziałem jej, że nie mogę. Była to ostatnia rzecz, jakiej dotykała moja matka. „Rozbij” — powtórzyła. Do tej pory tego nie zrobiłem.

Mam oczywiście tajemnice, którymi nie podzieliłem się z Caroline — rodzinne sekrety o porywczym charakterze Trumanów, o śmierci z naszych rąk Boba Danzigera i Martina Gittensa. Nie powiedziałem jej, że wciąż czuję Gittensa wijącego się pod moimi palcami, wciąż słyszę jego stłumione przez wodę krzyki. Wiem, że nie mogę mieć przy sobie Caroline, dopóki utrzymuję to w tajemnicy, ale jednocześnie nie mogę powiedzieć jej prawdy i oczekiwać, że zostanie. Nie jestem jeszcze gotów na jej odejście i dlatego nic nie mówię.

W sierpniu Caroline i Charlie wreszcie przyjechali do Versailles i wynajęliśmy chatę nad jeziorem. Caroline zakochała się w jeziorze tak samo jak moja matka. Wchodziła do wody, oczami wyobraźni widziałem ten migoczący film, na którym moja ciężarna mama pływa na oponie i macha ręką do kamery. Pamiętam, jak pod koniec tego tygodnia Caroline stanęła po kolana w wodzie, z rękami na biodrach, i powiedziała:

— Miło tu. Wszystko jest takie czyste, takie jasne.

— Wiesz, potrzebujemy tu prokuratora okręgowego — rzuciłem.

Roześmiała się.

— Daj spokój, Ben. Byłoby to życie jak na Marsie.

Co z moim ojcem? Morderstwo Danzigera pozostawiło na nim piętno. Pozornie odzyskał spokój, ale serce sprawia mu kłopoty. Wiosną poprosił mnie o pracę w komendzie, w charakterze ochotnika, żeby mieć coś do roboty.

— Będę strażnikiem na przejściu dla pieszych, mogę prowadzić kartotekę albo robić coś innego — powiedział.

Odmówiłem mu. Ze świętoszkowatym okrucieństwem oświadczyłem, że morderstwo nie zamyka przed nim życia, ale dyskwalifikuje go w pracy policyjnej. Była to z mojej strony wyjątkowa hipokryzja. Ostatecznie zmiękłem, pozwalając mu się kręcić po posterunku. Po kilku dniach przestał jednak przychodzić. W czerwcu przeniósł się do sąsiedniego miasteczka. Emigracja Szefa wywołała zdziwienie w Versailles. Ludzie uznali, że, jak to często bywa w

małżeństwie, razem ze śmiercią żony również w nim coś umarło. Była to mylna interpretacja, ale jej nie prostowałem. Nie wiem, czy to możliwe, by tata wybaczył sobie to, co uczynił. Ale spodziewam się, że potrafi z tym żyć. Tacy już są Trumanowie.

A ja wciąż jestem szefem policji w Versailles. Nie wiem, jak długo jeszcze tu zostanę. Miasto zasługuje na kogoś lepszego. Przyzwyczałem się chodzić na obchód, z czego cieszyłby się John Kelly, chociaż jedynym miejscem do patrolowania jest w tym mieście Central Street. Wychodzę na spacer dwa razy dziennie, każdego dnia, zatrzymując się na pogawędkę w Sowie, u McCarrona i w General. Przez jakiś czas nosiłem pałkę Kelly'ego. Nawet próbowałem nią młynkować. „Jeśli nosisz ją we właściwy sposób — powiedział kiedyś Kelly — jeżeli sam zachowujesz się we właściwy sposób, nigdy nie będziesz musiał jej użyć”. To była policyjna mądrość, której chciałem się trzymać, ale teraz nie mogłem już w nią dłużej wierzyć. Uniemożliwiła mi to pamięć Gittensa w moich rękach, szamoczącego się w trzydziestocentymetrowej wodzie. Nie, już nie noszę ze sobą tej pałki. Leży na moim biurku albo w szufladzie. Może dam ją Caroline. Albo Charliemu. Nie chcę jej mieć koło siebie.

Tak wyglądają owe szczegóły, „fakty”. Tak kończy się ta historia.

Kończy się? Historia — przetaczająca się fala kolejnych wydarzeń, napędzana przez prądy przypadku, zbiegu okoliczności — toczy się dalej, choć dla nas jedynym prawdziwym końcem jest chwila obecna, sunąca naprzód krawędź fali.

A więc przeniosę was od razu do terażniejszości. Kiedy piszę te słowa, jest wrzesień. Poprzydzielani nam na okres lata funkcjonariusze powrócili już do swoich stałych miejsc zatrudnienia i całą komendę znowu tworzymy my dwaj: Dick i ja. Uwolnione od letników Versailles znowu liczy tylko kilkuset mieszkańców. Znowu jest pora kolorowych liści, ale ich wielbiciele są ludźmi starszymi niż letnicy i nie sprawiają nam kłopotów. Czas spokoju.

Siedzę sam na posterunku, za biurkiem. Zapada zmierzch, ale nie zapaliłem jeszcze światła. Przyjemnie jest w półmroku.

Kiedy tylko to skończę, pojedę nad jezioro popływać. Moja matka twierdziła, że to najlepsza pora roku na pływanie. Wiezorami powietrze robi się rześkie, ale woda wciąż utrzymuje ciepło słonecznego lata. Temperatura wody jest tak zbliżona do temperatury powietrza, że można ulec pewnemu złudzeniu — jeżeli pływa się w nocy, trudno odróżnić wodę od powietrza, ma się wrażenie zerowej grawitacji, nieważkości. Jadąc nad jezioro, przejadę tuż obok miejsca, w którym stała chata Boba Danzigera (budynek został rozebrany, ponieważ uznano, że nie da się go wynająć). Czasami parkuję w tym miejscu. Zostawię ubranie w bronco

i wejść do wody, pozwolę się jej unieść na środek jeziora, tam gdzie jest najgłębiej.

Podziękowania

Dziękuję za wyrażenie zgody na cytowanie z wymienionych niżej materiałów objętych prawami autorskimi:

Bracton In the Laws and Customs of England, T. II, przekład, poprawki i przypisy Samuela E. Thorne'a, Cambridge Mass.; Harvard University Press. Copyright 1968, 1977 President and Fellows of Harvard College. Przedruk za zgodą wydawcy.

Harry Woods i Mort Dixon The Looking Over A Four Leaf Clover, copyright 1927, odnowione. Wydane przez Callicoon Music, Odle Clover Leaf Music i Warner-Chappell Music. Wszystkie prawa zastrzeżone. Wykorzystane za zgodą.

Shattered, słowa i muzyka Mick Jagger i Keith Richards. Copyright 1978 EMI Music Publishing Ltd. Wszystkie prawa na USA i Kanadę administrowane przez Colgens-Emi Music Inc. Wszystkie prawa zastrzeżone. Międzynarodowe prawa autorskie zabezpieczone. Wykorzystane za zgodą.